

MAREK KRAJEWSKI

znak

CZAS
ZDRAJCÓW



MAREK KRAJEWSKI

CZAS ZDRAJCÓW

Wydawnictwo Znak
Kraków 2022

*Zamknijcie wasze serca staranniej
niż wasze drzwi. Nadchodzą czasy zdrady.*



Johann Wolfgang von Goethe,

PROLOG



WARSZAWA, 30 WRZEŚNIA 1939 ROKU
DWA DNI PO KAPITULACJI MIASTA

– DOKOŁA TYLKO SMRÓD I SMRÓD! – westchnął ze złością radca rządowy Walter Ronigger[1]. – Ależ to miasto okropnie cuchnie! Jak zresztą wszystko w tym zażydzonym kraju!

Wiedziony nagłym impulsem, kazał swemu kierowcy zatrzymać samochód na środku mostu przy Cytadeli, bo tak na jego mapie sztabowej był określony ten kiepski wytwór carskiej sztuki inżynieryjnej – brzydki i zbyt wąski. Wrażliwy na wonie SS-Sturmbannführer miał nadzieję, że tutaj będzie większy przewiew, a wiatr znad Wisły zmiecie w końcu te dręczące go miazmaty.

Jego oczekiwania nie spełniły się jednak. Wicher rzeczywiście dał mocno, ale niestety z kierunku południowo-zachodniego. Chmury śmierdzących dymów, jakie wciąż wykwiwały nad Starówką – sercem zbombardowanej stolicy pokonanego państwa – nawiewał właśnie na most przy Cytadeli.

Woń spalenizny, zmieszana dodatkowo z wyziewami kanalizacyjnymi, które gdzieś tutaj nad rzeką miały ujście, wkręcała mu się w mózg jak brudny, lepki świder.

Ten trzydziestodwuletni dandys wyjął z kieszonki munduru chusteczkę pachnącą ulubioną wodą kolońską 4711. Kilkakrotnie pokręcił przy tym korbką w drzwiach auta, aby zasunąć szybkę w oknie wyglancowanego dwuletniego mercedesa 230. Odetchnął z ulgą. W jakże prosty sposób odciął się od smrodu tego upadłego miasta!

Nie chciał się jednak odcinać od widoku jego mieszkańców. Za chwilę pewnie pojawią się za bagażnikiem jego automobilu, który teraz blokował

ruch na moście. Zaraz ujrzy ich szerokie, słowiańskie, niechlujne, bo na ogół nieogolone, twarze. Fascynowali go i napełniali obrzydzeniem w równym stopniu jak wszy, które – nawiasem mówiąc – dopiero tutaj, w Polsce, wczoraj ujrzał po raz pierwszy w życiu na pewnym żydowskim kołnierzu.

Jego adiutant i kierowca SS-Unterscharführer Klaus Döring dotknął dźwigni sprzęgła przy kierownicy. Chciał ruszyć, ale Ronigger go powstrzymał, widząc, że za automobilem już zaczynają przystawać kolejne pojazdy.

– Stój! Ale ostro przygazuj! No, dawaj! Dawaj!

Auto wciąż stało na środku mostu, a szofer mocno wciskał pedał gazu, wypuszczając z rury wydechowej kłębiaste obłoki spalin. Walter Ronigger, noszący dumny tytuł doktora obojga praw zdobyty *summa cum laude* na uniwersytecie w Getyndze, z szerokim uśmiechem patrzył w lusterko na przystających za nimi skonfundowanych prostaków. Tuż za tylnym zderzakiem zatrzymała się furmanka, a obok niej cywilny motocykl z wózkiem bocznym.

Oficer dał znak Döringowi, by ten przestał. Spaliny powoli się rozwiewały. Obaj patrzyli w lusterko wsteczne i widzieli ludzi za tylną szybą. Ronigger nie dostrzegł nawet śladu złości ani na twarzy woźnicy, ani w oczach motocyklisty i jego pasażera. Ludzie, którym zatarasował przejazd i których złośliwie traktował spalinami, mieli twarze bez wyrazu.

– Dawaj! Znowu! – krzyknął. – No, jeszcze raz!

Sześciocylindrowy silnik o mocy pięćdziesięciu pięciu koni mechanicznych ryknął potężnie.

Niemiec drażnił Polaków, prowokował, upadlał dymem i smrodem. I czekał, czekał, aż w ich oczach pojawi się ciemna nienawiść.

– No i jak wam to pachnie? – śmiał się wesoło. – Ładniej niż ta wasza nędzna miłościna?

Ku swemu rozczarowaniu nie doczekał się jednak żadnej reakcji u tych ludzi. Byli oni, tak to sobie tłumaczył, do tego stopnia upokorzeni klęską, że spuszczaali wzrok na widok wspaniałych automobili i jadących nimi dumnych zwycięzców w starannie odprasowanych mundurach i w błyszczących oficerkach. Nie ośmielali się spojrzeć im w twarz – tak jak teraz ten motocyklista, ten niewolnik, który nie ważył się nawet szukać oczami lusterka, by zobaczyć jaśniejącem tryumfem oblicze swego pana.

– A kiedy już spojrzą ci w twarz, to widać u nich wyraz psiej skruchy – zauważył Ronigger. – Są przymilni, gotowi zrobić wszystko jak ten stary Żyd wczoraj, pamiętasz, Klaus?

Kierowca skinął głową, a pasażer rozkazał:

– No dobra, ruszaj już, ruszaj! Szkoda na nich naszej benzyny!

Adiutant wrzucił pierwszy bieg, a jego szef, dowódca II Komanda VI Grupy Operacyjnej[2], zatopił się we wspomnieniach poprzedniego dnia.

To był ciepły wieczór. Mercedes, kierowany pewną ręką Klause, jechał powoli uliczkami dzielnicy żydowskiej. Roniggerowi towarzyszyło dwóch podoficerów z jego komanda: Hans Reichert i Georg Ziesch. Obaj – każdy w randze SS-Oberscharführera – zasłużyli się sprawnymi i bezwzględными działaniami w Bydgoszczy na początku zwycięskiej kampanii wrześniowej.

I Ziesch, i Reichert wciąż żyli chwalebnym wspomnieniem wymordowania setek Polaków w mieście nad Brdą i nieustannie przytaczali szczegóły tej rzezi w jakimś chorobliwym podnieceniu. Czynili to z nudów i beczynności, pragnąc w duchu kolejnych równie ekscytujących chwil. Tymczasem nic podobnie podniecającego im się już nie przytrafiło pomiędzy ową krwawą niedzielą a przybyciem do ujarzmionej Warszawy. Na froncie nie walczyli, a cała ich aktywność po wydarzeniach bydgoskich

polegała na pracy organizacyjnej przy tworzeniu jednostek policyjnych w nowo zdobytych miastach na trasie przemarszu II Korpusu Armijnego Wehrmachtu.

Ronigger dobrze rozumiał to ciągle przywoływanie krwawych wspomnień. Byli młodzi, bardzo młodzi, ledwo dwudziestoletni, potrzebowali wrażeń. Nie zdziwił się zatem, gdy jadąc powoli w ten ciepły wieczór warszawską ulicą Elektorálną, przypominającą raczej kanion wśród gruzów, zapytali go, czy mogą się „zabawić z pewnym staruchem, co tam stoi wśród ciżby i gapi się na nich jak głupek”. Chętnie się zgodził. Niech mają trochę rozrywki.

Klaus zatrzymał auto, a podkomendni Roniggera dali znak starcowi z potężną siwą brodą, by się do nich zbliżył. Ten posłuchał od razu. Miał w oczach ów wyraz psiego poddaństwa, który – jak to zauważył SS-Sturmbannführer – był typowy dla obywateli podbitego kraju.

Ziesch strzelił w powietrze i wtedy rozpoczął się zabawny spektakl. Reichert zagrał na organkach skoczną melodię, a jego kompan kazał staremu tańczyć. Kiedy już się naśmiali do syta z podrygującego Żyda w chałacie i w jarmułce, to w akcie łaskawości dali mu dwie czekoladki. Gdy po nie sięgał, cofnęli dłonie i rzucili słodyczne na kupę zalegającego na bruku końskiego łajna. Kazali zjeść mu tę nagrodę za ładny taniec. Dopilnowali, aby zrobił to na oczach wszystkich.

Długo później żartowali z tej zaaranżowanej przez siebie scenki, ciesząc się, że szef podziela ich wesołość. Ten zaś raczej ją tylko udawał. Był subtelnym prawnikiem, autorem dysertacji o aspektach rzymskiego prawa małżeńskiego, i nie bawiły go takie facecje. W pierwszej chwili uznał ich zachowanie za nieco odrażające, ale szybko sam siebie przekonał, że młodość jest psotna i ma swoje prawa.

Ronigger dojeżdżał teraz do ostatnich przęseł mostu i już porzucił wspomnienia o minionym popołudniu, gdy wraz z dwoma wesołkami zwiedzał – z wielkim zresztą zaciekawieniem – żydowskie zaułki Warszawy i wpadał wraz z podwładnymi do lepiących się od brudu małych mieszkań, w których gnieździły się wielopokoleniowe rodziny. Nie zwracał już uwagi na rozbite barki i końskie zezwłoki, wzdęte od gazów i wyrzucone na brzeg rzeki.

Teraz myślał już tylko o znalezisku, które zaraz ujrzy. Całą swoją uwagę wyteżał, usiłując przewidzieć, jakich to rewelacji może się spodziewać po polskim archiwum, które jego ludzie odkryli późnym wieczorem w jednym z dawnych carskich fortów, o czym doniósł mu podwładny SS-Unterscharführer Ewald Mussiolik.

Wpadł jak bomba do jego kwatery o pierwszej w nocy i złożył mu elektryzujący meldunek. Esesman nie mógł uwierzyć w to, czego się dowiedział.

Poprosił posłańca o powtórzenie nie tylko z obawy, iż się przesłyszał, co nie było trudne – był lekko podpity, a ciszę co chwila przerywały dochodzące z pobliskiego ogrodu zoologicznego ryki lwów podrażnionych gryzącym dymem.

– Tak jest, *Herr* Sturmbannführer! – krzyczał Mussiolik. – Nie przesłyszał się pan! Mój pluton w czasie misji zwiadowczej znalazł archiwum polskiego wywiadu! Całego polskiego wywiadu. Referatu Wschód i Zachód za jednym zamachem! Otwarte drzwi, wewnątrz nikogo, tylko regały pełne akt ciągnące się wzdłuż ścian!

Ronigger – ku wielkiemu zdumieniu plutonowego – zareagował dopiero po dłuższej chwili, z niewielkim zresztą entuzjazmem.

Jego podwładny nie mógł pojąć, dlaczego dowódca nie wskakuje w środku nocy do auta, dlaczego nie pędzi na łeb na szyję do nieodległego

przecież miejsca, dlaczego z tą radosną wieścią nie telefonuje do swojego bezpośredniego przełożonego, SS-Brigadeführera Lothara Beutla, a nawet do samego szefa Służby Bezpieczeństwa^[3] SS-Obergruppenführera Reinharda Heydricha! Taką opieszałość w działaniu mógłby zrozumieć tylko ten, kto by dobrze – tak dobrze jak wysoki funkcjonariusz SD Walter Ronigger – znał polski wywiad, czyli Oddział II Sztabu Głównego Wojska Polskiego, w skrócie zwany po prostu Dwójką. Otóż Ronigger – jeszcze do niedawna oficer kontrwywiadu SD – wiedział, że beztroskie pozostawienie otwartego archiwum tak rażąco odbiega od zwyczajów wroga, iż musi być co najmniej podejrzane. Wiedział też, do jakich kpin i prowokacji jest zdolny major Jan Henryk Żychoń, szef Referatu Zachód Dwójki, odpowiedzialny za działania przeciwko Niemcom. Ten znienawidzony przez Abwehrę as polskiego wywiadu wprawdzie uciekł z całą polską tchórzliwą elitą tam, gdzie pieprz rośnie, co nie znaczyło, iż nie pozostawił tutaj na swych śmiertelnych wrogów jakichś dezinformacyjnych pułapek.

„Nie ma się zatem co cieszyć zawczasu, może się okazać, iż te akta są tylko okładkami, pomiędzy którymi są pliki rachunków za kapustę albo za onuce dla wojska” – myślał Ronigger.

Odprawił zatem Mussiolika, każąc mu wracać do fortu, pilnować akt jak oka w głowie, sam zaś postanowił dopiero rankiem ocenić wartość odkrycia swego podkomendnego. Przed snem sprawdził jeszcze na mapie sztabowej lokalizację owego byłego carskiego fortu. Łatwo zidentyfikował go jako „Fort Władimir” przy ulicy Sanguszki.

To działo się w nocy, a teraz pokonawszy zadymiony most, jechał piękną zadrzewioną aleją, która na tejże mapie była opisana jako „Zakroczymska”. Wypatrzywszy boczną parkową dróżkę z lewej strony, nakazał szoferowi właśnie w nią skręcić.

Zatrzymali ich strażnicy komanda operacyjnego, lecz – rozpoznawszy swego dowódcę – natychmiast przepuścili automobil, stając na baczność i salutując. W prześwitach wśród wysokich topól widać było górną krawędź budynku z czerwonej cegły.

Kiedy podjechali bliżej, okazało się, że jest to okrągła cytadela otoczona dodatkowym wałem – nie na całym jednak obwodzie. W pewnym miejscu się jakby rozrywał i dwa ramiona wału otwierały się, zapraszając przybyszów do środka.

Tymczasem plutonowy Ewald Mussiolik, który stał przed okrągłą wieżyczką i wskazywał dłonią otwarte drzwi jak kamerdyner witający gości na przyjęciu, dosłownie zapraszał swego zwierzchnika. Po chwili wyprostował się i zasalutował. Ronigger odwzajemnił wojskowe pozdrowienie i zapatrzył się na czerwoną blaszaną tablicę wiszącą nad drzwiami.

– Centralne Archiwum Wojskowe. – Tak Mussiolik, Ślązak z Raciborza, przetłumaczył polski napis.

Ronigger pokiwał głową i wszedł do środka. Minął coś w rodzaju kancelarii lub poczekalni i znalazł się w ogromnym owalnym pomieszczeniu ze świetlikiem na suficie. Wokół ścian ciągnęły się dziesiątki metrów półek, na których równo poukładano wojskowe akta. Były to pliki kartek umieszczone pomiędzy kartonowymi okładkami związanymi włochatym sznurkiem. Na okładkach wymalowano – najwyraźniej od tego samego szablonu – różne cyfry.

SS-Sturmbannführer podparł się pod boki i wodził przez chwilę wzrokiem po półkach, zastanawiając się, którą to paczkę dokumentów wybrać do sprawdzenia.

Nie śpieszył się, wciąż obawiał się oszustwa. Kpina i szyderstwo były drugą twarzą „Jana”, jak go nazywali ci funkcjonariusze, którzy z trudem

wymawiali nazwisko „Żychoń”. Można się było zatem w archiwum spodziewać jakiegoś głupiego sztubackiego żartu Polaka. Być może otworzy jakieś akta, a pomiędzy okładkami będą same zdjęcia Führera?

W Forcie Włodzimierz nie objawiło się jednak Żychoniowe poczucie humoru. Po zrozumieniu dość prostego systemu archiwizowania dokumentów i po pobieżnym przejrzeniu i przetłumaczeniu akt kilku znanych sobie akcji wywiadowczych – wykorzystawszy tu Mussiolika jako tłumacza – Ronigger znalazł dobrze sobie znane nazwiska i sprawy. Same fakty, żadnych zmyśleń i dezinformacji, żadnych fałszywych inspiracji. Niemiec uznał, że jeśli próbka archiwum, jaką były znane mu sprawy, jest zgodna z faktami, to całe archiwum polskiego wywiadu jest autentyczne.

Natychmiast po tym potwierdzeniu autentyczności powiadomił drogą radiową SS-Brigadeführera Lothara Beutla o wspaniałym znalezisku. W zamian otrzymał ustną pochwałę i zapewnienie, że w siedzibie SD w Berlinie wypiją dziś wieczorem na jego cześć najlepszego szampana.

Późnym popołudniem, gdy już zjadł nadspodziewanie smaczny obiad przywieziony mu do fortu przez adiutanta, a do tego wypił dwa kieliszki znakomitego rieslinga, którego skrzynkę zawsze woził ze sobą, kiedy już chwilę podrzemał w aucie i wypalił cygaro Rajah, przystąpił do dalszych eksploracji archiwum polskiego wywiadu.

Przeglądał akta w zadumie, słuchał topornych tłumaczeń Mussiolika i poznawał rozliczne szpiegowskie akcje. Niektóre z nich nawet sobie przypominał. Na jedną z takich właśnie natrafił. Śmierć dwuletniego dziecka zabitego przez polskich bandytów, *de facto* ludzi Żychonia napadających na pociągi. Ronigger w czasie gdy o tej sprawie mówiły całe Niemcy, miał zaledwie dwadzieścia siedem lat i odbywał staż w Sicherheitsdienst.

Dnia 6 sierpnia 1934 roku trzech agentów prowadzonych przez mój referat i zwerbowanych przez mojego współpracownika z konsulatu wrocławskiego – pisał kapitan Jan Henryk Żychoń do ówczesnego szefa Dwójki pułkownika Teodora Furgalskiego – spowodowało przypadkową śmierć małego dziecka w pociągu relacji Szczecin–Piła. Jadąc tym pociągiem, realizowali zadanie wywiadowcze. Mieli zdobyć pocztę dyplomatyczną, która – o czym wiedziałem od mojego agenta, niemieckiego kolejarza, pseudo „Brzytwa” – wyjątkowo nie będzie przewożona w zaplombowanym wagonie. Na tych działaniach zostali nakryci przez niemieckiego policjanta kolejowego. Nie zauważyli go i ten się po cichu wycofał. Po chwili ów policjant wtargnął do wagonu w towarzystwie uzbrojonych funkcjonariuszy Bahnpolizei (policja kolejowa stanowi de facto personel pomocniczy prokuratury, do obrony obiektów służy Bahnschutz). Wywiązała się strzelanina, kule przebiły ścianki wagonu. W jej wyniku poniosło ranę, a po jednym dniu agonii umarło dwuletnie niemieckie dziecko, jadące z matką w przedziale obok. Złodzieje uciekli. Prasa niemiecka rozpętała nagonkę. Za głowę polskich bandytów wyznaczono kwotę 50 000 marek.

– Kłamiesz, Żychoń, pamiętam tę sprawę – szepnął do siebie Ronigger. – Było zupełnie inaczej. Pijany bandyta przyłożył dziecku pistolet do głowy, kazał pociąg zatrzymać. A pistolet wystrzelił...

O tym wszystkim poinformował mnie pomieniony wyżej agent Brzytwa, który bardzo dokładnie opisał napastników. Ci trzej ludzie – dwaj z nich ranni – uciekli z ukradzioną pocztą dyplomatyczną. Z powodu własnych zbrodniczych predyspozycji oraz z powodu obaw o konsekwencje tego nieszczęśliwego wypadku wstąpili na drogę przestępstwa i zbrodni. Zerwali wszelkie kontakty z Referatem Zachód i uciekli z łupem. Napadali na pociągi i dopuszczali się gwałtów. Swoją melinę mieli we Wrocławiu

i w Szczecinie (wszyscy trzej urodzili się w Toruniu i biegle mówili po niemiecku). Nazwani zostali „Grupą Czarnego Barta”, ponieważ ich przywódca jest czarnowłosy i lubi historie z Dzikiego Zachodu (a tam napadał na dyliżanse niejaki Czarny Bart). Postanowiłem wyjaśnić całe zajście z dzieckiem. Poprzez agenta Ireneusza z Wrocławia wezwałem ich do Polski, udając, że chcę za dużą sumę kupić ową ukradzioną pocztę dyplomatyczną. Dnia 3 stycznia 1935 roku przyjechali pociągiem do Zdun i przeszli na teren Polski. Zarzuciłem im zabicie dziecka. Wywiązała się między nami kłótnia, a potem strzelanina. W jej wyniku dwaj członkowie bandy Czarnego Barta (Robert Kunze i Ryszard Madej) zginęli, a sam ich herszt (Helmut Barylski) umarł dwa dni później w szpitalu w Krotoszynie. Do archiwum oddałem ową pocztę dyplomatyczną, w której znajdował się list podpisany przez samego Heydricha. Nie była ona zbyt cenna z wywiadowczego punktu widzenia.

– Zabiłeś ich z zimną krwią, Żychoń – mruknął Ronigger. – Nie chciałeś, by wyszło na jaw, że jako agentów zatrudniasz zwykłych bandziorów.

Na końcu raportu widniał dopisek uczyniony zapewne ręką archiwisty – odsyłacz do akt innej sprawy. Zaciekawiony SS-Sturmbannführer odszukał je po dłuższej chwili i znów skinął na tłumacza, który odpoczywał po silnym wysiłku umysłowym.

Mussiolik zaczął przekładać z języka polskiego żądane dokumenty.

Po chwili każde jego słowo zamieniło się w uderzenie obuchem. Ślżak swoją czynność wykonywał coraz płynniej, a na duszę Roniggera spadały już całe kaskady ciosów.

– Zdrada, zdrada! – krzyczał. – Oszustwo. Podłe oszustwo!

I nagle poczuł, że zbliża się wewnętrzna eksplozja. Wybiegł szybko z archiwum.

W Berlinie przy Prinz-Albrecht-Strasse 8 strzelały korki szampana, w Forcie Włodzimierz przy ulicy Sanguszki Ronigger ryczał jak zraniony lew. Tam żółtawe bąbelki syczały przyjemnie w kryształowych kieliszkach, tu w żołądku Roniggera pieniały się i buzowały żrące soki. W Berlinie krople pianistego napoju spadały na perskie dywany, w starej carskiej fortecy kwaśne wypływy wytryskiwały na żwir podjazdu.

Ronigger rzygał i rzygał.

Tego wrześnieowego dnia w jego życiu zmieniło się już wszystko.

.....

[1] Spis osób występujących w powieści znajduje się na końcu książki, przed *Posłowiem*.

[2] II Einsatzkommando wchodzące w skład VI Einsatzgruppe.

[3] Sicherheitsdienst des Reichsführer SS.

CZEŚĆ I
STYCZEŃ 1935
PRAWDZIWY ZDRAJCA



ULICA GDAŃSKA W BYDGOSZCZY była jedną z najbardziej prestiżowych arterii tego studwudziestotysięcznego miasta, które urzędowo zaliczano do województwa poznańskiego, czyli do Wielkopolski, choć w świadomości mieszkańców było nieustannie perłą polskiego Pomorza.

Obcy przybysz, który jechał teraz dorożką, był właśnie wprowadzany przez fiakra w meandry przynależności terytorialnej Bydgoszczy. Pocziwy lokalny patriota, dowiedziawszy się od swego klienta, iż ten przybył tutaj z daleka, co chwila się odwracał i obwieszczał mu nader dosadnie, co sądzi o poznańskich urzędnikach i o Katowicach, Lublinie i Nowogródku, nazywanym przez niego pogardliwie „Żydogródkiem”, które wszystkie, choć mniejsze od Bydgoszczy – ten ostatni nawet dziesięciokrotnie! – są stolicami województw, podczas gdy to piękne miasto – tu wskazywał batem na kamienice – jest wciąż tylko stolicą powiatu!

Mężczyzna siedzący w budzie kiwał sennie głową i opierał łokcie na podróżnym, nieco sfatygowanym sakwojażu. Nie podejmował tematu rozmowy, ponieważ musiałby polemizować ze swoim *cicerone*. Na razie w czasie jazdy z Dworca Głównego nie zauważył niczego ciekawego w tym okrytym śniegiem mieście, co by uprawniało do takich aż zachwyków. Ulica Hetmańska była zabudowana pospolitymi, najwyżej dwupiętrowymi domami, pomiędzy którymi ziały puste place, dopiero kolejna ulica – Świętojańska – w którą właśnie wjeżdżali, prezentowała się nieco bardziej wielkomięjsko – zapewne z powodu czerwonoceglastego gmachu jakiejś szkoły po lewej oraz okazałej, cofniętej nieco, symetrycznej kamienicy

z ładnymi półokrągłymi balkonami o kamiennych tralkach po prawej stronie.

„Gdzież im tam do mojego miasta” – pomyślał pasażer dorożki, przywołując sobie w wyobraźni tak bliskie swemu sercu lwowskie kamienice przy Sykstuskiej, cudowne dzieła architektonicznej secesji.

* * *

– LWÓW, DRUGIEGO LISTOPADA trzydziestego czwartego roku – masywny mężczyzna przeczytał na głos leżący przed nim dokument.

– Ja, niżej podpisany Edward Aureliusz Popielski urodziłem się dnia czwartego września tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku w Borysławiu z ojca Paulina Popielskiego i matki Zofii z Tchórznickich. Ojciec mój był inżynierem w rafinerii „M. Stern i Spółka” tamże. Dziadowie po mieczu byli właścicielami ziemskimi dóbr Kornilówka w okolicach Korsunia w dawnym województwie braclawskim. Za udział w powstaniu styczniowym mojego dziada Agamemnona Popielskiego herbu Bończa spotkały dotkliwe kary ze strony władz carskich: konfiskata majątku oraz zesłanie na Syberię. Mimo szykan udało się memu dziadowi zachować odpowiedni fundusz, który umożliwił studia jego syna na politechnice w Rydze.

Przerwał lekturę, sapnął i odchylił się mocno na fotelu stojącym przy potężnym, pozbawionym ozdób biurku. Położył duże dłonie na kartce i zamknął oczy. Czuł się jak magnetyzer, który w równo zapisanym tekście chce wyczuć jakiś fałsz, jakiś zgrzyt. Znał ten życiorys bardzo dobrze i nie musiał go wcale sobie przypominać przed spotkaniem z Popielskim. Ale ufał swojemu instynktowi – wiedział, że każde kolejne czytanie może wydobyć jakąś nieścisłość, wywołać niewielką falę podejrzeń. A potem wystarczy tylko chwilowy namysł – i albo te podejrzania zostaną odrzucone, albo w głowie analizującego tekst rozdzwoni się syrena alarmowa.

Nic nie dzwoniło. Otworzył oczy. Czytał dalej.

Wprawdzie ufał Popielskiemu, ale jeszcze większe zaufanie pokładał w swoim instynkcie. Był on niezawodny. Gdyby go nie ostrzegął, gdyby nie alarmował, on sam już dawno by gnił w berlińskim Moabicie, o ile w ogóle by żył.

Gabinet, w którym czytał akta Popielskiego, mieścił się w dwupiętrowej kamienicy przy ulicy Gdańskiej 84 w Bydgoszczy. Tu ulokowana była siedziba Ekspozytury nr 3 II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego – punkt, z którego wychodziły wszystkie działania wywiadowcze i kontrwywiadowcze przeciwko Niemcom.

Czytający akta trzydziestotrzyletni mężczyzna – mimo młodego wieku – był jej szefem w randze kapitana.

Nazywał się Jan Henryk Żychoń.

* * *

ULICA GDAŃSKA W BYDGOSZCZY, w którą wjechali, zrobiła jednak na Popielskim o wiele lepsze wrażenie. Tutaj reprezentacyjnych kamienic było znacznie więcej – niektóre wysokie, trzypiętrowe, niesymetryczne, o łagodnych łukowatych zwieńczeniach i eleganckich balkonach. Nad bramami i nad oknami na parterze rozwierały paszcze maskarony i odstraszały natrętów i złodziei groźnym wzrokiem.

Ludzie nienależący do żadnej z tych dwu kategorii mogli tutaj zażyć rozrywki i poprawić sobie nastrój kawą, słodyczami i likierem. Było tu wiele cukierni, kiosków, a nawet, o czym Popielski dowiedział się od fiakra, aż trzy kinematografy – wszystkie obok siebie.

Gęsto padający śnieg i światła palące się w oknach domów – mimo godziny ósmej rano – oraz błyskające tu i ówdzie świece na choinkach nadawały Bydgoszczy wygląd łagodny i przytulny. O ile jeszcze na poprzednich ulicach życie toczyło się nieśpiesznie, o tyle nikt, kto by się

znalazł na Gdańskiej, nie mógłby uznać, że miasto pogrążyło się w bezruchu, a jego mieszkańcy nie mogą wygrzebać się spod pierzyn. Tutaj ruch uliczny – dorożki, sanie i ryczące automobile – był duży, a gazeciarze wykrzykujący polskie i niemieckie tytuły kręcili się wszędzie, przypominając, że ten styczniowy dzień jest dniem powszednim, pełnym niezwykłych zdarzeń, choćby takich jak:

– Wielka rewia mody w hotelu Pod Orłem

albo:

– Fanatyczna miłość służącej do pana!

Edward przymknął oczy. Nagle przed oczami stanęły mu sceny namiętności i rozpaczy – to była jego własna szalona miłość.

Do żony Stefanii, która go odumała czternaście lat wcześniej.

* * *

ŻYCHOŃ CZYTAŁ TERAZ NAJBARDZIEJ INTERESUJĄCĄ dla siebie historię osobistą Popielskiego. Czynił to na głos, wsłuchując się uważnie w samego siebie. Instynkt mu podpowiadał, że – jeśli coś zazgrzyta w melodii zdania – może być to znak, aby z podejrzliwością przyjrzeć się czytanyemu passusowi. Wypuścił dym z papierosa, który mu nie smakował, i westchnął ze współczuciem, przypominając sobie tragiczne zdarzenie w życiu autora tej urzędowej autobiografii, z którym tak efektywnie współpracował niedawno we Lwowie i w Wolnym Mieście Gdańsku[4].

– W roku 1919 ożeniłem się we Lwowie z aktorką Stefanią Gorgowicz, którą poznałem kilka lat wcześniej w Wiedniu. (Żona ma zmarła w 1920 przy porodzie zdrowej dziewczynki, której nadałem imię Małgorzata alias Margarita, alias Rita). Wczesną wiosną 1920 r. zgłosiłem się na front polsko-bolszewicki i walczyłem na terenie ob. województwa poleskiego i wołyńskiego, głównie w okolicach Mozyrza. Jesienią 1920 r. wróciłem z wojny i wstąpiłem do Urzędu Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji Państwowej we Lwowie, gdzie uzyskałem tytuł aspiranta, a rok później podkomisarza

policji. Jesienią i zimą roku 1922 zostałem skierowany do czasowej dyspozycji płk. Mariana Swolkienia, szefa Defensywy Politycznej. Od tego czasu do br. brałem udział w trzech operacjach wywiadowczych Defensywy Politycznej oraz II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego, takich jak: „Dziewczyna o czterech palcach” (1922, ściśle tajne), „Pomocnik kata” (1927, jw.), „Miasto szpiegów” (1933–34, jw.). W kwietniu roku 1923 uzyskałem z rąk Pana Ministra Spraw Wewnętrznych awans na komisarza policji. We Lwowie mieszkam do dzisiaj przy ul. Kraszewskiego 3.

– A przy okazji stałem się ulubieńcem Marszałka – dodał Żychoń, zakładając dłonie za muskularny kark – któremu w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim ocalałem życie[5].

* * *

POPIELSKI ZAPŁACIŁ FIAKROWI I PODSZEDŁ DO BUDYNKU ekspozytury przy Gdańskiej 84. Była to solidna dwupiętrowa kamienica z czerwonych ozdobnych cegieł. Z osiemnastoma oknami przypominała macierz – tu uruchomiła się wyobraźnia niedoszłego matematyka – albo tabelę z trzema wierszami i sześcioma kolumnami. Skrajna lewa kolumna była specyficzna – tam na pierwszym piętrze był jedyny w tym domu balkon. Pomieszczenie obdarzone tym elementem musiało, jak sądził Edward, mieć specjalne znaczenie.

Nie pomylił się. Nagle na balkon wyszedł kapitan Żychoń i uśmiechnął się lekko do nadchodzącego gościa. Uniósł dłoń w geście powitania i – nie czekając na odpowiedź – wszedł z powrotem do swego gabinetu. Chciał skończyć ostatnie passusy życiorysu – adnotacje służbowe.

Adnotacje służbowe

Dot. umiejętności. Biegła znajomość języka niemieckiego w mowie i w piśmie, bardzo dobra rosyjskiego, słaba: tureckiego i perskiego.

Dot. stanu zdrowia. Kom. Popielski zataił w przedstawionym życiorysie fakt swej choroby. Od roku 1895 (data śmierci jego rodziców) cierpi na padaczkę światłoczułą (*epilepsia photosensitiva*), której ataki powodowane są przez drgające źródła światła.

Ona to zmusiła go do zmiany kierunku studiów z matematyki na filologię (wykłady i ćwiczenia z tej dziedziny odbywały się na Uniwersytecie Wiedeńskim akurat popołudniową i wieczorną porą). Aby się uchronić przed napadami choroby, kom. Popielski nosi czarne cwikiery i za zgodą zwierzchników pracuje głównie w porze nocnej, za dnia śpiąc i pozostając w domu. Choroba kom. Popielskiego i jego nietypowe nocne działania zostały zaakceptowane niegdyś przez lwowskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji Państwowej inspektora Waleriana Wilczyńskiego (i niezmiennie są aprobowane przez jego następców) z uwagi na wysoką efektywność działań policyjnych i śledczych wyżej pomienionego.

Dot. moralności i spraw prywatnych.

Primo. Wielu informatorów uważa, iż kom. Popielskiego łączy z kuzynką, panną Leokadią Tchórznicą (mieszkają wspólnie i wychowują Ritę Popielską), większa zażyłość niż ta, jaka przystoi kuzynostwu stopnia pierwszego. Kom. Popielski nie kryje się ze swoją słabością do płci nadobnej i informatorzy przypuszczają, iż jego comiesięczne kolejowe wycieczki do Krakowa (salonką!) w towarzystwie jednej lub dwu młodych kobiet wiadomej reputacji mają charakter pijackich i erotycznych orgij. Do tej pory nie potwierdzono jednak tych pogłosek, wspomnianych kobiet nie zatrzymano ani nie przesłuchano, a zwierzchnicy kom. Popielskiego (inspektorzy Juliusz Brylewski, Walerian Wilczyński *et al.*) zaprzeczają zdecydowanie tym doniesieniom, nazywając je „plotkami”.

Secundo. W czasie wiedeńskich lat studenckich podstawowym źródłem utrzymania kom. Popielskiego były nie tylko korepetycje z łaciny i z greki, lecz w wielkim stopniu także hazardowa gra w szachy i w karty w kawiarniach.

Tertio. W środowisku przestępczym Lwowa kom. Popielski jest obdarzony przydomkiem Łyssy i cieszy się tam osobliwym respektem jako ten, co zawsze dotrzymuje słowa (danego również czynnikom przestępczym!). Tajne śledztwo poprowadzone pod moim kierunkiem nie wykazało żadnych niezgodnych z prawem umów pomiędzy kom. Popielskim a temże środowiskiem.

Quarto. Kom. Popielski jest w zażyłych stosunkach z wieloma Rusinami, między innymi ze znanym lwowskim medykiem sądowym, dr. Iwanem Pidhirnym. Syn dra Pidhirnego, Wasyl, podejrzewany był o to, iż brał udział w przygotowaniach śmiertelnego zamachu na Tadeusza Hołówkę 29 VIII 1931 r. Aresztowany, zwolniony jednakże z braku dowodów. W czasie wojny polsko-bolszewickiej kom. Popielski zawarł liczne przyjaźnie z Białorusinami, zna osobiście m.in. gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza. Kom. Popielski wielokrotnie publicznie ogłaszał swoją nienawiść do

Sowietów, tudzież swoją wielką atencją wobec Marsz. Józefa Piłsudskiego, a zwłaszcza wobec jego planów federacyjnych.

Dot. policyjnych spraw wewnętrznych. Dnia 18 sierpnia 1926 r. w Więzieniu Karno-Śledczym przy ulicy Kazimierza Wielkiego 24 we Lwowie został zabity niejaki Józef Miętki, skazany za czyn lubieżny na nieletniej Celinie H. Zabójstwa dokonał i przyznał się do niego osadzony tamże niejaki Franciszek Socha, lat 62. Ponieważ Socha był dawnym informatorem kom. Popielskiego, a sam kom. Popielski zareagował bardzo żywiołowo na wieść o zbyt niskim jego zdaniem wyroku na Miętkiego i pobił tegoż (zob. artykuły gazetowe z lipca i sierpnia 1926 r.), pojawiły się podejrzenia, jakoby kom. Popielski był zamieszany w to zabójstwo. O ile mi jest wiadomem, śledztwo w tej sprawie prowadził podkom. Celestyn Brodziński, oddelegowany do Inspektoratu Spraw Wewnętrznych Komendy Głównej Policji Państwowej. Pomieniony śledczy nie stwierdził żadnych nieprawidłowości.

[pieczętka]

Kom. Antoni Cewe
inspektor ds. wewnętrznych
Komendy Głównej
Policji Państwowej
[podpis nieczytelny]

* * *

ADIUTANT KAPITANA ŻYCHONIA WACŁAW MAGRECZYŃSKI, porucznik, choć wzorem szefa ubrany po cywilnemu, otworzył drzwi do gabinetu dowódcy dokładnie w tej chwili, gdy ten odłożył czwartą stronę przeczytanego maszynopisu.

Szef Referatu Zachód na widok Popielskiego wstał, wyszedł zza biurka i rozłożył szeroko ręce, jakby go chciał uściskać. Pohamował się jednak, wyciągnął dłoń i mocno uchwycił prawicę gościa.

– Pewnie pan głodny po podróży – stwierdził i spojrzał na adiutanta. – Panie poruczniku, proszę zamówić treściwe śniadanie w Nowym Świecie. Niech nam tu przyniosą bułek od Stenzla, z pół kila szynki, trochę sałatki i majonezyków. Jam też mocno głodny... – Mrugnął do gościa. – Jestem

lekko wczorajszy, a nic lepiej nie zwalcza kaca niż dobre śniadanie. Proszę, proszę, niech pan siada! O tam, pod oknem. A płaszcz i melonik proszę oddać mojemu adiutantowi!

Popielski zsunął z ramion gruby paltot z futrzanym kołnierzem. Do melonika włożył rękawiczki z foczej skóry i podał to wszystko porucznikowi. Zajął jeden z dwóch foteli o wysokich oparciach, stojących obok okrągłego stolika.

– Ale dobrze! – nie mógł się powstrzymać przed westchnieniem. – Jak tu przyjemnie i ciepło u pana kapitana!

Wyjął papierośnicę i podsunął ją gospodarzowi.

– No to do rzeczy! – Żychoń zajął miejsce w drugim fotelu i pomachał przecząco ręką, odmawiając papierosa.

Wbrew zapowiedzi nie przeszedł jednak natychmiast do *meritum*. Przyjrzał się uważnie Popielskiemu. Wysoko ocenił granatowy dwurzędowy garnitur w cienkie czerwone paski, koszulę nietypowego szarego koloru, spod kołnierzyka której wychodził pofałdowany ciemnobordowy krawat w różowe grochy. Ubranie leżało doskonale na mocnej wypukłej piersi i na szerokich ramionach mężczyzny. Łyssy był elegancki i ekstrawagancki – jak zawsze.

„Gdyby nie średni już mocno wiek, czterdzieści dziewięć lat, podpuchnięte oczy oraz szara, zwiędła nieco cera, znak zmęczenia wielogodzinną podróżą, a może jakimiś innymi uciechami – pomyślał gospodarz – to ten tutaj mógłby służyć jako model rysownikom z żurnali z modą męską”.

Ubranie Żychońa, choć również szyte na miarę, znacznie mniej rzucało się w oczy. Granatowy krawat na tle białej koszuli sprawiał nijakie wrażenie w porównaniu z ciemnoszarą kolorystyką garnituru z jednolitego grubego płótna.

Kapitan przesunął dłonią po zaczesanych do góry ciemnych włosach pokrytych brylantyną. Miał wąskie usta i mocno zarysowany wydatny nos. Z małych oczu biły brutalność i poczucie pewności siebie. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i położył na stole zdjęcie jakiejś kobiety. Przykrył je dłonią o krótkich palcach, z których jeden był ozdobiony dość banalnym sygnetem z niebieskim oczkiem.

– Ta nieprzeciętnie piękna kobieta – powiedział, podnosząc powoli dłoń – jest pana celem.

Popielski pamiętał rozmowę telefoniczną z Żychoniem przeprowadzoną tydzień temu. Kapitan nie powiedział mu wtedy, jaka go czeka misja, ale on i tak zgodził się natychmiast, by przyjechać do Bydgoszczy i ją omówić. Życie policjanta we Lwowie wypełnione rutyną, którą zresztą lubił, porównywał z domowym, niewyszukanym jedzeniem – smacznym i przewidywalnym. Wykonywanie zadań specjalnych dla Dwójki kojarzyło mu się natomiast z wykwintną ucztą. Były to akcje pełne niebezpieczeństw i nagłych wyzwań, w obcych miastach, wymagające nieoczywistych ruchów na wywiadowniczej szachownicy. Do tego dochodziły też inne powaby. Za najważniejszy z nich uznawał towarzystwo agentek wywiadu, kobiet inteligentnych i tajemniczych. Edward uwielbiał swoje uporządkowane życie policjanta, ojca, głowy rodziny i opiekuna Leokadii, ale kochał je najbardziej wtedy, gdy do niego wracał po szpiegowskich eskapadach.

Spojrzał na zdjęcie, które Żychoń już całkiem odsłonił. Przedstawiało ono młodą brunetkę o pięknym owalu twarzy i białej szyi lekko wygiętej i tak proporcjonalnej, jakby ją wykuło dłuto Fidiasza. Kobieta uśmiechała się lekko pełnymi ustami, a jej wielkie czarne oczy patrzyły nieco z dołu – z ironią, zachętą, przewrotną pokorą.

– Żydówka? – zapytał Edward.

– Tego nie ma w pańskich aktach! – Żychoń zaśmiał się głośno. – Ale wiem o pańskich ciągotach do cór Izraela.

Odłożył zdjęcie na idealnie czysty blat biurka, tuż obok teczki zawierającej akta Popielskiego.

– Pamięta pan, panie komisarzu? Byliśmy we Lwowie tu i ówdzie, i wiem, że gustuje pan szczególnie w kobietach o oczach pełnych orientalnej melancholii... Jak to pan ujął?

– Melancholii ze wzgórz Kanaanu. – Popielski się uśmiechnął, przypominając sobie spędzony wspólnie wieczór tuż przed akcją „Miasto szpiegów”[6].

Kapitan spojrział na zasłonięte kotarą drzwi, które prowadziły do sekretariatu, gdzie urzędował jego adiutant. Wiedział, że nikt za kotarą ani za drzwiami nie stoi, a jednak ściszył głos.

– A melancholię spod góry Ararat to pan lubi?

– Ormianka? – Edward wskazał wzrokiem zdjęcie.

– Tak – odparł Żychoń. – A oto jej krótka, lecz interesująca historia...

Spojrział na wiszące po obu stronach drzwi portrety marszałka Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego. Nabrał tchu, jakby w oczach tych dostojników odnalazł inspirację do długiej wypowiedzi.

– Ta trzydziestoletnia dama nazywa się Aurelia Teichert *de domo* Oskiada Inglisjan *vel* Inglisowicz. Jest rozwódką i mieszka we Wrocławiu w pięknym trzypokojowym mieszkaniu, gdzie gra na pianinie i oddaje się lekturze, głównie hiszpańskiej poezji. Jej życie było ciekawe.

I tak oto Edward dowiedział się o istnieniu ormiańskiego małżeństwa, które w roku dziewięćset piętnastym uciekło przed Turkami do swoich krewnych mieszkających we Lwowie od kilku pokoleń. Owanes i Guluf Inglisjan znaleźli tu schronienie wraz ze swoją jedyną, wówczas dziesięcioletnią, córeczką Oskiadą, co jest armeńskim odpowiednikiem

„Aurelii”. Zamieszkali w mieście nad Pełtwią, spolszczyli nazwisko na wzór krewnych i otworzyli małą firmę handlującą dywanami.

– W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim – ciągnął Żychoń – fabrykant z Legnicy, wówczas czterdziestodwuletni, Friedrich Alfred Teichert wystawiał swoje wyroby na Targach Wschodnich we Lwowie. To człowiek bajecznie bogaty. Produkuje maszyny do przeróbki drewna. W jego wyroby zaopatrują się stolarnie, fabryki mebli i tartaki od Rumunii poprzez Polskę, Szwecję aż po Peru i Boliwię.

Szpicem wysokiego, sznurowanego buta poprawił drewnianą listwę, która biegła przez gabinet i dochodziła do biurka, a tam spod niej wychodził kabel do lampy z zielonym abażurem.

– No i cóż... Teichert zakochał się w melancholijnych oczach osiemnastoletniej dziewczyny. Oświadczył się i po krótkim wahaniu został przyjęty.

Westchnął ciężko, jakby sam był konkurentem fabrykanta odrzuconym niegdyś przez orientalną piękność.

– W pańskim mieście wzięli ślub w słynnej katedrze ormiańskiej, a potem wrócili do Legnicy. I wtedy po tej lwowskiej sielance nastąpił śląski dramat. Pobliski Wrocław kusił młodziutką żonę, co to, proszę się nie obrazić, nosa nie wyściubiła wcześniej poza jednak prowincjonalny względem Niemiec Lwów. W śląskiej stolicy znalazła warunki do rozwijania swego talentu pianistycznego, który okazał się równie niezwykły jak jej genialne uzdolnienia językowe. Było już dla niej wprawdzie za późno na zrobienie kariery w europejskich salach koncertowych, ale Wrocław panna Aurelia Teichert podbiła bardzo szybko, podobnie jak – i tu Żychoń zaśmiał się nieco lubieżnie – serca kilku mężczyzn z tamtejszego świata artystycznego. Skandale, skandale, kolejni kochankowie. A potem

rozwód... jak grom z jasnego nieba. Mściwy rogacz Teichert puścił ją wolno, lecz bosy i w jednej sukience.

Popielski oczekiwał teraz łzawej historii o upadku wiarołomnej żony. Tymczasem losy pani Teichert potoczyły się całkiem inaczej. Blisko się zaprzyjaźniła z bogatym marszandem i antykwariuszem wrocławskim Hermannem Laskierem. Ów człowiek wielkiego intelektu i wysokiej kultury utrzymuje Aurelię, płaci za jej piękne mieszkanie, sprawia jej wykwintne prezenty, jednak nie bardzo wiadomo, co dostaje w zamian. Jest to dziwny związek i – jak donosił agent kapitana, wrocławski przestępca, niejaki Ireneusz – najpewniej platoniczny.

– *Ad rem*, panie komisarzu. – W głosie kapitana zabrzmiało zdecydowanie. – Do naszego konsulatu we Wrocławiu pani Aurelia Teichert zwróciła się listownie właśnie z pewną ofertą. Chce nam sprzedać dwa tajne dokumenty. Opisała je dość enigmatycznie, toteż najlepiej powtórzę jej słowa.

Żychoń zamknął oczy, a potem bardzo szybko wyrecytował z pamięci:

– Jeden dokument ujawni znaną osobistość z kręgów polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Owa osobistość działa na szkodę Polski, przekazując ważne informacje na tematy gospodarcze.

Wstał z fotela, wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał ją Edwardowi. Zmarszczki mimiczne wokół jego oczu układały się w jakiś wzór. Choć miał dopiero trzydzieści trzy lata, wyglądał na o dziesięć lat starszego.

– Niech pan spojrzy, czy niczego nie opuściłem, ostatnio ćwiczę pamięć, ucząc się różnych raportów. I niech pan czyta dalej!

Podszedł do biurka, spojrzął na paprotkę stojącą w doniczce na jego brzegu i sprawdził, czy ziemia jest mokra. Przesunął też palcem po bakelitowym aparacie telefonicznym. Oględziny nie spodobały mu się i sapnął gniewnie.

– Drugi dokument. – Popielski odczytywał linie zapisane czymś równym kaligraficznemu pismem. – Cytuję: „Jest to informacja o tajnym porozumieniu (z początku lat dwudziestych), jakie zawarło państwo polskie z pewnym państwem Zachodu na silną szkodę Niemiec. Owo porozumienie nie przyniosło skutków, ale dokument może być wykorzystany teraz w niemieckich roszczeniach i próbach rewizji traktatu wersalskiego. Zdradzę tylko tyle, że dotyczy węgla”. Koniec cytatu.

Edward zgasił papierosa.

– Sądzi pan, że to prowokacja?

– Nie wiem – odparł Żychoń i usiadł za biurkiem, jakby teraz chciał pokazać, że on tu wydaje rozkazy, a Popielski jest tylko jego podkomendnym. – Oba dokumenty to prawdziwe szpiegowskie cymelia, ale suma, której ta pani żąda, też jest unikatowa. Sto tysięcy marek. Tyle kosztuje mały dom z ogrodem w najlepszej dzielnicy Wrocławia. Albo dwa auta wyścigowe. Czuję jednak, że... hmm... Jeśli dokumenty są autentyczne, to warto tyle za nie zapłacić.

Kapitan znów się nerwowo poruszył, znów czegoś dotknął. Wciąż zmieniał miejsce, sprawdzał stan różnych przedmiotów w biurze, jakby wyczuwał, że coś wymyka mu się spod kontroli. Na jego biurku była tylko jedna rzecz, z którą – jak Popielski zauważył – nie miał jeszcze kontaktu. Duża piasecznica.

I właśnie teraz ją lekko przesunął.

– To jest pańskie zadanie – szepnął. – Zaprzyjaźni się pan z panią Teichert i sprawdzi, czy te dokumenty są autentyczne. Czyli wytropi pan, skąd ona właściwie je ma. Jeśli ich pochodzenie będzie wiarygodne, to wtedy zapłacimy. Pierwszy z nich, ten kwit na pracownika MSZ, bardzo nam się przyda. A drugi dokument... No cóż. Ten drugi zakopujemy gdzieś głęboko pod ziemią. On dotyczy, jak sprawdzili nasi najlepsi eksploratorzy,

pewnego tajnego polsko-francuskiego porozumienia w sprawie zysków ze śląskich kopalń. To prawdziwa dyplomatyczna bomba, którą Niemcy mogliby odpalić z hukiem i wielką dla nas szkodą.

Popielski pomyślał z podziwem o znakomitych eksploratorach z Dwójki. Wiedział, że pomagają im ich koledzy z Referatu Niemcy Wydziału Studiów oraz matematycy z Biura Szyfrów Wydziału Wywiadu.

– Bez negocjacji? – zapytał. – Dwójka tak po prostu wyłoży ogromną sumę? Przecież zawsze możemy rozpętać kampanię dezinformacyjną i oczerniającą, że ta pani to ladacznica i fałszerka.

– Dała nam tydzień – przerwał mu Żychoń. – Tylko tydzień. Jeśli w ciągu tego tygodnia nie zgłosimy się do niej i nie sprawdzimy autentyczności tych kwitów, to pójdzie z nimi do Abwehry i zażąda podobnej sumy. A tam mogą się już nie targować. Ja wiem, że ten tygodniowy termin to może być blef.

Popielski wstał i przeszedł się po pokoju. Oprócz portretów polskich przywódców na ścianie wisiała oprawiona w proste ramki pięknie wykaligrafowana gotykiem sentencja podpisana Goethe.

– *Schliessen eure Herzen sorgfältiger als eure Tore. Es kommen die Zeiten des Betrugs* – przeczytał Edward i zaraz przetłumaczył, jakby zapomniał, że szef ekspozytury włada niemczyzną: – „Zamknijcie wasze serca staranniej niż wasze drzwi. Nadchodzą czasy zdrady”.

Odwrócił się nagle do Żychonia. W jego głosie zadrgała struna irytacji.

– Mam się zaprzyjaźnić z piękną Aurelią?

– To oczywiste. Pańskim zadaniem jest zdobycie tych dokumentów, przeanalizowanie ich i przesłanie nam ich kopij. A kiedy to się panu uda, ma pan przeciągać sprawę. Kluczyć, opóźniać, zwodzić... Najlepiej sprawić, by ponętna rozwódka na jakiś czas zapomniała o bożym świecie. Czy ja mam panu radzić, jakie działania należy w tej mierze podjąć?

– Mam ją uwieść, panie kapitanie? Czy ja wyglądam na żigolaka? Jestem stary, łyśy i zmęczony. Przejechałem prawie tysiąc kilometrów, aby się dowiedzieć od pana, że mam być ogierem?

Żychoń wstał. Tym razem jego uśmiech nie był sztuczny ani wymuszony.

– Powiedzieliśmy jej, że przyślemy do Wrocławia odpowiednią osobę. Pan jest taką osobą. Tę młodą kobietę z jakichś powodów ciągnie do dużo starszych mężczyzn. Wszyscy jej kochankowie są obdarzeni przez naturę, co ustalił mój tajny agent Ireneusz, taką fryzurą jak pańska. Co więcej, wszyscy jej kochankowie mieli niski głos, zwłaszcza jeden z nich, śpiewak operowy, bas-baryton. A pan mówi basem. Ona lubi nie tylko mężczyzn w sile wieku, nie tylko panów kulturalnych i czytanych, panie doktorze Popielski. Co jednak najważniejsze, proszę wybaczyć, jeśli to zabrzmie ordynarnie i wodewilowo, ale ona uwielbia łyśych.

Przesunął dłonią po swych gęstych włosach.

– Niestety, ja odpadam – westchnął. – Nad czym szczerze ubolewam. Mój głos też nie ten, co trzeba. Raczej tenor.

– A ten Laskier, ten jej obecny kochanek, także łyśy?

– Raczej niby-kochanek. Hermann Laskier jest starym, schorowanym Żydem. Sądzimy, że zaspokaja tylko, powtarzam: tylko, duchowe potrzeby tej młodej, pełnej temperamentu kobiety. Pan zaś jest w całym tym romantycznym kontekście mężczyzną, że się tak wyrażę, takim, o jakiego chodzi. I nam, i jej. Świetnie odgrywał pan rolę antykwariusza w Gdańsku^[7], a zatem łatwo nawiąże pan kontakt z kobietą, która ma zainteresowania artystyczne i gustuje w takim typie mężczyzn jak pan. A czego pan jeszcze chce, co pana denerwuje? Brakuje panu męskich sił? Jeżdżąc co miesiąc salonką do Krakowa, nie ogląda pan tam chyba

znaczków z młodymi damami, które panu towarzyszą?! Wykona pan tę misję czy mam pisać dodatkowe peany na pańską cześć?

Popielski milczał. Już w duchu się właściwie zgodził. Nie odmówi sobie tego wyzwania. Spełni to zadanie, rozwiąże kolejną wywiadowczą szaradę, by potem – ze spokojną radością po ułożeniu łamigłówek – powrócić do swego przewidywalnego i uporządkowanego lwowskiego życia. Do kuzynki Leokadii Tchórznickiej – chłodnej i nieco wyniosłej damy, która jest dla niego oparciem i krynicą racjonalności. Do ukochanej córki Rity, która jako piętnastoletnia pannica już zaczyna sprawiać pierwsze wychowawcze kłopoty. Gdy wróci, to w swym ukochanym mieście wszystkie te adolescencyjne problemy rozwiąże, a przynajmniej jakoś załagodzi. W pięknym mieszkaniu przy ogrodzie Jezuickim toczyć będzie z Lodzią te wszystkie ich codzienne ulubione potyczki, prowadzić te subtelne gierki, a wieczorami będzie słuchał Beethovenowskich sonat w jej wykonaniu. A gdy Leokadia pójdzie na bridża do asesorstwa Kasprzaków, wtedy on usiądzie z papierosem Egipskim pod ulubionym stojącym zegarem i wspomni te wrocławskie dzikie rozkosze niczym nasycony, mrużący kocur. Towarzyszyć mu wtedy będzie poczucie spokojnej – choć nieco gorzkiej – pewności, że to właśnie był jego łabędzi śpiew, że już nic podobnego go w życiu nie spotka.

– Wiem coś więcej o panu, niż mówią te akta. – Żychoń wskazał na teczkę leżącą na biurku. – Powiedział mi pan w czasie naszej lwowskiej odysei sprzed dwóch lat... Fakt, że obaj byliśmy po dużej wódce... Że lubi pan kobiety szczupłe, czarnowłose, smagłe. Takie jak Aurelia Teichert. Kiedy byliśmy w tamtym burdelu z piękną klatką schodową... No wie pan, tam gdzie dziewczęta w samych tylko pończochach stały przy poręczu. Wspomniał pan wtedy, że jedna z nich jest podobna do takiej Żydóweczki, do której pan pisał wiersze w młodości.

– Stanowczo jestem zbyt gadatliwy jak na szpiega – mruknął Edward. – Zwłaszcza przy kimś obdarzonym taką krystaliczną pamięcią jak pan kapitan. No cóż... Chyba zaryzykuję i podejmę się tego zadania.

Żychoń rozparł się na fotelu z takim impetem, że mebel aż zatrzeszczał.

– Cieszę się. Pańscy przełożeni ze lwowskiej Komendy Wojewódzkiej wiedzą, iż zostaje pan zatrudniony przez Dwójkę jako agent do specjalnych poruczeń na minimum miesiąc z możliwością przedłużenia tajnej misji. Nadaję panu tymczasowy pseudonim. – Spojrzał na tekst z Goethego. – Brzmi on „Götz”.

Patrzył teraz na Edwarda bez śladu rozbawienia.

– Tylko niech pan jej w sobie za bardzo nie rozmiłuje! – rzekł i przesunął palcem po fotografii, zatrzymując dłużej opuszek na łabędziej szyi kobiety. – Takie jak ona, gdy zakochane, mogą być bardzo niebezpieczne. Jej nieodwzajemnione uczucie może narazić na szwank całą pańską misję. – Westchnął. – A jeszcze gorzej jest z uczuciem odwzajemnionym. Ono jest jak spacer po linie nad przepaścią. Kolejna rada: Niech się pan sam w niej nie zakocha, Popielski! To kobieta nieprzewidywalna. Ona nie jest pańską Żydóweczką ze Stanisławowa!

Edward wstał, oparł mocne dłonie na biurku Żychonia, a światło lampy rozbłysło na jego sygnecie z onyksowym oczkiem, gdzie wygrawerowany był symbol labiryntu. Spojrzał swemu rozmówcy prosto w oczy.

– Spacer po linie, powiada pan? Nigdy nie miałem lęku wysokości, panie kapitanie!

[4] Zob. M. Krajewski, *Miasto szpiegów*.

[5] Zob. M. Krajewski, *Dziewczyna o czterech palcach*.

[6] Zob. M. Krajewski, *Miasto szpiegów*.

[7] Zob. M. Krajewski, *Miasto szpiegów*.

W SAMYM SERCU WROCŁAWIA, niecałe sto metrów od Rynku stała przy Albrechtstrasse[8] 11 okazała neorenesansowa kamienica, zasłaniająca nieco północną ścianę gotyckiego kościoła Świętej Marii Magdaleny. Nad czterema piętremi i niesymetrycznymi wykuszami wykwitwały jeszcze dwa pięterka mansard po bokach jakby ścięte ukośnymi dachami. Na parterze podwójna witryna obwieszona była starymi sztychami przedstawiającymi różne wariacje na te same tematy: Karkonosze, pobliska góra Sobótka oraz nadodrzańska metropolia w różnych okresach dziejów.

Na pierwszym pięttrze półokrągłe okna należące do tegoż antykwariatu były jasne od światła elektrycznego padającego z ustawionych w głębi gablot, w których poukładano stare księgi i stare srebrne zastawy. Architekt i radca budowlany Eugen Halfpaap nie marzył nawet o tym, że parter zaprojektowanego przez siebie budynku zajmie firma artystyczna oferująca dzieła sztuki godne najlepszych muzeów Europy.

A tak właśnie było. Od początku istnienia owej kamienicy, czyli ponad dwadzieścia już lat, swoją siedzibę miał tutaj antykwariat Brunona Wenzla. Jego właściciel, niegdyś uzdolniony malarz, później świetnie prosperujący fabrykant ram do obrazów, do prowadzenia antykwarycznego interesu zatrudnił swojego dawnego przyjaciela z dzieciństwa Hermanna Laskiera.

Czasy się zmieniały, Wrocław się rozrastał, antykwariusz posuwał się w latach, lecz jego artystyczny interes zarządzany pewną ręką kierownika wciąż trwał i wciąż oferował wyroby artystyczne – piękne, stare i zabytkowe, po które przyjeżdżali tu nabywcy nawet z Wiednia czy Berlina. Na wieczną rzeczy pamiątkę Wenzel kazał wmurować nad

wejściem kamienną tablicę z napisem *Tempus fugit, Venceslaus manet*[9]. W roku 1931, pięć lat po zamieszczeniu tej sentencji tak pełnej pewności siebie, Bruno Wenzel umarł na raka, a jego syn Hans podtrzymał decyzję swojego ojca o ścisłej współpracy z Hermannem Laskierem, co więcej, mocno ją poszerzył. Uczynił bowiem kierownika współnikiem firmy, po czym – spokojny, iż zostawia ojcowską „krwawicę” w pewnych rękach – wycofał się wraz ze swoją rodziną do pięknego domu w podwrocławskich Obornikach.

Pan Laskier był starym, mądrym człowiekiem. Patrząc codziennie na wyrytą w kamieniu sentencję, powtarzał sobie, że pewna jest tylko pierwsza część tej formuły. Wobec prawdy w niej ujawnionej można było, według niego, przyjąć jedyną możliwą postawę – epikurejską. Nie oznaczało to bynajmniej, jak sądzili znający pobieżnie doktrynę Epikura, nurzania się w rozkoszach tego świata. Mędrzec z Samos podkreślał bowiem, iż najpiękniejsza jest radość płynąca z niewielkich zdarzeń – takich jak spacer z przyjaciółmi po ogrodzie, kontemplowanie sztuki czy filozoficzna dysputa.

Wszystkie te przyjemności dane były Laskierowi w czasie jego długiego życia i wszystkie je oceniał jednakowo – na pięciostopniowej skali przypisywał wartość cztery każdej z nich. Maksimum – pięć, mogła uzyskać tylko mikstura wszystkich tych przyjemności, czyli natury, sztuki i subtelnej rozmowy. I takim ucieleśnieniem owej triady była jego przyjaciółka Aurelia Teichert.

Czekał teraz na nią późną wieczorową porą. Siedział w parterowej części antykwariatu przy zasłoniętych oknach, wśród sztychów i starych mebli. Dużymi czarnymi oczami, pod którymi zwisały dwa pocięte żyłkami woreczki skóry, wpatrywał się w kąt pomieszczenia, tam gdzie znajdowała się bardzo gruba spiralna kolumna. Nazywał ją „Laokoonem”, ponieważ

zawsze sobie wyobrażał, iż jest opleciona – jak mitologiczny męczennik – wężowymi splotami.

Laokoon nie był zwykłą kolumną, lecz właściwie wielką pustą tuleją z grubego drewna, wymalowaną we wzory przypominające fakturę marmuru. Miała ona małe i prawie niewidoczne z zewnątrz drzwiczki. W jej wnętrzu – jak w brzuchu konia trojańskiego – stała długa na cztery metry drabina, która prowadziła do identycznych drzwiczek na górze, na pierwszym piętrze budynku. Przez nie przechodziło się do tajnego małego pokoiku bez okna, typowej służbówki, która była sypialnią Laskiera. Stamtąd zaś – już właściwymi, kręconymi schodami – można było zejść wprost do piwnicy. Architekt Halfpaap zaprojektował w tej kamienicy bardzo nietypową służbówkę.

Stary antykwariusz lubił swoją małą sypialenkę i – choć zajmował okazałe, słoneczne mieszkanie przy Gutenbergstrasse[10] – to zdarzało mu się dość często w owej służbówce nocować.

Teraz w pokoiku gościła Aurelia, a on na nią czekał na dole. Siedział przy dwóch meblach, które nie były na sprzedaż, choć kosztowałyby krocie – jak każdy wytwór firmy Abrahama i Davida Roentgenów, najśłynniejszych w Europie niegdysiejszych producentów kabinetów. Łokcie opierał na szerokim pięknym biurku z dwiema wznoszącymi się po bokach i będącymi integralną jego częścią wieżyczkami, pełnymi szufladek i skrytek. Plecami dotykał wysokiej na dwa metry i wypełnionej szczelnie książkami biblioteki. Cierpliwie czekał, aż z Laokooona wyjdzie jego przyjaciółka i zacznie z nim ich wspólną ulubioną grę. Tę, co zawsze.

W końcu usłyszał, jak jego ukochana drapie pazurkami od wewnątrz kolumny. A potem wychodzi niskimi drzwiczkami i staje przed nim naga i drżąca.

– Jesteś cudowną mieszaniną natury, sztuki i filozofii – szepnął poblaskami z przejęcia ustami i natychmiast przeszedł na hiszpański. – *Mi maravillosa mezcla de naturaleza, arte y filosofía...*

Aurelia nie była całkiem naga. Nosła buty na obcasie, które dodawały jej wzrostu. Stała na tle kominka – jedyne źródła światła na parterze, które obrysowywało jej ciało złotymi konturami – tak jak Hermann lubił. Włosy miała rozpuszczone, lecz przełożone na plecy, by mógł podziwiać jej kształtną szyję.

– Jesteś kobietą, cudownym wytworem natury – mówił powoli po hiszpańsku. – Życiem, które daje życie. Jesteś dziełem sztuki, bo odsyłasz moje myśli do świata idealnego, gdzie preegzystują platońskie wzory wszystkich rzeczy. Jesteś w końcu filozofią i medytacją, bo każdy twój ruch i każde twoje słowo odrywają mnie od pospolitości.

Aurelia usiadła na tapicerowanym krześle i szeroko rozłożyła nogi.

– Kocham twój głos, Hermannie – mówiła piękną hiszpańszczyzną. – Twój głęboki bas. Czuję go tutaj, o tutaj, tak głęboko!

Obiema rękami dotknęła swych niedużych piersi. Nie spuszczała wzroku z jego szczupłego oblicza. Choć starcowi urody nie dodawała ani siwa, sztywna jak szcotka i bardzo krótko przycięta broda, ani rozpląszczony, jakby rozbity pięścią boksera nos, to w oczach Aurelii był piękny. Wszystkie te niedoskonałości bladły przy jego spokojnym, nieco ironicznym spojrzeniu i przy mocnym, przejmującym głosie.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy tu przyszłaś po raz pierwszy? Wiedziałaś, że jestem Żydem, i zapytałaś mnie o rzadkie hiszpańskie judaika.

– A ty – szepnęła kobieta – pokazałeś mi tamte cudowne szesnastowieczne portrety portugalskich Żydów w strojach hidalgów.

Laskier wstał i zakręcił korbką patefonu. W pomieszczeniu zabręczały gitarowe struny i rozległ się kobiecy głos, wyśpiewujący po portugalsku

wszystkie odcienie miłosnej tęsknoty. Aurelia oparła dłonie na swych udach. Jej oczy błyszczały.

– Oto fado, pieśń Cyganów i kurtyzan. – Laskier sączył powoli tym razem portugalskie słowa. – Pieśń ludzi żyjących pełnią życia, nieskrępowanie, bez obyczajowych przesądów. Porzuć i ty, kochana, wszelkie obawy, porzuć mieszczańską moralność! Zamieszkać ze mną tutaj, wśród tych dzieł sztuki. Bądź codziennie jednym z nich.

Aurelia przygryzła wargi i zaczęła się intensywnie pieścić.

– Nie – odparła z westchnieniem. – Nie! Nigdy! Nie mogę być zależna od ciebie... Od nikogo!

Laskier patrzył na nią ze smutnym uśmiechem.

– Prawda. To ty innych od siebie uzależniasz. Mnie uzależniłaś. Jak morfina.

– Mów dalej! – krzyknęła. – Mów, nie przestawaj!

Portugalska pieśniarka podniosła głos – podobnie jak teraz Aurelia. Ta westchnęła po raz ostatni, tamta wyśpiewała ostatnie słowa: o śmierci na plaży i falach oceanu, które każdą miłość wyrzucą na brzeg jak niepotrzebną kłodę.

Kobieta wstała z krzesła. Wciąż drżała. Pocałowała czule starego marszanda, odwróciła się do niego tyłem i – wiedząc, że obserwuje jej poruszające się pośladki – wolnym krokiem podeszła do kolumny, a potem w niej zniknęła.

Długo się ubierała w pokoiku swego przyjaciela. Schodząc kręconą klatką schodową, mocno stukwała obcasami. Wiedziała, że lubi ten odgłos. Po chwili wyszła z budynku tajnym wyjściem przez piwnicę.

Hermann Laskier nie mógł pohamować radosnego uśmiechu, kiedy myślał o tej kobiecie, w której był zakochany miłością spokojną,

beznamiętną, epikurejską – choć być może niektórzy nazwaliby ją „platońską”.

Odprowadzał ją myślami. Widział oczyma wyobraźni, jak w karakułowym futrze wsiada do sań. Jak jedzie na południe miasta do trzypokojowego, ascetycznego i wymuskanego mieszkania – pełnego słońca i pustych przestrzeni, przez które tak cudownie płynęła fortepianowa muzyka. Podziwiał zawsze jej ponadstuletni fortepian lipskiej firmy Irmler. Miał błękitne pedały, przez co był wręcz wyjątkowy w porównaniu z innymi instrumentami wytwarzanymi w tamtym czasie.

Aurelia tylko dwa razy zaprosiła Hermanna do siebie. Nie narzucał się jej. Był dżentelmenem starej daty. Musiały mu wystarczyć te nieliczne chwile, gdy dyskutowali o sztuce, chodzili do teatru i do domu koncertowego, gdzie zawsze trzymała go pod rękę i całowała publicznie w policzek. Szokowali filistrów różnicą wieku. Czasami jeździli do Berlina i do Królewca, by zwiedzać tamtejsze muzea. Zawsze mieszkali w osobnych hotelowych pokojach. Był dżentelmenem starej daty.

Raz na miesiąc przypadało święto – takie jak tego styczniowego wieczoru. Aurelia przychodziła do niego, siadała nago na krześle i prosiła, aby mówił jej o swoich uczuciach. Słuchała jego pięknej hiszpańszczyzny i wpadała w ekstazę.

A potem jechała do domu. Zwykle po dwóch kwadransach do drzwi jej mieszkania pukał młody posłaniec w czapce z napisem „Dom kwiatów, Josef Schilder, Rosenthalerstrasse^[11] 18–20” i wręczał jej bukiet róż.

Wiedziała, co znajdzie wśród kwiatów. Bilecik z pięknie wykaligrafowanym napisem: „*Para mi maravillosa mezcla de naturaleza, arte y filosofía*^[12]”. I małą kopertę z czekiem na pokrycie miesięcznego komornego za jej mieszkanie przy Kaiser-Wilhelm-Strasse^[13].

Również tym razem nie zawiodła się na swoim „hidalgu”. Ale chłopak od Schildera przyniósł coś jeszcze – zamkniętą kopertę bez śladu atramentu. Twierdził, że wręczył mu ją jakiś pan pod jej domem i zapłacił za dostarczenie. A w niej był liścik napisany po polsku równym, jakby technicznym, męskim pismem.

Oferta nader ciekawa. Będę na SzPanią czekał od jutra przez trzy kolejne dni pomiędzy godziną 12 a 2 w Pawilonie Szkoockim w parku Południowym. Rozpozna mnie SzPani od razu. Będę marzył na mrozie, ale czekał z cichą nadzieją. Z wyrazami głębokiego szacunku, Nieśmiały wielbiciel.

Nie mogła się powstrzymać, aby nie wyrzeć na ulicę. Nikt nie stał pod jej oknem.

* * *

WE WROCŁAWIU PANOWAŁ LEKKI MRÓZ – zdrowy i łagodny, taki, co to rumieni policzki, lecz nie ściska kości w lodowatym imadle. Styczniowy dzień błyskał słońcem i zgrzytał śniegiem pod butami przechodniów. Nad ośnieżonym parkiem Południowym rozpinał się jaskrawy błękit.

Aurelia Teichert – zaczerwieniona lekko od zimna pod okrągłym toczkiem ze srebrzystych karakułów – stała pomiędzy kamiennymi kolumnkami pawilonu, zwanego „szkoockim” od nazwiska fundatora parku Juliusa Schottländra[14]. Trzymając dłonie w mufce, patrzyła uważnie na stojącą po drugiej stronie zamrożonego stawu budowlę mieszczącą w sobie hotel, restaurację i kawiarnię. Budynek ten został zaprojektowany zgodnie z ówczesną modą jako rozlazła niesymetryczna bryła z kilkoma zaostrzonymi wieżyczkami, a w wyższych partiach z murem szachulcowym. Restaurację zaś – bez zbytniego wysiłania wyobraźni –

nazwano po prostu Parkiem Południowym. Pawilon po drugiej stronie stawu miał być świątynią dumania i miejscem romantycznych spotkań.

Dochodziła pierwsza po południu. Kobieta siedziała tu już prawie kwadrans i zaczynała czuć srogie zniecierpliwienie. Była rozczarowana – i to podwójnie. Po pierwsze, nikt na nią nie czekał; po drugie, kiedy już podszedł do niej jakiś mężczyzna, to najpierw był to żebrak, a potem jakiś pijany bursz, który usiłował ją emablować, biorąc jej samotną bytność w pawilonie za swoiste zaproszenie do śmiałych męskich poczyznań. Gdy ów młodzieniec zaczął być natrętny, uniosła parasolkę, okazując wyraźnie, iż jest gotowa zdzielić go po głowie, na co ten zareagował rejteradą.

Oczekiwania pani Teichert zostały wystawione na próbę również po raz trzeci. Owszem, przyszła tu, by ubić interes, ale w skrytości ducha przyznawała, iż treść listu wzbudziła w niej jakieś dziwne tęsknoty. Wreszcie w końcu pojawił się ktoś, kogo mogła skojarzyć z liścikiem, ale jego aparycja zupełnie nie pasowała do zakamuflowanej propozycji flirtu, jaka przebijała z fraz: „cicha nadzieja” i „nieśmiały wielbiciel”. Tego kogoś widziała już wcześniej, rozmawiała z nim nawet. Był to pracownik polskiego konsulatu, referent nazwiskiem Henryk Zwolicki.

Ów urodzony we Wrocławiu niski i niepozorny Polak, mówiący z silnym niemieckim akcentem, spotkał się z nią kilka dni temu tuż po tym, jak do konsulatu wysłała list ze swoją ofertą. Zaczepił ją, kiedy wychodziła z bramy swej kamienicy, i powiedział cicho po polsku:

– Muzeum Zoologiczne, Sternstrasse[15], dzisiaj o trzeciej.

O UMÓWIONEJ PORZE SPOTKAŁA SIĘ Z TYM CZŁOWIECZKIEM po raz drugi. Rozmawiali znowu po polsku. Stojąc wraz z nią pod ogromnym szkieletem płetwala błękitnego, przedstawił się z nazwiska oraz

poinformował, że oto z Polski przybył „ktoś ważny, kto sam siebie nazywa »nieśmiałym wielbicielem jej talentu«”. I ten ktoś niedługo się skontaktuje.

„I owszem, skontaktował się – myślała poirytowana, patrząc na wchodzącego teraz do pawilonu Zwolickiego – kazał mi stać na mrozie, marznąć, a potem się objawił w postaci tego karła!”

Referent się uklonił, stukając obcasami, czym ujawnił swą zapewne żołnierską przeszłość. W jego dużych, jakby dziecinnych i naiwnych oczach dostrzegła szczery podziw.

Zrobiło się jej głupio. Z powodu złego humoru spostonowała w myślach człowieka, a przecież nie miała najmniejszego powodu, by tak czynić. Ten niski pan tak naprawdę wzbudzał w niej zaufanie połączone z lekkim rozbawieniem. W romantycznej imaginacji wyobraziła go sobie jako pacholka, który adoruje swą panią i skrycie całuje liściki pisane jej rączką. Na swój sposób go nawet polubiła.

Zwolicki znów wszedł w swoją stałą rolę – posłańca przenoszącego wieści.

– Nieśmiały wielbiciel podejdzie do pani w kawiarni.

Tupnęła nogą, zła, że musi chodzić od Annasza do Kajfasza. W głębi ducha rozumiała jednak konieczność konspiracji i była bardzo zaintrygowana „ważną osobistością z Polski”.

W kawiarni pojawiła się pięć minut później. Kelner podsunął jej gięte drewniane krzesło. Usiadła przy małym stoliku, nie zdjawszy swego srebrzystego futra. Garson podał jej ogień i menu. Zażądała kawy, ale bez mleka. Lubiała wprawdzie białą kawę, jednak nie chciała, by ktokolwiek wziął ją za Polkę, gdyż przedstawiciele tej nacji, o czym wiedział każdy wrocławski kelner, lubili pić taką właśnie odmianę odpędzającego senność napoju. Jej bezbłędny niemiecki akcent i takąż frazeologia nie sugerowały

obcego pochodzenia, ale egzotyczna, jakby śródziemnomorska uroda zaprzeczała zdecydowanie temu, iż ta dama pochodzi z teutońskiego rodu.

Wysoki, dobrze zbudowany elegant koło pięćdziesiątki stanął przed jej stolikiem i pochylił z szacunkiem głowę.

– Nazywam się Herbert Reiterer – usłyszała niski, aksamitny głos, mówiący z silnym austriackim akcentem. – Nieśmiały wielbiciel pani pianistycznego talentu.

Choć omiotła go zaledwie mgnieniem oka, to już po sekundzie wiedziała, że jest w jej typie. Wysoki, o ładnie ukształtowanych dłoniach, wąskich biodrach – nie znosiła mężczyzn z szerokimi tyłkami – i o błyszczącej łysej głowie. Przekrzywiony nieco nos, złamany najpewniej w jakiejś bójce, zdradzał człowieka odważnego; nieśmiały uśmiech – subtelny; błysk w ciemnych oczach – inteligentnego.

„Niczego sobie ten typ” – przeszło jej przez głowę.

Obojętnym ruchem wskazała mu krzesło naprzeciwko siebie. Kelner zjawił się jak duch i przyłożył ołówek do bloczka. Mężczyzna zamówił lampkę koniaku. Garson się oddalił.

Edward patrzył na Aurelię bez zmrużenia powiek i bez słowa. Wiedział, że kobieta albo uzna milczenie za impertynencję, albo ją ono zaintryguje.

W rzeczywistości wyglądała odrobinę gorzej niż na zdjęciu. Nosek miała wąski i długi – jak ostrze noża, a uszy nieco odstające. Fotografia była jednak zbyt niedoskonałym medium, by oddać całą delikatność jej śnieżnobiałej alabastrowej cery i głębię jej wielkich oczu, których barwa jakby się zmieniała – od ciemnej czekolady do głębokiej czerni.

– Cała melancholia góry Ararat jest widoczna w pani oczach. – Nie mógł się powstrzymać od tych słów.

Strzepnęła popiół z papierosa, który dymił w długiej lufce.

– Niech pan nie próbuje mnie obłąskawiać! – rzuciła dość ostro. – Mamy interes do zrobienia, panie Reiterer!

Edward nie był inteligentnym donżuanem, który na każdą reakcję uwodzonej kobiety miałby jakąś błyskotliwą ripostę. Ponadto czuł się dziwnie niezręcznie – jak kawaler, który przyszedł na spotkanie zaaranżowane przez swatkę. Swoje zakłopotanie pokrył łobuzerskim uśmiechem i łykiem koniaku, a odezwał się już z pełną powagą i rzeczowym tonem.

– Ja chcę kupić to, co pani chce sprzedać. Ale wciąż nie wiem, co to właściwie jest.

– Pierwszy dokument – odparła Aurelia – to zobowiązanie do współpracy z Abwehrą, dowód na zwerbowanie pewnego agenta. Ów agent, pseudonim „Łotysz”, jest polskim arystokratą, właścicielem dóbr ziemskich, który popadł w lekkie finansowe tarapaty. Jeździ po Polsce, fotografuje i zbiera informacje, które mają dobitnie wykazać, iż pański kraj jest upadłym państwem, niegospodarnym, brudnym i niszczącym, a jego elita egoistyczna i skorumpowana. Raz na miesiąc wysyła zebrane przez siebie materiały tajną pocztą do pewnego angielskiego dziennikarza o pseudonimie „Roger”, który z kolei publikuje w swej gazecie artykuły rozsiewające taką właśnie propagandę. Dodajmy, że czyni to pod obcym nazwiskiem. Mamy tu piętrową konspirację...

Przyznawał w duchu, że język Goethego – zwykle kojarzony z topornym rytmem i militarnym szykiem – był w jej wykonaniu ulotny jak mgielka.

– No właśnie – kontynuowała. – Artykuły te podpisuje sir Douglas Ormonde, cieszący się wielkim autorytetem w wyższych klasach, członek Izby Lordów, bywalec najbardziej prestiżowych klubów dla dżentelmenów, krótko mówiąc, postać bardzo wpływowa. Niech pan sam zobaczy!

Wyjęła z torebki wycinki z gazet, jakieś artykuły, które miały nic niemówiące Popielskiemu tytuły. Jako autor figurował lord Douglas Ormonde.

– Nie znam angielskiego – szepnął z niejakim wstydem.

– To wiele pan traci. Powiedziano mi, że jest pan wielką osobistością w świecie wywiadowczym. – Wydeła lekko wargi. – A tutaj takie zaskoczenie. Nie zna pan angielskiego. No cóż... Czas to nadrobić! Sytuacja międzynarodowa robi się napięta. Trzeba rozmawiać z różnymi ludźmi, różnymi językami. Nadchodzi czas poliglotów, mój panie!

Napreżył się cały. Na twarz wylały mu się rumieńce.

– Znam za to łacinę, grekę, rosyjski, perski i turecki – wyliczył jak katarynka. – Za mało jak na poliglotę?

Poczuł nagłą złość, iż dał się wyprowadzić z równowagi.

„I te żalodne przechwałki – pomyślał – tym bardziej że dwóch ostatnich języków ledwo liznąłem!”

Aurelia nie odpowiedziała. Schowała artykuły prasowe do torebki i rozejrzała się po sali. Prychnęła pogardliwie na widok masywnych ciemnych boazerii i potężnych belek sufitów, skąd zwisały pęki jemioli. Nie lubiła ukochanego przez Niemców górsko-myśliwskiego wystroju wnętrza, równie ciężkiego co ich dowcipy, piwo i jedzenie.

– A drugi dokument? – zapytał Edward, myśląc, iż to prychnięcie jest reakcją na jego przechwałki.

– To wielostronicowy dokument z lutego tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku – odparła. – Pokazujący niezbiecie, bo są tam łatwe do sprawdzenia fakty, nazwiska, daty, miejsca. Otóż wynika z niego *sine dubio*[16], że wywiad polski i francuski doskonale znały plany wybuchu ostatniego ze śląskich powstań. Co więcej, Francja obiecywała Polakom i powstańcom pomoc militarną, wywiadowczą i organizacyjną, za

co otrzymałaby część zysków z tych śląskich kopalń, które przypadłyby Polsce po zwycięskim zakończeniu powstania.

Edward poczuł silne swędzenie na karku. Dopadało go zawsze, gdy w swej policyjnej pracy trafiał na naprawdę ważny trop.

– Sto tysięcy marek. – Aurelia uśmiechnęła się słodko. – Daję panu tydzień na podjęcie decyzji.

Dopiero teraz pojął cały ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności. Musi jakimś cudem wydobyć od niej te arcyważne dokumenty i sprawdzić, czy nie są sfałszowane lub nie zawierają dezinformacji.

„Jest to mało prawdopodobne, aby mi je wypożyczyła dla potwierdzenia ich wiarygodności – analizował w myślach – chyba że zostałbym jej kochankiem. Ale na to nic nie wskazuje. Żadnych oznak zainteresowania z jej strony. Najwyraźniej robię na niej równie wielkie wrażenie jak stojący obok naszego stolika pękaty piec”.

– Nie za tydzień, ale jutro – rzekł, a jego niski głos zabrzmiał jakimś ponurym akordem. – Jutro się spotkamy o tej samej porze w Pawilonie Szkoockim. Pójdziemy sobie na zimowy spacer, popatrzymy na łyżwiarzy na stawie... Przeczytam przyniesione przez panią dokumenty i powiem, czy rzeczywiście mi na nich zależy. A następnie przesłucham panią i pani mi powie, jak one trafiły w pani ręce. To będzie sprawdzian ich autentyczności. Potem mamy trzy możliwości. Albo poproszę o czas do namysłu, albo wręcę pani czek na sto tysięcy marek, albo okażę brak zainteresowania tymi umowami! I odprowadzę panią. Rozumie pani? Spotykamy się jutro albo nigdy!

Przeciągnął sylaby. Ostatnie słowa zabrzmiały ostro i ordynarnie. W jej ciemnych oczach zamigotało zdziwienie, a potem złość.

– Odprawić to pan sobie może swoją służącą, jeśli panu przypali zupę – syknęła. – Mnie się nie odprawia, mnie się dziękuje, panie łysy!

Milczał. Zastosował taktykę zaczepną. Chciał zdenerwować tę ognistą Ormiankę, aby powiedziała o jedno słowo za dużo. Pragnął ją złapać na jakiejś sprzeczności, na czymś, co by rozbrzmiało – jak to mawiał Żychoń – wewnętrznym alarmem. Wciąż nie miał bowiem odpowiedzi na pewne bardzo ważne pytanie. Postanowił je zatem zadać bez ogródek.

– Ja pani nie ufam z jednego podstawowego powodu – rzekł lekkim tonem, by nie wzbudzać zainteresowania kelnera, który później rozpowiadałby kolegom o starym donzuanie kłócącym się z domniemaną młodą kochanką. – Żądana przez panią suma jest ogromna. Obawiam się, że owe dokumenty zaoferowała pani już Abwehrze za taką samą kwotę. Mam przed oczami taki obraz: Polacy i Niemcy walczą o panią w ostrej licytacji, a pani spokojnie czeka, któremu oferentowi się sprzedać. Obawiam się, że gra pani na dwa fronty... Niech mi pani poda powód, dla którego miałbym pani wierzyć.

– A jaką mam pewność – zapytała zaczepnie, a jej wargi uniosły się nieco ku górze, odsłaniając rząd perłowobiałych zębów – że nie zabierze pan dokumentów, a mnie zostawi na lodzie *par excellence*? Wśród owych łyżwiarzy?

Pochylił się ku niej blisko, tak blisko, by poczuła korzenny męski zapach jego wody kolońskiej. Zaczął cedzić słowa.

– Wystarczy, że pani krzyknie, iż panią okradłem. Wystarczy, że pani zawoła „łapać złodzieja!”, a już każdy z tych łyżwiarzy, każdy z tych młodych byczków rzuci się za mną w pościg. Każdy będzie szczęśliwy, jeśli pomoże tak pięknej kobiecie. Każdy, kogo pani obdarzy uśmiechem, będzie pławiał się w swym szczęściu.

Włożył papierosa do ust i zapalił.

– Przynajmniej ja bym tak zrobił na miejscu każdego z nich – szepnął.

Wstała i wskazała dłonią w stronę okna, za którym widać było może dwóch łyżwiarzy. Tupnęła nogą, przez co wzbudziła zainteresowanie personelu kawiarni.

– Nie jest pan na ich miejscu – powiedziała. – Oni są młodymi bykami, a pan? Ani młodym, ani bykiem.

Popielski spuścił wzrok, udając, iż ten cios trafił go prosto w serce. Czekał, aż Aurelia – oburzona jego żądaniami rychłego spotkania – postawi jakieś nowe warunki, które pomogłyby grać mu na czas. „Przeciągać sprawę, kluczyć, opóźniać, zwodzić” – dźwięczały mu w uszach słowa Żychonia. Doczekał się.

– I nie jutro – rzekła cicho. – Ale za kilka dni! To ja tu wyznaczam terminy, rozumiemy się? I wtedy podam powód, dla którego polski wywiad jest pierwszym w kolejności nabywcą dokumentów. Na razie niech panu wystarczy, że Adolf Hitler nie jest mężczyzną w moim typie. Pan zresztą też nie!

Znów prychnęła. Odeszła, stukając obcasami. Kelner patrzył na niego ze współczuciem. Iluż to on już widział takich starych, wyliniałych lampartów, przymilających się tutaj do młodych kobiet!

Jakaś dama w średnim wieku siedząca trzy stoliki dalej musnęła go lekkim spojrzeniem. Edward dojrzał w jej oczach mądrą ironię – taką, jaką dostrzegał często w oczach kuzynki Leokadii, gdy wyczuwała ona swą niepojętą intuicją jego kolejną, choćby tylko chwilową i nieskonsumowaną, fascynację inną kobietą. Całkiem niedawno podobnym spojrzeniem obdarzyła go Rita, gdy rzucił niewinną uwagę o urodzie jakiejś przechodzącej dziewczyny. Kobiety jego życia potrafiły przeświecić jego najtajniejsze myśli.

Klientka restauracji była najwyraźniej obdarzona podobną przenikliwością.

Aurelia Teichert wyszła z kawiarni i udała się przez park w stronę przystanku tramwajowego przy Kaiser-Wilhelm-Strasse[17].

W sporej odległości za nią szedł Henryk Zwolicki, nie kryjąc się specjalnie z tym, że otacza ją ochroną.

„To miłe z jego strony – pomyślała – to mój anioł stróż, dba o moje bezpieczeństwo”.

Przypomniała sobie ich spotkanie w muzeum.

„Niech pani na niego uważa – powiedział wtedy Mały Henio, bo tak go w myślach z sympatią nazywała. – Ten łysy to pies na kobiety, proszę mi wybaczyć to grube określenie! Niech mu pani zbytnio nie ufa. Jeśli już komuś może pani zaufać, to tylko mnie. Myśli pani, że rzucam słowa na wiatr? Bynajmniej! Znam pani szanownego tatusia. Grałem z nim w szachy we Lwowie. Wie pani, jaka była jego ulubiona strategia? Zbić piona, a potem iść na wymianę! A z tym łysym to niech pani dobije targu i proszę trzymać się od niego z daleka. To pies na kobiety! Lubieżny satyr. A przy tym bywa groźny i brutalny!”

– Ten mężczyzna to ciekawa mikstura – szepnęła do siebie i uśmiechnęła się lekko. – Bardzo wybuchowa. *Una mezcla de explosión!*

[18]

Słów tych nie wypowiedziała pod adresem Małego Henia.

O swoim ojcu też teraz nie myślała.

[8] Obecnie ul. Wita Stwosza.

[9] Czas ucieka, Wenzel trwa (łac.).

[10] Obecnie ul. Drukarska.

[11] Obecnie ul. Pomorska.

[12] Dla mojej cudownej mieszaniny natury, sztuki i filozofii (hiszp.).

[13] Obecnie ul. Powstańców Śląskich.

[14] Schottländer – Szkot (niem.).

[15] Obecnie ul. Sienkiewicza.

[16] Bez wątpienia (łac.).

[17] Obecnie ul. Powstańców Śląskich.

[18] Mieszanina wybuchowa (hiszp.).=

MONUMENTALNY PAŁAC SASKI W WARSZAWIE był siedzibą Sztabu Głównego Wojska Polskiego oraz wszystkich jego referatów i departamentów. Funkcjonariusze wywiadu i kontrwywiadu wojskowego siedzieli w pokojach w lewym skrzydle budowli. Niektórzy z nich czasami – co było zresztą wbrew regulaminowi – wychylali się ze swych okien na parterze, jedząc śniadanie albo paląc papierosy, i patrzyli z sympatią na pomnik księcia Józefa Poniatowskiego. Brawurowy wódz znad Elstery wskazywał mieczem ich biura i gabinety.

Większość oficerów i urzędników jednej z najważniejszych komórek Wydziału Wywiadu Dwójki, czyli Referatu Radiowywiadowczego i Referatu Technicznego, nie widziała przez swe okna nie tylko księcia Pepiego, ale nawet najmniejszych błysków światła. Siedzieli bowiem w piwnicy, a nisko położone nad ziemią otwory okienne wychodziły na ciemny wewnętrzny dziedziniec i, co więcej, były szczelnie zasłonięte od środka drewnianymi przesłonami. Wszyscy ci mężczyźni urzędowali w podziemnych, lecz wygodnych i dobrze wyposażonych gabinetach. Ich praca polegała na rozszyfrowywaniu meldunków oraz na matematycznym łamaniu zabezpieczeń wroga.

Tego styczniowego poranka nie było wiele do roboty. Przyszedł tylko jeden długi meldunek z siatki umiejscowionej w polskim konsulacie we Wrocławiu. Młody deszyfrant chorąży Albert Pawłowski wystukał meldunek na maszynie do pisania, wyszedł po schodach na parter budynku i zaniósł dokument kapitanowi Edmundowi Pilichowskiemu.

Ten szef Referatu V, zajmujący obszerny gabinet z widokiem na ogród Saski, podziękował swemu podwładnemu, zapalił papierosa i zagłębił się w lekturze meldunku.

Czytający był mocno umięśnionym, wysokim mężczyzną po czterdziestce, o czerwonej twarzy choleryka, z małym wąsikiem i kwadratowym podbródkiem. Miał wydatny szeroki nos, szpakowatą czapę gęstych włosów, stojących jak szczecina ryżowej szczotki. Obrazu oficera dopełniały krzywe nogi – jak u ułana, którym w istocie był – oraz długie ręce – jak u goryla, którym to określeniem nieżyczliwi określali go cichaczem.

Aparycja Pilichowskiego kłóciłaby się całkowicie z wyobrażeniem o człowieku wywiadu – przystojnym, inteligentnym dżentelmenie o zimnym spojrzeniu i stalowych nerwach, gdyby nie dwa jej elementy, natychmiast widoczne dla każdego: delikatne dłonie o długich palcach oraz duże, ozdobione gęstymi rzęsami bystre oczy, zwiastujące nieprzeciętną inteligencję. Jednak nawet te dwie, niewieście jakby cechy nie odejmowały mu silnej, męskiej pewności siebie, jaką wręcz epatował dokoła.

Ale nie tym razem, nie tego styczniowego poranka. Teraz, przeczytawszy meldunek przekazany przez Pawłowskiego, skurczył się jakby w sobie i zaczął drzeć, choć pałac Saski był wyposażony w swoją własną kotłownię i do każdego pomieszczenia dochodziły rury z gorącą wodą.

Oficer potarł palcami powieki, a potem wcisnął lekko gałki oczne w głębokie oczodoły.

Gwałtownie wstał, zamknął drzwi od środka i dopiero teraz jakby pękł od wewnątrz. Targnął nim skurcz złości i przerażenia.

Kapitan Edmund Pilichowski był bowiem zdrajcą. Jednym z najważniejszych – bo najlepiej poinformowanych – agentów niemieckich.

Przybrał pseudonim „Cyceron”, wierząc w głębi ducha, że jest równie przebiegły jak legendarny rzymski mówca i adwokat. Na ten pseudonim nie chcieli się początkowo zgodzić jego zleceniodawcy z Berlina, ponieważ sądzili, iż może on być zbyt łatwo połączony z Pilichowskim, którego próżność, zadufanie w sobie, a nade wszystko skłonność do wygłaszania długich przemówień i reprimend były wręcz legendarne. W końcu – gdy się upierał i stawiał sprawę na ostrzu noża – ustąpili i zgodzili się na to miano. Nie pożałowali. Ryzyko zdemaskowania było, owszem, duże, ale opłacało się wobec wagi informacji, jakie Cyceron zdołał do tej pory przekazać.

Zwerbowanie tego agenta było nader nietypowe.

Kapitan Pilichowski był dzieckiem szczęścia. Pochodził z zamożnej rodziny ziemiańskiej od pokoleń mieszkającej w Kurlandii albo w tak zwanych Inflantach Polskich. Pobierał nauki u domowych nauczycieli, a na studia prawnicze udał się do Dorpatu. Po śmierci rodziców, tuż przed Wielką Wojną, sprzedał majątek rodzinny, a jeden z jego dwóch braci ulokował korzystnie pieniądze w szwajcarskim banku – jakby przeczuwając koszmar nadchodzącej rosyjskiej rewolucji, która odbierze wielu rodom majątek pokoleń.

Szlify żołnierskie i oficerskie zdobywał w kozackich szwadronach. Po wojnie osiadł w Warszawie i zaczął robić karierę w tych strukturach wywiadu, które kierowały swe działania przeciwko Rosji sowieckiej. Szybko stał się jednym z ważniejszych funkcjonariuszy Referatu Wschód, a później sięgnął po jeszcze wyższe stanowiska w Dwójce.

W życiu prywatnym też mu się dobrze wiodło. Ożenił się z młodą, urodziwą kobietą, która rodziła mu zdrowe i ponad wiek inteligentne dzieci. Był bogaty, pewny siebie i bezwzględny. Ale przede wszystkim niezmiernie

próżny. Nie wystarczało mu to, co miał. On pragnął czegoś więcej – zostać sławnym artystą.

Edmund Pilichowski marzył od dziecka o karierze kompozytorskiej. Jako czteroletni chłopiec zaczął pobierać lekcje gry na pianinie w rodzinnym majątku i pałacu Szlosberg koło Iłku koło Łukotki. Postępy czynił zadziwiające. Intensywnym ćwiczeniom pianistycznym pod okiem niemieckiego nauczyciela Paula Vernowa oddawał się przez kolejnych lat piętnaście w rodzinnym majątku, a później już w czasie dorpackich studiów sam grał całymi dniami i nocami.

Wielu uważało go za wirtuoza, jednak jemu to nie wystarczało. On chciał być nowym Chopinem lub Czajkowskim. W latach dwudziestych skomponował od razu – bez żadnych wcześniejszych wprawek – wielki koncert fortepianowy. To dzieło doczekało się kilku wykonań w Polsce i odniosło pewien sukces w krajach niemieckojęzycznych i skandynawskich. Wykonano je w kilku domach koncertowych i zostało dostrzeżone przez recenzentów muzycznych. Co łaskawsi z nich porównali jego posępną atmosferę z twórczością Jeana Sibeliusa.

Pilichowski tryumfował, zbierał wycinki z niemieckich gazet, każdemu napotkanemu po drodze człowiekowi – nieważne, czy koledze z Dwójki, czy nawet fiakrowi, który go wioził do pałacu Saskiego – chwalił się swoim wielkim artystycznym sukcesem. Mówiono o nim na salonach, dobrze pisała prasa.

Nagle kapitan zamilkł i przestał zamęczać otoczenie opisywaniem akordów i harmonii w *Inflanckim koncercie fortepianowym c-moll*. Ta zmiana nastąpiła po nieoczekiwanej wizycie, którą złożył w jego pięknym domu dawny nauczyciel muzyki.

Sędziwy Paul Vernow przebywał w Warszawie w roku trzydziestym drugim z okazji II Konkursu Chopinowskiego jako nauczyciel Josefa

Wagnera, jednego z finalistów. Pewnego marcowego dnia wszedł do domu Pilichowskiego i zamiast przywitać się serdecznie z dawnym uczniem, zrugął go ostrymi słowami, zarzucając osłupiałemu kompozytorowi plagiat, jaki ten miał popełnić, wykorzystawszy dzieło nauczyciela, w którego posiadanie wszedł był za młodu.

W czasie burzliwej rozmowy kapitan przyznał się do plagiatu, usiłował załagodzić spór, namówić starego na przyjęcie sporej sumy pieniędzy w ramach zadośćuczynienia. Ten nie chciał nawet o tym słyszeć. Wyszedł, trzaskając drzwiami i odgrazając się, że wstąpi na drogę sądową. Na ulicy rozsierdzonego Vernowa zaczepił pewien młody pan – bardzo uprzejmy przedstawiciel niemieckich służb specjalnych. Chciał poznać, jakież to relacje łączą niemieckiego muzyka z polskim oficerem Dwójki. Vernow bez wahania wyrzucił z siebie wszystko, co go gryzło.

Rok później w domu Pilichowskiego zaterkotał telefon. Kiedy kapitan odebrał, usłyszał głos mówiący po polsku z silnym niemieckim akcentem. Dzwoniący chciał zamienić kilka słów z panem, którego tytułował *Herr Kapitän*. Zagadnieniami, które chciał poruszyć, były kwestie prawne dotyczące dzieła muzycznego o nazwie *Inflancki koncert fortepianowy*. Pilichowski zgodził się bez wahania. Już widział oczyma wyobraźni, jak rozbija w drobny mak argumenty jakiegoś „szwabskiego adwokacyny”. Przecież od razu po wizycie wściekłego eksnauczyciela opracował wraz z jednym ze swych prawników linię obrony i negocjacji!

Z „adwokacyną” spotkał się dzień później w parku Łazienkowskim i rozmawiał w języku Goethego. Jego rozmówcą okazał się bardzo młody funkcjonariusz – co do tego nie miał żadnych wątpliwości – niemieckiego wywiadu. Przedstawił się jako „mecenas Schmidt, pełnomocnik pana Vernowa”. Nie chciał wcale poruszać kwestii prawa autorskiego i negocjować ewentualnych finansowych kompensacji.

– WIEM, *HERR KAPITÄN*, ŻE ŻADEN POLSKI SĄD nie przyzna racji mojemu klientowi i nie oskarży pana o plagiat. Włos panu z głowy nie spadnie, wiem o tym doskonale. Już o to zadbają odpowiednie czynniki decyzyjne. One wpłyną na decyzję sądu, który nigdzie nie jest niezależny. Żadna polska gazeta o tym nie napisze, a niemieckie doniesienia będą oczernione jako niewiarygodne. Tak, *Herr Kapitän*, ja bynajmniej nie straszę pana procesem, bo jego jest efekt wiadomy. Ja tylko mówię o reperkusjach obyczajowych, jakie taki proces może wywołać w Niemczech. Zbierze się gremium kompozytorów, porównają partytury, potwierdzą zarzuty. Vernow swój koncert zarejestrował wcześniej niż pan. Każdy muzyk porówna daty oraz zapisy nutowe i powie: „Tak, rzeczywiście. Pilichowski jest plagiatozem”. A te wieści przedostaną się do Polski, gwarantuję panu. Będą o panu mówić w każdym salonie, dawni przychylni recenzenci będą kąsać tym złośliwiej, im większe kiedyś piali peany.

Słowa Niemca załży serce oficera polskiego wywiadu nagłym niepokojem. Groźba kompromitacji artystycznej to był właśnie młot na Pilichowskiego. Rzekomy mecenas Schmidt zapewnił – i tu już mówił bez ogródek – że „jeśli *Herr Kapitän* nie zechce przekazywać żądanych i jasno określonych informacji, to on, Schmidt, podejmie niezbędne kroki”.

– I w konsekwencji moich działań wszystkie gazety niemieckie będą o tym pisać, już widzę te tytuły. „Oficer polskiego wywiadu plagiatozem”. Domy koncertowe, gdzie wykonano dzieło pana Vernowa, zażądają od pana dużych kwot za straty moralne... Czyż pan, człowiek, o charakterze dumnego zdobywcy, ścierpi taką hańbę? Czy przełknie taką gorzką porażkę? Tymczasem jedno moje słowo, a pan Vernow zapomni o plagiacie. Co więcej, *Herr Kapitän*, my mamy wszędzie znajomości. W świecie muzycznym również. Niech pan napisze zgrabny *Koncert fortepianowy*

warszawski. Już czuję, że to będzie wielki sukces w Niemczech i w Szwecji!

Tego marcowego dnia trzydziestego trzeciego roku kapitan Edmund Pilichowski stał się zdrajcą.

Prawie dwa lata później siedział w swym gabinecie i starał się pohamować drżenie podbródka. Uspokoił się po dwóch minutach, spojrzał na bezlistne drzewa ogrodu Saskiego i mocno zacisnął pięści.

Owszem, raport, który poprzez polski konsulat we Wrocławiu trafił na jego biurko, zapowiadał bardzo duże kłopoty. Ale on nie z takich wychodził opresji.

W końcu był wcieleniem Cycerona, nad którego głową wisiało nie raz i nie dwa śmiertelne niebezpieczeństwo. Szkoda tylko, że Pilichowski, przyjmując ten pseudonim, nie pamiętał, jaki koniec spotkał rzymskiego męża stanu.

* * *

RAPORT, KTÓRY TAK MOCNO WZBURZYŁ CYCERONA, Edward Popielski napisał w tajnym pomieszczeniu na tyłach kamienicy przy Agnesstrasse[19] 1. Pod tym adresem, podanym mu wraz z hasłem przez Zwolickiego, mieściła się, jak głosił szyld, „G. Smolla. Kancelaria notarialna bez uprawnień adwokackich”. Lokal składał się z dwóch pokoi – poczekalni i właściwego biura. Były one niegdyś pomieszczeniami znanego w mieście zakładu introligatorskiego.

Właściciel kancelarii, zażywny pan z małym „hitlerowskim” wąsikiem, usłyszawszy hasło: „Ulica wybrukowana”, podał właściwy odzew: „Mimo to dziurawa”, po czym spolszczył z uśmiechem swoje nazwisko jako „Jerzy Smoła” i przeszedł na język polski, jakkolwiek zabarwiony niemieckim akcentem. Sprowadził swego gościa do piwnicznego pomieszczenia, wciąż

trącającego zapachem kostnego kleju i garbowanych skór, w które oprawiano tu przez lata książki i nuty. Wręczył mu klucz do drzwi, przez które można było przejść do ogólnej piwnicy służącej wszystkim mieszkańcom domu, a stamtąd wyjść na podwórko.

Był to typowy konspiracyjny lokal, wyposażony w kozetkę, małe biurko z lampą, szafę zamykaną na solidną sztabę oraz w poobijane wiadro z deklek – w razie gdyby przebywający tu człowiek poczuł silną potrzebę naturalną, a z jakichś względów nie mógłby stąd wyjść.

Popielski – zgodnie ze wskazówką notariusza – miał tutaj napisać raport, zostawić go na biurku, zamknąć tajne drzwi, klucz wepchnąć do środka przez specjalną szparę, po czym wyjść przez piwnicę na podwórko, a stamtąd przedostać się na Tauentzienplatz[20]. Zaszyfrowaniem i wysłaniem raportu do Referatu V Dwójki miał się już zająć sam pan Smoła.

Edward zrobił to wszystko w ciągu niecałych dwóch godzin. Dwa kolejne kwadransy zajęło mu dojście do Hotelu Germania położonego tuż przy Dworcu Głównym, gdzie od kilku dni zajmował wygodny pokój. Zameldowany był – zgodnie ze swoim fałszywym paszportem – jako doktor Herbert Reiterer, współwłaściciel wiedeńskiego antykwariatu Burgverlag.

W recepcji czekało na niego starannie wykaligrafowane zaproszenie na koncert kameralny, który miał się odbyć następnego dnia w uniwersyteckim Oratorium Marianum.

Zgodnie z instrukcją udzieloną mu przez Żychonia każde zaproszenie czekające na *Herr* doktora Reiterera w recepcji oznaczało konieczność natychmiastowego telefonicznego kontaktu.

Wiedząc, że hotelowe aparaty są na podsłuchu, udał się na Dworzec Główny i tam w publicznej rozmównicy poprosił o połączenie z numerem,

który znał na pamięć.

Kiedy z drugiej strony linii odebrała jakaś kobieta, rzucił do słuchawki:

– Dzień dobry. Informuję, że ulica już wybrukowana.

– Mimo to wciąż dziurawa – usłyszał. – Dzisiaj o ósmej wieczór, prywatny koncert fortepianowy przy Kaiser-Wilhelm-Strasse[21] 33. Zaprasza osoba poznana niedawno. Proszę ze sobą przynieść dowolną książkę w jakimkolwiek języku poza niemieckim i polskim. Na koncercie odbędzie się noworoczna loteria. W razie potrzeby proszę książkę wypożyczyć w bibliotece hotelowej. Mają tam książki polskie, francuskie, angielskie, a nawet hebrajskie.

Kobieta rozłączyła się bez słowa pożegnania. Popielski do numeru domu dodał – to był jeszcze jeden element konspiracyjny w tajnej instrukcji Żychonia – ustaloną liczbę „czternaście”. Wyszło mu Kaiser-Wilhelm-Strasse 47. Stanął teraz przy pulpicie, na którym leżały księgi adresowe. Przejrzał spis lokatorów, którzy mieszkali pod tym adresem. Jego przewidywania się sprawdziły. Wśród kilku nazwisk widniało to właściwe – „Aurelie Teichert, pianistka”.

Wróciwszy do hotelu, wyjął dużą, rozkładaną mapę Wrocławia. Używając złożonej brzytwy jako swoistego pręta pomiarowego, porównał na mapie odległość z biura pana Smoły do hotelu z dystansem pomiędzy tymże punktem a mieszkaniem pani Teichert. Wyszło mu, iż jest to trochę dalej, założył zatem, że na ten prywatny koncert będzie szedł nie więcej niż trzy kwadransy – zważywszy na oblodzone chodniki.

Zjadł lekki obiad, zdrzemnął się, wykąpał w dużej eleganckiej łazience, jednej z dwóch na piętrze, ogolił już w swoim pokoju, włożył czystą koszulę i drugi, wizytowy garnitur – w duchu żałował, że nie wziął ze sobą smokingu. Spryskał głowę i szyję wodą kolońską, naciągnął kalosze na lakierki i opuścił hotel, gdy szedł już kwadrans na ósmą. W kieszeni

płaszcz z futrzanym kołnierzem miał kieszonkowe wydanie *Odysei* Homera w oryginale. Znalazł tę książkę w hotelowej biblioteczce, zostawił ją tam pewnie jakiś gimnazjalista, sądząc po tłumaczeniach, jakie maczkiem wpisano pomiędzy greckie wiersze. Była to swoista ściaga, znana wszystkim uczniom i absolwentom gimnazjów klasycznych. Uczeń, pytany o tłumaczenie danego fragmentu tekstu, po prostu odczytywał przekład wpisany wcześniej między linijki oryginału.

Chodniki nie były śliskie, ponieważ posypano je piaskiem, szedł zatem dość szybko. Ulicami przydworcowymi tworzącymi ścisłe ciągi zabudowań zmierzał na południowy zachód, aż wyszedł na piękną szeroką aleję, którą wśród szpaleru drzew jechały tramwaje. Ten miłośnik miast i sztuki architektonicznej nie mógł się dobrze przyjrzeć owej arterii komunikacyjnej, bo sypiący obficie śnieg ograniczał widoczność. Sprawdził numer pierwszego domu i już wiedział, jak ma dalej iść – na południe prawą stroną ulicy.

Kiedy minął boczną Brandenburger Strasse[22], znalazł się przed dużym domem z szyldem Kaiser-Wilhelm-Strasse[23] 47. Na parterze, pod tablicą z napisem „Rickelt & Konscholky”, mieściła się wielka hurtownia zboża, miodu, konopi i rozmaitych nasion. Stróż wpuścił go i nawet mu się nie przyjrzał, szybko uciekając przed podmuchem, który wionął śniegiem w otwartą bramę.

Pani Aurelia mieszkała na drugim piętrze. Zapukał. Otworzyła mu sama.

– Jest pan nieco za wcześnie. – Uśmiechnęła się lekko, odpowiedziawszy na jego powitanie. – Ale wybaczam, w tej zadymce nie będzie pan przecież stał na ulicy.

Odsunęła się nieco, rozsnuwając wokół woń perfum.

– Jak pan widzi, nie mam służącej. Sprząta u mnie tylko córka sąsiadki.

– No cóż... – sapnął Popielski. – Przepraszam, że ja na koncert bez kwiatów, ale nie zdążyłem kupić...

Głupio to zabrzmiało. Nie wiedział, jak dowcipnie zareagować. Postanowił zatem powiedzieć byle co, po czym milczeć i czekać na rozwój wypadków. Miał nadzieję, że Aurelia nie będzie rozczarowana jego małomównością i nie uzna jej za oznakę braku ogłady i zdolności do towarzyskich konwersacji.

„Niektóre kobiety lubią milczących mężczyzn – powiedziała mu kiedyś kuzynka Lodzia. – Są nimi zaintrygowane, sądzą, że taki milczek trzyma w sobie jakąś tajemnicę, którą one byłyby rade poznać. Patrzą zatem na takiego, jakby mu duszę chciały przeświecić”.

Aurelia chyba nie należała do niewiast tego typu, bo ledwo zaszczyciła Edwarda spojrzeniem, po czym zastukała – jakby w lekkiej irytacji – obcasami i poszła szerokim przedpokojem, rozświetlonym elektrycznymi kinkietami. Długa suknia z czarnego jedwabiu spływała prawie do ziemi po jej wąskich biodrach.

– Proszę za mną! – zawołała. – No proszę!

Edward powiesił na dużym stojącym wieszaku melonik i paltot, wyjąwszy *Odyseję* z kieszeni. Z lakierków zszedł kalosze i poszedł do rozświetlonego pokoju.

Był to duży, wyłożony pięknym dębowym parkietem salon z panoramicznym balkonowym oknem wychodzącym na wielkowiejską ulicę, na której błyskały światła tramwajów i latarnie dorożek lub sań. Ponad nimi wśród kręcących się płatków przyjaźnie migąły okna kamienic z naprzeciwka. Ulubiony widok dla miłośnika urbanistyki.

Na środku wielkiego pokoju o pustych białych ścianach stał fortepian takiejże barwy, lecz o niebieskich pedałach. Na nim rozpięta była na lwich łapach duża mosiężna świeczka. Metr od fortepianu ustawiono barek

z kryształowymi butelkami i kieliszkami, a obok niego popielniczkę osadzoną na stalowej nodze oraz wygodny niski fotel.

– Proszę, niech pan siada. – To właśnie ten mebel wskazała mu teraz Aurelia, sama zajmując miękki tapicerowany stołek fortepianowy. – Niech się pan sam obsłuży alkoholem.

– Przepraszam – szepnął. – Zbyt dużo światła. Mam pewną dolegliwość związaną ze światłem. To elektryczność czy gazowe? Możemy przykręcić?

Podeszła do włącznika światła i pokrętem zmniejszyła jego intensywność. W pokoju zapadł miękki półmrok. Otulił on mężczyznę i kobietę, nadając tej scenie erotycznego posmaku.

Patrząc na nią, przełknął ślinę jak głodne zwierzę. Jej prosta, elegancka suknia z kwadratowym dekoltem, z kokardą na piersiach i z ramiączkami z białego futerka była na wskroś nowoczesna, jej fryzura zaś – cudownie staroświecka. Długie włosy upięte były w kok, spod którego wymykały się spiralne pasma. Policzki miała lekko zarumienione, co przyjemnie kontrastowało z czarnymi, podmalowanymi kredką oczami. Poblask padający z ulicy był dla niej bardzo łaskawy – podkreślał jej alabastrową cerę.

Edward poczuł teraz ukłucie w przeponie. Przeniosło go ono w jednej chwili do Stanisławowa, miasta dzieciństwa. To samo uczucie przenikało go wtedy na rzekę, gdy stał w nocy ukryty wśród trzciny, piętnastoletni i nieszczęśliwie zakochany. Wpatrywał się chciwie w scenę rodzajową – wybranka jego serca w jasnym świetle księżyca kąpała się z koleżanką w Bystrzycy Nadwórniańskiej. Ciało podglądacza ogarniał płomień – sam nie wiedział czego: żrącej tęsknoty czy bolesnego pożądania? Jego obiekt, szesnastoletnia Estera Hirsz, była brunetką o śnieżnej cerze, barwionej niekiedy rumieńcem.

Nigdy jej nie dotknął. Aurelia Teichert była do niej nadzwyczaj podobna. Tylko Leokadia wiedziała o tej jego młodzieńczej miłości i w rzadkich chwilach irytacji z niej kpiła. Kiedy on był tą drwiną oburzony, kuzynka odpowiadała, iż czuje się w obowiązku sprowadzić go na ziemię.

– Wyznaczyła mi pani spotkanie – odezwał się po polsku, obniżając jeszcze bardziej swój baryton – które wygląda jak schadzka. Szyfry, tajne liściki... To doprawdy bardzo romantyczne. A ja jestem niepoprawnym romantykiem.

– Czyżby? – roześmiała się drwiąco. – Nie ja ustalam, jak wyglądają nasze kontakty, lecz niewysoki, miły pan z konsulatu. Szyfry i liściki to jego domena. A pan nie wygląda mi raczej na romantyka...

Poczuł pustkę w głowie. Znów nie miał żadnej odpowiedzi. Lecz nagle podsunął mu ją pewien wielki rzymski filozof.

– Może ja tylko udaję nieokrzesanego brutala? – odparł. – Udajemy, droga pani, wszyscy udajemy... Ale nawet w tej imitacji jesteśmy żalonymi marionetkami, poruszonymi przez instynkta i pożądania. Jak to trafnie ujął pani imiennik, cytuję z pamięci: „Widowiska, bogactwo, kości psom rzucone, okruchy chleba dla ryb trzepoczących w stawie. Jesteśmy jak myszy biegające wokół, jak mrówki w swym znoju, jak marionetki na sznurkach”. – Nabrał tchu. – Udajemy, by nas nie uznano za pacynkę na sznurkach żądy. Ja udaję człowieka bez krzty romantyzmu, taki włożyłem pancerz. Ale przyznam się pani, że w głębi ducha jestem sentymentalny. I niekiedy gorzko płakałem, zwłaszcza piętnaście lat temu, po śmierci żony. A pani jaką maskę nosi?

Aurelia siedziała bez ruchu. Była najwyraźniej zaintrygowana. Nie wiedziała do końca, czy Edward mówi poważnie o swoim sentymentalizmie, czy też ten mocny mężczyzna naprawdę potrafi być wrażliwy. Podobała się jej ta niewiedza, lubiła sytuacje niedookreślone,

życie w światłocieniu, słowa, które zawsze można później różnie zinterpretować.

Rumieńce na jej policzkach stały się intensywniejsze. Edward wyobraził ją sobie nagle pod sobą nagą i drżącą. Nie poczuł jednak pożądania. Raczej wyrzuty sumienia, że staje się zwierzęciem. Oraz tkliwość: dziwną i niewytłumaczalną.

– Kto to powiedział? – szepnęła. – Mój imiennik Aureliusz? Aureliusz Augustyn? Święty Augustyn?

– Nie – sięgnął po papierośnicę, by ukryć zmięszanie. – Marek Aureliusz, filozof stoicki.

Milczała przez chwilę.

– Zna to pan po grecku? – zapytała. – Ten cały passus?

Zaciągnął się głęboko, a potem otworzył *Odyseję* Homera. Był w gruncie rzeczy rad, że schodzą już w końcu z wysokich rejestrów.

– Nie, nie znam tego na pamięć, ale przyznaję, że zaimponowała mi pani – odpowiedział. – Mało kto wie, że Marek Aureliusz pisał po grecku, wszyscy sądzą, że po łacinie.

Nie ukryła błysku satysfakcji w ciemnych oczach.

– Przyniosłem oto książkę w obcym języku – postanowił przejść w końcu do rzeczy. – Dostałem takie polecenie... Aby przynieść pani książkę w dowolnym obcym języku, poza niemieckim i polskim. I mam takową, to *Odyseja* Homera.

Aurelia poprawiła włosy, a liczne bransoletki na jej przegubach zabrzęczały cicho.

– Nie znam greki – rzuciła. – I chyba nigdy nie słyszałam tego języka.

Wstała i chwyciła się pod boki. Wyglądała teraz wesoło i zawadiacko.

– Chcę się teraz przed panem popisać. To ważne wobec naszych planów kupna-sprzedazy. Chcę objawić przed panem jedną moją osobliwą zdolność. Niech pan mi pokaże tę książkę.

Podał jej tomik, a ona długo w półmroku patrzyła na giętkie greckie litery.

– Dość długie wiersze nie znanego mi języka. – Oddała mu książkę z westchnieniem. – Niech mi pan przeczyta dowolnych dziesięć wersów.

Popielski przewrócił stronicę, znalazł ulubioną księgę szóstą, podszedł do fortepianu, zapalił świece na świeczniku.

Zaczął czytać rytmiczne heksametry. Była to część ulubionego przez niego passusu. O młodziutkiej Nauzykai, córce króla Feaków, która się przeraziła, widząc, jak Odys, niehumanie zmęczony i oblepiony szlamem, wynurza się spośród trzciny.

Aurelia słuchała w zachwycie mocnego głosu mężczyzny, deklamującego po grecku fragment eleganckiej przemowy Odysa, który chciał obłaskawić dziewczynę. Drgała przy każdej cesurze, jakby ktoś ją dotykał. Kiedy skończył czytać, poprosiła:

– Jeszcze raz. Te same dziesięć wierszy.

Przeczytał znów. Przypomniał sobie klasę piątą stanisławowskiego gimnazjum, gdy czytali na lekcjach greki szóstą księgę *Odysei*, a nocami młody Edward tłumił szloch, przypominając sobie, jak sam wynurzał się spośród trzciny, a Estera Hirsz, w halce oblepiającej jej szczupłe ciało, patrzyła nań z zaciekawieniem.

Aurelia zamknęła oczy.

– Jakież to piękne – powiedziała cicho. – Nie wiem, o czym pan czytał, ale to jest niebiańsko piękne.

Edward wstał gwałtownie i podszedł do niej. Nie panował już nad sobą. Chciał tylko jednego: przyciągnąć tę kobietę do siebie i wtulić się

w zagłębienie jej szyi. Teraz już czuł potężne pożądanie. Zauważyła to.

– Stać! – krzyknęła w nagłej złości. – Ani kroku! I słuchać. Patrzeć w tekst, czy się nie mylę!

Stanął jak wryty. Dał się ponieść wspomnieniom. Był na siebie wściekły. Tkwił niezgrabnie na środku rozświetlonego salonu z wyciągniętą zastygłą ręką. Jego nogi stawały się ciężkie – jakby wlewano w nie ołów.

Aurelia zaczęła recytować Homerowe frazy. Nie zawsze rytmicznie, ale wyrazy wymawiała na ogół zgodnie z tekstem. Powtarzała długie wersy, które słyszała – to prawda, że dwukrotnie – ale po raz pierwszy w życiu.

Teraz on drżał przy każdej trafionej cezurze. Efekt był piorunujący. Po zaledwie dwukrotnym wysłuchaniu wygłosiła te wszystkie wiersze z kilkoma jedynie błędami akcentuacyjnymi i rytmicznymi. Wszystko zapamiętała.

Usiadła znów przy fortepianie i oddychała ciężko jak po biegu.

– Mam znakomitą pamięć, panie Reiterer – powiedziała. – I teraz wyrecytuję panu te dwa dokumenty, które chcę sprzedać polskiemu wywiadowi. Ja je znam na pamięć. Uczyłam się ich przez tydzień, zanim je dobrze ukryłam w pewnym tajemnym schowku. Fraza po frazie. Mogę deklamować je całymi stronicami i ani razu się nie pomylę. Niech pan słucha. Może pan notować, ale niech mi pan nie przerywa!

Pół godziny trwało recytowanie urzędowych formuł, sprawozdawanie tajnych negocjacji i porozumień polsko-francuskich, w których oba państwa dzielą pomiędzy siebie gospodarcze wpływy na Śląsku, wyznaczają sobie zyski z poszczególnych kopalń – których całą listę Aurelia wyrecytowała prawie na jednym oddechu.

Już po minucie Popielski wiedział, jak wielką siłę rażenia ma ten dokument. Był to zarejestrowany w genialnej pamięci kobiety spisek dwóch państw – zwycięzcy wojny i młodego tworu administracyjnego, który

dzięki niej wypączkował. Ofiarą stałoby się państwo trzecie, pokonane, zniszczone i – w opinii wielu zachodnich pięknoduchów – godne szacunku i litości. Tak, dokument ten okazał się potencjalną bombą, która zrobi wyrwę w ciele Rzeczypospolitej i oderwie od niej Śląsk. Było tam wszystko: nazwiska negocjatorów, daty spotkań. Gdyby te punkty i podpunkty zostały ogłoszone na forum Ligi Narodów, pismo to mogłoby się stać podstawą do rewizji traktatu wersalskiego i polskich granic.

Drugi dokument był o wiele krótszy, ale zawierał w sobie dane wciąż czynnego niemieckiego agenta. Był nim polski arystokrata o angielskim nazwisku, który oczerniał swoją ojczyznę, rozdmuchiwał mało znaczące epizody i zdarzenia, wykoślawiał osiągnięcia i wszystko to przesyłał angielskiemu dziennikarzowi, by ten za niemiecki żołd skalował Polskę.

– Aresztujcie go! – powiedziała Aurelia, gdy skończyła. – Prześwietlcie go na wylot! Jeśli okaże się, że nie kłamałam w sprawie tego hrabiego, to uwierzcie mi, że nie kłamię w sprawie tych tajnych układów o Śląsku?

Odetchnęła głęboko.

– A teraz muszę się odprężyć. – Dotknęła palcami klawiszy. – Posłucha pan? W końcu dostał pan zaproszenie na prywatny koncert.

* * *

ZUPEŁNIE INNY DYNAMIT ZNALAZŁ SIĘ w rękach Pilichowskiego, gdy czytał cztery dni wcześniej wstępny raport Popielskiego, w którym agent Żychonia przedstawiał swoje pierwsze spotkanie z Aurelią Teichert w parku Południowym. W odróżnieniu od niego za bombę z opóźnionym zapłonem agent Cyceron wcale nie uznał dokumentu o porozumieniu polsko-francuskim w sprawie Śląska, lecz te passusy raportu Popielskiego, które mówiły o agencji Łotyszu, o dziennikarzu Rogerze i o lordzie Ormonde. Choć Aurelia w czasie pierwszej rozmowy nie podała

Popielskiemu żadnego nazwiska i użyła tylko pseudonimów, to zdrajca w Sztabie Głównym doskonale wiedział, kim jest ów polski arystokrata i jego angielscy współpracownicy. Sam tę siatkę w końcu zmontował.

W swym gabinecie w pałacu Saskim kapitan Edmund Pilichowski siedział teraz przy biurku i kreślił w notesie klucze wiolinowe, nuty i znaki chromatyczne. Nie były one zapisem żadnej melodii, lecz jedynie burzy jego myśli.

Świadectwo polsko-francuskich negocjacji było oczywiście bardzo cenne dla jego niemieckich mocodawców, ale sprawa hrabiego Heliodora Lamberta – bo tak się nazywał ów arystokrata – była straszliwym wręcz zagrożeniem dla samego Pilichowskiego.

Ten próżny człowiek i spragniony sławy kompozytor, nawet wtedy gdy pisał zwykłe raporty, nie mógł sobie odmówić, by ich nie naznaczyć swoim znakiem rozpoznawczym, swoim osobliwym muzycznym *signum*. Wyrażało się ono w tym, że niektóre zdania kończył niepotrzebnymi wyrazami – tylko po to, aby tworzyły one jakiś ciekawy zestrój akcentuacyjny, czyli tworzyły jakiś rytm – zupełnie nieoczekiwany w zwykłych, urzędowych dokumentach!

Pisząc je, wzorował się na mowach Cyncerona, których dźwięczne końcówki *passusów* wciąż słyszał w swej imaginacji. Kiedy jeszcze pracował w Referacie Wschód, napisał taką oto końcówkę raportu: „Ustaliłem, że fakt przejścia granicy przez dwóch funkcjonariuszy polskiej straży granicznej nastąpił za inicjatywą, z wiedzą i w towarzystwie sowieckiego funkcjonariusza Grigorija Sokołowa”. I wtedy dodał zupełnie niepotrzebnie: „Powtarzam – tak na imię ma”.

Jego ówczesny zwierzchnik podpułkownik Kazimierz Galiński, człowiek o świetnym słuchu muzycznym, natychmiast wychwycił ów jambiczny rytm. Sprawdził inne dokumenty sygnowane przez

Pilichowskiego i odkrył rozmaite wstawki, które – poza rytmicznym – nie miały żadnego innego uzasadnienia. Zakazał mu wtedy kategorycznie tego „głupiego zwyczaju”, jak się wyraził.

Pilichowski wyzbył się go – owszem – ale niekiedy nie potrafił zapanować nad swą muzyczną wyobraźnią. Ten rytm – czasami jambiczny, czasami trocheiczny, czasami o wiele bardziej wysublimowany – jakby sam się wciskał w tworzone przez niego dokumenty. A teraz Cynceron nie pamiętał – naprawdę nie pamiętał! – czy w świadectwie werbunku hrabiego Lamberta nie zawarł swego znaku rozpoznawczego!

„Czyżbym wtedy okiełznał swą pychę? Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem! Byłem pijany!” – krzyczał w nim jakiś wewnętrzny głos.

Jedno było pewne. Gdyby świadectwo werbunku hrabiego Lamberta miało ów „znak Pilichowskiego”, to jakiś funkcjonariusz Dwójki na pewno, prędzej czy później, je odkryje. I wtedy zdrajcę – czuł ból, gdy sam siebie w duchu tak nazywał – czeka sąd wojskowy, wyrok, wilgotne mury Berezki Kartuskiej albo pluton egzekucyjny. Cynceron nie mógł dopuścić, aby „dokument Lamberta”, który był w posiadaniu Aurelii Teichert, wpadł w ręce polskiego wywiadu.

Musiał zrobić wszystko, by temu przeciwdziałać. Zaimek „wszystko” zawierał w sobie bardzo ponure zamiary względem samego hrabiego Heliodora Lamberta. Należało wszelkimi metodami wydobyć od niego odpowiedź na pytanie, które wciąż sobie zadawał:

– Jak to się stało, że pisemny akt zwerbowania trafił do jakiejś ormiańskiej dziwki?

* * *

KOBIETA OKREŚLONA TYM OBELŻYWYM MIANEM skończyła grać drugą część Schubertowskiego *Impromptu E-dur* z opusu

dziewięćdziesiątego.

Oparła dłonie na klawiaturze i spojrzała na zasłuchanego Edwarda, którego papieros wypalił się już całkiem w popielnicy. Mężczyzna natychmiast spał się wewnątrznie pewny, że pianistka zechce z nim zaraz porozmawiać o tym utworze.

Tak się też stało.

– Co pan sądzi o tej muzyce? – Obróciła się do niego, a jej suknia zmysłowo się opięła na biodrze.

Popielski opanował popłoch i gonitwę myśli.

– Proszę, niech pani jeszcze raz to zagra! Chyba coś tam ciekawego zauważyłem.

Zagrała. Przez kolejnych pięć minut iskrzyły się w tym salonie piękne, lekkie i powtarzające się nuty. Przez cały czas Edward spoglądał na zegarek, aż Aurelia skończyła i obdarzyła swego gościa kolejnym wyczekującym spojrzeniem.

Ten był spokojny. Już dokładnie wiedział, o czym będzie mówił.

– O muzyce, szanowna pani, można mówić technicznie. Na przykład, co jest w którym akordzie albo jak *crescendo* z patetycznego staje się liryczne. Można też mówić poetycko. Że to *Impromptu* jest jakby rozmową kobiety z mężczyzną. Najpierw jest płochy dziewczęcy szczebiot, a potem ponure i uparte męskie powtarzanie tych samych fraz. Ona jest trzpiotką i kpi sobie uroczo z mężczyzny, on w kółko mówi o swej miłości tymi samymi słowy. Ona jest wesoła, on zrozpaczony.

Wstał i zaczął chodzić po salonie wielkimi krokami.

– A ja powiem pani coś innego o tym utworze, coś niesłychanie nudnego. Jako niedoszły matematyk wejść na grunt ulubionej dziedziny.

Zatrzymał się i spojrzał na Aurelię. Oczekiwał ziewnięcia, ale ona w jakimś napięciu wbijała w niego swe czarne oczy.

– W tym utworze panuje złota proporcja. Przekomarzenie się kobiety i wyznania mężczyzny tworzą dwa cykle. Pierwszy kończy się po trzech minutach, drugi trwa jeszcze minutę i pięćdziesiąt sekund. Jeśli pierwszy podzielimy przez drugi... Zrobiłem to w notesie, niech pani spojrzy!

Nawet nie zerknęła w otwarty notes. Paliała go wzrokiem.

– Wychodzi dokładnie jeden i sześćdziesiąt dwa – mówił podniesionym tonem. – Złota liczba, która się kryje w greckich świątyniach, gdy podzielimy ich szerokość przez wysokość. Tworzy ona ciąg Fibonacciego, który widać choćby w spiralach, jakie tworzą ziarna słonecznika. Tak, droga pani! Złota liczba jest ukryta w tym wspaniałym utworze Schuberta!

Ukląkł przy niej i szepnął:

– A także we wspaniałych proporcjach pani twarzy i ciała!

Mrugnęła, jakby chciała zamaskować jakieś uczucia.

– Dlaczego ta Ormianka, pewnie się pan zastanawia, nie poszła ze swymi dokumentami do Abwehry? Dokumentami, w których posiadanie weszła zupełnie przypadkiem! Jako obywatelka niemiecka postąpiłaby właściwie. Spotkałaby ją za to nagroda. Ale ta Ormianka ryzykuje topór, zwracając się do polskiego wywiadu. Dlaczego to robię, panie Reiterer?

Milczał, wciąż klęcząc przed nią.

– Jest pan Polakiem, choć po niemiecku mówi pan bezbłędnie. No to pan zrozumie. Nie powiem, że kocham pańską prawdziwą, a moją przybraną ojczyznę. Dlatego, że skłamałabym. Odpowiem panu pytaniami. Może mam dość Wrocławia? Może chcę wrócić do Polski z dużą sumą pieniędzy, by nie polegać na mojej bogobojnej rodzinie, która ma mnie, skandalistkę i rozwódkę, za przeklętą?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– A może chcę, by ktoś się mną zaopiekował? Silny mężczyzna, który ciekawie interpretuje muzykę?

Dotknęła jego dłoni.

Wstał gwałtownie.

– Przemyślę to wszystko, przemyślę – wychrypiał. – Na następnym spotkaniu dam pani odpowiedź, czy przyjmujemy tę ofertę. Czas i miejsce wyznaczę tym razem ja przez miłego niskiego pana. I nigdy, przenigdy nie u pani w domu, ale w Szkockim Pawilonie! Powtarzam. Nie tutaj, nie przy tej muzyce, nie przy tych światłach! Bo tutaj czeka mnie tylko jedno. Tutaj się mogę w pani zakochać, beznadziejnie i żałośnie, jak stary satyr w młodziutkiej nimfie.

Wybiegł z tego mieszkania.

Bał się czegoś, co już nastąpiło.

On już był zakochany.

* * *

KAPITAN EDMUND PILICHOWSKI NIE MÓGŁ SIĘ DOCZEKAĆ końca dzisiejszej służby.

Kiedy powrócił do swego nowoczesnego mieszkania w alei Szucha, zamknął się w gabinecie.

Długo pisał list sokiem z cytryny, a potem na tej samej kartce nakreślił, już zwykłym atramentem, życzenia noworoczne po niemiecku. Podpisał się: „*Oskar und seine ganze Familie*”^[24]. Adresatem był Martin Waag, subiekt we wrocławskiej firmie Nicolai & Schweitzer handlującej linoleum i tapetami.

Pięć dni później do owego sklepu zaszedł elegancki młody blondyn. Bez słowa odebrał list od subiekta Waaga, wsiadł do nowiutkiego sportowego maybacha i pojechał do swego domu, położonego na odległym wrocławskim osiedlu Cosel^[25] przy Sachsenweg^[26] 26. Ważną

korrespondencję z salonu Nicolai & Schweitzer czytał wyłącznie w domowym zaciszu.

Najpierw pod płomieniem świecy, ujawniającym zapis atramentu sympatycznego, odczytał ciąg liczb. Było ich bardzo dużo, wszystkie typu 126.2, 142.18 i podobne. Wiedział, co to oznacza. Na przykład w 126.2 liczba przed kropką odsyłała do sto dwudziestej szóstej stronicy, a ta po kropce – do drugiej litery na tejże stronie. Książka, do której się odnosił szyfr, stała się największym szlagierem wydawniczym w Niemczech – była to *Moja walka* Hitlera, pierwsze wydanie z lipca 1925 roku.

Mężczyzna wypisał wszystkie te liczby i rozpoczął żmudną robotę deszyfrowania. Po godzinie intensywnej pracy miał przed oczami gotowy komunikat. Był on jednym wielkim krzykiem osaczonego zwierzęcia, w jakie zamienił się Cynceron. Choć czytający nie bardzo rozumiał, na czym polega siła dekonspiracyjna rytmicznych zakończeń zdań, to nie zlekceważył tego raportu, a właściwie żalosnej prośby petenta.

Ostatnie zdania brzmiały:

Usilnie błagam – bo gra się toczy o moje życie – by zdobyć świadectwo werbunku agenta Łotysza po polsku, będące w posiadaniu Aurelii Teichert. Jest to jedyny egzemplarz. Muszę wiedzieć, czy jest tam ten znak rozpoznawczy, czy nie. Po zdobyciu świadectwa werbunku zlikwidować AT. Unieszkodliwić też Edwarda Popielskiego *vel* Herberta Reiterera poprzez kompromitację, iż ten człowiek Żychonia jest niemieckim szpiegiem. Nie będzie to trudne, a wielu wrogów Żychonia w Dwójce weźmie takie insynuacje za dobrą monetę.

Czytający zapalił papierosa i popadł w głęboki namysł. Nazywał się Alois Grundmann. Był SS-Hauptsturmführerem i – mimo niedawno dopiero przekroczonej trzydziestki – już szefem dolnośląskiego SD. Niezwykły awans, czyli przeniesienie z Gestapo na to samodzielne i prestiżowe

stanowisko w trzecim co do wielkości mieście Niemiec, zawdzięczał
zwerbowaniu kapitana Edmunda Pilichowskiego.

Upadek Cyncerona byłby końcem jego własnej kariery.

[19] Obecnie ul. Bałuckiego.

[20] Obecnie pl. Kościuszki.

[21] Obecnie ul. Powstańców Śląskich.

[22] Nieistniejący dziś odcinek ul. Lubuskiej, dochodzący do ul. Powstańców Śląskich.

[23] Obecnie ul. Powstańców Śląskich.

[24] Oskar i jego cała rodzina (niem.).

[25] Obecnie os. Kozanów.

[26] Obecnie ul. Dobrzańska.

POCIĄG DO GDYNI ODSZEDŁ Z WARSZAWY RANO, punktualnie o godzinie siódmej trzynaście. Zaliczywszy na swej trasie Kutno, Aleksandrów, Toruń – i sześć pomniejszych stacji – wjechał na dworzec w Bydgoszczy o dwunastej dwadzieścia pięć.

Kapitan Edmund Pilichowski wysiadł z wagonu klasy drugiej na peron, którego oblodzoną powierzchnię służba kolejowa rozbijała szpadlami.

„Lepiej późno niż wcale – pomyślał, patrząc na ich trud. – Ciekaw jestem, ilu podróżnych poślizgnęło się tutaj do południa”.

Zganił się w duchu za swoją zgryźliwość. Była w końcu niedziela, podróżnych niewielu, a służba porządkowa dworca też chciała dłużej pospać.

Dwie następne godziny Pilichowski przesiedział już to w poczekalni, już to w dworcowym bufecie, racząc się piwem i bigosem.

O wpół do trzeciej wyszedł na ulicę. Pod dworzec podjechały sanie. Skinął głową dwóm niepozornym mężczyznom, którzy siedzieli na koźle z papierosami w kącikach ust.

Uśmiechnął się z aprobatą. Wszystko dobrze działało. Jak w zegarku. Pociąg był punktualny, jego bydgoscy ludzie do specjalnych poruczeń również. Mieli przybyć dwie godziny po przyjeździe pośpiesznego ze stolicy? Przybyli.

Sprawdziły się przewidywania kapitana, że ci dwaj bydgoszczanie, którzy cieszyli się swoistym respektem w owianej ponurą sławą dzielnicy Londynek, nie będą zbyt elegancko ubrani. On sam się do nich dopasował. Zamiast kapelusza miał kaszkiet ze złamanym daszkiem, zamiast futra

wygryziony przez mole płaszcz z niewielką łąką na łokciu. Wokół szyi owinął kolorowy, robiony na drutach szalik. Poziom komfortu kolejowej klasy drugiej był zatem najzupełniej adekwatny do jego garderoby. Nikt by się domyślił, iż ten pan, wyglądający raczej na robotnika lub na zubożalego urzędnika, ma jakikolwiek wpływ na politykę zagraniczną i obronność Rzeczypospolitej. Tym bardziej nikt tego obdartusa nie uznałby za kompozytora.

Obaj ludzie z Londynka też nie znali profesji swego zleceniodawcy i niewiele ich ona obchodziła. Dla nich było ważne tylko zadanie, do którego zostali wynajęci przez pewnego rekina przemytu śródlądowego, zwanego niewinnie „Tatusiem”. Osobnik ów spotkał się z nimi w jednym z opuszczonych warsztatów przy ulicy Pomorskiej, poczęstował wódką i dał następujące polecenie: mieli saniami zawieźć pewnego pana do majątku Samsieczno oddalonego od Bydgoszczy o trzydzieści kilometrów, tam wykonywać polecenia owego pana – chodziło o „policzenie kości pewnemu frajerowi, a może i mokra robota” – a potem odwieźć swego klienta do Bydgoszczy. Tylko tyle. Proste jak drut.

Pilichowski wsiadł do sań. Jego towarzysze byli ubrani podobnie jak on – w stare płaszcze, kaszkiety i rękawiczki z wełny. Aby nie budzić podejrzeń, iż wiozą kogoś wyjątkowego, jeden z nich powoził, a drugi usiadł obok klienta.

– Jakby co – powiedział i uchylił pazuchę, ukazując litrową butelkę wódki – to mamy tu coś na rozgrzewkę.

Ruszyli. To były jedyne słowa, które padły w drodze do Samsieczna.

* * *

MAJĄTEK TEN NALEŻAŁ OD POKOLEŃ DO LAMBERTÓW – polskich arystokratów z irlandzkim rodowodem. Pamięć rodzinna ich

potomków sięgała do czasów elżbietańskich, gdy na przełomie wieku szesnastego i siedemnastego Irlandia w tak zwanej wojnie dziewięcioletniej walczyła przeciwko Anglii o swoją niepodległość. Po przegranej wielu irlandzkich bojowników o wolność udało się na emigrację do Niderlandów, wśród nich młody i bitny Roger Lambert hrabia Conaughey. Zaciągnął się na służbę króla szwedzkiego Karola Sudermańskiego i udał się na wojnę polsko-szwedzką o Inflanty. Tam konfesja wygrała z jego najemniczym zobowiązaniem i, jako zagorzały katolik, przeszedł na stronę polską. Szybko awansował, w annałach zapisując się jako pułkownik wojsk koronnych.

Od tego czasu losy wschodnioeuropejskiej odnogi rodu Lambertów związane były ściśle z dziejami Rzeczypospolitej. W kolejnych pokoleniach irlandzcy przybysze stali się polskimi patriotami i dali się poznać jako świetni dowódcy i inteligentni zarządcy licznych dóbr ziemskich nadanych im za zasługi bitewne przez kolejnych królów. Mieli oni dobra na Ukrainie, na Pomorzu i w Małopolsce.

Pomorski potomek tego sławnego rodu hrabia Heliodor Lambert był czarną owcą w rodzinie. Brakowało mu odwagi, bystrości umysłu, a żadne uczucia wyższe – w tym patriotyzm – nie miały przystępu do jego umysłu, zamulonego alkoholem, zepsutego erotomanią i zamiłowaniem do hazardu. Ten pięćdziesięcioletni zdeklarowany stary kawaler, chudy, zaniedbany mężczyzna o przerzedzonych włosach i zapadniętych policzkach trwoniał i wyprzedawał dorobek zaradnych przodków. I tak podupadało Samsieczno, słynne niegdyś z hodowli bydła holenderskiego, a obejmujące pola, lasy oraz położone wśród nich długie, kiskowate jezioro.

Wywiad niemiecki od dawna przyglądał się rozrzutnemu hrabiemu, mieszkającemu zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od granicy. Kiedy w Berlinie odkryto, iż jest on związany rodzinnie, a nawet koresponduje

z dalekim krewnym, członkiem brytyjskiej Izby Lordów Douglasem Ormonde'em, o którym wiadano, iż jeden z jego przyjaciół jest dziennikarzem „Timesa”, podjęto decyzję o werbunku Lamberta. Sprawę tę powierzono świeżo pozyskanemu agentowi Cyceronowi. Było to latem roku trzydziestego trzeciego.

Heliodor Lambert miał skłonność do sprzedajnych kobiet, alkoholu i hazardu – a każdy z tych trzech nałogów był podręcznikowym wręcz haczykiem, na który można było złowić przyszłego agenta. Ich kumulacja w osobie pana na Samsiecznie czyniła misję Pilichowskiego dziecinnie prostą. Co więcej – tuż przed wyjazdem werbunkowym los podarował mu nieprawdopodobny wręcz prezent. Zdegenerowany arystokrata sam napisał do Dwójki list, w którym zaoferował sprzedaż tajnych dokumentów, jakie przekazał mu na łożu śmierci jego wuj, Antoni hrabia Lambert. Ów poliglota był tłumaczem i dyplomata, który brał udział w mało komu wiadomych negocjacjach pomiędzy Polską a Francją prowadzonych tuż przed końcem trzeciego powstania śląskiego w roku dwudziestym drugim. Jego kręgosłup moralny nie był tak niezawodny jak lingwistyczne umiejętności, codziennie wynosił i kopiował protokoły, słusznie sądząc, iż staną się one w przyszłości dokumentami o bardzo wysokiej cenie. Antoni Lambert przekazał je przed śmiercią siostrzeńcowi, mówiąc o ich wielkiej wartości. Ten utracjusz, do którego bezdzietny wuj miał szczególną słabość, przyciśnięty do muru długami, napisał w liście do Dwójki: „Dokumenty, które są w moim posiadaniu, pokazują, jak władze polskie i francuskie planowały rozbiór gospodarczy Górnego Śląska. Sprzedam je za dużą sumę”.

Kapitan o wszystkim powiedział ówczesnemu szefowi Dwójki pułkownikowi Teodorowi Furgalskiemu, oświadczając, iż sprawa jest tak

dużej wagi, iż on, Pilichowski, osobiście sprawdzi autentyczność owych dokumentów.

W duchu cieszył się bardzo z nieoczekiwanego prezentu od losu. Nie tylko zwerbujecie dla SD nowego agenta, ale jeszcze sprzeda swoim nowym mocodawcom ważne dokumenty, które – pokazując tajne knowania Polski i Francji przeciwko Niemcom – mogą być podstawą do rewizji niektórych niekorzystnych z punktu widzenia Berlina punktów traktatu wersalskiego.

Pilichowski zawitał zatem po raz pierwszy do Samsieczna w sierpniu trzydziestego trzeciego.

Wystarczyła jednorazowa lektura protokołów z tajnych polsko-francuskich negocjacji, by zrozumiał, iż ma do czynienia z prawdziwą dyplomatyczną bombą. Zgodził się na cenę pięciu tysięcy złotych i obiecał, iż – po zameldowaniu o całej sprawie swym przełożonym – przyjedzie do Samsieczna za tydzień. Drugi cel – oczernianie Polski za niemieckie pieniądze – nie tylko nie wzbudził u hrabiego żadnych oporów natury moralnej, ale w jego przeżartym przez alkohol umyśle tylko przez kilka sekund pojawiło się oczywiste pytanie, dlaczego jego gość raz występuje wobec niego jako agent Dwójki, a raz jako człowiek SD. Uznawszy, że jest on kimś w rodzaju podwójnego agenta – cokolwiek by to znaczyło – Lambert wydał wystawną ucztę na cześć swojego gościa, w czasie której obaj upili się do nieprzytomności. Następnego dnia rano agent Cynceron wyjechał, lekkomyślnie pozostawiwszy akt werbunku w rękach hrabiego.

Kiedy ten gratulował sobie ubicia dobrego interesu, na niebie ich przyszłej współpracy pojawiła się nieoczekiwana ciemna chmura. Skacowany Heliodor ani tego dnia, ani – już po wytrzeźwieniu – przez następny tydzień nie mógł znaleźć dwóch arcyważnych dokumentów: aktu werbunku, własnoręcznie przez siebie podpisanego, oraz prezentowanych swemu gościowi protokołów z polsko-francuskich negocjacji o Śląsk. Jeśli

ten ich nie ukradł, to mogły one znajdować się tylko w jednym z kilku biur i szaf. Niestety, nigdzie ich tam nie było.

Kiedy Pilichowski zjawił się po tygodniu, wyciągnął pugilares i zażądał protokołów „rozbioru gospodarczego Śląska”, hrabia Lambert stwierdził z udawanym smutkiem, że głupi kamerdyner analfabeta zabrał wszystkie papiery po ich libacji i napalił nimi w piecu. Agent Cyceron, klnąc szpetnie, zadowolony się zatem jedynie werbunkiem agenta „Łotysza” – bo takiego arystokrata dostał pseudo – do współpracy z SD. Kazał mu napisać kolejne zobowiązanie do pracy szpiegowskiej i zrobił to, co powinien był uczynić wcześniej, gdyby alkohol nie odebrał mu rozumu – wysłał akt werbunku do centrali SD w Berlinie.

Heliodor Lambert przez kolejny rok jeździł po prowincjonalnej Polsce, fotografował kurioza, opisywał biedę i cywilizacyjne opóźnienia, a cały zdobyty materiał wysyłał swojemu dalekiemu kuzynowi Douglasowi Ormonde’owi, rezydującemu we wspaniałym pałacu w angielskim hrabstwie Dorset, sam inkasując przy tym sumy wcale niemałe.

Tych Berlin nie żałował, ponieważ znalazł znakomitą tubę propagandową w postaci lorda Ormonde’a. Ów – zainspirowany przez pewnego kolegę z klubu w Dorchester – z radością przekazywał materiały polskiego kuzyna swojemu znajomemu, młodemu dziennikarzowi nazwiskiem Henry Mortimer, z którym Ormonde’a łączyła więź wstydliva, lecz jakże dobrze znana wśród angielskich arystokratów.

Świetnie poinformowany żurnalista pisał w „Timesie” ostre i prześmiewcze artykuły na temat jakiegoś dalekiego kraju, o którym jego czytelnicy wcześniej nie mieli zielonego pojęcia. Owe teksty podpisywał swym nazwiskiem lord Ormonde, który dodatkowo na każdym kroku i w każdym dżentelmeńskim klubie drwił sobie z „nadwiślańskiej dziczy”.

Wszyscy byli zadowoleni. Pilichowski – bo uwiarygodnił się wobec niemieckich mocodawców, werbując Lamberta; hrabia – bo zdobywał fundusze na kolejne orgie i pijaństwa; bajecznie bogaty lord Ormonde – bo lubił sławę, jaka go otaczała po tych publikacjach; a dziennikarz Mortimer – bo z przyjemnością i zgodnie z umową inkasował wszystkie wysokie honoraria swego dużo starszego przyjaciela.

* * *

„TA MASZYNA DZIAŁAŁA BEZBŁĘDNIE – myślał Pilichowski, chuchając po długim łyku wódki i patrząc na ośnieżone lasy – aż pojawiło się śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie wiadomo jak, ale nagle wypłynęło zobowiązanie Lamberta do współpracy, oczywiście to pierwsze, rzekomo spalone przez kamerdynera, bo to drugie spoczywa bezpiecznie w archiwach SD. Tymczasem jakaś wrocławska dziwka stała się jego posiadaczką i nade mną zawisł miecz Damoklesa”.

Było pewne, że gdyby teraz w ręce Dwójki wpadła podpisana przez Heliodora Lamberta umowa o współpracy z wywiadowczym pionem Sicherheitsdienst, to Łotysz trafi do Berezki Kartuskiej i wystarczy mu kilka dni bez wódki, by potem na widok butelki w jednej chwili opisać wygląd swojego oficera prowadzącego. Analiza muzycznych fraz raportu, podyktowanego mu przez oficera werbującego, nie pozostawi wątpliwości, kim jest Cyceron – o ile oczywiście ten zawarł tam swój znak rozpoznawczy.

„Nie jestem tego pewien, bo byłem pijany jak nieboskie stworzenie – myślał gorączkowo. – Nie jestem, kurwa, pewien, czy nie napisałem tam jakiejś głupiej rytmicznej frazy...”

Gdy już dojeżdżali do brzegu skutego lodem jeziora, w głowie Pilichowskiego dźwięczały wciąż te „głupie” klauzule, których nie potrafił

sobie odmówić, te słabo związane z treścią raportu zwroty na końcu zdań, na przykład: „co już napisałem” albo „co już niepotrzebne”, gdzie akcentowane były – wzorem samego Marka Tulliusza Cyncerona – sylaby pierwsza i piąta. Agent noszący jako pseudonim imię słynnego rzymskiego retora uwielbiał kunsztownie zbudowane rytmiczne zdania, jako muzyk napawał się precyzyjnym rozłożeniem intonacyjnych przycisków, eufonią powtarzanych głosek. To było jego dziwactwo, nieszkodliwa słabość, która mogła teraz odebrać mu nie tylko stanowisko, ale i wolność. Nie wątpił, że owe dziwne rytmy prędzej czy później wpadną komuś z Dwójki w ucho i tak się zakończy jego kariera, jeśli nie życie.

Hrabia Lambert, widząc nadjeżdżające sanie, myślał teraz wyłącznie o tym, czy człowiek, który go zwerbował, przywiózł mu zaległe pieniądze, bo tak Pilichowski uzasadniał tę nagłą wizytę w Samsiecznie.

– Ma pan forszę? – zapytał, gdy Cynceron zbliżył się ku niemu, stąpając ostrożnie po lodzie. – Ile tego będzie? Czemuż pan tak dziwnie ubrany? Nie mogę tu stać i udawać, że łowię ryby w ciemnościach!

Rzeczywiście, nad jeziorem zapadał już półmrok. Kapitan zatrzymał się i spojrział wokół. Uśmiechnął się, wspominając, jak łatwo było oszukać hrabiego i skłonić go do wyjścia z domu na to odludzie. Wystarczyły dwa słowa: „zaległe honorarium”. Gdyby Lambert dokładnie policzył dochody z antypolskiej działalności, zrozumiałby, że zleceniodawca żadnych zaległości wobec niego nie ma. A zresztą to było mało prawdopodobne, by możliwość uzyskania dodatkowych pieniędzy – należnych mu czy też nie – wzbudziła jakąkolwiek podejrzliwość u tego notorycznego utracjusza.

– Gdzie schowałeś akt werbunku, który ci podyktowałem? – warknął Pilichowski i dodał, widząc bezbrzeżne zdziwienie w oczach Lamberta: – No ten, co napisałeś własnoręcznie i podpisałeś! No gdzie? Mów! Tylko mi nie opowiadaj bajeczek o kamerdynerze analfabecie ...

Hrabia rozejrzał się wokół, jakby w otoczeniu szukał owego pisma. Nie znalazł go jednak ani w drzewach dokoła, ani w wędce leżącej na lodzie, ani w przerębli w nim wyrąbanej. Jego jakby wessane, pokryte żyłkami policzki napięły się nieco. W przekrwionych oczach pojawiło się przerażenie.

– O Boże! – westchnął ciężko. – Przypuszczam... Chyba wiem, gdzie one były!

Ukucnął i zaczął trzeć powieki zdrętwiałymi od mrozu palcami. Jego oficer prowadzący patrzył – najpierw ze współczuciem, potem ze złością – na zwerbowanego przez siebie agenta, który teraz kucał i płakał. W końcu Cyceronem zawładnęła furia.

Wymierzył hrabiemu tak silnego kopniaka, że aż sam stracił równowagę, poślizgnął się na lodzie i upadł, lądując tuż koło przerębli. Zerwał się w jednej chwili i nastąpił butem na szyję leżącego mężczyzny.

– Mów, degeneracie, gdzie są te dokumenty!

– Były chyba w biurku – wycharczał leżący. – Tylko tam mogły być. W zabytkowym biurku... Właściwie kabinecie... Dziele sztuki, wyprodukowanym przez Roentgenów. W mojej rodzinie od pokoleń to biurko. Tam je chyba schowałem... W specjalnej skrytce, przypomniałem sobie dopiero poniewczasie. No, puść, bo się uduszę! No, puszczaj, kurwa!

Zaczął nagle dziwnie piszczeć. Kapitan wystraszył się, że jeszcze go zadławi podeszwą. Zestąpił z szyi i spytał:

– Gdzie jest to biurko? Co to znaczy „poniewczasie”?

Hrabia usiadł na lodzie i spojrzał na Pilichowskiego przerażonym i pokornym wzrokiem.

– Sprzedałem je – powiedział cicho. – I to chyba z dokumentami w środku.

– Głośniej! – warknął kapitan. – Nic nie słyszę.

– Sprzedałem na aukcji w Gdańsku. Kupił je znany marszand z Wrocławia. Żyd Lasar czy Laskar... Nie, Lasker! Tak się chyba nazywał.

Pilichowski znał już odpowiedź na pytanie, skąd „ormiańska dziwka” ma owe papiery. Mimo przejmującego mrozu zaczął się pocić.

„Tak się spocę przed plutonem egzekucyjnym – pomyślał – gdy Dwójka odkupi te dokumenty”.

Odwrócił się do hrabiego plecami.

Idąc w stronę brzegu, słyszał za sobą okrzyki Lamberta. Na zamarznięte jezioro Samsieczno weszło dwóch niepozornych ludzi z ponurej bydgoskiej dzielnicy. Od jednego z nich Pilichowski wziął butelkę niedopitej wódki, drugiemu szepnął coś na ucho.

Zapadł zmrok. Pilichowski pił i palił odwrócony plecami do jeziora.

W oddali chlupotała woda w przerębli.

A potem przestała.

Z dziury w lodzie przez chwilę wystawały nogi.

A potem zniknęły pod lustrem wody, która zmroziła krew w żyłach hrabiego.

* * *

AGENT CYCERON BYŁ W BYDGOSZCZY o godzinie ósmej wieczór. Rozliczył się z „chłopakami z Londynka” i – przemarznięty do szpiku kości – wszedł do Hotelu Pomorskiego przy Podgórnej 1. Mieścił się on przy ponurej ciemnej ulicy, zabudowanej niskimi domami. Był tani i wyglądał na dom schadzek, gdzie pokoje wynajmuje się na godziny. Kapitan nie dbał o to, bowiem jego noclegownia miała dwie wspaniałe zalety: po pierwsze, niechlujny recepcjonista nie żądał od nikogo dokumentów, po drugie – i najważniejsze – było tu ciepło.

Kiedy Pilichowski już się trochę rozgrzał, napisał sokiem z cytryny list, w którym poinformował SD o „marszandzie Żydzie Lasarze, Laskarze *vel* Laskerze”, jako o bardzo prawdopodobnym posiadaczu ważnych dokumentów, oraz o utracie cennego współpracownika, Heliodora hrabiego Lamberta, który utopił się po pijanemu, łowiąc ryby w przerębli. Kiedy ów tajny list wysechł, to zwykłym atramentem – już jako Oskar Waag – rozpisał się o swoich wrażeniach po wizycie na warszawskim lodowisku Palais de Glace na Nowym Świecie. Adresatem był Martin Waag, subiekt we wrocławskiej firmie Nicolai & Schweitzer.

Nazajutrz po południu kapitan był w Warszawie niewyspany i pokąsany srogo przez hotelowe pluskwy.

Nie poszedł do Sztabu Głównego, rozpoczynał bowiem tego dnia krótki zimowy urlop. Jedynie zatelefonował do deszyfranta Pawłowskiego z zapytaniem, czy wysłał dziś Żychoniowi dwa raporty Popielskiego z Wrocławia. Podwładny potwierdził i życzył szefowi miłego zimowego wypoczynku.

Agent Cyceron odetchnął. W tej trudnej sytuacji szczęście mimo wszystko mu sprzyjało. Deszyfrant Pawłowski właśnie wrócił po kilkudniowej chorobie i Pilichowski miał wiarygodne wytłumaczenie – w razie gdyby Żychoń się dziwił, że oba raporty szły do niego tak długo.

W poniedziałek Pilichowski zjawił się na Poczcie Głównej przy placu Napoleona i wysłał ekspresem list do Wrocławia.

Trzy dni później list ów znalazł się w rękach SS-Hauptsturmführera Aloisa Grundmanna.

* * *

SZEF SEKCJI SD NA ODCINEK POŁUDNIOWO-WSCHODNI, bo tak brzmiała urzędowa nazwa tej placówki[27], przeczytał go kilkakrotnie,

potem sprawdził występujące w nim nazwisko i przeczytał jeszcze raz.

Był tym razem w swojej służbowej siedzibie – na drugim piętrze ogromnej willi przy Friedrich-Hebbel-Strasse[28] 1. Okno jego gabinetu wychodziło na zimowy park Południowy, ale Grundmann nie podziwiał ośnieżonych drzew. Zidentyfikowanie „Lasara, Laskara czy też Laskera” z marszandem Hermannem Laskierem oraz sprawdzenie w towarzyskich dodatkach gazet – co już wykonali jego ludzie – iż bliskie stosunki łączyły go z pianistką Aurelią Teichert, zajęło mu trzy godziny. Potem zaczął roztrząsać wady i zalety dwóch różnych sposobów przyciśnięcia Laskera.

Pierwszy z nich był brutalny i radykalny. Wystarczyło, że weźmie kilku chłopaków z Gestapo i oni szybko zmuszą starego Żyda do pokazania, gdzież to ukrył tak ważny dla Cycerona dokument. Drugi sposób był subtelny – postraszyć staruszka, a potem obserwować, do kogo idzie, do kogo telefonuje. Ten sposób umożliwiał ryzykowną, ale bardzo opłacalną grę: natrafienie na ślad większej siatki szpiegowskiej, na innych – poza piękną Aurelią – ludzi, którzy kontaktują się z polskim konsulem i Dwójką.

O godzinie piątej po południu, niewiele przed zamknięciem antykwariatu Brunona Wenzla, zatrzymał się przed nim sportowy maybach. Wsiadł z niego młody mężczyzna w jasnym beżowym płaszczu i w skórzanym brązowym kapeluszu podbitym futerkiem.

Zadzwoił donośnie do drzwi i wszedł do pomieszczenia pachnącego nielubianą przez siebie wonią muzeum – mieszaniną zapachów starych mebli, pasty do podłóg i książek.

W środku było dwóch klientów. Obaj dobrze ubrani, najwyraźniej zamożni. Jeden oglądał stare krzesło kurulne, drugi – obrazy wiszące na przeciwległej ścianie. Pomiędzy nimi poruszał się powoli i z godnością starszy mężczyzna ubrany na czarno. Nosił niemodny już surdut i równie

niemodną kokardę pod szyją. Nie przypominał żadnego z tych subiektów, co to paradują w wywatowanych w ramionach marynarkach i kolą w oczy udrapowanymi poszetkami. Jego aparycja i podeszły wiek idealnie pasowały do otoczenia, podobnie jak sączące się z patefonu dźwięki klawesynu.

Na widok nowego gościa starszy pan ukłonił się lekko, ukazując małą głowę upstrzoną kilkoma ciemnymi plamami i okoloną siwym puchem.

Grundmann uśmiechnął się i uniósł rękę w geście „nie śpieszy mi się, pooglądam to i owo”.

Antykwariusz zapewnił miłośnika mebli, iż takie krzesło kurulne z wyrzeźbionymi psimi głowami, jakimi zakończone są podłokietniki, jest prawdziwym rarytasem, po czym z powagą przyjął deklarację klienta, iż ten musi przemyśleć cenę, bo wedle niego jest ona stanowczo za wysoka.

Z drugim klientem pan Laskier rozmawiał po angielsku, co zelektryzowało Grundmanna, łowcę szpiegów. Z długich ciągów obcych dźwięków wyłowił jedno niemiecko brzmiące słowo lub nazwisko: „Schenk”, czyli „szynkarz”. Zapisał je szybko w notesie.

Cudzoziemiec sapnął gniewnie i opuścił sklep bez pożegnania.

– Och, ci Amerykanie! – Antykwariusz uśmiechnął się do swego trzeciego klienta. – Wypytuje długo o Petera Schencka, o jego miedzioryty z panoramą Amsterdamu, a kiedy mówię mu, że musi na nie poczekać, gniewa się, jakbym mu jakąś krzywdę wyrządził. Oni są przyzwyczajeni, proszę pana, do tego, że wszystko jest szybkie, łatwo dostępne i tandetne!

Spojrzał uważnie na Grundmanna.

– Przepraszam, rozgadałem się... Czym mogę służyć, szanownemu panu?

– Chciałbym kupić biurko, panie Laskier. – Uśmiechnął się przybysz. – To samo, które pan kupił od pewnego polskiego arystokraty na aukcji

w Gdańsku. Cena nie gra roli, panie Laskier.

Antykwariusz spuścił wzrok. Splótł dłonie, starając się ukryć ich drżenie.

– Ono nie jest na sprzedaż – szepnął. – To moja własność prywatna. Ja przy nim pracuję.

Grundmann szybkim ruchem chwycił mężczyznę pod brodę i ustawił jego głowę pod takim kątem, że mógł – choć dużo wyższy od antykwariusza – patrzeć mu prosto w oczy.

– Posłuchaj, Żydzie – wysyczał. – Jestem wysokim oficerem w randze SS-Hauptsturmführera. Pewnie się dziwisz, dlaczego nie mam munduru, prawda? Dziwisz się?

W oczach Laskiera pojawiło się przerażenie pomieszane z odrazą. Zrozumiał, ileż było prawdy w słowach proroczych jego przyjaciela Żyda, który przed dwoma laty sprzedał mu całą kolekcję obrazów Willmanna znacznie poniżej jej wartości, mówiąc: „Hermannie, wokół bulgoce kloaka. Uciekaj, zanim ona wybije u ciebie!”.

„Właśnie wybiła” – pomyślał Laskier i rzekł:

– Tak, owszem. Dziwię się, *Herr* Hauptsturmführer... Dlaczego bez uniformu?

Grundmann uśmiechnął się, a jego oczy zwęziły się w szparki, wysyłające złowrogie błyski.

– Mundur wkładam tylko wtedy, gdy przypinają mi ordery.

Puścił antykwariusza i przeszedł się po sklepie. Obcasy jego butów dudniły po skrzypiących deskach. Dudnienie i skrzypienie. Laskierowi ten drugi dźwięk kojarzył się z zawodzeniem bitego człowieka, ten pierwszy – z waleniem pałką. Poczul gorące łzy pod powiekami.

– Przyszli po mnie – szeptał pobladłymi wargami. – Wylała się kloaka, wylało szambo. Tonę w nim, tonę...

Grundmann tymczasem podszedł do małego otoczonego parawanami *separé*, gdzie stało ogromne, pięknie intarsjowane biurko z licznymi szufladami. Usiadł przy nim, przez chwilę kręcił się w fotelu, szukając najwygodniejszej pozycji. Spojrzał za siebie, na bibliotekę wypełnioną hiszpańskimi książkami, a potem na wprost – na wielką, szeroką kolumnę o węzowych jakby splotach, umiejscowioną w rogu pomieszczenia. Uderzył płaską dłonią o blat.

– Zapewne to w tym biurku jest dokument, schowany tam przez poprzedniego właściciela mebla – powoli cedził słowa. – My wiemy, że pan chce je sprzedać Polakom. Nieładnie, oj, nieładnie. Na tym piśmie bardzo zależy pańskiej ojczyźnie, *Herr* Laskier. Pańskiej dotychczasowej ojczyźnie...

Kilkakrotnie zamknął dłoń, kładąc tym gestem zbliżyć się do siebie. Antykwariusz posłusznie podszedł do biurka. Stał przed nim jak zgnębiony petent, a młody, zdrowy i silny pan jego losów rozpierał się za wspaniałym meblem.

– Bo pańską docelową ojczyzną jest Ameryka – ciągnął Grundmann. – Północna lub Południowa, obie pełne oszałamiających, choć różnych, perspektyw.

– To nie jest biurko, prostaku – powiedział stary Żyd. – To sekretera, przerobiona z kabinetu Roentgena!

Twarde słowa mocno kontrastowały z płaczkliwym tonem, dobywającym się z ust Laskiera. Grundmann rozciągnął swe wąskie wargi w szerokim uśmiechu i przesunął skórzanym kapeluszem po blacie w tę i z powrotem. Był pewien, że stary jest bliski załamania i tylko udaje niezłomnego, broniąc się przed pogardą dla samego siebie.

– Dziękuję, panie Laskier, za pouczającą uwagę meblarską. Jestem jeszcze młody, powinienem słuchać starszych...

Wstał i wyszedł zza biurka.

– Proszę, niech pan tam siada! To ja w końcu jestem petentem. No, niech pan siada, a ja w pokorze powiem, o co mi chodzi!

Starszy pan nie uczynił żadnego gestu, był skonfundowany i zupełnie nieprzygotowany na psychologiczną grę, od której wiało jakąś grozą.

Stali wciąż naprzeciwko siebie: Laskier, ściskający nerwowo palce, i Grundmann z rękami założonymi za plecy.

– Ojczyzna panu zapłaci, panie Laskier, za ten kabinet. Dużo, bardzo dużo. Bo w nim jest, jak już powiedziałem, dokument, na którym ojczyźnie bardzo zależy. Bardzo. Do tego stopnia, że chce pana obdarzyć cudownym powiewem wolności i nie będzie pamiętać panu zdrady, jaką była oferta wobec Polaków. Wyjedzie pan, dokąd tylko zechce. Z młodą piękną Aurelią przy boku. I zapomni pan o Niemczech i o tym dokumencie.

Urwał. Laskier nie wytrzymał, słysząc imię ukochanej. Z oczu potoczyły mu się dwie łzy.

– A jeśli w nim nie ma dokumentu – szepnął esesman. – Bo gdzieś pan go schował, wiedząc, jak jest ważny... Jeśli go nie ma w którejś w tych zamkniętych skrytek...

Dotknął półokrągłych szufladek, umiejscowionych w dwóch wieżyczkach, wznoszących się z obu stron blatu.

– To pan się o niego postara. Za trzy dni do pana przyjdę. Z kolegami. Przywlecemy ze sobą orientalną piękność. Trochę się będzie opierała, wiem. Ale w końcu damy sobie radę z wierzgającą klaczką. – Ten wyraz wypowiedział z jakimś lubieżnym pyknięciem. – Wtedy poproszę o dokument, a pan mi go wręczy. Jeśli tak się nie stanie i pan odmówi, to... – Przesunął pieszczotliwie palcem po blacie. – To tutaj ją rzucę, twarzą na biurko czy, jak wolisz, kabinet. Będziesz patrzył, jak powoli podciągam jej sukienkę, jak rozpinam spodnie... A koledzy... Jeden z nich zdławi tę

dekadencką muzykę, co słychać teraz, i puścimy na patefonie *Horst-Wessel-Lied*. Ja przy tej muzyce bardzo się podniecam, oni zresztą też. Mam mówić, co będzie dalej?

Hermann Laskier płakał cicho.

– Nie mam ich tutaj – wyszłochał. – Za trzy dni będą dokumenty dla pana.

Grundmann podszedł do antykwariusza, uniósł swe ramiona i nagle dziarsko uderzył go z obu stron w wątle barki.

– No, kamracie, jesteś bardzo posłuszny! – ryknął i prawie dławił się śmiechem. – Bardzo. Ja wciąż mówiłem o „dokumencie”, w liczbie pojedynczej... A ty mi tutaj, teraz o „dokumentach” w mnogiej. Posłuszny jesteś bardzo i nader uczynny, *mein lieber Kammerade!*

Grundmann wyszedł ze sklepu, mijając się w drzwiach z Amerykaninem, któremu najwidoczniej śpieszyło się kupić cokolwiek, nie tylko holenderskie pejzaże Schencka.

Grundmann zapuścił silnik i mrugnął do swoich ludzi, którzy obserwowali antykwariat – jeden jako uliczny sprzedawca kiełbasek i gorącego ponczu, drugi jako słaniający się na nogach pijak.

– No to zobaczymy, dokąd pójdziesz, Żydzie – rzekł do siebie esesman. – Do kogo zatelefonujesz... A ja rozpracuję całą twoją siatkę. A wtedy włożę mój piękny mundur. On do orderów jest przeznaczony.

Kiedy Grundmann jechał zaśnieżonymi ulicami – wpadając w ulubione kontrolowane poślizgi – Laskier pożegnał Amerykanina, sprzedawszy mu imitację Schencka, zamknął zakład i zaciągnął żaluzje na witrynach.

Klatką schodową, zwaną „Laokoonem”, wszedł do swej sypialni i napisał długi list do Aurelii. Potem zszedł tajnym zejściem do piwnicy. Wiedział, gdzie może spotkać Klause, trzynastoletniego syna stróża.

Tak jak to przewidział, Klaus grał w skata w piwnicy swego ojca, niemiłosiernie dymiąc tanią machorką. Antykwariusz poprosił go na korytarz, wręczył mu list i banknot.

Jego nominał był tak duży, że Klaus przerwał grę, wyprosił dwóch protestujących kolegów i udał się na rowerze na Kaiser-Wilhelm-Strasse[29]. Po drodze przemarzł na kość, ale opłaciło mu się z nawiązką.

Kiedy wychodził od znanej sobie pięknej brunetki, usłyszał z jej mieszkania muzykę. Nie wiedział, że Aurelia Teichert usiłuje dźwiękami stłumić szarpiące nią łkanie.

* * *

HEINZ KROPIDEL, GOŚĆ HOTELU GERMANIA zajmujący pokój na trzecim piętrze, był człowiekiem wścibskim. Ten przedstawiciel handlowy berlińskiego koncernu AEG zatrzymał się we Wrocławiu w drodze powrotnej z Górnego Śląska, gdzie z sukcesem podpisał z dwiema kopalniami umowy na sprzedaż elektrycznych maszyn wyciągowych. W nadodrzańskiej metropolii miał się zobaczyć z jeszcze jednym kontrahentem. Po owym spotkaniu wrócił do hotelowego numeru, trochę wstawiony, i szykował się już do spania, kiedy usłyszał hałas na zewnątrz. Wiedziony naturalnym odruchem, odsłonił wizjer i spojrzał na korytarz. Ujrzał szczupłą damę w futrze z gęstą woalką na twarzy. Poczł podniecenie.

„Idzie na schadzkę – pomyślał – stąd ta woalka, by jej w recepcji nie zapamiętano. Musiała dać parę groszy recepcjoniście. I teraz idzie się gzić jak bura suka. Uuuu, ten łysy to ma szczęście”.

Kobieta mocno zastukała do drzwi. Sąsiad pana Kropidla otworzył i stanął w nich w hotelowym szlafroku z literką „G”, umieszczoną

w wieńcu z dębowych liści. Na głowie miał resztki piany, a podwiązki do skarpetek opinały jego umięśnione łydki.

– To musiało wyjść od pana! – krzyknęła po polsku kobieta. – Tylko od pana!

Dobrze zbudowany sąsiad, nie zważając na odpowiednie maniere, chwycił kobietę mocno za rękę i wciągnął do pokoju.

„Uuuu, będzie ostro – pomyślał Kropidel z niejakim żalem. – Polki to są dopiero rozpustnice”.

Gdyby handlowiec z Berlina był obdarzony ponadnaturalną zdolnością przenikania przez ściany, bardzo by się rozczarował. Łysy mężczyzna posadził kobietę na fotelu i rzekł:

– Przepraszam, jestem w bieliźnie. Proszę chwilę poczekać, przebiorę się, a pani zbierze myśli, opanuje emocje i wszystko mi wyjaśni.

– Nie! – krzyknęła Aurelia. – Ma pan tu zostać, zdrajco! I mnie słuchać!

Siedziała w futrze na brzeżku fotela, a łokcie opierała na krągłych kolanach. Była bez makijażu, co jej dodawało bezbronności i dziewczęcego uroku.

– Napije się pani winiaku? – Popielski uczynił ruch w stronę biurka, na którym stała butelka z etykietą „Chantré”.

– A nie jest zatruty? – zapytała zaczepnym tonem. – Tak jak pańskie słowa. Pańskie wyrachowane przymilanie się.

Edward usiadł w fotelu naprzeciwko Aurelii. Zdawał sobie sprawę, jak śmiesznie wygląda – w skarpetkach z podwiązkami, w przymałym szlafroku, z płątami wyschniętej piany na głowie.

– Niech mi pani powie spokojnie, o co chodzi!

Głębiej wsunęła się w fotel, odrzuciła futrzany toczek z woalką i spojrzała na winiak.

– Poproszę jednak odrobinę!

Edward wstał, wziął szklanę, umył ją w umywalce w rogu pokoju i starannie wytarł swoją dużą białą poszetką. Potem zanurzył ręcznik w zimnej wodzie i otarł z głowy, policzków i z szyi resztki piany.

– Ona jest czysta. – Wskazał głową na poszetkę. – Niedawno prasowana. Hotelowym ręcznikom bym nie ufał. Przepraszam, że nie mam kieliszków.

Nalał kobiecie jedną czwartą szklanki i podał. Zamoczyła lekko usta w ciemnym, palącym płynie.

– Gestapo dotarło do człowieka, który ma te dokumenty – powiedziała po polsku. – Jak na niego natrafiło? To musiało wyjść od pana, musiał mnie pan śledzić. Dowiedział się pan, do kogo chodzę. I potem do tego człowieka, zacnego człowieka, przyszło Gestapo...

Popielski gwałtownym ruchem uderzył się w czoło. Niedokładnie wytarta kropla wody spłynęła mu po nosie.

– Że ja o tym nie pomyślałem! – wykrzyknął. – Polski wywiad od początku wiedział, że łączy panią przyjaźń z Hermannem Laskierem. Ale nikomu, powtarzam, nikomu nie przyszło do głowy, że bogaci marszandzi, bywający na europejskich salonach, kontaktują się z różnymi ludźmi i mają dostęp do różnych dokumentów! Któż, jeśli nie on, mógł mieć owe dokumenty w swym posiadaniu! A ja o tym wcale nie pomyślałem, bo... – Teraz szeptał. – Bo w pani czarnych oczach znalazłem melancholię, której nie mogę się oprzeć.

Patrzył na nią przez chwilę. Był tak autentyczny w swym zdumieniu i w swoim podziwie dla niej, że Aurelia natychmiast porzuciła wszelkie podejrzenia. Musiałby być mistrzem gry aktorskiej, by aż tak doskonale udawać. Tymczasem ten mężczyzna w jej towarzystwie – co widziała bardzo dobrze – po prostu wariował jak nastolatek, o czym świadczył każdy

jego gest, każde jego słowo – jak choćby ta ostatnia wypowiedź. W takim stanie ducha mógł zrobić wszystko, jednak na pewno nie potrafili tak dobrze imitować uczuć.

Poczuła się teraz głupio. Aby pokryć swe zmieszanie, piła znakomity winiak małymi łydkami.

– Po co pani do mnie przyszła? – zapytał ostro. – Prosto w łapy rzekomego niemieckiego agenta! No po co?

Musnęła go szybkim spojrzeniem.

– Bo chciałam uwieść tego niemieckiego agenta, aby go mieć pod swym butem...

Każde jej słowo z trudem wydobywało się z krtani. Odstawiła niedopitą szklankę.

– Mój cel było prosty: omotać tego agenta, by się mną zaopiekował i nie oddawał mnie w łapy gorszych od siebie zbirów. Żeby mnie ocalił. Tak, mój panie, uwieść! To czasami jedyna broń kobiety. Wiem, że nie jestem panu tak całkiem obojętną...

Ostatnie słowa wyszeptała. Edward zerwał się z fotela. Szlafrok się rozchylił, ukazując jego owłosiony tors.

Uśmiechnęła się lekko i wstała. Czuł bijący od niej zapach alkoholu. Choć przyciągała go jak magnes, nie uczynił w jej kierunku najmniejszego ruchu.

– Zarekomenduj mnie panu Laskierowi! – powiedział z naciskiem. – Muszę z nim szczerze i zdecydowanie porozmawiać. Jest w bardzo dużym niebezpieczeństwie. Mogę go uratować. Wywieź stąd! Gdzie on trzyma te dokumenty?

Nagle uderzyła go piąstkami w pierś. Cios był tak niespodziewany, że Edward zachwiał się i cofnął.

– Tak chciałeś mnie podejść, co, panie łysy? – syknęła. – Tak oto wydobyć ode mnie informację o miejscu przechowywania dokumentów?

Ruszyła wściekła w stronę drzwi. Patrzył na jej smukłe łydki.

– Żałuję, że nie jestem niemieckim agentem – powiedział nieoczekiwanie.

– Dlaczego? – zapytała.

Stała przy drzwiach. Odwrócona do niego tyłem, z dłonią na klamce. Nie usłyszawszy odpowiedzi, nacisnęła ją lekko. Drzwi się uchyliły.

– Bo gdybym nim był, tobym cię posiadał – wychrypiał. – Tu i teraz! Na tym fotelu!

Aurelia zamknęła drzwi.

Ale od wewnątrz.

Po sekundzie była w ramionach Edwarda i przyciskała policzek do jego włosów na torsie. Szybkimi ruchami zdzierała z niego hotelowy szlafrok.

Pana Heinza Kropidla obudziły w nocy okrzyki ekstazy.

[27] SD-Oberabschnitt Süd-Ost Breslau.

[28] Obecnie ul. Kutnowska.

[29] Obecnie ul. Powstańców Śląskich.

PULKOWNIK JERZY ENGLISCH PEŁNIŁ FUNKCJĘ szefa Dwójki od kilku zaledwie miesięcy. Wcześniej ten oficer dyplomowany artylerii, dowódca różnych pułków artyleryjskich w rodzinnym Lwowie, nie miał wiele wspólnego z wywiadem. Toteż wróble na drzewach ogrodu Saskiego ćwierkały, że stanowisko szefa Dwójki jest tymczasowe, że jest swoistą trampoliną, z której Englisch przy pewnej przychylności losu wyskoczy wprost do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych.

W robocie szpiegowskiej czuł się dość niepewnie. Uczucie to pokrywał – jak to często bywa w takich wypadkach – głośnym zachowaniem, wydawaniem rozkazów zdecydowanym tonem, dyscyplinowaniem podwładnych i szukaniem dziury w całym. Niżsi oficerowie sztabowi, widząc na korytarzu niewysoką, szczupłą sylwetkę swojego szefa, chowali się po pokojach, nie chcąc narazić się na ostre uwagi na temat stanu swego umundurowania tudzież punktualności, zgłaszane podniesionym tonem i w niewybrednych słowach.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że pułkownik Englisch jest tylko malowanym szefem. Jako inżynier o ścisłym umyśle, absolwent Politechniki Lwowskiej, dość szybko zorientował się w powierzchniowych meandrach pracy wywiadowczej – niestety, tylko tej na najwyższych szczeblach. O trudzie szeregowych agentów miał nad wyraz blade pojęcie.

Z tegoż powodu odkładał wciąż decyzję rozmowy telefonicznej z kapitanem Janem Henrykiem Żychoniem, której ten niezdyscyplinowany i porywczy, lecz zabójczo skuteczny oficer stanowczo się domagał. Englisch zwlekał, ponieważ spodziewał się z jego strony żądań

dotatkowych funduszy, którymi miała być zasilona aktualnie przeprowadzana misja wrocławska, zwana też misją Götza. Aby choć częściowo zorientować się w jej szczegółach operacyjnych, pułkownik skonsultował się wcześniej z dwoma ze swoich najważniejszych współpracowników. Jednym z nich był szef Referatu Niemcy Wydziału Studiów kapitan Wincenty Hryniewicz, drugim – kapitan Edmund Pilichowski, szef Referatu Radiowywiadowczego i Biura Szyfrów Wydziału Wywiadu.

Po tych konsultacjach Englisch w wyznaczonym Żychoniowi terminie zasiadł w specjalnym wytłumionym gabinecie i o umówionej godzinie odebrał telefon od szefa Ekspozytury nr 3.

Nad połączeniem czuwali w centrali telefonicznej w Bydgoszczy oraz w Warszawie specjalnie wyszkoleni agenci Dwójki; tego dnia telefonistki obsługujące tę linię przed południem – ku swojej radości – dostały polecenie przyjścia do pracy o dwie godziny później niż zwykle. Gabinety Englischa i Żychonia były ponadto wyposażone w aparaturę zagłuszającą podsłuch, sporządzoną przez specjalistów z Państwowej Wytwórni Łączności. Oficerowie mogli zatem swobodnie rozmawiać.

– Agent Götz donosi – zabrzmiał ostro w słuchawce głos Żychonia po tym, jak wymienili już grzecznościowe zwroty powitalne – że sytuacja we Wrocławiu robi się bardzo napięta. Do posiadacza protokołów z polsko-francuskich negocjacji antykwariusza Hermanna Laskiera zgłosił się esesman, najpewniej oficer Sicherheitsdienst albo służb kontrwywiadowczych Gestapo. Zagroził Laskierowi zgwałceniem jego kochanki Aurelii Teichert, w razie gdyby nie oddał dokumentów. Za ich przekazanie Laskier ma niby otrzymać nagrodę w postaci pozwolenia na wyjazd z Niemiec i na wywiezienie swego majątku. Götz sądzi, że są to puste obietnice...

– Czemu ten oficer SD od razu nie zamknął Laskiera i nie wyrwał mu z gardła tych dokumentów? – zapytał Englisch.

– Götz przypuszcza, że chce ująć całą domniemaną siatkę Laskiera – odpowiedział Żychoń. – Götz jest zdania, i ja je podzielam, że żadnej siatki tam nie ma. Dopóki esesman jest jednak przekonany o jej istnieniu, dopóty Laskier nie zostanie aresztowany. On się bardzo boi o kochankę, odchodzi od zmysłów. Chce oddać dokumenty esesmanowi. Götz z nim porozmawiał i złożył mu kontrpropozycję...

– Oszalał ten Götz czy co, do jasnej cholery!?! – Pułkownik aż podskoczył za biurkiem. – Przecież Laskiera mogą śledzić ludzie tego esesmana i dotrą do naszego agenta!

– Agent Götz jest zbyt doświadczony – odparł teraz spokojnie kapitan – by popełniać takie błędy. Donosi mi, że z antykwariatu jest tajne wyjście, nieodkryte dotąd przez Niemców...

– A jaka jest ta propozycja Götza? – Englisch był znacznie spokojniejszy. – Dlaczego ma być konkurencyjna wobec niemieckiej?

– Bardzo prosta – odpowiedział Żychoń. – Brzmi ona: Gestapo pana zabije, *Herr* Laskier, a my chcemy pana uratować. I zrobimy to, jeśli oczywiście odda nam pan wszystkie dokumenty!

* * *

– TAK, DROGI PANIE. – Kilka dni wcześniej Popielski pochylił się ku antykwariuszowi. – Właśnie tak. Albo zawierzy pan ludziom honoru z Gestapo i wkrótce zostaje pan zesłany do Dachau, albo my wyciągamy pana z opresji, pakujemy pana i panią Teichert do dwóch skrzyń w wagonie towarowym Polskich Kolei Państwowych i po godzinie jazdy pociągiem witamy w kolejowej stacji granicznej Zduny. I jest pan wolny! A po miesiącu owiewa pana oceaniczna bryza gdzieś w Argentynie.

Hermann Laskier uniósł do ust kieliszek wina i rozejrzał się po kawiarni Zamek, w której się spotkali tego późnego wieczoru. W tym pierwszorzędym lokalu, znajdującym się przy Schweidnitzer Strasse[31] po przekątnej w stosunku do Teatru Miejskiego[32] oraz naprzeciwko hotelu Monopol, toczyło się intensywne życie „poteatralne”, jak je nazywał właściciel tego miejsca Carl Kunte. Było w nim pełno ludzi – mężczyzn w smokingach i kobiet w długich sukniach, spragnionych kolacji i wina po artystycznych wrażeniach. Niejedna z osób tu obecnych знаła dobrze Laskiera i jego decyzja, by tutaj właśnie spotkać się z oficerem polskiego wywiadu, nie wydawała się temu ostatniemu zbyt rozsądna. Antykwariusz szybko mu jednak wytłumaczył, iż znany mu bardzo dobrze pan Carl Kunte obiecał, iż „na pana Hermanna i na jego gościa będzie oczekiwał dyskretny gabinet”. Tymczasem po przybyciu obu panów do kawiarni gabinet ów był wciąż zajęty i Laskier wraz z Popielskim spędzili kilka minut w kącie sali – niedaleko baru.

Po tym czasie kelner podszedł do starszego pana i uklonił mu się, oznajmiając, iż gabinet właśnie się zwolnił. Laskier był zadowolony, miał chwilę, by przemyśleć swoją reakcję na propozycję złożoną mu przez postawnego łysego Austriaka.

Na spotkanie z nim za nic nie chciał się zgodzić. Aurelia błagała go o to, lecz on trwał w uporze, wyczuwając w jej głosie jakieś nowe nuty, które wywołały w nim ukłucie zazdrości. W końcu kobieta się rozebrała, on puścił muzykę fado i uległ swej osobliwej kochance.

Obaj panowie przeszli teraz przez długą salę, gdzie w ogromnej ciasnocie stały stoliki restauracyjne przykryte obrusami oraz stoliki kawiarniane, nad którymi zwieszały się liście potężnych palm. Już po chwili siedzieli w gabinecie. Popielski, zamykając drzwi, zauważył szczupłego mężczyznę w średnim wieku, który zerknął na niego obojętnie

znad studiowanego właśnie menu. Potem ów jegomość wcisnął na nos binokle i dalej analizował kartę dań. Trochę to zaniepokoiło Edwarda. Ale tylko trochę.

– Oddycham oceanicznym powiewem, powiada pan... – Laskier zapadł się w głębokim fotelu wybitym bordowym aksamitem. – I jestem bez grosza przy duszy.

Uśmiechnął się drwiąco. Popielski nic nie odrzekł. Rozglądał się dość długo po małym pomieszczeniu, w którym były tylko stół i cztery fotele. „Idealny pokój do bridża – pomyślał. – Z tymi czterema latarenkami o regulowanym świetle”.

– Niemcy oferują panu pieniądze – rzekł w końcu cicho. – Ale obaj wiemy, że nie ujrzy pan feniga i zostanie pan aresztowany. Jest pan nader wygodnym kozłem ofiarnym ze względu na swe pochodzenie. Być może zostanie rozpętana kampania propagandowa typu: „Żyd jest agentem polskiego wywiadu!”.

Nabrał tchu.

– Ci ludzie nie mają skrupułów, ich obietnice są nic niewarte. Polski wywiad, owszem, też nie jest ligą dżentelmenów, ale może być pan pewien swych losów. We wspomnianych Zdunach, już na polskiej ziemi, nastąpi wymiana: pan da nam dokumenty, my panu wolność. Nie zależy nam przecież na aresztowaniu pana. Dostaną państwo – pan i pani Aurelia – fundusze na kilkutygodniowe, może kilkumiesięczne, życie w jakimś polskim miasteczku, oczywiście pod naszym czujnym okiem, by nie dopadła państwa mściwa ręka tego esesmana.

Przerwał i zapalił papierosa. Na wspomnienie Aurelii przy boku Laskiera coś podchodziło mu do gardła. Nie dopuści, by ta kobieta była z jakimkolwiek innym mężczyzną! Nie po tej nocy w hotelu Germania. Nie po tych uniesieniach. Nie po tej erupcji rozkoszy, po spazmach w skłębionej

pościeli. Oszalałby z wściekłości, gdyby ktoś mu powiedział, że inny mężczyzna będzie dotykał jej skóry. Przeklął w duchu. Nie był w nastroju do działania. Myślał tylko o następnym spotkaniu z czarnowłosą egzotyczną pięknoscią.

Przełknął ślinę. Laskier również się nie odzywał. Czekał na kolejne wątki propozycji. Do drzwi zapukał kelner i wniósł do *separé* dwie filiżanki kawy i dwa kieliszki koniaku. Po sekundzie zniknął.

Idąc przez salę, skinął głową szczupłemu panu w binoklach. Ten wstał i opuścił lokal. Na ulicy czekał na niego młody człowiek, który z zimna przestępował z nogi na nogę. Pan minął go bez słowa. To znaczyło „zauważył mnie, muszę zejść mu z oczu, wciąż tam jest”.

Tymczasem w *separé* wciąż trwały negocjacje.

– Nie zaoferujemy panu wielkich funduszy – rzekł Polak. – Nie będzie pan już, przynajmniej na razie, żył w otoczeniu pięknych przedmiotów, ale...

– Za całe piękno – Laskier dopił resztkę wina i drżącą ręką ujął pękaty kieliszek koniaku – musi mi wystarczyć moja Aurelia. I wystarczy, tak, wystarczy. Ona jest całym pięknem tego świata.

Popielski poczuł, jak na oblicze wypełza mu powoli płomień furii. Na szczęście światło było mocno przykręcone – po romantycznym *tête-à-tête*, jakie tu spędziła para młodych ludzi. Zdusił papierosa tak mocno, że się poparzył. Kłuło go w sercu, kłuło go w głowie.

„Zakochałem się jak uczeń – pomyślał. – Jak tamten młody Edek, co stał wśród trzciny w nurtach Bystrzycy Nadwórniankiej! Doprawdy, świetny wybrałem moment na miłosną aferę! W oku cyklonu, w centrum wywiadowczej gry!”

– W ciągu najdalej dwóch miesięcy – zablefował – dostanie pan wizę brazylijską lub urugwajską.

Starszy pan chwycił się za głowę i oparł łokcie na stole. Mimo tej desperackiej pozy jego głos był zdecydowany i silny.

– To mi nie wystarczy. Potrzebuję pieniędzy. Moja cena spadła. Wynosi teraz pięćdziesiąt tysięcy marek. Dam panu dowód dobrej woli. Nazwisko pewnego człowieka. Jeśli go sprawdzicie, to zrozumiecie, że nie blefuję, a moje dokumenty są wiele warte. To nazwisko brzmi Heliodor Lambert. Hrabia z Pomorza.

Popielski zapisał je sobie w myślach.

– Jeśli sprawdzimy to nazwisko i wydobędziemy skądś te pieniądze, to sprzeda nam pan te dokumenty? Mam pańskie słowo?

Laskier nieoczekiwanie pokręcił głową.

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem – szeptał. – Jestem na skraju załamania. Nie wiem. Boję się tylko jednego... że Aurelia mnie zostawi dla pana.

Popielski zachłysnął się kawą.

Laskier patrzył na niego zażawionymi oczami. Były w nich rozpacz i zwierzęcy ból.

– Nie mamy przed sobą tajemnic, mój drogi panie. – W jego słowach zabrzmiała nieoczekiwana twardość. – Nie mogę od niej więcej wymagać za chwilę szczęścia, które mi daje. Ale pojawił się pan i wszystko się zmieniło.

Popielski wciąż ocierał kłapy marynarki z kropel kawy.

– Niech mi pan patrzy w oczy, Reiterer! – nagle krzyknął Laskier. – Jak mężczyzna mężczyźnie!

Edward spojrzał.

– Dobrze – mruknął stary. – Jeśli sprzedam dokumenty Niemcom, pozostanę na niemieckiej ziemi, a ona ze mną. Być może pójdę do Dachau, może stanę się obiektem propagandowych ataków. Ale ona też tu zostanie,

blisko mnie, zawsze może mnie odwiedzić w więzieniu i widokiem swego piękna cieszyć ostatnie dni żywota. Zatrzymam ją tu! Zrobię coś, co gotów jest zrobić tylko zakochany mężczyzna, któremu niewiele życia zostało. Coś, co sprawi, że nie wróci z panem do Polski!

Urwał, a potem zanurzył palce w wianek siwego puchu otaczającego jego głowę.

– Pozwolę jej na dostęp do mojego konta bankowego w Szwajcarii. Tak zrobię, mój panie! Jeśli natomiast przyjmę pańską propozycję i wyjadę z Aurelią do Polski, to ona prędzej czy później mnie porzuci. Odejdzie do pana, powiem więcej: ona na pewno odejdzie do pana! Dobrze ją znam. Jeszcze nigdy jej nie widziałem w takim zaognieniu jak po nocy spędzonej w hotelu Germania.

Powiedział to nieoczekiwanie lekkim tonem, a potem dodał niemalże wesoło:

– Niech już pan idzie, Reiterer! Powiedziałem wszystko.

– To jaka jest pańska decyzja? – Popielski ani drgnął. – Sprzedaje pan dokumenty nam czy Niemcom?

– Czy ja wyglądam na człowieka zdecydowanego?

Popielski patrzył mu długo w oczy, po czym kiwnął głową i wyszedł. On sam był zdecydowany.

Zrobi wszystko, by stary marszand wraz ze swą muzą znaleźli się w Zdunach.

Choćby słowo „wszystko” oznaczało dla wrocławianina wielkie cierpienie.

Następnego dnia kapitan Żychoń poznał nazwisko pomorskiego arystokraty. Jakież było jego zdziwienie, gdy dwa dni później doniesiono mu, iż nosi je nieboszczyk.

* * *

KAPITAN JAN HENRYK ŻYCHOŃ lewą dłonią walnął o blat biurka. W prawej trzymał słuchawkę, a w niej słyszał nieznoszący sprzeciwu głos pułkownika Jerzego Englischa:

– Myśli pan, kapitanie, że nie wiem, iż opublikowanie tej polsko-francuskiej umowy będzie dyplomatyczną eksplozją?! Sądzi pan, że nie wziąłem tego pod uwagę?!

Żychoń – dla opanowania nerwów – poprzesuwał lekko paprotkę po blacie, trącił czubkiem buta listwę, pod którą biegł sznur od biurkowej lampy, a potem spojrział w oczy Mościckiemu i Piłsudskiemu, wiszącymi *in effigiebus*^[33] po obu stronach drzwi.

– Mówi mi pan, kapitanie, że to nie *fair!* – Englisch wciąż krzyczał. – No to ja teraz będę wobec pana *fair!* I wszystko panu powiem. Po żołniersku. Bez ogródek. Krótko. – Pułkownik zaczerpnął tchu. – Nie zapłacimy. Ani grosza nie zapłacimy Laskierowi. Zapłatą będzie dla niego wolność. Tak to zaproponował nasz drogi Götz. Pan swoimi przebiegłymi metodami wydostanie starego z Wrocławia. Jego i tę jego pianistkę. Jutro żądam raportu telefonicznego, jak pan tego dokona. Chcę posłuchać, jak taki geniusz akcji jak pan upcha w jakimś zaplombowanym wagonie człowieka obserwowanego dzień i noc przez SD i kobietę, na której widok staje na baczność... No, nie muszę panu mówić, co mianowicie staje na baczność.

Urwał na chwilę. W słuchawce rozległ się trzask pocieranej o draskę zapałki, a potem dużo spokojniejszy głos szefa Dwójki.

– Będę z panem całkowicie szczery, kapitanie. Ważne czynniki polityczne w porozumieniu z Francuzami już opracowują strategię, która ma maksymalnie złagodzić wybuch tej polsko-francuskiej bomby dyplomatycznej.

– Mówiąc inaczej – przerwał mu Żychoń drżącym ze wściekłości głosem – kładziemy krzyżyk na Laskierze, tak?

Pułkownik milczał, kapitan patrzył na oprawioną sentencję Goethego. „*Schliessen eure Herzen sorgfältiger als eure Tore*”.

– Jeśli się panu i Götzowi uda go wydostać, będzie to ogromny, pański osobisty, sukces, który zamknie usta pańskim nieprzyjaciołom. Jak pan wie, nie brakuje ich w Sztapie Głównym. Jeśli natomiast się panom nie powiedzie, rozpęta się piekło. Ale ten piekielny płomień szybko przygaśnie, gwarantuję. Pojawią się nowe sprawy, nowe problemy... A teraz niech pan ponagli tego swojego Götza. *Res ad triarios venit*.

Wypuścił dym po drugiej stronie linii.

– Aaa, jeszcze jedno. Ambasador Brazylii zwleka z odpowiedzią na prośbę o wizę dyplomatyczną, podobnie konsul honorowy Urugwaju. Wszyscy węższą jakiś podstęp.

* * *

AMBASADOR BRAZYLIJ JEGO EKSCYELENCJA José Francisco de Barros Pimentel urzędował w warszawskim Hotelu Europejskim. Jak codziennie, tak i tego dnia po przyjsciu do swego gabinetu z widokiem na Sztap Główny w pałacu Saskim zastał na biurku otwarty kalendarz, w którym jego sekretarz zapisywał sprawy do załatwienia. Jedną z nich był „paszport dyplomatyczny dla pana NN, mieszkańca Wrocławia”. Sekretarz codziennie przepisywał tę sprawę na kolejny dzień. De Barros Pimentel nie lubił takich kwestii. Z jednej strony Polacy naciskali na podjęcie pozytywnej decyzji, z drugiej – sugerowali, że opóźnienie jest w tej sprawie mile widziane.

„Bo jakże inaczej – myślał ambasador – interpretować słowa Guillobela, że pośpiech jest tu niewskazany?”

A takie sugestie podsuwał codziennie De Barrosowi Pimentelowi kanclerz ambasady Lourival Guillobel.

Ów wesoły kompan i świetny bridżysta co piątek zasiadał przy zielonym stoliku w Bristolu. Tam najczęściej partnerował Edmundowi Pilichowskiemu.

W tym prestiżowym miejscu w Warszawie grywano nie tylko w bridża, organizowano tutaj również połączone z rautami turnieje wista czy preferansa. Na nich czasami bywał doktor Mieczysław Stamiński, wiceprezes Izby Handlowej Polsko-Łacińsko-Amerykańskiej i generalny konsul honorowy Urugwaju. Wobec braku przedstawicielstwa tego państwa w Warszawie wszelkie sprawy urzędowe mające jakiś związek z pięknym krajem, zwanym Szwajcarią Ameryki Południowej, przechodziły właśnie przez ręce doktora Stamińskiego. Dopiero on nadawał im dalszy bieg, kontaktując się z najbliższą placówką dyplomatyczną Urugwaju, czyli z ambasadą tego kraju w Pradze czeskiej. Prośbę Sztabu Głównego o przyznanie wizy dyplomatycznej jakiemuś wrocławianinowi Stamiński wysłał kilka dni po jej otrzymaniu. Listonosz przyniósł ją kapitanowi Pilichowskiemu, spełniwszy jego rozkaz. Ten zaś podziękował mu serdecznie, a wieczorem depezę spalił.

Był bardzo zadowolony. Urlop zimowy udał się nadzwyczajnie. A w „sprawie Łyssego” trzymał rękę na pulsie.

Niestety, jego dobry humor prysł, kiedy został wezwany do pułkownika Englischa. Ten, wprowadziwszy go w ustalenia, jakie poczynił był z Żychoniem, nakazał mu – jako swojemu zaufanemu oficerowi – szybko zorganizować spotkanie z „czynnikami politycznymi z pałacu Brühla”, którym kapitan Pilichowski miał przekazać, iż sytuacja we Wrocławiu napęczniała jak wrzód. Oprócz urzędników z Ministerstwa Spraw

Zagranicznych miał tam być też obecny adiutant marszałka Piłsudskiego kapitan Mieczysław Lepecki.

Agent Cyceron strzelił obcasami i zorganizował takie spotkanie.

Następnego dnia udał się na plac Napoleona, gdzie zamówił rozmowę międzynarodową z Wrocławiem. Na połączenie czekał cztery godziny.

Kiedy po drugiej stronie podniesiono słuchawkę, Pilichowski rzekł powoli po polsku:

– Przekaż Müllerowi, że dłużej nie utrzymam Schmidta i Bauera na smyczy. Niech Müller w końcu rozbije w drobny mak tę jaskinię i wyjmie z niej gorące kartofle. Czas już je ugnieść w garnku.

Odłożył słuchawkę.

„Przekaż Grundmannowi, że dłużej nie utrzymam Englischa i Żychonia na smyczy – przetłumaczył sobie w myślach rozmówca Cycerona we Wrocławiu – niech Grundmann w końcu rozbije w drobny mak to biurko i wyjmie z niego dokumenty. Nadszedł już czas rozwiązań ostatecznych”.

Zapisał to wszystko na kartce. Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał każdy szczegół meldunku. Znał język polski bardzo dobrze, ale niektóre frazy, jak na przykład „rozbić w drobny mak”, budziły jego wątpliwości.

Był Polakiem urodzonym we Wrocławiu.

Nazywał się Henryk Zwolicki i pracował jako referent w polskim konsulacie przy Freiburger Strasse[34] 29.

Jako tajny agent Sicherheitsdienst nosił pseudonim „Schäferhund”. Pies pasterski. Jego oficerem prowadzącym nie był nikt we Wrocławiu, lecz agent Cyceron w dalekiej Warszawie.

* * *

AURELIA LEŻAŁA NA EDWARDZIE, a jej kręcone włosy przykrywały mu twarz. Wciąż drżała. Jej długie palce głaskały – bezwiednie, jakby

w automatycznym transie – jego szyję i ramiona. Wydawać by się mogło, że wygrywa na skórze mężczyzny ostatnie akordy miłosnej sonaty.

Otoczył ją ramieniem i przycisnął do siebie, drugą dłonią przesunął lekko po jej pośladkach. Sapnął i zamknął oczy. Miał wrażenie, że wchodzi w spokojny i bezpieczny bezwład. Śnił na jawie. Mimo że Aurelia leżała bez ruchu, czuł znowu uścisk jej ud; mimo że włosy kobiety zasypały mu głowę i odcięły wzrok od światła, wciąż widział nad sobą jej małe stwardniałe sutki. Chciał zachować te obrazy na zawsze.

Kiedy się ocknął, spojrzął na zegarek. Spał godzinę. Była siódma. Za oknami salonu przy Kaiser-Wilhelm-Strasse^[35] wstawał zimowy poranek. To była druga ich wspólna noc.

Kobieta siedziała na fotelu z papierosem w dłoni, całkiem naga, z rozłożonymi nogami. Uniósł się na łokciu i patrzył z przyjemnością na słodki bezwstyd jej ciała. Gdyby był młodszy, poczułby z pewnością powolny nawrót męskich sił, a po chwili pewnie rzuciłby ją na fortepian. Teraz jednak, po dwóch nocnych szczytowaniach, prawie pięćdziesięcioletni mężczyzna mógł jedynie kontemplować tę chwilę spokojnego nasycenia, gdy jeszcze niedawny żywioł życia był już tylko miłym wspomnieniem.

Edward westchnął i położył się na plecach. Chłód oraz twardy dotyk salonowego parkietu – bo tam się znaleźli, a wykorzystywali też i fotel, i fortepian w drugim akcie swym uniesień – uzmysłowił mu, że już czas wrócić do codzienności. Wstał i podszedł do pieca. Dotknął go, był lekko ciepły. Zaczął rozglądać się za czymś, czym mógłby się okryć.

Aurelia paliła w milczeniu i nie spuszczała z niego wzroku. Lekko go to deprymowało. Był mocno i dość harmonijnie zbudowany, ale miał swoje lata i zdawał sobie sprawę, jak żałośnie muszą wyglądać niektóre partie jego ciała, zwłaszcza pośladki, pozbawione młodzieńczej sprężystości.

Uśmiechnął się.

– Półmrok jest mi sprzymierzeńcem. – To były jego pierwsze słowa tego poranka. – Podczas gdy ty wyglądałabyś olśniewająco nawet w słońcu Sahary...

Zawstydził się. Nie chciał być uznany za egotystę, który po szalonej nocy zamiast utulić swą kochankę, użala się nad niedoskonałościami swego ciała.

Wyciągnął ku niej rękę, ale zaraz je cofnął. Aurelia znajdowała się jednak w takiej pozycji, która bynajmniej nie ułatwiała przytulania. Była przechylona do tyłu, a żar papierosa błyszczał ostrzegawczo. Jej poważne spojrzenie oderwało go od wspomnień minionej nocy. Sprowadziło go na ziemię – do spraw aktualnych. Do gorączkowych wymian szpiegowskich depesz, do przyśpieszonego tykania zegara, do rozpacz i determinacji starego człowieka, który znalazł się na krawędzi swego uporządkowanego życia.

Wyszedł z salonu do łazienki. Wrócił ubrany już w spodnie i koszulę. Z przedpokoju wziął duży prostokątny pojemnik z opałem. Otworzył drzwiczki, dołożył drewno do gasnącego paleniska i czekał, aż się na tyle rozpali, by sypnąć tam węgla.

Aurelia zdążyła narzucić na siebie szlafrok. Stała obok i nagle przytuliła się do pieca szybkim kocim ruchem. Zmrużyła oczy, z jej ust doszedł cichy pomruk, pełen zmysłowej zachęty.

Edward nie był jednak w nastroju do porannych karesów. Już go chwyciła w swe szpony nieubłagana rzeczywistość, zimne przecucie niebezpieczeństwa. Sypnął węglem i zamknął drzwiczki pieca. Wyprostował się, patrząc jej w oczy.

– Przekonaj go, Aurelio! – poprosił. – Błagam cię, przekonaj Laskiera, by oddał się w ręce Dwójki!

Kobieta skrzyżowała ręce na piersi i stuknęła kilka razy obcasem o podłogę. To mogło oznaczać zniecierpliwienie. Oznaczało jednak coś zupełnie innego.

– Jestem zde gustowana twoim zachowaniem – powiedziała zimo. – Jeszcze niedawno czuły kochanek... Jeszcze kilka godzin temu rozpalony ogier... A teraz błagalnik, który albo się wzdryga, jak sztubak, kiedy na niego patrzę, bo się wstydzi, albo na kolanach prawie klęczy i prosi o przysługę! A może byś tak przytulił swoją kociczkę, a może byś powiedział coś miłego po tej nocy? Odezwałeś się tego poranka dwa razy. Raz egoistycznie, a raz służbowo.

Kąciki jej ust wyginały się teraz lekko ku górze, nadając jej twarzy wyraz rozbawienia. Gdyby nie ono, to okrutna bezpośredniość tych słów uderzyłaby go jak obuch. Czuł się jak zbity pies. I nagle przyszło uczucie, które było mu całkiem obcem – on chciał być psem dręczonym przez tę kobietę.

– Błagam cię – skłamał w osobliwej masochistycznej potrzebie. – Od tego zależy mój awans! Jest mi on potrzebny jak łyk wody w upalny dzień. Jak twój pocałunek, jak twoja wiotka dłoń przesuwająca się w pieszczocie po moim karku.

Podjęła tę grę.

– Chcesz być upokarzany? – zapytała i chwyciła go nagle za gardło.

To było dziwaczne, tego już nie chciał.

– Pójdę do niego dziś wieczorem – szepnęła. – Rozbiorę się, użyję wszystkich sposobów i podstępów...

Stała na palcach i zbliżyła swoje usta do jego ust.

– Być może – syknęła z jakąś przewrotną satysfakcją. – Być może po raz pierwszy... Po raz pierwszy mu się oddam. Może to go przekona do was. On tak się boi, biedny, biedniutki...

Edward oderwał jej rękę od swojej szyi. Ścisnął ją mocno. Syknęła – teraz z bólu. Przycisnął kobietę do rozgrzewającego się pieca. Czuł, że zazdrość rozerwie mu pierś.

– Nigdzie nie pójdziesz! – warknął. – Już ja przyśpieszę jego decyzję, już ja go zmuszę! Dostanie w ryj i zaraz przyniesie nam w zębach te cholerne dokumenty!

Ostatnie zdania wysapał. Chwyciła go za pośladki i przycisnęła do siebie.

– Właśnie takiego cię lubię! – powiedziała. – Zdobywcę, nie jęczącą duszyczkę! Nie odwracaj ról! Graj ze mną lepiej w pana i niewolnicę! Taką grę lubię!

Wysunęła koniuszek języka. Chwycił ją pod kolana i przesunął w górę po piecu.

* * *

GODZINĘ PÓŹNIEJ WYSZEDŁ Z JEJ MIESZKANIA. Myliłby się ten, kto by sądził, że teraz nasycony samiec wróci do hotelu i odeśpi zarwaną noc. W jego piersi płonął ogień. Nie miłości, nie tęsknoty.

Popielskiego wciąż rozsadzała zazdrość o Hermanna Laskiera. Z rozmównicy publicznej na dworcu zatelefonował do Zwolickiego. Godzinę później spotkał się z nim w piwnicy „Kancelarii notarialnej bez uprawnień adwokackich” przy Agnesstrasse[36] 1.

– Dość tego – rzekł zdecydowanie do „niskiego, miłego pana”, jak go nazwała Aurelia. – Nie mam czasu, by pisać meldunki, by czekać na reakcję góry. Potrzebuję dwóch, trzech silnorękich. Żychoń mi mówił, że macie tutaj takiego człowieka do zadań specjalnych. Niejaki Ireneusz.

Zwolicki przymknął oczy w geście potwierdzenia.

– Załatwione – szepnął.

* * *

FRANKFURTER STRASSE^[37] BYŁA DŁUGĄ ULICĄ biegnącą na zachód miasta. Pod numerem 107 stał duży niekształny dwupiętrowy dom, kryty papą. Od frontu mieścił się w nim hotel Przy Mieście Leśnica, sklep dla rzeźników i masarzy, od tyłu zaś – gospoda Zirkerera. Właśnie tutaj miało się odbyć spotkanie Popielskiego z agentem Ireneuszem, które zaaranżował Zwolicki. Edward dowiedział się o tym w stałym punkcie kontaktowym, czyli w piwnicy pana Smoły. Zjawił się tam zaraz po obiedzie i otrzymał list o krótkiej treści: „Pomiędzy trzecią a czwartą, gospoda Zirkerera, Frankfurter Str. 107, dojazd ósemką i piątką; hasło agenta: kto pochodził z Lyonu?; odzew Pana: Święty Ireneusz”.

Popielski zapamiętał wszystko, o przystanki tramwajowe wypytał pana Smołę, kartkę spopielił i wyszedł przez piwnicę na podwórko. Nie zwrócił większej uwagi na gromadę obdartusów ogrzewających się przy koksowniku ani na to, że jeden z nich pobiegł za nim i śledził go wzrokiem aż do przystanku tramwajowego. Nie zauważył też, jak jakiś student wsiada do tramwaju numer osiem na tym samym co on przystanku przy Gartenstrasse^[38] i ustawia się tuż za nim.

Na dużym placu^[39], gdzie stały rzeźby przedstawiające walkę Herkulesa z lwem nemejskim oraz zwycięstwo nad tą bestią, Popielski wysiadł i przeszedł na przystanek tramwaju numer pięć. Student wysiadł również i oddalił się w stronę Rynku, natomiast za Popielskim poszedł jakiś zakapturzony i kaszlący człowiek, który wcześniej również jechał ósemką, ale w drugim jej wagonie.

Ów człowiek, być może gruźlik, wsiadł wraz z Popielskim do piątki. Edward wysiadł na szóstym przystanku, a kaszlący mężczyzna pojechał dalej, czym stłumił rodzącą się już podejrzliwość Polaka.

Ten wszedł do gospody i odetchnął z ulgą. To uczucie ogarnęło go z dwóch powodów: po pierwsze, przestał mu dokuczać dojmujący, słodkawy smród bijący od pobliskiej rzeźni, po drugie – już na pierwszy rzut oka wiedział, że nie będzie się tutaj wyróżniał swoim starannym strojem.

Choć do lokalu wchodziło się od podwórka, nie był on zapluta spelunką. Podawano tutaj – jak przystało na sąsiedztwo rzeźni – potrawy mięsne ze świeżego uboju. Najwyraźniej właściciel o nazwisku Zirker, jak informował szyld, nie musiał się martwić reklamą i lepszą lokalizacją swojego zakładu, bo ten pękał w szwach – pewnie z powodu pory obiadowej.

„Jeśli ta świeżonka z cebulką – pomyślał Edward, który pod wpływem miłosnych zapasów zapomniał o innych potrzebach i zjadł tylko pajdę chleba ze smalcem w kiosku przy notariacie pana Smoły – jest tak dobra, jak dobrze wygląda, to panu Zirkerowi wystarcza zapewne reklama szeptana”.

Zamówił przy barze stopkę wódki i talerzyk z kanapką. Na większy posiłek przyjdzie jeszcze czas, ciężar w żołądku nie sprzyja myśleniu i negocjacjom.

Z tymi specjałami stanął w kacie. Wodził wzrokiem po jedzących ze smakiem gościach. Mała ich grupka trzymała się osobno. Z ich rozmów wywnioskował, że są urzędnikami z pobliskiej rzeźni. Większa grupa mężczyzn ubrana była w drelichowe bluzy i także kaszkiety z wizerunkiem śmiejącej się świnki widocznym w świetle naftowych lamp. Względna czystość ich ubrań oraz wiek – raczej średni i starszy – wskazywałyby, iż jest to wyższa kadra robotnicza; najpewniej majstrowie i zmianowi z tegoż zakładu, bo na nią przecież wskazywał ów „świński” emblemat.

Popielski, zadowolony, iż dokonał prawidłowego rozpoznania sytuacji, wypił wódkę i zanurzył zęby w świeżym mięszu komiśniaka, na którym równo ułożono plastry podsmażanej słoniny ze złotymi krążkami chrupiącej cebuli. Przełknął z wielką przyjemnością i urwał zębami drugi kęs. Wtedy usłyszał za uchem:

– Trzeba było wziąć browara jak wszyscy. Czysta wódka zawsze wskazuje na człeka Wschodu.

Edward spojrział na młodzieńca, ubranego – jak wspomniani urzędnicy – w czarny płaszcz. Trzymał w ręku melonik i przypatrywał się uważnie „człękowi ze Wschodu”. Miał niebieskie wodniste oczy i przyjazny uśmiech. Nad wygoloną nad uszami i na potylicy skórą wznosiła się jasna fala gęstych włosów.

– *Wer kam aus Lyon?*

– *Der heilige Irenäus* – odparł Popielski.

– Zamów pan browara i chodźmy w tamten kąt. – Agent Ireneusz mówił wyraźnym śląskim dialektem.

Pół godziny później wszystko było ustalone. Negocjacje trwały tak długo nie dlatego, że zaistniała jakaś różnica zdań pomiędzy zleceniodawcą a zleceniobiorcą. Przeciągały się, ponieważ Popielski musiał wciąż prosić o powtórzenie lub o mówienie powoli – śląski dialekt różnił się znacznie od standardowej niemieczyny. Musiał się też upewnić – i tu Ireneusza prosił o kilkakrotne powtórzenie terminu – że zleceniobiorca nie podejmie swej akcji dzisiaj wieczorem, lecz dopiero jutro rano.

Tysiąc marek – tyle kosztowała Popielskiego misja, którą jutro miał przeprowadzić Ireneusz w antykwariacie Laskiera. Miał tam przybyć przed otwarciem wraz dwoma ludźmi w mundurach SS. Ich zadaniem było solidnie wystraszyć starego, zniszczyć kilka artefaktów, pluć antysemitkami

sloganami. Popielski nakazał im być brutalnymi, nie na tyle jednak, żeby antykwariusz doznał jakiejś krzywdy.

– Nastraszyć, rozumie pan? – upewniał się Edward. – Nic więcej!

– Rozumia, co mam nie rozumiać – odparł Ireneusz. – Jutro, zaranem.

– Tak, tak. Rankiem!

Młody człowiek włożył melonik i wyszedł bez pożegnania. Edward upił mały łyk piwa i się skrzywił. Nie lubił tego ciężkiego, gorzkiego napoju – zwłaszcza w taki mróz.

Skrzywił się jeszcze z innego powodu. Aurelia zapewniła go wprawdzie dziś rano, że tylko żartowała i nie ma zamiaru iść wieczorem do Hermanna. Nie wierzył jej jednak. Nie dlatego, iżby była wiarołomna i fałszywa. Ona po prostu była kapryśna i cudownie nieprzewidywalna – o czym świadczyło choćby ich poranne dzikie zwanie przy rozgrzewającym się piecu.

Ireneusz po wyjściu z gospody wsiadł do sportowego maybacha i w kontrolowanych poślizgach pojechał w stronę wrocławskiego lotniska.

– A właśnie, że przyjdziemy dzisiaj wieczorem – rzekł do swojego odbicia w lusterku. – Bo tobie, ptaszku, coś za bardzo zależy na jutrzejszym poranku.

[30] Sprawa doszła do trzeciego (ostatniego) rzędu żołnierzy, tzn. sprawy znalazły się w punkcie kulminacyjnym, doszły do ostateczności (łac.).

[31] Obecnie ul. Świdnicka.

[32] Obecnie Opera Wrocławska.

[33] Na wizerunkach (łac.).

[34] Obecnie ul. Świebodzka.

[35] Obecnie ul. Powstańców Śląskich.

[36] Obecnie ul. Bałuckiego.

[37] Obecnie ul. Legnicka (na odcinku od pl. Strzegomskiego do ul. Na Ostatnim Groszu).

[38] Obecnie ul. Piłsudskiego.

[39] Königsplatz, obecnie pl. Jana Pawła II.

HERMANN LASKIER BYŁ BARDZO ZADOWOLONY ze swojego biurka, stworzonego w legendarnej manufakturze Roentgenów w nadreńskim Neuwied. Nie mógł zrozumieć, dlaczego przez niektórych krytyków meble tych słynnych twórców – mistrzów intarsji oraz zdobień z kości słoniowej i hebanu – były określane jako „banalne”, „niezgrabne” albo „pozbawione szyku i elegancji”. On sam podziwiał ich artystyczny wyraz i maestrię wykonania. W rzekomej banalności dostrzegał raczej oczywiste dla każdego piękno, a w „nadmiernej ciężkości” – mocną tężyznę materiału i niezawodną solidność. Dlatego gdy się dowiedział, iż znany gdański antykwariat Manfreda von Luzeriusa będzie zlikwidowany, a cała jego kolekcja zostaje wystawiona na aukcję, to dokładnie dzień przed terminem tego wydarzenia pojawił się w mieście nad Motławą. Wiedział bowiem, że ów nieżyjący antykwariusz^[40] szczególnie cenił sobie meble Roentgena i miał ich sporą kolekcję, której nie chciał się pozbyć za żadną cenę.

Obrazy, rzeźby i dzieła sztuki użytkowej na owej aukcji wystawiali na sprzedaż inni jeszcze ludzie. Wśród nich znalazł się pan Heliodor Lambert, polski ziemianin spod Bydgoszczy. Kiedy Laskier ujrzał jego biurko, przetaił oczy. Nie widział jeszcze tak pięknego wytworu manufaktury z Neuwied. Postanowił walczyć i licytować do upadłego.

I wywalczył. Trzy tygodnie później wspaniałe biurko, przerobione z kabinetu, stało się dla wrocławskiego antykwariatu przy Albrechtstrasse^[41] 1 ozdobą, której Laskier nigdy nie zamierzał spieniężyć.

Nowego właściciela czekały niespodzianki. Dopiero wtedy gdy usiadł za biurkiem w swym kantorze, zwrócił uwagę na pewną niewielką asymetrię, której zupełnie nie dostrzegł w ferworze licytacji i euforii zwycięstwa. Z dwóch rogów blatu, najbardziej oddalonych od siedzącego, wystawały dwie piękne małe wieżyczki, ozdobione blankami. Prawa z nich liczyła cztery blanki, lewa – tylko trzy. I to było owo przeoczenie. Gdy Laskier zaczął ich dotykać, usłyszał dziwny chrzęst. Wydawała go zawsze środkowa blanka lewej wieży.

Doświadczony antykwariusz, który wielokrotnie miał do czynienia ze sprężynami starych zegarów, uznał, że owa blanka może poruszać jakąś sprężynę. Zaczął badać biurko centymetr po centymetrze, przykładając doń ucho. Pół godziny później wszystko już było jasne.

W biurku pod blatem znajdowały się szuflady: jedna szeroka, środkowa, oraz dwie boczne, znacznie węższe. Pod każdą z tych bocznych szuflad były komory. O ile prawa komora niczym się nie wyróżniała, bo zawierała mniejsze szufladki wyjeżdżające na zewnątrz po drewnianych listewkach, o tyle lewa, spod której dochodził chrzęst wywoływany naciśnięciem blanki lewej wieżyczki, była tajemnicą. Zaryglowano ją solidnie sztabą zamykaną na kłódkę, do której sprzedawca nie miał klucza. Na drugi dzień pewien zaprzyjaźniony i zaufany ślusarz rozciął sztabę z wirtuozowską wręcz precyzją, unikając najmniejszego zarysowania mebla.

Po dostaniu się do tajnej komory Laskier ujrzał dużą wnękę. W jej górnej części na stelażu przymocowano coś, co przypominało maszynkę do robienia makaronu. W dolnej części była duża blaszana rynna, mocno tu i ówdzie zardzewiała. Kiedy naciskał środkową blankę lewej wieżyczki, zęby tego, co wziął za maszynkę do makaronu, lekko zgrzytały, poruszały się i zastygały w miejscu, jakby coś je blokowało. Laskier przecierał oczy ze zdumienia. Wiedział, że niszcarki do dokumentów projektowano już

w połowie minionego wieku, ale ta była najwyraźniej jeszcze dawniejszej proveniencji.

Szybko wyobraził sobie, jak działa. Wrzucało się papier w zęby urządzenia, ono go cięło, po czym ścinki wpadały do rynny wypełnionej wodą – najpewniej z mydlinami – a tam zbijały się w mokrą papkę.

W czasie tych oględzin Laskier otworzył też prawą szufladę biurka znajdującą się nad wnęką. Obok dziurki od klucza był w niej okrągły, niewidoczny wśród zdobień przycisk, który przesunął i otwierał jej dno.

Już nie miał żadnych wątpliwości. Aby zniszczyć dokumenty, trzeba było najpierw nacisnąć ów przycisk – wtedy usuwało się dno szuflady, papier tracił swe podparcie i wpadał na zęby niszczarki. Następnie po naciśnięciu blanki lewej wieżyczki uruchamiało się sprężynę urządzenia i dokument bezpowrotnie zamieniał się w to, z czego powstał – w drobne cząstki celulozy.

Wrocławski marszand odkrył jednak coś jeszcze. Kilka dużych kartek maszynowych, zapisanych równym pismem, spoczywało na nieruchomych zębach niszczarki. Ktoś je przygotował do kasacji, włożył do szuflady, lecz coś go oderwało od dalszych czynności, może rozproszyło, i leżały tam nietknięte. Jednakże jeśli niszczarka nie była używana od dziesięcioleci, o czym świadczyła rdza i niemożność wprawienia w ruch jej zębów, to co robiły tam kartki najwyraźniej zapisane niedawno? Jedna z nich – pojedyncza – nosiła bowiem datę „14 VIII 1933”, pierwsza zaś z dziewięciu pozostałych, ponumerowanych – „8 lipca 1922”.

Te fakty sugerowały jeszcze inne wyjaśnienie. Poprzedni właściciel, polski ziemianin Heliodor Lambert, nie mając być może pojęcia o istnieniu niszczarki w biurku, po prostu wrzucił kartki do szuflady i niechcący nacisnął przycisk obok dziurki od klucza w prawej szufladzie. Kartki

wpadły do komory niszczenia i tam spoczywały, aż je znalazł nowy nabywca.

Ten przejrzał je dokładnie. Dziesięć stron po polsku. Antykwariusz znał nieźle ten język. Jego rodzina od wieków mieszkała w Tomaszowie Lubelskim, a Hermann – bardzo uzdolniony językowo – często tam przybywał, szukając wśród okolicznych arystokratów ewentualnych sprzedawców pamiątek rodzinnych.

Przeczytał wszystko i w jednej chwili ten inteligentny człowiek i bystry obserwator życia politycznego zrozumiał, jak wielką wagę mają owe dokumenty, w których posiadanie wszedł był tak nieoczekiwanie.

Tymczasem otoczył swój mebel najwyższą troską. Wieczorami zaciągał żaluzje, po czym zajmował się *con amore* mechanizmem niszcarki. Naoliwił go, a zęby szlifował całymi nocami, aż doprowadził wszystko do stanu idealnego. Nakręcił sprężynę i wszystko zadziało jak w zamierzeniu projektanta. Przycisk koło dziurki od klucza usuwał dno szuflady, jej papierowa zawartość zsuwała się na zęby niszcarki, a wtedy środkowa blanka lewej wieżyczki na biurku uruchamiała je i zamieniała papier w strzępy. Te spadały niżej do rynienki, którą Laskier wypełnił wodą z kwasem siarkowym.

Kilka dni później poprosił swoją młodą przyjaciółkę o zapamiętanie treści tych dokumentów. Po tygodniu, gdy Aurelia opanowała ją do perfekcji, Laskier włożył papiery do lewej szuflady, nacisnął przycisk i po chwili spoczywały one na zębach niszcarki gotowe do unicestwienia.

Już kilkakrotnie sięgał ręką w stronę lewej wieżyczki, by zniszczyć to, co przysporzyło już pewnych kłopotów, i kilkakrotnie ją cofał.

W końcu podjął ostateczną decyzję. Postanowił dokonać tego w ten styczniowy wieczór. I już się żegnał w myślach z dokumentami, gdy do sklepu wpadł znany mu młody esesman wraz z dwoma muskularnymi

mężczyznami. Laskier został wyrwany zza biurka potężną siłą i rzucony na podłogę.

Ale się nie poddawał. W jednej sekundzie, gdy cuchnące piwem draby zaciągnęły żaluzje, rzuciły się z pałkami na miśnieńską porcelanę i z nożami na barokowe płótna, zrozumiał, że mimo wszystko ma nad nimi przewagę. Dobiegnie do swego ukochanego mebla i jednym ruchem zniszczy to, na czym im tak bardzo zależy.

I zrobił to. Odepchnął jednego z goryli i rzucił się w stronę biurka. Usiadł i już-już wyciągał rękę do wieżyczki, kiedy poczuł na skroni dotyk twardego przedmiotu.

Alois Grundmann przystawiał mu pistolet do głowy.

Esesman był wściekły. Jakimś szóstym zmysłem, tuż po rozmowie z łysym w gospodzie Zirker'a wyczuł, iż Laskier może mieć w zanadrzu jakąś broń. I postanowił z góry go rozbroić, z góry się zabezpieczyć, sprowadzając tutaj Aurelię Teichert. To mu się jednak nie udało. Zawiódł agent Pies Pasterski. Stracił kobietę z oczu. Ten mały skurwysyn z polskiego konsulatu rozkładał bezradnie ręce i zapewniał go, że piękna Ormianka była w swym mieszkaniu, a teraz – nie wiadomo dlaczego – już jej tam nie ma.

SS-Hauptsturmführer utracił zatem swój straszak i teraz – patrząc na starego, trzęsącego się człowieka – czuł płomień furii.

Opanował go, teraz nadszedł czas na psychiczne dręczenie i zastraszanie, bicie zawsze może poczekać. Uśmiechnął się krzywo i zaczął snuć plugawe, okrutne historie o tym, co się stanie, gdy pani Aurelia Teichert padnie jego łupem.

Wulgarnymi słowy opowiadał o zamierzonym gwałcie, używając takich fraz jak „ryk krowy” czy „pisk maciory”. Rozwodził się nad tym, jak przykuje Aurelię do łóżka, każda noga do innego pręta, jak to robi

w ulubionym „burdelu na wzgórzu”. Nie omieszkał dodać, że nic go tak „nie rajcuje bardziej, niż gdy jakaś kurwa się zesra i posika z bólu”.

O dziwo, na starym nie robiło to wrażenia. Nie znaczyło to jednak, że ogarnęła go osobliwa znieczulica. On nie rozumiał tych ohydnych zapowiedzi. Były jak muzyka, wstrętne, lecz przepływająca mimo uszu.

Po prostu intensywnie myślał o czym zupełnie innym. W tym zalewie ohydnych, koprofagicznych niemal majaczeń napastnika usiłował przewidzieć, co się stanie, gdy zniszczy dokumenty. I w końcu zrozumiał, że w obu wypadkach – czy odda dobrowolnie tajne pisma, czy esesman sam je znajdzie, rozwalając biurko, i zabierze – to on, Hermann Laskier, i tak, i tak wyląduje w Dachau, a jego cudowną muzę spotka w jakichś gestapowskich kazamatach los gorszy od śmierci.

Zaczął płakać dokładnie wtedy, gdy Grundmann, nie zmieniając swych zboczonych fantazji, zmienił opisujące je słownictwo.

– Będę ją gwałcił powoli – mówił młody blondyn i stukał paznokciem w intarsjowany blat. – Na tym oto pańskim biurku. Będę się pchał, na siłę i bezlitośnie, przez jej tylną bramę. Rozerwę ją na strzępy. A pan będzie na to wszystko patrzył. Będzie słyszał jęki bólu i widział łzy płynące po policzkach... Zaraz ją tu przyprowadzi mój człowiek – zablefował. – Już po nią pojechał. Przywlecze ją za włosy i rozciągnie na tym biurku.

Laskier nie mógł powstrzymać szloch. Esesman uznał, że strzelił w dziesiątkę. To było skuteczne – połączenie świńskiej treści z wyszukaną formą. Kiedy mówił dalej o „rozrywaniu taranem tkanek”, o „wodospadach krwi i śluzu”, o „namiętym gryzieniu płatków łososia”, Laskier już skamlał. SS-Hauptsturmführer – doktor filozofii i miłośnik literatury – był doprawdy mistrzem słowa. W jednej chwili potrafił być sepleniącym po śląsku włóczęgą, a za moment prowadzić konwersację godną buduarów markiza de Sade’a.

Nagle antykwariusz się uspokoił. Powziął już decyzję, ale zanim specyficzna maszynka zacznie działać, musi podjąć ostatnią próbę ocalenia swej ukochanej.

– Ja tu mam tylko kopie – powiedział zadziwiająco spokojnym i pewnym głosem. – Oryginały są u pewnego szwajcarskiego notariusza. Aurelia raz w tygodniu telefonuje do jego gabinetu w pięknym malowniczym mieście nad czystym jeziorem i wypowiada do słuchawki tylko kilka słów. Oznaczają one: wciąż jeszcze jestem wolna. Jeśli danego tygodnia Aurelia nie zadzwoni, notariusz przekaże pisma polskiemu dyplomacie w pobliskim dużym mieście. I wtedy rozpali się tutaj piekielny ogień.

Grundmann uśmiechnął się kącikami ust. Jego oczy pozostały zimne i bez wyrazu – jak zawsze.

– Polskiemu dyplomacie, powiadasz? – Mimo że czuł ukłucie niepewności, postanowił pozbawić starego nadziei. – Może temu łysemu Polakowi, co mówi z austriackim akcentem? To mój człowiek. On mi zlecił to postraszenie ciebie, ptaszku.

W tych dniach jego ludzie nie spuszczała Laskiera z oczu, wiedział zatem, że stary nie wychodził z antykwariatu ani na chwilę i nie wyniósł nigdzie dokumentów. Mógł zatem teraz, od razu, bez zbędnych dyskusji chwycić go za te nędzne resztki włosów i wywlec na środek sklepu. Mógł wetknąć swój łom w drzwi biurka i z upodobaniem słuchać huku pękającego drewna.

A gdyby tam nie znalazł tego, czego szukał, mógł wywrócić tu wszystko do góry nogami. Nie uczynił tego jednak z prostego powodu – bo chciał się wprowadzić w stan pobudzenia, bo fantazje pełne wydzielin podniecały go z jakąś narkotyczną siłą. Potrafił panować nad swoją żądzą, potrafił ją powoli podsycać i podtrzymywać albo lekko wygaszać – wedle

uznania i okoliczności. Był nadczłowiekiem, co nie musi ulegać instyngtom. Mógł czekać, czekać, aż w końcu jego ludzie znajdą tę egzotyczną piękność i rzucają mu ją do stóp. Był zboczeńcem, który lubi powoli podsycać swoją namiętność, a pragnienia zaspokajać po cierpliwym wyczekiwaniu. Lecz tutaj, w tym miejscu, teraz, już nie było na co czekać.

Wymierzył Żydowi silny cios od góry. Trafił go nasadą dłoni w nos. Poczul ból i usłyszał chrzęst kości starego. Laskiera odrzuciło, lecz zaraz wrócił do poprzedniej pozycji. Kiwał się do przodu i do tyłu, lecz nie odsunął się od biurka ani na milimetr. Za to chwycił za jedną z dwu ozdobnych wieżyczek.

Grundmanna najbardziej zdziwiło nie to jednak, że marszand nie padł jak rażony piorunem po tym ciosie. Zdumiało go, że teraz coś chrzęści i trzaska w biurku.

Przeklął szpetnie i odepchnął starego z całej siły. Fotel na kółkach wyjechał prawie na środek sklepu. Hermann Laskier zsunął się z niego i upadł na podłogę. W biurku wciąż coś chrzęściło. Otworzyli łomem prawą szufladę i wyłamali sztabę – to ostatnie musiało zrobić aż dwóch ludzi.

Rozszedł się smród siarki.

Patrzyli zdumieni. Nad rynienką unosiły się opary. W płynie, który ją wypełniał, widać było czarne skręcone słupki czegoś, co jeszcze niedawno było tajnymi dokumentami o wielkiej wadze.

– Kwas siarkowy – powiedział jego goryl imieniem Peter, widząc zdumione spojrzenie szefa. – Żem pracował przy nafcie, to wiem. Kwasem naftę się oczyszcza, co nie?

Grundmann zawył ze wściekłości. Wyrwał Peterowi pałkę i skoczył w stronę leżącego antykwariusza. Zaczął go walić po ramionach i głowie. Stary nawet nie jęknął. To było kolejne już dzisiaj zdziwienie Grundmanna.

– Szefie – rzekł drugi pomagier, rudowłosy olbrzym o czerwonym obliczu. – On się nie rucha... On chyba... Nie żyje ten cholerny Żyd.

– Każdemu kiedyś kres – podsumował sentencjonalnie Peter.

Obok dłoni Laskiera leżała pusta buteleczka apteczna. SS-Hauptsturmführer uniósł ją do nosa i powąchał. Tak pachnie jego ulubione ciasto marcepanowe.

Albo gorzkie migdały.

Albo cyjanek potasu.

Grundmann wrzasnął z wściekłości na całą kamienicę.

To był jego kolejny błąd, oprócz tego, iż pozwolił, by dokumenty zmieniły swój stan skupienia.

Gdyby nie zagłuszał teraz wszystkiego swym rykiem, on lub jego kompani na pewno by usłyszeli rozpaczliwy kobiecy płacz, który dochodził od strony wielkiej spiralnej kolumny.

* * *

AURELIA TEICHERT NIE ZDAŹYŁA ZEJŚĆ Z DRABINY, by nacieszyć swym widokiem przyjaciela, gdy usłyszała męskie okrzyki, odgłos pękającej porcelany i rozdzieranego nożami płótna. Zastygła, a trzeci od dołu szczebelek znalazł się pomiędzy podszwami jej butów a obcasami. Z najwyższą ostrożnością przyłożyła ucho do wewnętrznej ściany kolumny, zwanej „Laokoonem”.

I tak trwała tam przez dwa kwadransy. Słyszała, jak jakiś potwór snuje obłąkane fantazje na jej temat, jak jej platoniczny kochanek, ten wspaniały światowiec, subtelny miłośnik języków, muzyki i artefaktów, jest bity i upokarzany, jak w końcu ten jej „ciepły tatuś”, jak o nim mówiła, przenosi się na Pola Elizejskie. Słyszała, jak ten sam mężczyzna, snujący wcześniej zboczony wizje, krzyczy ze wściekłości, tłumiąc jej własne łkania rozpaczy;

jak w końcu wychodzi, każąc swym ludziom zostać i czekać „na ormiańską kurwę”.

O ile wcześniej oblewały ją zimne poty emocji, o tyle po wyjściu herszta tych bydlaków zaczęła drzeć z zimna. Na szczęście jeden z nich, najwyraźniej znudzony czekaniem, włączył patefon. W powietrzu rozległy się tak miłe jej sercu dźwięki portugalskiej pieśni artystów i ladacznic. Muzyka nie grała głośno, ale mimo to powinna – jak sądziła kobieta – wytłumić ewentualne skrzypnięcia drabiny, gdy będzie się po niej wspinać na pięterko do bezokiennej sypialni biednego Hermanna.

Tak się też stało. Aurelia znalazła się po chwili w tajnym pokoju. Wolno opuściła klapę na otwór w podłodze, przez który schodziło się stąd na umocowaną na stałe w kolumnie drabinę. Zasuwała – milimetr po milimetrze – zasuwę. Odetchnęła. Była bezpieczna, dostęp do sypialni umożliwiała jedynie boczna klatka schodową.

Zaczęła się ubierać, jak najciszej tylko mogła. Kiedy już szykowała się do wyjścia na ową klatkę, rozejrzała się po tym pomieszczeniu po raz ostatni. Patrzyła na tak dobrze sobie znane przedmioty: kieszonkowe osiemnastowieczne wydania poetów greckich i łacińskich, których Hermann czytywał przed snem, na wieczne pióro z masy perłowej, którym robił notatki na małych karteczkach, na hebanowe pudełka z cygarami.

Kiedy wymykała się ze łzami w oczach z kamienicy Brunona Wenzla, drąc i zaciągając na drzazgach schodów jedwabne pończochy – pantofle, by nie stukać obcasami, trzymała w dłoni – rozpałała się w jej głowie jak błyskawica oczywista myśl. To właśnie wtedy w ciemności klatki schodowej jej bystry umysł znalazł odpowiedź na pytanie, które ją zaczęło dręczyć natychmiast, gdy usłyszała inwazję hitlerowskich siepaczy na antykwariat. W jej wyobraźni zabrzmiało warczenie jej obecnego kochanka, czulego i gwałtownego. Zanim ją tego ranka przycisnął do pieca, rzucił

ostro: „Nigdzie nie pójdziesz! Już ja przyśpieszę jego decyzję, już ja go zmuszę! Dostanie w ryj i zaraz przyniesie nam w zębach te cholerne dokumenty!”.

Kiedy wyszła w rozgwieżdżoną śnieżną noc, rozejrzała się wokół szybko i uważnie. Było cicho i spokojnie. Drżąc z zimna, ruszyła szybko w stronę pałacu Hatzfeldów^[42] i kościoła Świętego Wojciecha. Tam był najbliższy postój dorożek.

* * *

HENRYK ZWOLICKI TEJ NOCY NIE SPAŁ. Gdy w jego małym mieszkanku przy Siebenhufenerstrasse^[43] obok Dworca Fryburskiego^[44] o godzinie pierwszej w nocy zaterkotał telefon, odebrał po pierwszym sygnale.

– Zwolicki – rzucił.

– Powiedział pan – usłyszał kobiecy głos. – Cytuję: „Ten łysy to pies na kobiety, proszę mi wybaczyć to grube określenie! Niech mu pani zbytnio nie ufa. Jeśli już komuś może pani zaufać, to tylko mnie”. Tak pan powiedział. Słowo w słowo. Mogę panu ufać?

– Tak – szepnął urzędnik polskiego konsulatu. – Gdzie pani jest?

– W restauracji Lichtenhain przy Dominikanerplatz^[45] – odparła. – Niech pan się pośpieszy, błagam. Tutejsi klienci są przekonani, że żadna kobieta im się nie oprze.

Opierała się skutecznie przez kolejny kwadrans. Potem w drzwiach lokalu stanął Mały Henio. Wywołał u niej głębokie westchnienie ulgi, u klientów lokalu – nieposkromioną wesołość. Kiedy wychodziła, trzymając go pod rękę, niektórzy bywalcy – zwłaszcza ci, których zaloty odrzuciła – przestali się śmiać i patrzyli z niejakim respektem na niepozornego mężczyznę.

* * *

SS-HAUPTSTURMFÜHRER ALOIS GRUNDMANN kopnął ze złością martwe ciało antykwariusza i wypadł z kamienicy. Wskoczył do maybacha i ruszył na południe. Droga była prosta – Schweidnitzer Strasse[46] przechodziła pod wiaduktem kolejowym w Kaiser-Wilhelm-Strasse[47], a kilometr dalej mieszkała „ormiańska dziwka”. Być może już jest w domu. Tam wyciągnie z niej wszystko, a potem przygwoździ, przebije ją swą włócznią. Wciąż był seksualnie podniecony.

Zatrzymał auto pod jej kamienicą, nawet nie starając się zaparkować przy krawężniku, jak tego wymagały przepisy. Podbiegł do bramy i wcisnął guzik dzwonka do stróżówki tak głęboko, że pod opuszką palca poczuł chropowaty tynk.

Po chwili, podstawivszy dozorcę pod nos blaszaną odznakę Sicherheitsdienst, biegł szybko, przeskakiwał po dwa stopnie naraz, nie zważał na to, iż brudzi topiącym się śniegiem wiśniowy dywan wyściełający schody. Załomotał w drzwi na drugim piętrze. Odpowiedziało mu milczenie. Znów użył pięści. Z mieszkania naprzeciwko wynurzyła się z oburzoną miną starsza dama w papilotach.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wychylił się przez poręcz i krzyknął do stróża:

– Chodź no tu z kluczem, ale już!

Ten znalazł się po chwili przy Grundmannie. Otworzył drzwi i wpuścił funkcjonariusza.

SS-Hauptsturmführer przejrzał wszystkie zakamarki trzypokojowego mieszkania, prawie zupełnie pozbawionego mebli. Był podniecony, ale nie miał kogo przygwoździć. Nigdzie nie mógł znaleźć Aurelii Teichert.

Jego uwagę przyciągnęła jakaś broszurka leżąca na sekretarzyku w buduarze. Podeszedł bliżej, wziął ją do ręki. Rozkład jazdy pociągów

z wrocławskiego Dworca Głównego. Palce mężczyzny zaczęły przewracać kartki. Z przyzwyczajenia nie zdjął rękawiczek.

Trzy połączenia podkreślono lekko prawdopodobnie kredką świecową, a może ołówkiem do oczu. Wrocław–Krotoszyn. Wrocław–Rawicz. Wrocław–Ostrów. Wszystkie miasta docelowe leżały na terenie Rzeczypospolitej Polskiej. Nazwa „Krotoszyn” była podkreślona dwukrotnie.

W ciągu najbliższej godziny rozzwoniły się telefony w posterunkach Grenzschtzu na kolejowych przejściach granicznych w Rawiczu, Zdunach i w Międzyborzu Sycowskim.

* * *

– DOBRZE TO PANI PAMIĘTA? – zapytał po polsku Henryk Zwolicki. – Czy na pewno właśnie te trzy połączenia pani podkreśliła? Żadnych innych?

Aurelia uśmiechnęła się z pewną wyższością.

– Czy ja dobrze pamiętam? Niech mi pan da książkę telefoniczną, a po kwadransie wyrecytuję panu przynajmniej jedną jej szpalnę.

Siedziała przy małym, lecz wiekowym sekretarzyku w skromnym jednopokojowym mieszkaniu referenta.

„Wszystko tu tchnie zatęchłym starokawalerstwem – pomyślała. – Jedno krzesło przy tym biureczku, tylko jedno przy stole, ta wąska, jednoosobowa, twarda kozetka... Żadnych obrazów na ścianie poza wielkim portretem starszej damy o surowym obliczu, zapewne jego matki. Pod nim wiązanka sztucznych kwiatów, za to żadnych prawdziwych na parapecie. Kłęby kurzu pod ścianami, kilka ilustrowanych pism w gazetowniku. Wszystkie poszarpane i pogięte, jakby ich zamiast do

czytania używał do zabijania much i komarów na ścianach. Gospodarz tego mieszkania mówi: jestem sam i chcę być sam”.

Tę diagnozę potwierdzał chyba wzrok mężczyzny. Wydawało się jej, że w oczach Zwolickiego błyskają złość i zniecierpliwienie. Od dawna zapewne nikt nie zaburzył świętego spokoju tego mieszkania, będącego skrzyżowaniem zaniedbanego i niegościnnego *pied-à-terre* z sanktuarium ku czci rodzicielki. Mężczyzna podsunął ku niej kilka czystych kartek papieru.

– Ma pani świetną pamięć? – zadał retoryczne pytanie. – To dobrze. Bardzo dobrze. Proszę teraz opisać wszystko, co pani przeżyła przez ostatnie dwa dni. Nawet intymne zdarzenia pomiędzy panią a Popielskim, bo tak się nazywa ten człowiek. Ich szczegóły proszę oczywiście pominąć. Nie lubimy pornografii.

Urwał i przyjrzał się jej uważnie, jakby chciał dostrzec jakieś mrugnięcie, jakiś grymas, które by potwierdzały jego podejrzenia o dzikiej zwierzęcej kopulacji, jakiej się oddawała z łysym starym buhajem.

Aurelia dopiero pod wpływem tych słów po raz pierwszy pomyślała o swoim polskim kochanku, o tym wiarołomnym zdrajcy, który wystawił bandycie z SS jej biednego Hermanna.

– Szybciej. – Zwolicki patrzył na nią znacząco. – Nie mamy czasu!

Poczuła bijącą od niego namacalną wręcz niechęć. W swej bogatej imaginacji widziała ją w postaci ciemnej purpurowej chmury, jaka wykwitowała ponad jego małą głowę z rzadkimi farbowanymi włosami, które jakaś mikstura – jej woń wyczuwała wyraźnie – utrzymywała w pozycji stojącej.

– Proszę przedstawić swoją opinię o Edwardzie Popielskim, swoje wobec niego podejrzenia. Niech pani opisz tembr głosu herszta tych bandytów, jego słowa, wszystko, co pani słyszała, stojąc w tej dziwnej

kolumnie. Wszystko, co mi pani opowiedziała. O szwajcarskim notariuszu również. Jeśli pani zna jego adres, proszę go podać.

– Nie znam, nie mam pojęcia, kto to może być. Nie wiem, do kogo miałabym telefonować.

Przez chwilę analizował tę informację.

– No dobrze. Nie będę przeszkadzał. Proszę wypić herbatę, zjeść tę skromną kolację. – Wskazał na stojący przed nią talerzyk z jego zwykłym posiłkiem, sucharami z wojskową konserwą. – Nie wiadomo, kiedy będzie następny. Daję pani kwadrans, potem musimy wyjechać z tego miasta. Daleko, bardzo daleko. Do Polski. Tam będziemy bezpieczni, tam nikt nie będzie pani rozrywał.

Szybko zakrył dłońmi usta.

– Przepraszam – szepnął. – Pani mi to powiedziała w zaufaniu, a ja wyciągam to teraz jak gbur. Przepraszam. Nie chciałem uchybić pani niewieściej czci.

W jego głosie nie było jednak pokory. Raczej złośliwa wesołość, jakby „niewieścia cześć” była w odniesieniu do Aurelii czymś bardzo zabawnym.

– A pańska mama? – Kobieta wskazała głową na oprawiony portret. – Przecież oni mogą się na niej mścić.

– Ona już jest w Polsce – odparł i wyszedł do kuchni.

Usiadł pod oknem. Patrzył na podwórko i śmietnik z jakimś rozczuleniem. Nie był to przyjemny widok, ale nabierał teraz niezwykłego znaczenia. Jak wszystko, co się ogląda najpewniej po raz ostatni w życiu.

W środku nocy Aurelia Teichert i Henryk Zwolicki przemknęli pod ścianami kamienicy i wślizgnęli się do garażu na podwórku. Stał tam elegancki jasnobezowy sedan citroën rosalie, własność konsulatu. Mężczyzna otworzył jego bagażnik. Było w nim sporo miejsca. W sam raz dla dwóch, trzech walizek. Albo dla jednej szczupłej i niewysokiej kobiety.

Wymościł bagażnik kołdrą i wykonał zachęcający ruch ręką. Aurelia, ubrana w narciarską czapkę, ciepły sweter, grube barchanowe kalesony i spodnie – wszystko to należało do jej opiekuna – owinęła się własnym futrem i weszła do bagażnika.

Auto – choć miało silnik o pojemności tysiąca ośmiuset centymetrów sześciennych oraz o mocy trzydziestu sześciu koni mechanicznych – było stworzone przez francuskich mistrzów do przyjemnych letnich przejażdżek po Lazurowym Wybrzeżu. Nikt z nich nie przewidział, że będzie musiało jechać oblodzonymi drogami odległego Śląska, a nawet przebijać się w jednym miejscu przez zasy – na szczęście niewielkie.

W ciągu pięciu godzin – z dwoma przystankami na rozprostowanie kości i na oddanie naturze tego, co się jej należy – dojechali do Koźła, pozostawiając za sobą Oławę, Brzeg, Opole i Krapkowice. Z Koźła jechali przez dwie następne godziny kiepskimi drogami przez Bierawę i Łany. W tejsze miejscowości skręcił w gęsty las, który prowadził do Rud.

Zwolicki znał je dobrze z racji swych służbowych kontaktów z tamtejszymi cystersami, którzy udzielali noclegu i wiktów Polakom szukającym w lecie pracy po niemieckiej stronie granicy. Ostatnią – najgorszą – godzinę zajęło mu przebicie się przez dziewięciokilometrowy odcinek pomiędzy Rudami a Chwałęciami, miasteczkiem leżącym nad pięknym, teraz skutym lodem zalewem, które było podrzędnym przejściem granicznym pomiędzy Rzeszą Niemiecką a Rzeczpospolitą Polską.

Kiedy Zwolicki dojeżdżał do posterunku niemieckiej straży granicznej, czuł, jak opada w nim napięcie. Najpewniej nie spotka go tutaj żadna przykra niespodzianka. Są raczej bezpieczni, pod warunkiem że ludzie Grundmanna – czego był prawie pewien – czekali na Aurelię jedynie na granicznych przejściach kolejowych na styku Śląska i południowej Wielkopolski.

Esesman, mając wyraźną wskazówkę uczynioną kredką do oczu, musiałyby się wykazać jakąś skrajną nieufnością, aby zawiadamiać wszystkie – i kolejowe, i drogowe – przejścia graniczne. A nawet jeśli to uczynił, to przecież żaden z tych pograniczników, którzy teraz zbliżali się do jego Citroëna, nie szukałby niskiego pana, lecz atrakcyjnej kobiety. Esesman wszak nie miał bladego pojęcia, iż Mały Henio go zdradził i udzielił pomocy poszukiwanej Ormiance.

Opłacało się zmarznąć na kość i przebyć tej zimowej nocy odległość prawie stu siedemdziesięciu kilometrów. Funkcjonariusze niemieckiej straży granicznej rzeczywiście nie powzięli wobec Zwolickiego najłżejszych nawet podejrzeń. Dość pobieżnie przejrzeni jego dokumenty, potwierdzające, iż jest szefem wydziału prasowo-emigracyjnego konsulatu polskiego we Wrocławiu. Dość nieuważnie słuchali, kiedy z niejaką dumą poinformował ich, że do jego obowiązków należy opieka nad polskimi emigrantami w Niemczech. Wiedzieli oczywiście, że jako członek korpusu dyplomatycznego jest zwolniony od jakiegokolwiek rewizji. Zsalutowali i krzyknęli, obdarzając go przesadną rangą:

– Dobrej podróży, panie radco konsularny!

Polscy pogranicznicy spojrzeli w dokumenty i o nic więcej nie pytali. Wiedzieli od swojego dowódcy Leona Ferencowicza, szefa Komisariatu Straży Granicznej Rybnik, iż w najbliższych dniach będą mieli nieoczekiwanych gości z Wrocławia, którymi należy się troskliwie zająć.

Zwolicki przejechał granicę i skierował się do znanego sobie dobrze parterowego budynku Placówki Straży Granicznej I Linii Chwałęcice. Na miejscu otworzył bagażnik i wyciągnął z niego – z wielkim trudem – siłą z zimna kobietę. Mocno ją chwycił pod boki i prawie zaniósł do budynku. Tam się nią zajęła troskliwie jedna z nielicznych tu kobiet funkcjonariuszek, których zadaniem były rewizje osób swojej płci.

Agent Pies Pasterski był z siebie dumny. Wypełnił misję zleconą mu przez Cyclerona. Nie płakał za swym rodzinnym miastem nad Odrą, do którego już nie wróci. Dla pana kapitana zrobiłby wszystko.

Wszak on nie powiedział mamie ani słowa o tym, że jej Mały Henio popełnił ten straszny, nieobyczajny czyn w Katowicach, gdzie kilka lat temu był z wizytą służbową. Pewnego dnia o poranku udał się na ulicę Mikołowską 3 pod internat, gdzie mieszkały słuchaczki Seminarium Państwowego dla Wychowawczyń. Tam spuścił spodnie do kostek i czekał na dziewczęta, na ich drwiące uśmiechy i wystraszone okrzyki. Doczekał się policjantów, którzy – z uwagi na jego stanowisko w służbie dyplomatycznej – zawiadomili Dwójkę. Wówczas, bardzo krótko zresztą, szefem Ekspozytury nr 4 w Katowicach był Edmund Pilichowski.

Po rozmowie w cztery oczy z panem kapitanem nieszczęsny ekshibicjonista przestał myśleć o samobójstwie. Cały protokół z zatrzymania w Katowicach pan kapitan wyjął z akt i wziął ze sobą. Co więcej, nawet z kolejowego posterunku straży granicznej w Chebziu usunął raport z tego dnia, gdy Zwolicki przekraczał granicę. Niedoszły samobójca przybrał pseudonim „Pies Pasterski” i został łącznikiem pomiędzy Cycleronem a Aloisem Grundmannem. I dzisiaj mając wybór, czy być lojalnym wobec pierwszego, czy drugiego, poszedł za głosem wdzięczności.

* * *

TEJ ZIMOWEJ NOCY POPIELSKI SZALAŁ Z NIEPOKOJU. Aurelii nigdzie nie było, a jedyny człowiek, który mógł mu w tym mieście pomóc – referent Henryk Zwolicki – nie dawał znaku życia. Notariusza Jerzego Smołę zaliczał do pomocników biernych – udostępniał on swój tajny lokal, przekazywał różne informacje, ale – jak to ujął Zwolicki – „ten sympatyk

polskości bał się czynić cokolwiek więcej na trudnym terenie niemieckiego miasta, gdzie ogromna część mieszkańców głosowała za partią Hitlera”.

Edward mógł zatem tej nocy liczyć jedynie na siebie.

Jak to często bywa, niewiele otrzymał był znaków zwiastujących dramatyczne wydarzenia. Po spotkaniu z agentem Ireneuszem długo wracał do centrum miasta, do hotelu. Jego drzemka, którą planował na kwadrans, może dwa, przeciągnęła się do dwóch godzin. Organizm tego czterdziestodwuletniego mężczyzny domagał się regeneracji po nocnych i porannych szaleństwach w ramionach młodej kobiety. Ale jego duch wręcz przeciwnie – on do niej się rwał, tęsknił, pragnął jej. Popielski nie myślał o niczym innym – nawet o własnej córce Ricie i o kuzynce, która zastępowała jej matkę.

Swoją nieczułość wobec nich racjonalizował, myśląc: „Przecież wykonuję tajną misję, Lodzia i Rita wiedzą, że nie mogę się z nimi kontaktować”.

Gdyby jednak miał podać prawdziwą przyczynę swojej obecnej obojętności wobec tych dwóch do niedawna jedynych najbliższych mu kobiet, musiałby skruszony wyznać, iż w ostatnich dniach ogarnęło go erotyczne otumanienie. Żadna czynność i żadna myśl nie mogła być konkurencją dla napawania się głęboką czernią oczu Aurelii oraz wobec umierania z rozkoszy przy dotyku jej ust i gładkiej alabastrowej skóry.

Wieczorem pobiegł prawie, kilkakrotnie przewracając się na śniegu, na nieodległą Kaiser-Wilhelm-Strasse[48]. Uczucie euforii rozsadzało mu pierś jak zakochanemu nastolatkowi. Znikło natychmiast, zastąpione przez zimną podejrzliwość, gdy ujrzał pod jej kamienicą krzywo zaparkowanego maybacha, do którego szybkim krokiem zmierzał poznany kilka godzin wcześniej agent Ireneusz. Coś tu było nie tak. Popielski schował się za słup ogłoszeniowy.

Kiedy auto odjechało, podbiegł do stróża, stojącego w bramie kamienicy i odprowadzającego wzrokiem samochód, który na szerokiej jezdni wpadł w poślizg. Edward wyjął z kieszeni dwa banknoty – stu- i pięćdziesięciomarkowy – i zaszeleścił nimi przed nosem stróża. Ten długo się nie wahał. Zdradził, iż kierowca maybacha jest z Sicherheitsdiest, i wpuścił Popielskiego do mieszkania Aurelii. Zdziwionym lokatorom powiedział, że ten pan jest z policji kryminalnej.

Edward, znalazłszy rozkład jazdy z podkreślonymi połączeniami do Polski, już był pewien, że wszystko poszło nie tak.

Idąc prosto przed siebie – Schweidnitzer Strasse[49] w stronę Rynku – rozmyślał intensywnie nad tym, dlaczego Aurelia postanowiła wyjechać do Polski. Niestety, jego zaćmiony gwałtownymi uczuciami umysł nie działał prawidłowo. W miłosnym zaślepieniu wciąż przychodziło mu do głowy rozwiązanie najmniej wiarygodne: że to on, Edward, czymś ją uraził, czymś dotknął, czymś spłoszył, a może nawet przeraził. W swym egocentryzmie uważał, że ona, będąc zakochaną w nim bez pamięci, uciekła, bojąc się tego uczucia bez przyszłości.

Gdyby uruchomił podejrzliwość, tak irytującą zawsze Leokadię, oraz logiczne myślenie – tak dobrze wyćwiczone na językach klasycznych, szachach, bridżu i na wielu lwowskich śledztwach – to doszedłby do zupełnie innych wniosków.

Najprostszym z nich był oczywiście ten, że sprawy z dokumentami zaszły za daleko i Aurelia najzwyczajniej się wystraszyła. Być może – wierząc w dotychczasowe szczęście oraz w swój uwodzicielski czar, działający piorunująco na mężczyzn – chciała po prostu uciec z Wrocławia, gdzie walki wywiadów stawały się dla niej śmiertelnie niebezpieczne, a jej platoniczny kochanek wciąż nie mógł podjąć decyzji w sprawie wyjazdu.

Popielski, kiedy to wszystko później, po tygodniach i miesiącach, rozważał, nie mógł pojąć, że nie wpadł wtedy na owo dość oczywiste wyjaśnienie. Roztrzásając wszystkie przesłanki zupełnie na zimno, dziwił się, że miłosne szaleństwo tak mu przyćmiło wzrok, iż nie widział śledzących go agentów, których obecność była widowym znakiem komplikującej się sytuacji.

Tymczasem tej nocy biegł przed siebie, w stronę antykwariatu Laskiera, mając jakieś resztki nadziei na to, że Aurelia przed wyjazdem chciała się pożegnać ze swym przyjacielem, mentorem i swoistym duchowym przewodnikiem, bo tak go określała z rozmowie ze swym polskim kochankiem.

„Być może Laskier coś o niej będzie wiedział” – ta jedna myśl tłukła mu się po głowie.

Kiedy ujrzał pod antykwariatem pielęgniarzy wynoszących na noszach ciało antykwariusza, utracił wszelką nadzieję.

* * *

KAPITAN EDMUND PILICHOWSKI kierował osobiście chevroletem master six. Obok niego siedział Henryk Zwolicki, a na tylnej kanapie spała otulona futrem Aurelia Teichert.

– Dziękuję ci, mój Heniu – rzekł kapitan z lekkim uśmiejchem. – Wykazałeś się wielkim hartem ducha. To było dla ciebie bardzo niebezpieczne. Wydostałeś się z jaskini zbójców. A teraz czeka cię nowe zadanie. W Żyrardowie, na ziemi mazowieckiej. Tam sprawdzimy...

Obrócił się przez ramię i spojrział na śpiącą kobietę z dziwną czułością.

– Tam sprawdzimy, jak pojemną i jak wierną pamięć ma nasza śliczna pasażerka. Czy na przykład pamięta moje ulubione rytmiczne klauzule.

Znów spojrział na drogę.

– Ale musisz coś dla mnie zrobić... Muszę mieć pewność, że będziesz służył tylko mnie. Masz zerwać z SD!

Henryk Zwolicki z pokorą pochylił głowę. Dla pana kapitana zrobiłby wszystko.

* * *

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ DO PAŁACU KSIĘCIA ALBRECHTA przy Wilhelmstrasse 102 w Berlinie przyszedł anonimowy list adresowany do szefa Sicherheitsdienst samego SS-Gruppenführera Reinharda Heydricha. Specjaliści chemicy sprawdzili najpierw, czy list nie zawiera żadnych szkodliwych substancji, a potem przekazali go Karłowi Wolffowi, adiutantowi Heydricha i szefowi jego osobistego sztabu. Ten czytał i czytał, i oczom nie wierzył. Kiedy już zapoznał się z historią wielkiej kontrwywiadowczej porażki we Wrocławiu, mruknął pod adresem niezbyt przez siebie lubianego Grundmanna:

– No i co, skurwysynu? Przyszedł i na ciebie kres. Każdemu kiedyś kres.

[40] Postać fikcyjna występująca w powieści Marka Krajewskiego *Miasto szpiegów*.

[41] Obecnie ul. Wita Stwosza.

[42] Dawne Biuro Wystaw Artystycznych.

[43] Obecnie ul. Tęczowa.

[44] Obecnie Dworzec Świebodzki.

[45] Obecnie pl. Dominikański.

[46] Obecnie ul. Świdnicka.

[47] Obecnie ul. Powstańców Śląskich.

[48] Obecnie ul. Powstańców Śląskich.

[49] Obecnie ul. Świdnicka.

HENRYK ZWOLICKI, JEDYNY ŁĄCZNIK Popielskiego z Żychoniem, ulotnił się jak kamfora. Jerzy Smoła *vel* Georg Smolla, dowiedziawszy się o jego zniknięciu oraz o losie Laskiera, oświadczył Edwardowi, że wszelkie kontakty z nim zawiesza do odwołania. Agent Götz został we Wrocławiu nie tylko osamotniony, ale i poważnie zagrożony. Zawisło nad nim wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ agent Ireneusz, rekomendowany przez Zwolickiego, okazał się funkcjonariuszem SD, o ile stróż kamienicy, gdzie mieszkała Aurelia, czegoś nie pokręcił

„Jeśli Ireneusz jest człowiekiem SD, to Zwolicki jest najprawdopodobniej zdrajcą, a w polskim konsulacie być może istnieje zakonspirowana siatka szpiegowska. Jeżeli tak jest, to na żadną pomoc ze strony tej instytucji nie mogę liczyć”.

Najgorsze w tym wszystkim były oplakane skutki całej misji, która zakończyła się jedną wielką kompromitacją.

„Dokumenty Laskiera zapewne wyparowały – tak to podsumowywał w myślach jej nieudolny wykonawca – a może dostały się w ręce niemieckie? Aurelia gdzieś zniknęła, najpewniej wyjechała do Polski, o czym by świadczyły podkreślenia w rozkładzie jazdy”.

I tu pojawiała się zgryzota największa – zabarwione silnym bólem poczucie krzywdy, jakie nieznośnie dotyka być może większość porzuconych. Zbolały od tęsknoty i utraty umysł podsuwał kolejną udrękę.

„Czyli znalazła w Polsce protektora, co to się nią zaopiekuje. Silnego mężczyznę, który ciekawie interpretuje muzykę!”

Mieszanka tych uczuć – gorycz z powodu fiaska akcji i z powodu odrzucenia – była nieznośna. Przypominała gorzki płyn, żrącą wydzielinę, która wyciekała skądś małymi kroplami i zamiast spływać do przełyku i do żołądka, zastygała w gardle i paliła jak zgaga. Ten ból się wzmógł, gdy przyszedł pod kamienicę Aurelii i zapytał stróża, czy kobieta wróciła. Dozorca zaprzeczył i ostrzegł Popielskiego, aby tu więcej się nie pojawiał, ponieważ od kilku dni raz na jakiś czas do mieszkania pani Teichert wpadają tajniacy. Miał minę, która mówiła: „Chyba coś mi się należy za moje ostrzeżenie!”. Popielski zrozumiał tę minę, wcisnął mu w dłoń jakiś banknot o niewielkim nominale i odszedł odprowadzany ironicznym nieco spojrzeniem.

Rozumiał to spojrzenie. Zakochany, stęskniony i porzucony przez kochankę młodzieniec zasługuje na współczucie oraz banalne i pokrzepiające słowa: „Życie przed tobą”. Zakochany starzec jest już tylko żaloszny, bo w głowie mu huczy: „Tylko śmierć przed tobą!”.

Popielski nie wytrzymał w tym napięciu zbyt długo i aby nie oszaleć od płonnych nadziei, przyjął w końcu do wiadomości, iż Aurelia go porzuciła. Ta konstatacja poskutkowała bezsennością, cichą rozpaczą godnego politowania amanta. Okiełznać ból mógł tylko w jeden sposób.

„Działanie jest wszystkim, rozpacz – niczym”.

Taką sentencję, nie wiadomo skąd zaczerpniętą, wypowiedział któregoś nocy. Ogolił się wtedy, spryskał pachnącymi wodami, spakował, wymeldował z hotelu Germania i poszedł na Dworzec Główny.

Pamiętał każdy szczegół mieszkania Aurelii, również ów nieszczęsny rozkład jazdy pociągów, który stał się dla niego znakiem rozstania, ostatnim smutnym *vale!*. W tej broszurze podkreślone były trzy trasy kolejowe, wśród nich ta, którą pokonywał pociąg międzynarodowej relacji Wrocław–Gdańsk. Jechał on przez Poznań, a na granicy zatrzymywał się w Zdunach

i na wielu innych przystankach pośrednich. Jeden z nich – Krotoszyn – był, jak pamiętał, podkreślony dwukrotnie.

Popielskiego interesowało to właśnie kolejowe przejście graniczne w Zdunach, oddalone o kilka kilometrów od Krotoszyna – wyraźnego celu Aurelii. Był pewien, że tamtejsi pogranicznicy zapamiętaliby powabną kobietę o egzotycznej urodzie. Miał zamiar ich o nią wypytać. W razie możliwego fiaska tego dochodzenia musiał porozmawiać z ich kolegami z Rawicza i z Międzyborza Sycowskiego – czyli z tych miejscowości, gdzie były dwa inne, najbliższe Wrocławowi przejścia graniczne na trasach kolejowych podkreślonych przez Aurelię.

Pociąg osobowy z Wrocławia do Zdun odjeżdżał o piątej rano i jechał prawie cztery godziny.

„Kto wie? Może nie wszystko stracone dla tej misji i dla... – dodawał w myślach z wahaniem, obserwując migające za oknem bezlistne drzewa i ośnieżone płachty pól – i dla mej miłości? Może Aurelia ma ze sobą owe dokumenty? Może je zabrała, by tutaj, na bezpiecznym gruncie, sprzedać je Dwójce? A może wtedy ją spotkam?”

Takie dręczące go i kuszące wizje skutecznie skróciły mu podróż do Polski.

Dwóm funkcjonariuszom straży granicznej oraz towarzyszącemu im celnikowi Edward oznajmił, iż tutaj wysiada i oddaje się do dyspozycji czynników urzędowych, którym wszystko wyjaśni. Musiał się ujawnić, bo tylko w ten sposób mógł się dowiedzieć czegoś o Aurelii. Z rzekomym Austriakiem nikt by tu nie rozmawiał, legitymacji policyjnej i odznaki, ze względu na swe bezpieczeństwo, nie wziął ze sobą do Wrocławia.

I tak oto – odprowadzony przez obu pograniczników – znalazł się w małym parterowym budynku, nad którego drzwiami wisiały dwa szyldy:

jeden z białym orłem i napisem: „Placówka Straży Granicznej I Linji” oraz drugi oznajmiający: „Urząd Celny Zduny-Kolej”.

Kierownik placówki starszy strażnik Romuald Błaszczyk, tęgi i niewysoki mężczyzna z kilkoma pasmami włosów zaczesanymi na czubku głowy, zachował się nieoczekiwanie wrogo.

– Zakuć go! – krzyknął do swoich ludzi i na przegubach Popielskiego trzasnęły kajdanki.

– Mamy cię, żuczku. – Kierownik uśmiechnął się tryumfalnie i zakręcił korbką telefonu.

Popielski milczał, nie dopytywał się o zasadność aresztowania, nie protestował okrzykami: „Jak macie czelność? Jestem ważną personą!”. Na takie enuncjacje przyjdzie jeszcze czas, a ewidentnie bezcelowe wydawało się wygłaszanie ich teraz, przed zadowolonym z siebie pogranicznikiem, który przecież tylko wykonywał rozkazy.

„Wysokie C wezmę dopiero wtedy, gdy zobaczę owego rozkazodawcę” – myślał.

Do tego spotkania doszło niebawem. Najpierw przyjechała po „żuczka” wojskowa ciężarówka. Wepchnięto go do niej bezceremonialnie, a jego elegancki sakwojaż został potraktowany jeszcze brutalniej – rzucono go na zakurzone deski podłogi części transportowej ciężarówki, a jeden ze strażników nawet go kopnął.

Popielski jechał niewiele ponad kwadrans w asyście dwóch strażników, którzy siedzieli z odbezpieczonymi karabinami i nie spuszczały z niego oka. Potem go wypchnęli spod plandeki – nieco mniej brutalnie – a i sakwojażowi okazali większy szacunek.

Znalazł się na zabłoconej, zaśnieżonej uliczce jakiegoś miasteczka. Tej niedzieli jego mieszkańcy byli najwyraźniej spragnieni sensacji, bo natychmiast spora ich grupa otoczyła wojskową ciężarówkę.

– Szpieg z granicy! – szeptano. – To szpieg niemiecki!

Edward wszedł do piętrowego budynku z szyldem „Komisariat i Placówka Straży Granicznej II Linji, Krotoszyn, ul. Zdunowska 42”. Z sieni prowadziły na piętro schody, na których teraz siedziało przynajmniej pół tuzina dzieci w różnym wieku i przyglądało się uważnie zakutemu w kajdanki eleganckiemu panu w płaszczu z futrzanym kołnierzem i w meloniku na głowie. W budynku straży mieściły się zapewne mieszkania dla funkcjonariuszy, a owe dzieci to była ich właśnie progenitura.

Popielskiego usadzono w kancelarii i spisano protokół z zatrzymania. Edward na pytania kierownika placówki starszego strażnika Jana Filipiaka odpowiadał monosylabami lub krótkimi zdaniami. Nie podał swojego prawdziwego nazwiska, a na większość pytań reagował:

– Proszę o umożliwienie mi kontaktu z Bydgoszczą i z panem kapitanem Żychoniem, szefem Ekspozytury numer trzy Oddziału Drugiego Sztabu Głównego Wojska Polskiego.

Filipiak, słysząc te żądania, kiwał głową – nie wiadomo, czy współczująco, czy też ironicznie. W końcu postawiwszy kropkę w protokole – sam wszystko spisał, najwidoczniej placówka nie dysponowała nadmiarem pracowników – rzekł, jakby się usprawiedliwiając:

– Ten protokół to tylko *pro forma*. Otrzymałem rozkaz, by pana odtransportować do Poznania. Zajmą się tam panem ludzie z Samodzielnego Referatu Informacyjnego przy Dowództwie Siódmego Korpusu. Oni pańskie żądanie kontaktu z kapitanem Żychoniem spełnią lub nie. Ja tam swoje zrobiłem.

To Popielskiego mocno już zaniepokoiło. Przyjechał tutaj, aby zdobyć informacje o Aurelii, aby poprowadzić dochodzenie, które zakończyłoby się

znalezieniem kobiety i być może uratowaniem całej wrocławskiej misji. Tymczasem został bezpardonowo aresztowany, czekają go jakieś długie przesłuchania przez oficerów kontrwywiadu, a wszystko to oddala rozwiązanie sprawy i znalezienie ukochanej.

– Panie kierowniku – rzekł proszącym tonem – oczywiście poddam się wszelkim koniecznym procedurom, jestem kapitanem Wojska Polskiego i rozumiem, że rozkaz to rozkaz. Ale niech pan mi powie z łaski swojej, czy parę dni temu nie przekraczała tutaj, u was w Zdunach... Czy nie przekraczała granicy... Urodziwa kobieta o egzotycznej urodzie, wyglądająca na Hiszpankę lub Żydówkę. To jest ważny świadek w sprawie wagi państwowej! Proszę, niech mi pan powie lub zapyta swoich ludzi.

Przeciągłe spojrzenie było odpowiedzią na jego prośbę. Filipiak schował protokół.

– Nie pan tu przesłuchuje i rozpytuje – mruknął. – Jedzie pan do Poznania. I tyle. Sam pan to rozumie. Rozkaz to rozkaz.

Nic więcej kierownik Filipiak już nie rzekł.

Podróż do stolicy Wielkopolski pod plandeką budy ciężarówki trwała siedem godzin. Popielski siedział skulony z zimna i z głodu na drewnianej ławce przymocowanej do podłogi. Jedną rękę miał przykutą do żelaznego ożebrowania, na którym rozpięta była plandeka, drugą – wolną. Przed sobą widział okienko szoferki i kark kierowcy, za sobą czuł wzrok dwóch strażników, okutanych w kożuchy i uzbrojonych w karabiny.

Kiedy wjechali do stolicy Wielkopolski, panował już zupełny zmrok rozświetlany niekiedy i tylko na chwilę światłem jakiejś latarni. Im bliżej byli centrum, tym więcej było tych latarni i tym rzadziej światło ich znikało.

Edward dla zabicia czasu i z autentycznego zainteresowania – nigdy jeszcze nie był w Poznaniu – obserwował ponad głową kierowcy okazałe kamienice i budynki publiczne.

Wysiedli na podjeździe do wspaniałego piętrowego neorenesansowego gmachu. Na jego widok aż mu dech zaparło. Bydynek ten był podobny do krakowskiego Teatru imienia Słowackiego, gdzie często bywał w czasach swych erotycznych eskapad salonką relacji Lwów–Kraków. Stojące po obu stronach wejścia strażnicze budki skutecznie jednak niszczyły tę iluzję.

Tutaj nie czekały go artystyczne uniesienia. W gabinecie na pierwszym piętrze – mimo niedzieli i późnej pory – czekał na niego kapitan Franciszek Lewcio, szef Samodzielnego Referatu Informacyjnego przy Dowództwie Okręgu Korpusu nr VII w Poznaniu. Tego funkcjonariusza – podobnie jak starszego strażnika Filipiaka – zupełnie nie interesowały powody, dla których Popielski przyjechał do Krotoszyna. Był uprzejmy, lecz nie wykazywał nawet śladu zrozumienia. Uparcie ponawiał pytania, choć wciąż otrzymywał na nie te same odpowiedzi. Na prośby o kontakt z Żychoniem, wygłaszane co chwilę przez Popielskiego, kręcił głową, mówiąc:

– Żychoń? Nie, nie znam, zupełnie nie znam.

Jedynym ludzkim odruchem Lewcia było poczęstowanie aresztanta poznańskim gzikem, zachwalanym jako „wyborny tradycyjny smakołyk”. Popielski nie podzielał tego entuzjazmu wobec zimnego kartofla, napchanego białym serem z cebulą, ale był tak głodny, że zjadłby nawet konia razem z dyszlem.

* * *

NASTĘPNEGO DNIA PRZED POŁUDNIEM KAPITAN LEWCIO nadał pilną zaszyfowaną radiodepeszę do Referatu Radiowywiadowczego i Biura Szyfrów Wydziału Wywiadu II Oddziału Sztabu Głównego. Ludzie kapitana Pilichowskiego rozszyfrowali ją i przedstawili swojemu szefowi. Ten zaniósł ją niezwłocznie do sekretariatu szefa Dwójki pułkownika Jerzego Englischa i oddalił się do swojego gabinetu na parterze pałacu

Saskiego. Taki miał rozkaz, Englisch życzył sobie znać każdy szczegół misji wrocławskiej.

U szefa Dwójki siedzieli dwaj zapiekli przeciwnicy. Szef antyniemieckiej Ekspozytury nr 3 kapitan Jan Henryk Żychoń i kapitan Jerzy Niezbrzycki, szef Referatu Wschód. Englisch, wietrząc swój przyszły awans do Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, chciał pozostawić następcy względny spokój na szczytach Dwójki. Wiedział, iż samemu Marszałkowi bardzo zależy na zgodzie czynników wywiadowczych, a nikt w sprawie awansu Englischa nie miał więcej do powiedzenia niż Piłsudski.

Dlatego postanowił wcielić się w mediatora i zaprosił owych dwóch nienawidzących się oficerów do siebie, by wysłuchać wzajemnych oskarżeń i racji, a później rozdzielić im lekkie klapsy i w końcu poprosić, by porzucili niesnaski i podali sobie ręce – dla dobra ojczyzny.

Kiedy już mu się zdawało, że jest bliski sukcesu, zapukał jego adiutant i wręczył mu obszerną dwustronicową depezę od kapitana Lewcia z Poznania. Englisch przeprosił obu panów i długo czytał doniesienie podwładnego. W końcu położył pismo na biurku.

– Tak, moi panowie. – Postukał palcem w dokument i spojrzał na Żychonia. – Tak, panie kapitanie... Pański agent Götz okazał się prawdopodobnie agentem podwójnym. Szef Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Poznaniu kapitan Longin Sokółski przygotowuje już akt oskarżenia.

Niezbrzycki zdjął okrągłe okulary w rogowej oprawie i uśmiechnął się drwiąco.

– No cóż... Pan to ujął łagodnie, panie pułkowniku. Podwójny agent to ładnie brzmi. Ale ja znam inne słowo na określenie agenta pana kapitana Żychonia...

„Nie bawmy się teraz w słówka” – chciał zaproponować szef, widząc, że konflikt, który miał być załagodzony, znów się rozpała.

Nie zdążył.

– Zdrajca, kapitanie Żychoń. – Niezbrzycki podniósł głos. – Pański agent Götz to zdrajca! No i co? Łyso panu?

Żychoń poczerwieniał, Englisch odsapnął ze złością. Jego mediacja skończyła się fiaskiem.

Zawiesił zebranie i wyznaczył obu panom spotkanie na godzinę trzecią, licząc, iż dobry obiad w pobliskim hotelu Bristol nastawi ich bardziej ugodowo.

Kapitan Jan Henryk Żychoń nie poszedł jednak na obiad. Udał się na Aleje Ujazdowskie 3, wprost do gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Miał nadzieję, że uda mu się wyprosić audiencję u marszałka Józefa Piłsudskiego z pominięciem drogi służbowej, czyli bez pośrednictwa marszałka Rydza-Śmigłego i całej rzeszy podległych mu oficerów.

Pokonawszy różne kancelarie, Żychoń dowiedział się w końcu, iż Piłsudski znajduje się w swej willi na terenie inspektoratu, którą zajmował wraz z rodziną. Jego adiutant kapitan Mieczysław Lepecki zanotował prośbę Żychoń i nazwisko „Edward Popielski”. Wrócił po dwóch kwadransach i oznajmił, że Marszałek – mimo złego samopoczucia – przyjmie pan kapitana w swym gabinecie w gmachu inspektoratu o godzinie trzeciej.

Żychoń odetchnął z ulgą. Termin ten kolidował ze spotkaniem u Englisha, jednak kapitan nie miał najmniejszego dylematu, co powinien wybrać. Dla swych ludzi zrobiłby wszystko. A już na pewno zrezygnowałby z pogodzenia się z Niezbrzyckim.

* * *

NA SZCZYTACH NIEMIECKIEGO WYWIADU, a konkretnie: w berlińskim biurze SS-Gruppenführera Reinharda Heydricha, również panowała gorąca atmosfera, choć nikt nie podnosił tu głosu. Szef Sicherheitsdienst des Reichsführers SS, czyli Służby Bezpieczeństwa SS-Reichsführera, konkurencyjnej wobec Abwehry agencji wywiadu i kontrwywiadu, patrzył na swego podwładnego z Wrocławia bez zmrużenia powiek.

Heydrich przypominał, jak go po cichu określiła jedna z tutejszych urzędniczek, śliskiego, wyliniałego węża. Był wysoki i nieproporcjonalnie zbudowany. Długie, krzywe nogi kończyły się wypukłym, odstającym brzuchem, nad którym wznosiły się wąskie jak u kobiety ramiona. Wyglądał – owszem – jak wąż, który połknął ofiarę i właśnie ją trawi.

Ofiarą był tym razem SS-Hauptsturmführer Alois Grundmann. Wrocławianin – choć poprzedniego dnia nie wypił ani kropli alkoholu – robił wrażenie skacowanego. Oczy miał podkrążone i przekrwione od niewyspania, policzki poszarzałe od mrozu, a jasny lok, wznoszący mu się nad czołem – mocno przetłuszczony. Choć byli prawie rówieśnikami, sprawiał wrażenie dużo starszego od Heydricha. Nie zmrużył oka w czasie nocnej podróży z Wrocławia, bo gryzł się okrutnie, oczekując najgorszego po nagłym wezwaniu z samej góry. Gdy o siódmej rano wchodził do potężnego pałacu księcia Albrechta przy Wilhelmstrasse 102, tuż obok kwatery głównej Gestapo, nogi się pod nim uginały ze strachu. Pod potężnymi łukowatymi sklepieniami kulił się ze zgrozy – zwłaszcza że nawet szeregowi urzędnicy, którzy dopiero co przyszli do pracy, okazywali mu lekceważenie, a jeden z nich na prośbę o filiżankę kawy prychnął pogardliwie. I oni, i sam Grundmann doskonale wiedzieli, że wezwanie na siódmą rano do szefa oznaczać może jedno: wezwany popadł w niełaskę. Co było najgorsze, owa niełaska mogła być bardzo dotkliwa, bo miała na

niego spaść ze strony dawnego kolegi, z którym pod dowództwem Canarisa służył na krążowniku „Berlin”. I który go z wzajemnością nie znosił już w tamtych czasach.

Heydrich przyszedł o wpół do ósmej i kazał swojemu petentowi czekać jeszcze kwadrans.

Kiedy ten został w końcu dopuszczony przed oblicze szefa, był całkiem rozbity wewnętrznie.

Heydrich odchylił się na krześle daleko od swego biurka i zaczął wolno cedzić słowa. Mrużył przy tym swe małe gadzie jasne oczy i przyklepywał dłonią wielką jak łopata rzadkawe włosy.

Grundmann miał poczucie absurdu. Wszystko, co teraz mówił jego szef, dotyczyło dalekiego Meksyku.

– Przemysł naftowy w Meksyku już niedługo zostanie znacjonalizowany. Amerykanie straciliby na tym krocie i będą się temu z całych sił przeciwstawiać. Amerykańska ambasada w stolicy tego kraju jest gniazdem szpiegów i koruptorów. Nam bardzo zależy, aby ci wszyscy źli ludzie ponieśli klęskę w swych staraniach, chcemy tej meksykańskiej nacjonalizacji. A wie pan dlaczego, Grundmann?

Zapytany pokręcił przecząco głową. W ustach mu zasychało, miał wrażenie, iż ktoś mu skleił wargi.

– Otóż dlatego – ciągnął Heydrich – że Amerykanie, wywłaszczeni ze swych rafinerii, będą się mścić. Przestaną kupować ropę od Meksykanów i wpłyną na przyjazne sobie kraje na całym świecie, by te również zbojkotowały meksykańską ropę. A my, Grundmann, nie należymy do tych przyjaznych krajów, prawda? I jak zareagujemy na całą sprawę?

Potentowi zaczynało coś błyskać w głowie.

– Meksykianie przyciśnięci bojkotem – kontynuował szef – będą sprzedawać ropę do naszych czołgów. Za pół darmo, Grundmann! – Założył

ręce na kark. – Krótko mówiąc, bardzo nam zależy, aby mieć w Meksyku sprawnie działających ludzi, którzy z ogromną energią popieraliby nacjonalizację przemysłu naftowego i zwalczaliby po cichu knowania Amerykanów... My potrzebujemy tam takich ludzi jak pan, Grundmann.

Wstał i ryknął:

– Twoje miejsce jest wśród kaktusów i skorpionów, ty durniu!!!

SS-Hauptsturmführer nie spodziewał się tak nagłej zmiany tonu i aż podskoczył na krześle.

Heydrich zapatrzył się na wielką flagę ze swastyką zwisającą ze ściany. Była to jedyna ozdoba biura. Jego ton znów stał się łagodny.

– Polacy nie są idiotami – powiedział wolno. – A ty we Wrocławiu już nie masz wśród nich nikogo, agent... – Otworzył akta i przeglądał je przez chwilę. – Agent Henryk Zwolicki zniknął i napisał mi o tobie liścik miłosny. Piękna Ormianka też zniknęła. Dokumenty wagi państwowej są rozbite na atomy i pływają gdzieś w Odrze, a łysy Austriak, ewidentny polski agent, widział się z tobą i wszędzie cię rozpozna. To pasmo klęsk, Grundmann. Ale będą jeszcze kolejne. Ten łysy też nie jest idiotą. Niedługo wrócisz do Wrocławia i ani się obejrzysz, a Polacy wszystkiego się o tobie dowiedzą. Chwycą cię w jakieś kleszcze i zapytają: co ma wspólnego z całą sprawą polski arystokrata nazwiskiem Lambert? Kto jest jego oficerem prowadzącym? O ile już nie wiedzą od Zwolickiego, że tym oficerem jesteś ty! A jeśli szwajcarski notariusz istnieje? A jeśli ta Ormianka zna jego nazwisko? To co? To co będzie, Grundmann?! Polacy zdobędą te dokumenty i rozpoznają styl Cycerona, jednego z naszych najlepszych agentów! Gdyby nie twoja głupota, gdybyś nie wypuścił jej z rąk...

Szef wrocławskiego SD ośmielił się odezwać po raz pierwszy.

– Zwolicki nie był tak głęboko wprowadzony w sprawę. – Usiłował nadać swojemu głosowi lekkie brzmienie. – Tutaj nie ma

niebezpieczeństwa. A jak mnie niby Polacy przymuszą? Przecież nie powiem im dobrowolnie!

Heydrich roześmiał się nieoczekiwanie, ale nie był to śmiech radosny. Wstał, pochylił się nad biurkiem, opierając pięści o jego blat.

– Nie mogłeś, durniu, po prostu wejść tam w nocy, zabrać biurka do jakiegoś warsztatu i tam je rozwalić w drobny mak? Nie mogłeś? Jeśli jesteś takim idiotą, to myślisz, że Polacy czegoś na ciebie nie znajdą? Że czegoś kiedyś nie chlapnąłeś, że czegoś głupiego nie zrobiłeś? Myślisz, że żadna z wrocławskich kurew nie pamięta o twojej erotycznej brutalności? Nie, Grundmann, ty we Wrocławiu, ty w Niemczech, jesteś jak niewypał. Wiesz, gdzie się wywozi niewypały i tam je detonuje? No, mów!

– Do lasu? Na otwartą przestrzeń? – wybąkał zapytany.

– Albo na meksykańską pustynię Sonora.

Heydrich powoli unosił prawe ramię. Grundmann trzasnął butami.

– Heil Hitler! – wrzasnął.

Ramię Heydricha nie unosiło się jednak w narodowosocjalistycznym pozdrowieniu. Ono Grundmannowi wskazywało drzwi.

– Nigdy cię nie lubiłem, Alois. – To były ostatnie słowa Heydricha. – Od czasów gdy obaj służyliśmy pod Wilusiem na krążowniku „Berlin”.

* * *

PIERWSZĄ NOC W POZNANIU, JUŻ PO PRZESŁUCHANIU przez kapitana Lewcię, Popielski spędził w pokoju gościnnym w oficynie dowództwa VII Korpusu. Następnego dnia Edward z gmachu, budzącego w nim taki podziw, został przewieziony do ponurego pruskiego fortu przy Wałach Jagiellończyka 7, gdzie mieściło się więzienie wojskowe i takież sąd. Jako oficer dostał jednoosobową celę z zakurzoną paprotką na parapecie i z widokiem na komin browaru Huggera, jak go poinformował strażnik

takim tonem, jakby to była wieża Eiffla. Ani jeden, ani drugi element nie zrobił na Edwardzie większego wrażenia. Zwłaszcza kwiatek, poszarpany i rzadki – zamiast ożywiać to wnętrze – dodatkowo czynił je przygnębiającym jak nieudolny makijaż na twarzy zżartej przez wiek i choroby.

Na szczęście nie musiał się długo napawać tym widokiem, bo po trzech może godzinach od momentu zakwaterowania zjawili się dwaj strażnicy, którzy – odebrawszy od Edwarda oficierskie słowo honoru, iż nie będzie uciekał – poprowadzili go długim korytarzem, potem przeszli przez zamykaną na potężne sztaby służę do kwadratowego budynku z napisem „Wojskowe Więzienie Śledcze nr VII”, wspięli się na drugie piętro, aż w końcu dotarli do gabinetu, na którego drzwiach wizytówka oznajmiała: „Szef Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Poznaniu / kpt. Longin Sokólski”.

Gabinet składał się z dwóch części: pokoju przesłuchań i właściwego biura prokuratora. Obie z osobnymi wyjściami na korytarz i obie dość ciemne, bo ich okna były niewielkie.

Popielskiego posadzono w pokoju przesłuchań, w którym wśród gołych ścian znajdowały się – nie licząc kolejnej zakurzonej paprotki – tylko dwa stoły i trzy krzesła. Na jednym z nich przy dużym stole posadzono przesłuchiwanego, a to po drugiej stronie stołu czekało na prokuratora Sokólskiego. Mniejszy stół z krzesłem stał nieco z boku. Po chwili został zajęty przez młodego podchorążego, który ustawił na blacie maszynę do pisania, a obok położył plik kartek oraz kalkę maszynową.

Po chwili z biura wyszedł sam prokurator Sokólski w mundurze, na którego pagonach jaśniały trzy gwiazdki.

Był to wysoki i mocno zbudowany czterdziestolatek z wydatnym brzuchem. Z niewielkim rozmiarem i delikatnością dłoni kontrastowało

gęste owłosienie przedramion, które wychodziło aż na przeguby. Policzki, na których odznaczał się mocno siny cień zarostu, były tak pyzate, że – w pozycji *en face* – przesłaniały małe, przylegające uszy. Głos miał dość wysoki, a jego tembr kojący i przyjacielski. Niejeden dezertor, gwałciciel czy też złodziej kalający polskie siły zbrojne dał się zwieść temu pozornemu tonowi łagodności i zapominał, że ma do czynienia z zajadłym tropicielem przewin.

Kapitan przedstawił się i usiadł ciężko za stołem. Wyjął papierośnicę i poczęstował Edwarda. Ten przyjął papierosa z wdzięcznością. Nie palił jeszcze dzisiaj, a więzienne, nie najgorsze zresztą śniadanie – chleb z konserwą rybną – domagało się odwiecznego rytuału tytoniowego, zgodnie z zasadą „żaden Polak po jedzeniu nie zapomni o paleniu”. Sokólski położył na blacie trzy kartki, jedną obok drugiej, zapisane okrągłym kobiecym pismem. Bez żadnych wstępów przeszedł do rzeczy.

– Pani Aurelia Teichert to właśnie napisała. – Postukał palcem w jedną z kartek. – Z całą pewnością to wyszło spod jej ręki. Nasi grafolodzy porównali jej list do konsulatu polskiego z propozycją sprzedaży dokumentów i ten... – Znów postukał. – Ten oskarżający pana – dokończył. – Nie mają wątpliwości, że oba listy pisała jedna i ta sama osoba.

– Ona mnie oskarża? – Edward nie zapanował nad drżeniem głosu. – O co mnie oskarża?

Sokólski milczał. W jego oczach pojawił się dziwny błysk. Przy dobrej woli można by wziąć go za współczucie, przy złej – za kpinę.

– O współpracę z niemieckim wywiadem, mianowicie – rzekł, wyjął teraz z teczki duże zdjęcie i przesunął je po stole w stronę Popielskiego.

Było najwidoczniej zrobione na bardzo czułej kliszy. Gdyby było inaczej, musiałyby błysnąć lampa. Tymczasem dwaj mężczyźni siedzący

w kącie knajpy wcale nie byli oświetleni jaskrawym światłem, jakie zwykle pochodzi z błysku. Przed nimi stały dwa spienione kufle piwa, pusta stopka po wódce i talerzyk.

– Siebie pan poznaje, prawda? – usłyszał Edward. – A tego drugiego? Kto to? I gdzie się pan z nim spotkał?

– W knajpie niejakiego Zirkerera we Wrocławiu. A ten człowiek to agent Ireneusz. Prawdopodobnie podwójny. Człowiek kapitana Żychonia i chyba funkcjonariusz SD. Zwolicki mnie z nim skontaktował. Henryk Zwolicki, pracownik konsulatu, również agent kapitana.

– Czyżby? – Na szerokiej, okrągłej twarzy Sokólskiego rozlało się zdziwienie. – Zwolicki nie może tego potwierdzić, bo zniknął. Zapadł się pod ziemię tak jak pani Teichert. Ona jednak zdołała wysłać nam ten długi list.

Pokazał wzrokiem jedną z trzech zapisanych drobno stronic.

– Aurelia Teichert była świadkiem śmierci swojego przyjaciela, znanego panu Hermanna Laskiera. Nie świadkiem naocznym, bo nic nie widziała, ukryta w jego antykwariacie, jak pisze, w jakiejś kolumnie. Ale świadkiem nausznym.

Uśmiechnął się, jakby mu się spodobało to określenie.

– Ponieważ wszystko słyszała. Ale wróćmy do wcześniejszych zdarzeń. Pani Teichert pisze, że pan groził Laskierowi, żądając wydania ważnych dokumentów, o których wszyscy wiemy i których nie musimy tutaj charakteryzować. Oto co ona mówi o panu, cytuję...

Nacisnął na nos binokle, uniósł do oczu jedną z kartek i zaczął czytać:

„Reiterer błagał mnie, żebym wydostała te dokumenty od Hermanna. »Od tego zależy mój awans – tak mówił – jest mi on potrzebny jak łyk wody w upalny dzień. Jak twój pocałunek, jak twoja wiotka dłoń przesuwająca się w pieszczocie po moim byczym karku«”.

Uśmiechnął się.

– Byczym karku. Dobrze. Ale *ad rem*. Czy pan nie występował z fałszywym paszportem, wystawionym na nazwisko Herbert Reiterer?

Popielski przemilczał to ewidentnie retoryczne pytanie, dlatego że go zatkało. Przypomniawszy sobie własne słowa. I kolejną scenę, gdy podniósł Aurelię i przesunął ją ku górze po coraz cieplejszym piecu.

– Mordercą Laskiera jest najpewniej funkcjonariusz niemieckiego wywiadu. – Prokurator ściągnął go na ziemię z obłoków wspomnień. – To być może ten sam, który już wcześniej mu groził. Pani Teichert twierdzi, iż Laskier określił go jako „esesmana”. I tenże esesman powiedział, cytuję jej list: „Może szwajcarski notariusz przekaże dokumenty temu łysemu Polakowi, co mówi z austriackim akcentem? To mój człowiek. On mi zlecił to postraszanie ciebie, ptaszku”. Koniec cytatu. Mało panu przesłanek, kapitanie Popielski? Rozmawia pan najpierw z jakimś ciemnym typem, domniemanym esesmanem, który zabija antykwariusza i wcześniej mówi: „To Popielski zlecił mi postraszanie ciebie. Ten sam Popielski, który za wszelką cenę chce wydostać dokumenty od Laskiera, który mówi Aurelii: »One mi umożliwią awans, pragnę ich jak łyku wody w upalny dzień!«”.

Edward splótł dłonie i przez chwilę słuchał, jak protokolant stuka w klawisze.

– Panie kapitanie, gdybym był niemieckim agentem, to nie pchałbym się w wasze ręce – rzekł spokojnie. – Nie przyjechałbym do Polski w sytuacji, gdy grozi mi dekonspiracja, gdy Aurelia może wszystko o mnie powiedzieć Dwójce. A tymczasem ja udaję się do kraju, oddaję się w ręce straży granicznej i pozwalam się zamknąć. Czy to nie dziwne jak na niemieckiego agenta?

Sokółski wciągnął ze świstem powietrze.

– Zakochał się pan, Popielski. Przyjechał pan tutaj, by odnaleźć ukochaną. Miłość gubi najbardziej zatwardziały szpiegów.

Edward poczuł, że przepona podchodzi mu do gardła. Ostatkiem sił opanował się, zaciskając pięści i wbijając sobie dawno nie opiłowywane paznokcie we wnętrze dłoni.

– Nie ma pan kapitan dowodów – głos lekko mu drżał – że człowiek, który jest ze mną na zdjęciu, zabił Laskiera.

Sokólski zgasił starannie papierosa i spojrzał przeciągle na Popielskiego.

– Albo jest pan zdrajcą, panie kapitanie, albo został pan wmanewrowany i zdradzony. Bo widzi pan... – Dmuchnął przez zęby dymem. – Agent Ireneusz, człowiek kapitana Żychonia, naprawdę nazywa się Helmut Zeisberger. A oto i on.

Wyjął nowe zdjęcie z teczki i podsunął je Popielskiemu. Na zdjęciu barczysty, pięćdziesięcioletni na oko tęgi brunet stał w piwiarni, unosił kufel, a jego usta układały się najpewniej do frazy „*Zum Wohl*”^[50]. Ubrany był w śląski strój ludowy: kapelusz z podwiniętym rondem, w kamizelkę z dziurkami obszytymi jaśniejszą nitką, w krótki krawat, białą koszulę z szerokimi rękawami i w bufiaste spodnie wpuszczone w buty.

– Przestępca śląski – ciągnął Sokólski. – Ważny człowiek we wrocławskim półświatku, zwany „Kapeluszem”, bo z ulubionym nakryciem głowy nie rozstaje się nigdy, nawet w wannie. Widzi pan jakieś podobieństwo do człowieka na zdjęciu z panem? Ja widzę. Jedno jedyne. To kufel piwa.

Edwardowi pociemniało w oczach. Owszem, widział blondyna przed domem Aurelii, owszem – dozorca powiedział mu, że jest on z SD, jednak w swym umysłowym zamgleniu zepchnął to wszystko gdzieś na skraj świadomości. Wtedy myślał tylko o tym, że stracił ukochaną kobietę.

„Nie nadaję się do tej roboty – pomyślał – popełniam błąd za błędem”.

Prokurator wstał i położył na jego ramieniu małą owłosioną dłoń.

– No, Popielski – rzekł z troską w głosie. – Może czas już powiedzieć prawdę? Całą prawdę. Przyjdę za pół godziny i jej wysłucham. Tymczasem niech pan sobie zapali i spokojnie się zastanowi. Nad całą prawdą.

Zostawił Edwarda pod czujnym okiem dwóch strażników. Aresztowany palił i usiłował intensywnie myśleć. Nie mógł. Przeszkadzał mu w tym głos dochodzący gdzieś z oddali i cytujący Goethego: „Zamknijcie wasze serca starannie niż wasze drzwi. Nadchodzą czasy zdrady”.

Równy pół godziny później prokurator wojskowy miał już zupełnie inny nastrój. W jego głosie nie było troskliwości, a w oczach współczucia. Jego ton był zimny i oficjalny. Przestał już odgrywać rolę przyjaciela.

– Ma pan wielkiego protektora, Popielski. Największego, jakiego można sobie wyobrazić w naszej pięknej Rzeczypospolitej. – Sapnął. – Jest pan wolny. Ma pan miesiąc. Cały luty na wyjaśnienie swojej sprawy. Na zrehabilitowanie się. Albo pan tego dokona, albo czeka pana śmierć z własnej ręki. Sam ją sobie pan zada. Śmierć godna oficera. Taka jest decyzja Belwederu. Żegnam pana.

Wstał i odwrócił się do drzwi.

– A jeśli nie wyjaśnię, nie popełnię samobójstwa i nie wrócę do was, to co mnie wtedy czeka, panie kapitanie?

Sokólski wykręcił się na pięcie i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Nie pana. Pana to już nic nie czeka. Ale pańskie kobiety, to i owszem. Pańską kuzynkę Leokadię Tchórzniczką i córeczkę, ukochaną Ritę. Tak, obie je czeka bardzo trudny czas.

Zapadła ciężka cisza. Edward wbijał sobie paznokcie w dłoń.

– Niech się pan nie boi, one nie umrą. Polskie tajne służby nie są rzeźnikami, nie zabijamy kobiet i dzieci. Ale musi pan wiedzieć jedno: już

nigdy ich pan nie zobaczy!

Nagle chwycił Popielskiego za klapy marynarki i przyciągnął ku sobie.

– I jeszcze jedno. Pański wielki protektor z Belwederu opuści już wkrótce ten podół łez. Jest umierający. A ja w dniu jego śmierci znowu zapukam do pańskich drzwi! Wtedy nikt już pana nie ochroni...

[50] Na zdrowie (niem.).

CZĘŚĆ II

LUTY 1935

FAŁSZYWY ZDRAJCA



POZNAŃ OGARNEŁA ODWILŻ. TĘ ZMIANĘ POGODY Edward Popielski, wychodzący z byłego pruskiego więzienia z czerwonej cegły, przywitał radośnie. Sekwencja „mróz–odwilż” skojarzyła mu się z jego ostatnimi przeżyciami. Oskarżenia, które przeciwko niemu miotała Aurelia w swym liście i które – gdyby nie interwencja belwederska – wpakowałyby go do więzienia, a może i przed egzekucyjny pluton, przeraziły go i zmroziły; moment odzyskania wolności i swobodnego działania był natomiast jak chwilowe ocieplenie.

Stał teraz przy Wałach Jagiellończyka i rozglądał się za jakąś dorożką. Mimo południowej pory było ciemno i ponuro, a jedyną wyraźnie widoczną rzeczą były kominy browaru. Z nieba jak płatki łupieżu sfruwały drobiny śniegu, które w zetknięciu z przedmiotami natychmiast zamieniały się w kropelki wody. Oszroniałe gałęzie drzew kapąły lodowymi łzami. Z gęstej i wilgotnej szarzyzny doszło do jego uszu klaskanie końskich kopyt, wynurzyła się buda dorożki i po chwili zatrzymała przy samotnym przechodniu.

Edward już z nadzieją stawiał nogę na stopniu, gdy z wnętrza wychylił się jakiś młody człowiek w kraciastym, przekrzywionym kaszkiecie. Wyciągnął dłoń. W dwóch palcach trzymał wizytówkę. Edward machinalnie ją odebrał, a pasażer dorożki dotknął pleców fiakra. Pojazd ruszył, zostawiając Popielskiego wśród mgły, która się wdzierała w ulicę mokrymi kłębami. Na wizytówce widniał nadruk: „Wypożyczalnia i naprawa rowerów/Wawrzyniec Paterak/Poznań, ul. Wodna 21 m. 7”. Na rewersie dopisano: „Przygodzice”. Brzmiało to jak nazwa miasta.

Popielski, mocno już zmarznięty, nie miał zamiaru roztrząsać tajemniczej treści wizytówki. Wystarczało mu tylko to, że z jakichś względów ktoś chce, by stawił się pod tym adresem i być może zapyta o coś, na co odpowiedzią będzie nazwa „Przygodzice”. Pozostawało mu przyjąć to osobliwe zaproszenie, choć najpierw – w obawie, czy nie pada znowu ofiarą jakiejś manipulacji – powinien o nim powiadomić Żychonia. Kontakt z kapitanem miał priorytetowe znaczenie tego dnia.

Na razie musiał jednak przede wszystkim wymienić marki na złotówki – w portmonetce miał tylko jakieś polskie grosze – i zjeść solidny obiad. Aby to zrobić, musiał się wydostać z tego zgniłego rejonu, w którym dominowały browar i więzienie – oba budynki z czerwonej cegły, gdzieś przyczerniałej od wilgoci.

Poszedł Wałami Jagiellończyka prosto przed siebie, przeciął jakąś dużą ulicę i znalazł się na Wałach Jagiełły. Przez dobrych dziesięć minut człapał w mokrej kaszy – na szczęście miał na sobie gumowe kalosze – starając się iść blisko muru tworzego z prawej strony przez zwarte kamienice. Unikał w ten sposób ochlapania przez automobile, które rozbryzgiwały wodę z kałuż. Dotarł w końcu do pięknego gotyckiego kościoła, pod którym topniejący śnieg zasypywał trzy dorożki.

Popielski wszedł do pierwszej z nich i zażądał, by go zawieziono do jakiejś restauracji niedaleko ulicy Wodnej. Fiakier, skomentowawszy nieprzychylnie krótkość trasy, jaką miał pokonać, zaciął konia i ruszyli. Niewiele upłynęło czasu i zatrzymał swój pojazd, przyjął – wyraźnie niezadowolony – stosik jedno- i dwugroszówek jako zapłatę i mruknął, że tu wokół wiele szynków, ale on „nie wie, który dobry, bo on to od knajp żaden fachowiec, woli na mszę niż na wódkę”.

Popielski nie miał woźnicy za złe jego grubiańskiego obejścia. Ów religijny najwyraźniej człowiek wstał dzisiaj lewą nogą. Każdemu może się

zdarzyć. Poza tym w czasie jazdy Edward doszedł do wniosku, że obiad może poczekać, bo sprawa, która się kryje za wizytówką, jest zapewne najwyższej wagi.

Uliczka, na której wysiadł z dorożki, była zabudowana z obu stron niewysokimi, starymi dwu- i trzypiętrowymi budynkami. Przyjrzał się numerom domów, poszedł we właściwym kierunku i po chwili znalazł się we właściwym miejscu.

Kamieniczka była niepozorna i liczyła dwa tylko piętra. Na parterze obok niewielkiej bramy tłoczyły się aż dwie firmy: punkt loteryjny oraz – pod szyldem „Wawrzyniec Paterak” – zakład naprawy rowerów i wypożyczalnia tychże. Obie były czynne, o czym świadczyło mętne światło, sączące się przez zakurzone witryny.

Popielski, pamiętając, że na wizytówce był adres z numerem mieszkania, czyli „Wodna 21 m. 7”, uznał, że nie do firmy rowerowej został zaproszony, lecz do lokum jej właściciela. Wszedł przez otwarte drzwi kamieniczki na starą klatkę schodową wydzielającą woń moczu i środków owadobójczych. Nie było tu żadnego stróża, co by wyjaśniało pierwszy składnik tej uderzającej w nozdrza mieszaniny – zapewne niejeden pijak wlaził tu w nocy za potrzebą.

Popielski wszedł na drugie piętro po skrzypiących schodach i zastukał w drzwi opatrzone numerem 7. Za sobą słyszał trzaski chwiejącej się poręczy i dochodzący z mieszkania poniżej męski głos fałszujący niemiłosiernie najnowszy szlagier *To ostatnia niedziela*.

Otworzyła mu kobieta pod czterdziestkę w jedwabnym szlafroku, który niespecjalnie zasłaniał jej bujne piersi.

– Dzień dobry – powiedział nieco zdumiony Edward i pokazał wizytówkę. – Zostałem tu zaproszony...

– W jakiej wsi lub w jakim mieście urodziła się Rita Hayworth? – zapytała kobieta, zasłaniając dekolt i poprawiając pasek od szlafroka.

Nie spojrzała nawet na wizytówkę. Za to uczynił to Popielski.

– W Przygodzicach? – Ni to zapytał, ni to stwierdził.

Kobieta w szerokim uśmiechu odsłoniła zęby pomazane szminką.

– Proszę do środka – odsunęła się nieco. – Do pokoju!

Popielski precyzyjnie przesunął się obok niej, dotykając jej masywnego biodra. Od jej ciała było przyjemne ciepło.

Wszedł do pokoju. Jego okno wychodziło na małe podwórko zabudowane z trzech stron wyższymi od tej kamienicy oficynami. Musiało tutaj być ciemno o każdej porze roku i o każdej porze dnia. Teraz jednak było jasno. Wielki żyrandol, którego żarówki ukrywały się w kloszach przypominających kwiaty tulipana, oświetlał pokój i pólężącego na szezlongu mężczyznę z papierosem w ustach i w koszuli ozdobionej złotymi spinkami.

Jan Henryk Żychoń wstał i rozłożył ręce.

* * *

– SPRYTNE HASŁO I ODZEW. – EDWARD NABIŁ na widelec kapelusz marynowanego podgrzybka, którego „pani Fronia”, gospodyni tego mieszkania, nazywała „czarnym łepkiem”.

– To pomysł tej bystrej niewiasty. – Żychoń omiół wzrokiem pełne kształty kobiety, gdy ta nachylała się nad stołem, układając na nim salaterki z przekąskami. – O tym, że Rita Hayworth urodziła się w Ameryce, wie każdy. W Nowy Jork utrafi niejeden, kto tu przyjdzie do Froni, by rower wypożyczyć. Ale że w Przygodzicach, tego nie powie nikt. Tylko ktoś ode mnie. A pan jest właśnie ode mnie.

Pani Eufrozyna Paterakowa, wdowa po właścicielu zakładu, jak to szeptem w czasie jej nieobecności objaśnił kapitan, spojrzała na Popielskiego.

– Niech pan spróbuje teraz galartu. – Wskazała na potrawę, którą we Lwowie nazywają „studzienią”. – Bardzo dobry. Przepis mojej mamy. Janiowi bardzo smakuje.

Żychoń nalał wódki z kryształowej karafki. Pani Fronia zasłoniła swój kieliszek dłonią.

– To dla mnie zbyt dużo. – Potrząsnęła nieco kokieteryjnie krótkimi kędziorkami w barwie hebanu. – Jak wypiję, to jeszcze będę rozrabiać jak zając w kapuście!

Roześmiała się perliście i skierowała ku drzwiom.

– Zostawiam panów samych – powiedziała melodyjnym głosem. – Macie wszystko, co trzeba...

– Nie wszystko! – zawołał Żychoń. – Bo ciebie nie będzie, Froniu!

Kobieta posłała mu całusa i wyszła z pokoju, poruszając biodrami, który to widok dla obu panów nie był nieprzyjemny.

Popielski przełknął wódkę i zagryzł studzienią, którą – w odróżnieniu od Żychonia skrapiającego ją octem – posmarował lekko musztardą.

Galaretka z nówek wieprzowych była rzeczywiście wyborna. Kawałki tłustego mięsa, przemieszane z chudą delikatną wołowiną zawieszona była w tchnącej czosnkową wonią, półprzezroczystej i wpółzastygłej zawieszynie, zawierającej plasterki marchewki.

Popielski w kulinarnym zachwycie nakładał sobie jedną porcję za drugą, choć po daniu głównym, jakim była rolada z polanymi gęstym sosem kluskami gotowanymi na parze, zwanymi przez panią Fronię „paruchami”, niewiele już mógł zmieścić.

Przełknął kęs, zdjął marynarkę i rozparł się swobodnie na miękkim tapicerowanym krześle.

– Pani wdowa wie, że to odzew i hasło?

Żychoń, przed chwilą jeszcze dowodzący i żartujący, nagle spoważniał. Zdawało się, że cała pośpiesznie wypita wódka – a panowie w czasie obiadu opróżnili pół wielkiej karafki – już z niego wyparowała. Twarz, dopiero co rumiana, nieco przybladła.

– Sądzi pan, że otaczam się przypadkowymi ludźmi? – zapytał zaczepnym tonem.

Popielskiemu krew uderzyła do głowy. Wódka nie nastrajała go pokojowo. Ból wywoływały u niego teraz nie myśli o odrzuceniu i o utracie Aurelii, ale lęk o najbliższe kobiety – o Lodzie i o Rite. Pierwszą kochał platonicznie, drugą obdarzał miłością ojcowską i właśnie na ich bezinteresowną rodzinną miłość, zwaną przez starożytnych *pietas*, zawsze mógł liczyć.

Czuł przykre wyrzuty sumienia, że tak mało o nich myślał w ostatnich tygodniach. Nie mógł ich zagłuszyć nawet przypominaniem sobie jednoznacznego rozkazu, jaki obowiązywał w czasie wywiadowczych misji: żadnych kontaktów listownych i telefonicznych z rodziną.

– Sądzi pan, kapitanie – warknął rozjątrzony tymi myślami – że z wdzięczności za uratowanie mnie nie ośmielę się zapytać o coś, co mnie niepokoi?

Żychoń zacisnął zęby, po czym zaraz się szczerze roześmiał. Otworzył papierośnicę. Popielski przyjął papierosa. Obaj bez słów uznali, iż to wspólne palenie jest jak indiańska fajka pokoju.

Następnie Edward przez godzinę opowiadał o zdarzeniach wrocławskich, a kapitan przechadzał się w tym czasie po pokoju w tę i z powrotem albo siadał na szezlongu. Jego masywna sylwetka w białej

koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, z którego zwisał wzorzysty krawat, odcinała się ostro od pomalowanej na różowo ściany z wielkim oleodrukiem treści mitologicznej. Kiedy Popielski skończył, kapitan aż gwizdnął ze zdumienia.

– Trudne chwile – powiedział głosem, który zupełnie nie zdradzał, iż jego właściciel jest po dużej wódce. – Ostatnio przeszedł pan trudne chwile. Nie mówię tego tonem protekcyjnym, nie ośmieliłbym się pana żałować i poklepywać po ramieniu. Powiem panu krótko.

Usiadł przy stole, oparł na nim łokcie i splótł palce. Głęboko osadzone oczy wpatrywały się w rozmówcę bez zmrużenia powiek. Gdyby nie dymiący papieros, można by sądzić po jego skupionej twarzy, że oto jest w kościele i kontempluje monstrancję.

– To ja wpakowałem pana w to bagno – rzekł dobitnie. – I ja pana z niego wyciągnę.

I wtedy Edward powiedział coś, czego nigdy by się po sobie nie spodziewał. Miał dziwne wrażenie, że jego ustami przemawia ktoś inny, ktoś, go on nie może powstrzymać.

– Muszę ją znaleźć. Aurelię muszę znaleźć. Poruszę niebo i ziemię. Ona nie może zginąć w przeświadczeniu, iż jestem niemieckim agentem. Poruszę niebo i ziemię. Mam na to miesiąc.

Żychoń popatrzył na niego ze współczuciem, a potem nalał wódki do kieliszków. Wstał, obszedł stół i stuknął od góry stopką swego kieliszka w krawędź kieliszka Edwarda.

– Ma pan miesiąc – wypił i chuchnął. – Lecz nie na usprawiedliwienie się przed Aurelią, ale na oczyszczenie siebie samego z zarzutów o szpiegostwo!

Edward poluzował krawat i rzucił się na krzesło. Już miał ostro zareagować, jednak kapitan go uprzedził.

– Marszałek pana wy dostał z łap Sokólskiego. Marszałek stawia żądania. Jego nie obchodzi piękna Aurelia. Jego obchodzi człowiek, który uratował mu życie. Pan. „Niech się zrehabilituje albo w łeb sobie strzeli”. Tak powiedział, rozumiesz?

Popielski zwiesił głowę. Żychoń podszedł do okna i zaczął skubać dużą stojącą tam palmę.

– Aurelia i Zwolicki pojawili się tydzień temu na niemiecko-polskim przejściu granicznym w Chwałęcicach pod Rybnikiem – mówił wolno – i stamtąd został przysłany do Dwójki jej list oskarżający pana. W Chwałęcicach zjawił się i zabrał oboje w nieznane na furze jakiś śląski chłop około pięćdziesiątki. Pogranicznik Bernard Holewa, zuch chłopak, zdziwił się bardzo, bo ta cała trójka wyglądała dość osobliwie. Niewysoki kierowca, który zostawił na granicy swoje auto w wynajętym garażu, niby na jakiś czas, tak ten szofer tłumaczył. Z nim piękna, lecz bardzo zmęczona kobieta, którą się zajęła miejscowa funkcjonariuszka. A na koniec ten furman. Najdziwniejsze jednak było to, że kierownik posterunku kazał wszystkim podwładnym milczeć o tym dziwnym trio. – Uśmiechnął się. – Na szczęście Holewa nie milczał, muszę go za to wynagrodzić. Dzień po odjeździe owej trójki nadał depezę do kapitana Szpądrońskiego, szefa Dwójki w Katowicach. Ten nakazał mu natychmiast dowiedzieć się czegoś więcej o tym śląskim chłopie. I Holewa się dowiedział, lecz o czymś innym, równie ważnym. Tego dnia, gdy owo trio opuściło Chwałęcice, pewna młoda nauczycielka z Knurowa, panna Monika Garcorz, omal nie została przejechana we wsi Krywałd przez rozpędzony, a potem gwałtownie hamujący chevrolet. Rezulutna niewiasta rozpoznała markę i widziała twarz kierowcy, niedługo dostaniemy portret pamięciowy. Kolor auta niestety niewiadomy, ponieważ było pokryte śniegiem i błotem. Panna Garcorz spisała także numery tablic rejestracyjnych. Holewa puściłby może to mimo

uszu, ale wie pan. Chevrolet na śląskiej wsi to jak kangur na roratach... Poza tym okazało się, że numer rejestracyjny...

– Jest fałszywy? – wszedł mu w słowo Popielski.

Żychoń podszedł do bufetu stojącego na drugiej ścianie. Ujął misternie wydmuchaną w szkle kolorową rybę, która w pysku miała misterne szklane wodorosty.

– Oczywiście, że fałszywy. Niedługo dostaniemy portret pamięciowy kierowcy. Rodzi się tutaj szereg pytań...

– Kto ją chciał mieć tu w Polsce? – znów wszedł mu w słowo Popielski. – Być może ten człowiek z chevroleta? Ale po co ściągnął Aurelię i Zwolickiego do Polski? Kim jest, że zapewnił ochronę uciekinierom, którym we Wrocławiu grunt się palił pod nogami? Jak kontaktował się ze Zwolickim? I kim on, do jasnej cholery, jest dla Zwolickiego?

– Dobre pytania, panie kapitanie. – Żychoń potarł dłonią o podbródek, eksponując swój sygnet z niebieskim oczkiem. – Sądzymy, że chce coś wydobyć z legendarnej pamięci tej pani, bo – jak pan pisał – ona wszystkie te dokumenty zna na pamięć. I tu się pojawia ważny problem: jak ją do tego zmusi? Przecież ona może zmyślać, deklamować, co tylko jej do głowy przyjdzie. I jaki on ma związek ze zdrajcą Lambertem albo z rozmowami polsko-francuskimi? Bo przecież o tym są te cholerne dokumenty, na których najwyraźniej mu zależy!

Rozmowa o Aurelii była dla Edwarda tak bolesna, że ograniczył się tylko do potakiwania. Bał się, że kapitan usłyszy płaczliwe drżenie jego głosu.

– Sprawdzamy teraz wszelkie powiązania Zwolickiego. To może być zdrajca, bo to przecież on skontaktował pana z rzekomym Ireneuszem. – Sapnął. – Niestety, nie możemy na razie natrafić na żadne kontakty

Zwolickiego poza Wrocławiem, a przecież pan Chevrolet działa ewidentnie na terenie naszego kraju! To jakiś bardzo dobrze ustosunkowany osobnik... Jeśli wie o tych tajnych rozmowach polsko-francuskich, to może być usadowiony na samych szczytach władzy. Może jest nawet moim kolegą z Dwójki...

Edward zacisnął zęby. Słowa wychodziły spoza nich lekko zniekształcone.

– Jeśli jest w tych dokumentach coś kompromitującego dla Chevroleta, to pewnie Aurelię zabił.

Rozległ się drżący, żalony ton. Zacisnął mocno powieki, by nie widzieć znów współczującego spojrzenia swego rozmówcy.

– Niekoniecznie – ten zaoponował. – Jeśli pani Teichert powiedziała Chevroletowi to, co napisała w swym raporcie... Iż istnieje jakiś szwajcarski notariusz, który przekaże nam oryginały, to Chevrolet może chcieć od niej wydobyć, co to za notariusz... Pewnie nie wierzy w ten warunek *sine qua non*, że Szwajcar przekaże nam wszystko, gdy kobieta się z nim nie skontaktuje w ciągu tygodnia. Ale jakaś wątpliwość została w nim zasiana. To może, przynajmniej chwilowo, ocalić jej życie.

Usiadł ciężko na szeszlunku i westchnął:

– O ile tu w ogóle chodzi o te cholerne papiery...

Z dołu doszedł odgłos otwieranego okna, a potem zgrzytliwy głos sąsiada:

– „Ta ostatnia niedziela... Jutro się rozstaniemy...”

Nagle w Żychonia wstąpiła energia.

– Tak, panie kapitanie! – rzekł spokojnie. – Jutro się rozstaniemy. Pan wróci do Wrocławia jako Herbert Reiterer. Na dworcu odbierze pana prawdziwy agent Ireneusz...

– Helmut Zeisberger, tak się on nazywa, nieprawdaż?

Żychoń przeklął cicho prokuratora Sokólskiego, który ujawnia podejrzanym dane agentów.

– Czekaj panu typowo policyjne zadanie – ciągnął, gdy już ochłonął z chwilowej złości. – Ireneusz to człowiek półświatka, posiada różne kontakty. Także w SS. W centrali telefonicznej jego syn ma kochankę. To bezcenny agent, a nasza góra wciąż się zżyma, gdy chce za swą pracę duże pieniądze. Zresztą, co tu ukrywać, tylko on mi już pozostał we Wrocławiu.

Po tym wtręcie, który można by uznać za narzekanie, w głosie kapitana znów zadźwięczał dziarski ton.

– Będą panu, oczywiście dyskretnie, towarzyszyć jego ludzie. Dopilnują, by nikt pana nie śledził. Da pan Ireneuszowi to zdjęcie z knajpy.

Podsunał Popielskiemu zdjęcie, na którym Edward siedział z pseudo-Ireneuszem w rogu gospody Zirkerera.

– Ireneusz szuka zabójcy Laskiera, pokazuje zdjęcie komu trzeba, dociera do podejrzanych, a pan się im przygląda. Bo tylko pan może go zidentyfikować. Zakładamy, że fałszywy Ireneusz jest esesmanem i zabójcą antykwariusza w jednej osobie. Kontakt telefoniczny ze mną tylko przez Ireneusza.

Popielski czuł szum w uszach, zdawało mu się, że słowa Żychonia są pszczołami, które huczą w pustym ulu jego głowy. Jedna z nich była szczególnie dokuczliwa.

– Ale zaraz! – przerwał grubiańsko. – Zaraz! Dlaczego pan kapitan mi tak wydatnie pomaga? Tylko dlatego, że ma pan wyrzuty sumienia, bo mnie wepchnął w bagno? Nie wierzę! W pana fachu nie ma wyrzutów sumienia! „Zamknijcie wasze serca staranniej niż wasze drzwi”! A może ja naprawdę jestem zdrajcą?

Żychoń przez chwilę przestawiał bezwiednie szklanki i salaterki. Zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Jest pan głupcem, nie zdrajcą – powiedział ze złością. – My, ludzie wywiadu, musimy panować nad sercem.

Znów minęła dłuższa chwila, w czasie której słychać było dudnienie deszczu o parapet.

– Ma pan rację, że mi pan nie ufa – mruknął w końcu Żychoń. – W tym fachu nie można ufać nikomu. Tutaj nie ma moralnych racyj. Jest zwykły zimny interes. – Odchylił się na krześle. – Pan chce się oczyścić z zarzutów. Tutaj droga prowadzi do zabójcy Laskiera. Musi pan się dowiedzieć, kim on jest, i musi pan wykazać, że nie miał pan z nim nic wspólnego. Pan chce znaleźć Aurelię. Ta droga też prowadzi do zabójcy Laskiera. Bo jeśli go zidentyfikujemy, to wtedy zastosujemy gambit, o którym niedługo panu powiem i który doprowadzi pana do ukochanej kobiety. Ale czyż przed gambitem nie musimy wykonać jakichś ruchów, wliczając w to otwarcie? Jakie otwarcie szachowe, jaki debiut wybierzemy?

– A jaki interes ma w tym pan, kapitanie? – nie wytrzymał Edward, nie zwracając w ogóle uwagi na odwołanie do swojej ulubionej gry. – O tym chcę wiedzieć!

– Chevrolet – odparł z błyskiem w oku Żychoń. – Aurelię zabrał chevrolet. Tablice sfalszowane. Sprawdziłem. W Polsce w ostatnich trzech latach zostało zarejestrowanych dziesięć chevroletów, z czego osiem dla policji i wojska. Takim automobilem jeździ mój największy wróg. Szef Referatu Wschód kapitan Jerzy Niezbrzycki.

* * *

NASTĘPNEGO DNIA ŻYCHOŃ WRÓCIŁ DO BYDGOSZCZY i zajął się zwykłymi sprawami, czyli analizą raportów i rozmyślaniami o akcji „Gambit”, bo tak nazwał to, co przedsięwziął w sprawie Popielskiego. Nie przestawał jednak wciąż telefonicznie ponaglać – bardzo zresztą uprzejmie,

choć uparcie, bo codziennie – szefa Ekspozytury nr 4 w Katowicach kapitana Kazimierza Szpąderskiego, by przysłano mu w końcu ten portret pamięciowy kierowcy chevroleta. Trzy dni później specjalny kurier z Katowic przywiózł ów upragniony wizerunek, który absolutnie z nikim się Żychoniowi nie kojarzył.

Rozczarowany nieco tym słabym tropem, ruszył energicznie do innych działań. Musiał zająć się sprawą, którą miejscowa policja prowadziła dość opieszale i jak dotąd, bez żadnych rezultatów. Postanowił zintensyfikować śledztwo w sprawie śmierci hrabiego Lamberta.

Zaszedł do swojego dobrego znajomego, z którym od niedawna był na ty – do komendanta powiatowego policji w Bydgoszczy komisarza Antoniego Andrzeja Kowalskiego. Ten – uprzedzony już kilka dni wcześniej o możliwym zaangażowaniu „Jania” w śledztwo – przygotował dla niego gabinet, skąd na kilka dni wyprosił swojego zastępcę.

Żychoń wraz z dwoma zaufanymi wywiadowcami, których dostał do swojej wyłącznej dyspozycji, przeanalizował akta sprawy nieszczęśliwego wypadku utonięcia w przerębli, jakiemu uległ arystokrata z pobliskiego Samsieczna. Kapitan był zbyt przenikliwym człowiekiem, aby uwierzyć, że śmierć Lamberta w środku afery wrocławskiej, w którą zmarły był pośrednio zaangażowany, to samobójstwo albo nieszczęśliwy wypadek, jak ją scharakteryzowano w aktach. I jedną, i drugą ewentualność prowadzący śledztwo w tej sprawie podwładny Kowalskiego aspirant Franciszek Garstka usiłował uzasadnić psychologicznie jako „desperacki czyn z nadużywania wódki płynącej albo fizycznie jako – poślizgnięcie nietrzeźwego i zanurzenie w dziurze lodowej”.

Żychoń, przestudiowawszy akta, pojechał wraz z dwoma tymczasowymi podwładnymi – Garstkę wyłączono już ze śledztwa – do Samsieczna. Tam odkrył poważne zaniedbania policji.

Kazał sołtysowi zebrać wszystkich, którzy łowią zimą ryby w jeziorze. Podkreślił słowo „wszystkich”, obiecując, iż tych, którzy robili to nielegalnie bez pozwolenia hrabiego, nie tylko nic złego za to nie spotka, lecz wręcz otrzymają drobną nagrodę, jeśli ich zeznania rzucają nowe światło na śmierć pana na włościach.

I rzeczywiście rzuciły. Niejaki Klimek Socha, nieletni parobek ze wsi, szedł wtedy nad jezioro, za dnia, kiedy było jasno, aby – kierując się sobie tylko znanymi przesłankami – wybrać dobre miejsce nocnego kłusowania. Gdy podchodził do brzegu jeziora, ujrzał sanie, a na saniach dwóch pijących wódkę „typów spod ciemnej gwiazdy”, jak ich określił.

– Po chwili dołączył do nich trzeci typ i odjechali ani chybi w stronę Ślesina. – Chłopak uzupełnił swe zeznania. – Kilka godzin później we dworze krzyk, że hrabia zaginął i może gdzie, pijany, pod drzewem usnął i zamarł.

Żychoń dał Klimkowi dwa złote za zeznania „rzucające nowe światło”.

Pojechali do Ślesina. Tam miejscowy karczmarz pan Abram Sonnenschein przypomniał sobie, jak któreś nieodległej niedzieli przed jego szynkiem zatrzymały się sanie i dwaj ludzie w mokrych płaszczach z soplami lodu przy rękawach kupili trzy butelki wódki. Karczmarz ich zacytował: „Tak, Żydu, na rozgrzewkę będzie, bo do domu jeszcze ze trzy godziny”.

Kapitan szybko ustalił, iż droga saniami do Bydgoszczy trwałaby właśnie owe trzy godziny.

Czując już trop w nozdrzach, wrócił do miasta i następnego dnia kazał swoim dwóm podwładnym wypisać z urzędowej ewidencji nazwiska właścicieli sań i dorożek, do których można było dopinać płozy. Oznajmił przy tym komendantowi Kowalskiemu, iż jest na bardzo dobrym tropie i prosi o kolejnych ludzi do pomocy.

Ten zgodził się bez wahania i po kilku dniach większość bydgoskich policjantów szukało „typów spod ciemnej gwiazdy”, oferując swym informatorom nagrodę za właściwe wskazówki. Pokazywali też komu popadło portret pamięciowy Chevroleta.

Szczególnie byli aktywni ci stróże prawa, którzy operowali na terenie gęsto przez takich typów zamieszkanym, czyli na owianym złą sławą Londynku. To właśnie tam jeden z informatorów podkomisarza Andrzeja Fąferka, szefa Komisariatu II przy Wileńskiej 5, zapukał w nocy do drzwi domu swojego protektora i zdradził szeptem, że słyszał, iż niedawno dwaj ludzie z Londynka wrócili z jakiejś akcji na prowincji i hucznie świętowali u Bielawskiego jej sukces.

– Saniami na akcję pojechali, panie komisarzu – zakończył swe doniesienie policyjny agent. – Na ryby w przerębli, tak mówili.

Ignacy Bielawski, właściciel mordowni, będącej swoistą rogatką Londynka przy ulicy Szczecińskiej 1, nie miał wielkich oporów przed wyjawieniem pseudonimów tych, co rzeczywiście tamtej niedzieli przyjechali do niego saniami i – dobrze już pijani – awanturowali się do samego rana, hojnie płacąc obsłudze gospody.

– Lolo i Stalowy, tak ich nazywają.

Żychoń tryumfował, był już bardzo blisko. Szybko ustalono personalia i adresy Lola i Stalowego. Byli to miejscowi bandyci Leopold Koziela i Feliks Sobucki, mieszkańcy Londynka, ale działający również w dalszych dzielnicach miasta.

Dziesięciu policjantów z Komisariatu II pod wodzą podkomisarza Fąferka wzięło udział w ich aresztowaniu. Obu zatrzymano w pewnej melinie w zaułku Zaścianek, tuż koło wiaduktu, gdzie szklanki z bimbrem aż podskakiwały od drgań wywoływanych przez przejeżdżające pociągi.

Obaj próbowali uciekać. Gdyby za przeciwników mieli policjantów z innych rejonów miasta, to zapewne by się im to udało. Ale ludzie Fąferka byli stąd. Zнали każde podwórko, wszystkie labirynty pomiędzy lokatorskimi komórkami stojącymi przy tych oddalonych od siebie, lecz gęsto zamieszkanym domach, gdzie nierzadko bywało po trzydzieści nędznych, jednoizbowych mieszkań, a smród z wychodków aż odbierał oddech.

Żaden z tych pruskich budynków z czerwonej cegły i z murem szachulcowym dla ludzi Fąferka nie stanowił tajemnicy. Złapali zatem Lola i Stalowego dość łatwo pod warsztatami na podwórku przy ulicy Kaszubskiej i skutych przyprowadzili przed oblicze swego szefa. Ten, dumny jak paw, zatelefonował do Żychonia z radosną nowiną.

I tutaj skończyła się dobra passa kapitana. Przesłuchanie było bardzo jednostajne. Bandyci nie mieli bowiem niczego istotnego do powiedzenia. Ani Leopold Koziela, zwany Lolem, ani Feliks Sobucki, wąty rudzielec, dla którego przydomek Stalowy było równie trafne jak przymiotnik „delikatny” w odniesieniu do przesłuchującego go Żychonia, nie wiedzieli nic więcej ponad to, że do akcji wynajął ich niejaki Tatuś, czyli znany każdemu bydgoszczaninowi, przynajmniej ze słyszenia, przemytnik Alfons Rapp.

Obaj bandyci zgodnie opowiadali, iż owszem zawieźli jakiegoś „fajera”, z którym byli umówieni na dworcu, do Samsieczna, a ich narzędziem lokomocji były rzeczywiście sanie. Ów frajer porozmawiał z jakimś drugim, który łowił ryby w przerebli, po czym wrócili przez Ślesin do Bydgoszczy. Swojego zleceniodawcę wysadzili znów pod dworcem i nigdy go już więcej nie widzieli. Na pytanie, dlaczego ich płaszcze były mokre i z soplami, odpowiadali zgodnie:

– Mokre, bo śnieg walił okrutny. A sople? Jakie sople?

Żychoń zarządził przesłuchanie „drugiego stopnia” i obu „londyniaków” potraktowano brutalnie. Nic to jednak nie zmieniło w ich zeznaniach. Zakrwawionymi wargami opowiadali wciąż tę samą historię, w ich opuchniętych oczach wciąż widać było szczere zapewnienia, a w bolącą pierś wciąż trafiały kułaki przy dźwięku słów „jak Boga kocham!”.

Kapitan w końcu przerwał to bezowocne przesłuchanie i wypuścił ich na wolność. Nie złapał ich na żadnym kłamstwie, choć podejrzewał, że to właśnie oni pomogli Lambertowi utopić się w przerębli, o czym świadczyłyby owe sople.

W komendzie zapanowały smutek i uczucie zniechęcenia.

– Tyle roboty, taki nakład sił ludzkich i fiasko, żałosne fiasko – szeptano po kątach.

Faferek i Kowalski przestali się dopytywać, czy o ich akcji napiszą gazety. Nikt też nie pytał Żychoń, czy Lolo i Stalowy jeszcze kogoś wydali oprócz Tatusia.

Noszący ten pseudonim Alfons Rapp, król bydgoskich przemytników, nie budził już niczyjego zainteresowania i nie był kolejną nitką, która doprowadziłaby do jakiegokolwiek kłębka. Dwa tygodnie wcześniej znaleziono go z kulą w głowie w zagajniku przy Kanale Bydgoskim, przy IV śluzie niedaleko ulicy Wrocławskiej. Tam w znanym lokalu Schweitzer Haus spotykali się bydgoszczanie niemieckiego pochodzenia, wśród nich Alfons Rapp. Wprawdzie właściciel lokalu pan Franciszek Kowalski, Niemiec o polskim nazwisku, zapewniał, że Tatusia od dawna nie widział, ale miasto i tak wiedziało swoje.

– Doszło tam do wojny przemytniczej – powtarzano – i Tatuś dostał kulkę.

W całym tym bydgoskim śledztwie Żychonia był jeden jasny punkt. I Lolo, i Stalowy – niezależnie od siebie, bo trzymano ich osobno – rozpoznali w portrecie pamięciowym, zaprezentowanym im przez kapitana, człowieka, którego wieźli saniami do Samsieczna. Był to ten sam człowiek, który transportując chevroletem Zwolickiego i Teichertową, omal nie rozjechał w Knurowie młodej nauczycielki.

* * *

CZŁOWIEK TEN BYŁ W TEJ CHWILI ODDALONY od ścigającego go Żychonia o ponad dwieście kilometrów na południowy zachód.

– Czujesz ten smród, ślicznotko? – zapytał z szelmowskim uśmiechem.

Aurelia kiwnęła głową. Nie wiedziała, jak tu trafiła – do tej wilgotnej piwnicy o szorstkich ceglanych ścianach. Pamiętała jedynie tyle, że krótko po wyruszeniu znad granicy, gdy tylko wjechali w jakiś rzadki las, Zwolicki przyłożył jej do nosa ligninę trącą ostrym, jakby owocowym zapachem. Potem już tylko śniła. W jej snach pojawiały się chwile, w których już czuła, że zaraz się wybudzi, że nadchodzi atak kaszlu, ale wtedy znów ogarniała ją chmura chemicznej woni i zapadała się w senne wizje.

Ocknęła się w końcu w tej piwnicy i pierwsze, co ujrzała, to smutne, przepaszające spojrzenie Małego Henia.

– Przepraszam, musiałem pani dać tak dużo chloroformu – powiedział wówczas. – Ale czuwam nad panią. Jestem obok. Wystarczy zawołać. Usłyszę. Tylko ja usłyszę. Nikt inny.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi na zasuwę, której ledwo słyszalny zgrzyt łatwo wychwyciła swym czułym uchem.

Potem całymi dniami spała, jadła, wydaląa, czasami przesuwala palcami po ceglach, przypominajac sobie ulubione etiudy i sonaty. Dostarczane jej przez Zwolickiego potrawy byly cieple, dosc smaczne, lecz nader pospolite – glownie barszcz biały i ziemniaki ze skwarkami. Po kilku dniach miala ich dosc. Zapadala tez – jakby znajdowala sie wciaz pod wplywem chloroformu – w jakies odrętwienie i letarg.

Dopiero dzisiejsza wizyta mężczyzny, który przywiózł ją znad granicy, wyrwała ją skutecznie z tego umysłowego bezwładu.

– Czujesz ten smród, ślicznotko? – ponowił pytanie.

Był dobrze zbudowanym człowiekiem po czterdziestce, ubranym w idealnie skrojony garnitur. Mały starannie przystrzyżony wąsik i włosy pociągnięte brylantyną upodabniały go – na pierwszy rzut oka – do wesołego fryzjerczyka z przedmieścia. To nieco wodewilowe skojarzenie zaburzał jednak szeroki nos, rozplaszczony jak u boksera. Spod fali gęstych szpakowatych włosów patrzyły oczy duże i bystre.

– Dobrze ci tutaj?

Wstał i przeszedł się po pomieszczeniu.

– Chyba dobrze – odpowiedział sam sobie. – Kąpiel w balii raz w tygodniu. Robactwa i szcurów tu raczej nie ma, bo drzwi dobrze zamknięte... Od rur w ścianie całkiem ciepło. Ubrania i bieliznę masz w tej szafce, prawda?

Dłonią o długich delikatnych palcach wskazał dużą komodę w rogu piwnicy.

– A jak już wydrzesz całą bieliznę i nie będzie czego cerować... A to się stanie po roku, dwóch... To kupimy ci nową.

Zamilkł, patrząc, jakie wrażenie zrobiła na kobiecie ta zapowiedź przebywania tutaj przez tak długi czas.

A zrobiła wrażenie piorunujące. Aurelia zaczęła drżeć, jej oczy wypełniły się łzami.

To mu się nawet spodobało. Uśmiechnął się, ukazując białe zadbane zęby. Usiadł na posłaniu tuż obok niej. Odsunęła się ze wstrętem, a potem zeskoczyła z pryczy i przylgnęła do ściany. Miała na sobie wciąż tę samą sukienkę, w której wyjechała z Wrocławia.

– Wiem, że znasz na pamięć treść tych dokumentów, wiem... – Błysnął użębieniem. – Wyrecytuj je, kochana. Po prostu wyrecytuj jak na konkursie deklamatorskim. Posłucham, nacieszę się twoim pięknym melodyjnym głosem, który słyszałem, gdy jęczałaś przez sen w samochodzie. Tylko tyle od ciebie chcę... Recytacji.

– Jak panu powiem, to nie będę już panu potrzebna! Zabije mnie pan.

Odezwała się po raz pierwszy. Odeszło dokądś chwilowe przerażenie, teraz jej głos był schrypnięty i pełen napięcia.

Poruszył się niespokojnie na jej pościeli.

– Zabiję cię na pewno wtedy – już się nie uśmiechał – gdy moi ludzie znajdą prawnika ze Szwajcarii, który ma oryginały tych dokumentów. Szukanie nie jest łatwe i potrwa długo. Rok, może dwa... Dopóki go nie znajdę, żyjesz i jesteś bezpieczna. Ale „bezpieczna” nie oznacza „wolna”.

Teraz ogarnęła ją złość. Na policzkach pojawiły się czerwone plamki gniewu. Podeszła do niego z zakrzywionymi palcami. Wyglądała jak rzymska Furia, która chce mu wydrapać oczy.

Ani drgnął.

– Co mam zrobić, Biały Ząbku?! – krzyknęła. – Abym była wolna.

– Recytować, recytować i recytować – odparł cicho, nie wykazując nawet odrobiny złości na to osobliwe określenie własnej osoby. – Deklamować punkt po punkcie treść tych nieszczęsnych dokumentów. Raz-dwa-sześć. Od nowa, od początku. Sześciokrotnie. Powoli. Henio będzie to

wszystko zapisywał, a ja będę tam szukał później... Zresztą jestem zbyt gadatliwy...

Wstał i założył dłonie za plecy. Tuż nad jego głową wisiała odrutowana żarówka, której mętne światło wyolbrzymiało jego cień na ścianie. Kiwał się na obcasach w przód i w tył.

– Zastanów się dobrze, ślicznotko. Jeśli wyrecytowane wersje nie będą się zgadzały choćby jednym słowem, to przestanę do ciebie przychodzić. Zostaniesz tylko z Heniem. A przyjdę dopiero wtedy, gdy znajdę tego notariusza. I wtedy odczytam ci wyrok śmierci. A więc? Powiedz mi, kochana, kiedy będziesz gotowa wyrecytować, powiedzmy, sześć razy z rzędu to samo! Kiedy usłyszę sześć razy ten sam tekst bez najmniejszej różnicy? Kiedy będę tak zadowolony, że wypuszczę cię na wolność?

Aurelia znów się do niego zbliżyła.

– A jeśli niczego nie będę recytować, a ty nigdy nie znajdziesz szwajcarskiego notariusza? To co wtedy? Co wtedy, gorylu?

To określenie już najwyraźniej go ubodło, bo przez oblicze przebiegł mu dziwny skurcz.

– Wiesz, co tak śmierdzi? Otóż jesteśmy w podziemiach pewnej przędzalni lnu. Tutaj okoliczni chłopcy przywożą lnianą słomę do tak zwanej roszarni, gdzie się ją moczy. Kiedy zbiera się na deszcz lub następuje odwilż, tak jak dzisiaj, wtedy powietrze robi się wilgotne. Wnika ona głębiej w słomę lnianą, a ta zaczyna śmierdzieć jak kompost. Ludzie wtedy mówią „lnianka śmierdzi, będzie lało”.

Wysunął naprzód kwadratowy podbródek, w tej groźnej minie rzeczywiście upodabniając się nieco do małpy.

– Jeśli nie znajdę tego notariusza, a ty wciąż będziesz mi odmawiała sześciokrotnej recytacji, to pozostaniesz tutaj, w tej piwnicy. I tak będziesz tkwić, w zawieszeniu, pomiędzy życiem a śmiercią... Henia, który jest ci

tak życzliwy, odprawię po latach i przyprowadzę pewnego głuchoniemego i bardzo pobożnego starca, któremu powiem, że jesteś wyznawczynią szatana. Jedyne twój kontakt ze światem zewnętrznym to będzie ten smród. Będziesz mówić: „Lnianki ta smrodliwość”. Ale tylko sobie samej wypowiadać te słowa będziesz, bo nikt cię nie usłyszy.

Aurelia drgnęła. Wcześniej inaczej powiedział. Przedtem było: „Lnianka śmierdzi, będzie łało”, teraz: „Lnianki to smrodliwość”.

Dziwaczny szyk. Tak jak w ostatnim zdaniu: „nikt cię nie usłyszy”

I tu, i tu ciekawa, rytmiczna akcentacja.

ODWILŻ ZALAŁA RÓWNIEŻ ŚLĄSK. Wrocławskie ulice spływały wodą i błotem. Temperatura wzniosła się do kilku stopni powyżej zera, a znad góry Sobótki wiały na miasto mocne wiatry. Porywały ze śmietników papiery, resztki jedzenia, toczyły po trotuarach pamiątki po świętach – wyschnięte szkielety choinek.

Popielski widział to wszystko, gdy po wyjściu z dworca jechał samochodem z prawdziwym, znanym sobie ze zdjęcia agentem Ireneuszem. Helmut Zeisberger, choć na pierwszy rzut oka budził rozbawienie swym śląskim strojem ludowym – nieco groteskowym w wielkomiejskim otoczeniu – to okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Odebrawszy Popielskiego na dworcu, wywiózł go bardzo daleko od centrum miasta pod bacznym okiem czterech swoich ludzi, którzy w czasie jazdy drugim samochodem zerkali wciąż na boki i do tyłu w poszukiwaniu ewentualnych śledzących ich policjantów lub gestapowskich tajniaków.

Edward został ulokowany w małym dwupokojowym mieszkanku przy Kattowitzer Strasse[51]. Mieściło się ono na pierwszym piętrze kanciastego bloku mieszkalnego, jednego z wielu, jakie niedawno – o czym świadczył ich surowy modernistyczny styl – zbudowano na tym dziwnym osiedlu w szczerym polu.

Miejsce to Zeisberger wybrał z rozmysłem i nie mógł dokonać lepszego wyboru. Sam tutaj mieszkał, był bardzo szanowany i mógł liczyć na całą rzeszę informatorów, którzy by natychmiast zareagowali, gdyby pojawili się tutaj ludzie wyglądający na „byków”, jak we Wrocławiu potocznie nazywano policjantów. Gdyby jednak – mimo tego dozoru – tajniacy

wślizgnęli się między bloki i z okrzykiem „łapaj szpiega!” załomotali do mieszkania, w którym zakwaterowano Popielskiego, to bardzo by się zdziwili na widok osoby otwierającej im drzwi.

Byłaby to bowiem atrakcyjna trzydziestokilkuletnia kobieta, która bez najmniejszego skrępowania oznajmiłaby im, że „tak, owszem przebywa tu u niej i nocuje miły i zamożny pan z Wiednia, co ją finansowo wspiera”.

Tajniacy byliby rozczarowani. Nie wtargnęliby bowiem do tajnej szpiegowskiej meliny, lecz do miłosnego gniazdka, jakie uwił tu sobie zamożny mężczyzna w średnim wieku z młodszą kobietą, która na dodatek sprawiałaby wrażenie bardzo zadowolonej z tego stanu rzeczy.

Edward natomiast wcale nie musiałby udawać. Towarzystwo i opieka ze strony Christel, owej zalotnej nieco, wojennej wdowy z dwójką dorastających dzieci, a jednocześnie siostry Zeisbergera, nie były dla niego bynajmniej niemiłe.

Pierwszego dnia po zakwaterowaniu usiadł w swym pokoiku i – nie przejmując się kłótnią dzieci Christel – zaczął odtwarzać z pamięci list Aurelii, którego przezornie nie zabrał ze sobą, by nie wpadł on w niepowołane ręce.

Oczywiście Edward nie był obdarzony tak genialną pamięcią jak jego oskarżycielka, ale też nie musiał zapamiętywać tekstu słowo w słowo. Wbił sobie bowiem do głowy wszystkie ważne wątki, czyli te, które mogły stać się jakimiś tropami prowadzącymi do pseudo-Ireneusza.

Nie było ich, niestety, zbyt dużo. Przede wszystkim jedna wskazówka mogła zidentyfikować domniemanego esesmana: mianowicie plugawe pogrożki, jakie ten wygłaszał, by pognębić i skruszyć Hermanna Laskiera. Szczególnie ważny był tu wątek „burdelu na wzgórzu”, gdzie zwyrodnialec, czym się chełpił, „niejedną dziwkę rozrywał, przykuwszy każdą jej nogę do innego pręta”.

Ta przechwałka zboczonego umysłu była oczywiście bardzo niewyraźnym, ale jednak jedynym śladem mogącym doprowadzić do pseudo-Ireneusza.

Popielski myślał o tym przez całą drogę do Wrocławia i tuż po zajęciu miejsca na tylnej kanapie mercedesa, obok Zeisbergera, zapytał swojego nowego współpracownika i protektora, czy zna jakiś „burdel na wzgórzu”.

– Owszem – odparł bez wahania agent Ireneusz. – Jeden jedyny jest taki. Luksusowy burdel na Wzgórzu Liebicha[52].

I właśnie teraz, słuchając okrzyków jego siostrzeńców, Popielski sprawdził na mapie Wrocławia, gdzie się znajduje to miejsce. Potem zaczął w myślach szkicować plan akcji, którą nazwał „Wzgórze”.

Po dwóch godzinach, kiedy już miał jej zarys, poprosił piętnastoletniego Heinza, syna swej gospodyni, by jak najszybciej umówił go na rozmowę z „wujkiem Helmutem”. Taki opracowali tryb łączności – poprzez osoby trzecie.

Ślązak przyszedł późnym wieczorem. Zeszli do piwnicy, którą wcześniej dokładnie obejrżeli jego ludzie. Tam mogli spokojnie porozmawiać, bez obawy, że ktoś może ich podsłuchiwać, choćby z czystej, głupiej ciekawości.

Popielski przedstawił plan akcji, a Zeisberger długo się nad nim zastanawiał, lustrując uważnie półki z ogórkami kiszonymi, jakby tam wypatrywał aparatury podsłuchowej.

– Muszę chronić mojego syna i jego narzeczoną, telefonistkę Trudę – rzekł w końcu. – To już ostatni raz, *Herr Reiterer*, więcej nie będę mieszał do naszych spraw tej dziewczyny, rozumiemy się? Wystarczy, że ona wciąż ma pod kontrolą moją linię i linię tego notariusza Smolli. To jest kres jej obowiązków.

Edward kiwnął głową na zgodę. Ireneusz był agentem zbyt cennym, wymarzonym wręcz. Nie warto było się targować.

* * *

NASTĘPNEGO DNIA WIECZOREM MERCEDES ZEISBERGERA zaparkował pod Wzgórzem Liebicha. Choć spowite ono było całunem deszczu ze śniegiem, a także mrokiem, ledwo rozpraszanym tu i ówdzie światłem pojedynczych latarni, to już to, co Popielski ujrzał po wyjściu z auta, mogło świadczyć o pięknie tego miejsca w samym sercu miasta.

Na dole, w stok wzgórza porośniętego bezlistnymi o tej porze roku drzewami, wrzynała się prostokątna bryła luksusowego sklepu z dywanami pod szyldem „Quintern & Co”[53]. Po obu jej stronach biegły szerokie schody prowadzące na pierwsze piętro tego parkowego kompleksu, zwanego „belwederem”. Tam wyżej majaczyła półokrągła kolumnada, a nad nią wykwitiała z kolei słabo już widoczna wieża widokowa.

Erwin Fischer, zaufany człowiek Zeisbergera, dotknął ramienia Edwarda i wskazał brodą na schody. W słabym świetle widać było, iż mokre płaty śniegu osiadają w podwiniętym rondzie jego kapelusza typu homburg. Obaj mężczyźni podali ramiona pannie Herminie Schütz, która przyjechała wraz z nimi. Była to prostytutka, operująca głównie w mateczniku Zeisbergera, czyli na osiedlu Księżę Małe.

– Chodź! – rzucił do niej Fischer. – Tu jest ślisko, a cała nasza akcja runie, jeśli nóżkę sobie skręcisz!

Wsparała się z uśmiechem na swych towarzyszach. Jochen, czwarty uczestnik misji „Wzgórze”, siedł za nimi, bacznie rozglądając się na wszystkie strony.

Minęli nieczynną fontannę, popiersie jakiegoś wielkiego człowieka i pokonali jeszcze jedne schody, prowadzące na sam szczyt wzgórza. Tam przeszli obok podestu dla orkiestry i sieczeni roztopiającym się śniegiem, stanęli pod budynkiem zwieńczonym wieżą. Fischer załomotał kołatką w okute drzwi.

Po dłuższej chwili, wypełnionej wyciem wichru, który bezlitośnie szarpał gałęzmi nad nimi, ktoś uchylił duże odrzwia. Na widok tej grupy ludzi – o jej niezwykłości świadczyła obecna pośród mężczyzn kobieta – twarz odzwiernego zastygła w niemym zdziwieniu.

Fischer nabrał tchu i ryknął:

– To moja siostra! I jest chora! Bardzo chora! Wasz klient ją uszkodził. Mówił, że jest tu częstym bywalcem! To jakiś zboczeniec pierdolony, ten wasz klient! Muszę się o nim dowiedzieć! Wszystkiego! Wszystkiego, rozumiesz? Jak się nazywa, gdzie mieszka! Wpuszczaj nas, ale już, do tego burdelu! Muszę porozmawiać z panem Anderschem!

Uniósł woalkę z twarzy panny Schütz. Wymalowany dzisiaj cieniami do powiek zielonoszary siniec wokół jej oka stał się teraz dobrze widoczny w świetle padającym z wnętrza budynku.

– Jakiego niby klienta? O co panu chodzi?

Zabrzmiało to nieco bezradnie, było jednak ewidentną grą na czas. Mężczyzna wolnym ruchem nałożył sobie kastet na palce prawej ręki. I przestał być uprzejmy.

– Idź stąd, przyjacielu mojej kozy z nosa, a twoja siostra niech się rucha gdzie indziej. Są teraz u nas goście, których nie chcesz spotkać.

Do strażnika pasowałoby określenie „kogut”. Był niewysoki i ruchliwy, a pasek włosów pomiędzy dużymi zakolami na jego głowie stanął teraz na sztorc i jakby się zjeżył, tworząc swoisty grzebień.

„Zeisberger zna ludzi w tym mieście – pomyślał Edward. – Przewidział, że mały będzie się rzucał”.

– To jego siostra, a moja narzeczona – rzekł Popielski, wynurzając się zza pleców panny Schütz i Fischera. – Nie chcemy robić awantury. Chcemy porozmawiać z właścicielem, panem Anderschem. I poprosić, aby nam podał nazwisko tego zboczeńca, co ją napadł, uszkodził i pobił.

Ich trójka zastawiała teraz całą szerokość drzwi.

Popielski zdjął uprzejmie melonik i uśmiechnął się do odźwiernego. Austriacki melodyjny akcent, niski, spokojny tembr głosu, całkiem ogolona głowa, niemodna bródka okalająca usta, a nade wszystko dobre maniery zbiły nieco z tropu agresywnego przed chwilą obrońcę burdelu.

Edward grał na czas.

Ten krótki moment zawahania w zupełności wystarczył Jochenowi.

Popielski, czując jego dotknięcie w plecy, uskoczył w bok, a Jochen wynurzył się jak duch z zadymki.

Uderzył od dołu. Okuty koniec pałki trafił wykidajkę w splot słoneczny. Zaatakowany sapnął, cofnął się i otworzył usta, by zaczerpnąć tchu. Wtedy Jochen szybko wyprostował rękę i jego pięść uderzyła dokładnie w to samo miejsce co przed chwilą pałka. Kogut zamrugał oczami, znów się cofnął, o kolejny krok. Wciąż nie upadał, choć chwiał się na nogach.

W małym hallu zrobiło się jednak już na tyle miejsca, że wszyscy intruzi wtargnęli do środka. Jochen popchnął Koguta lekko, a ten wciągając z sykiem powietrze, oparł się o ścianę i toczył dokoła nic nierozumiejącym wzrokiem.

Podwójny – raz za razem – cios w splot słoneczny powalała na ziemię niejednego, każdemu zaś odbiera oddech i chęć do walki. Strażnik nie był tu wyjątkiem. Trzymał się za brzuch. Kastet zsunął mu się z palców i stuknął metalicznie o podłogę.

– Andersch! Chodź no tu! – ryknął Fischer.

Rozglądali się po jasno oświetlonym, lecz niewielkim hallu, wypełnionym fotelami o bordowych obiciach i bohomazami stylizowanymi na Rubensowskie akty na ścianach. Z boku kręcone żelazne schody prowadziły na wyższe piętra wieży. W kącie stały duży wieszak i rynienka na parasole. Obciekała tam jedna para czarnych kaloszy z wybitymi na srebrno inicjałami „E.M”. Na wieszaku wisiał płaszcz zimowy z sobolowym kołnierzem i elegancki melonik.

Trzy pary drzwi były zamknięte. Nagle środkowe się otworzyły i wypadł z nich wysoki, przygarbiony, kędzierzawy blondyn w wiśniowej pikowanej kamizelce. W rękę trzymał pistolet. Obok niego ustawili się dwaj szczupli mężczyźni z kastetami na palcach.

„Dobrze mówił Ireneusz, że goryłami tutaj są byli cyrkowi akrobaci – pomyślał Edward. – Zwinni i z mięśniami jak stalowe postronki”.

– Patrz, patrz, Andersch! – wrzasnął Fischer. – Co jej zrobił twój klient... Napadł ją skurwysyn, zboczeniec jeden!

Nikt się nie ruszał oprócz Herminy. Kobieta oddzieliła się od trzech mężczyzn, z którymi tu przyszła. Sunęła, nie odrywając stóp od kamiennej posadzki, jakby każde uniesienie nogi i napięcie mięśni sprawiały jej ból. Szurając podszwami butów, stanęła przed szefem burdelu.

– Nie w tę dziurę mnie ruchał, co trzeba! – użyła swego codziennego języka. – Przywiązał, bił i wsadzał w dupę. Przyszłam tu z bratem i z narzeczonym nie po zemstę, nie po zemstę tu przyszłam, ale po...

– Nazwisko – wszedł jej w słowo Popielski. – Proszę nam podać jego nazwisko. To pana stały klient. Lubi przykuwać dziewczyny do łóżka i wchodzić przez tylną bramę. Lubi rozrywać. Tylko nazwiska chcemy. Niczego więcej.

– Doprawdy? Ależ ty jesteś łaskaw. Tylko tyle? To wam wystarczy?

Ten niski, schrypnięty głos doszedł skądś z góry. Nie widzieli, jak na kręconych schodach staje dobrze zbudowany brunet o gęstych falujących włosach z nielicznymi nitkami siwizny. Rozpięta prawie do połowy piersi koszula odsłaniała brzuch i mocno owłosiony tors. Kiedy mówił, w kąciku ust poruszał mu się papieros. Młoda blondynka w peniuarze, spływającym z jej szczupłego ciała, stała obok. Jej palce o purpurowych paznokciach bawiły się włosami na piersi mężczyzny.

Fischer podszedł szybko do Herminy i nasunął jej woalkę na oczy.

– Chodźmy! Musimy już iść, bo ona zemdleje. Jest bardzo słaba.

– Nie widzisz, że mi przeszkadzasz, łachudro? – mówił brunet. – Ja się dobrze bawię z tą piękną młodą damą, gram z nią w szachy. A ty krzyczysz, burzysz spokój tego miejsca. Tutaj różni panowie przychodzą, na ogół spokojni... Aby się wyciszyć, aby pokontemplować. Czy ja w ogóle ciebie znam? Czy ja cię kiedyś nie przymknąłem?

– To pomyłka! – Fischer spojrzał pokornie na mężczyznę.

Andersch i jego dwaj pretorianie drwiąco się uśmiechali. Kogut doszedł już do siebie. Patrzył na Jochena wzrokiem, w którym był wyrok śmierci.

– Tak, to pomyłka – powtórzył przyboczny agenta Ireneusza. – Już wychodzimy, już.

– Widzę, że mnie znasz, łachudro, bo się wystraszyłeś. – Mężczyzna jakby tego nie słyszał. – Ale ja nie znam ani ciebie, ani twojego goryla, ani... – Rzucił krótkie spojrzenie na Popielskiego. – I tego łysego Bergscheissera^[54] również nie znam. – Zacisnął kwadratową szczękę. – No już! Wypierdalać stąd, bo was wszystkich przymknę! – Spojrzał na ludzi Anderscha. – A wy im pomóc! Znieść tę panią z góry, bo chodzić nie może, nie widzicie, durnie?

– Do widzenia. – Fischer objął troskliwie Herminę i mrugnął znacząco do Popielskiego.

Kogut i jego dwaj koledzy ujęli kobietę pod pachy i za nogi. Rzekoma narzeczona Edwarda posykiwała z bólu.

Po dziesięciu minutach byli już wszyscy na dole. Trwało to tak długo, bo szli ostrożnie, nie chcąc narazić na upadek obolałej kobiety.

Postawili Herminę koło auta. Kogut splunął obficie na przednią szybę mercedesa. Jochen nie dał się sprowokować i zapuścił silnik. Kobieta usiadła obok niego, a Popielski wraz z Fischerem zajęli miejsca z tyłu.

Ruszyli wolno.

– Dlaczego nie krzyknął pan przy tym Anderschu tego, co ustaliliśmy? – zapytał Edward z lekkim rozdrażnieniem. – Andersch mógł nie słyszeć wcześniej pańskich gróźb pod adresem zboczeńca. A umówiliśmy się, że burdeltata musi dokładnie wszystko usłyszeć!

Fischer milczał, co Popielskiego już rozjuszyło.

– Gdy wychodziliśmy miał pan się drzeć: „Zajebię skurwysyna, dyszel mu w dupę wsadzę, zajebię go!”. Tak miałeś krzyczeć, Fischer. Wystraszyłeś się tego krzykacza? To jakiś policjant czy sędzia? Przecież on by nie zareagował na pogróżki wobec jakiegoś perwersanta! Przecież by cię nie zamknął za to, że komuś tam groziłeś! Ta mała go bardzo rajcowała! Zaraz ją miał wziąć na ruszt!

Człowiek Zeisbergera rzucił się na siedzeniu.

– Nie mogłem tego powiedzieć, bo on by się zaraz bardziej zainteresował całą sprawą!

– Kto to jest, do jasnej cholery?

– Zły policjant. Lepiej go unikać jak zarazy.

– Chyba nie taki zły – odezwała się panna Schütz z przodu.

Popielski sapnął ze złością. Musiał jednak przyznać, że obecność tego policjanta była pechową, nieprzewidzianą przeszkodą, która mogła zniweczyć całą akcję „Wzgórze”.

– Co, Erwin? Café Fahrig? – zapytał Jochen.

– No jasne, tam ma szef na nas czekać.

W Café Fahrig przy Zwingerplatz^[55] na agenta Götza i na swego człowieka rzeczywiście czekał agent Ireneusz.

Siedzieli we trzech dwie godziny. W czasie gdy Jochen zdążył odwiedzić już pannę Schütz na Księżę Małe i powrócić, zjedli kanapki z wątróbką i z przysmażaną cebulką oraz peklowane małe golonki z kapustą upstrzoną grochem. Wrocławianinie wypili przy tym trzy halby piwa, lwowiak zaś – dwa małe kieliszki wódki. Erwin milczał, a Helmut, rozpiąwszy śląski kubrak, lubieżnie wodził oczami po sali w poszukiwaniu jakiejś królowej nocy. Edward – zły i spięty – siedział sztywno i palił nadmiernie.

Orkiestra grała jakąś romantyczną melodię, gdy drzwi lokalu otwały się i stanął w nich Jochen oraz jakiś młody człowiek. Kiedy podeszli do ich stolika, okazało się, iż ten drugi jest tak podobny do Zeisbergera, że nikt by nie miał wątpliwości, jakie pokrewieństwo go z nim łączy.

– Nie mam czasu – powiedział młodzieniec, nie przywitawszy się z ojcem i jego gościem, po czym zaczął szeptać: – Z numeru lokalu Wzgórze Liebicha w ciągu dwóch godzin nawiązano dwa połączenia. Jeden to numer zastrzeżony, a połączenia pod takie numery obsługuje tylko najbardziej zaufana telefonistka, od której nic nie wyciągniemy. Drugi numer to czterysta czternaście dwadzieścia siedem. Nazwisko właściciela: Willy Grundmann, Sachsenweg^[56] dwa.

Młodzieniec urwał i spojrzał groźnie na Popielskiego.

– Nie narażajcie nigdy więcej mojej Trudy! Zrozumiano?

– Dziękuję. – Edward uśmiechnął się lekko.

Nie miał zamiaru podejmować dyskusji. Zeisberger i jego syn byli zbyt cennymi agentami, by kłócić się o drobiazgi.

„Do zadań telefonistki – pomyślał – zawsze można wrócić, gdy opadną już emocje”.

* * *

POPIELSKIEMU WYDAWAŁO SIĘ, że przekonanie i starego, i młodego Zeisbergera do tego, by porzucili obawy o los młodej telefonistki Trudy i zgodzili się, aby dziewczyna nadal z nimi współpracowała, jest tylko kwestią czasu. Nie udało mu się jednak tego dokonać.

Młody był tak wściekły i pełen obaw o narzeczoną, że nawet nie chciał rozmawiać o złagodzeniu swego stanowiska. Helmut zaś powiedział Edwardowi wprost, że wynagrodzenie za swą pomoc dostaje ostatnio tak nieregularnie, iż bardzo poważnie się zastanawia, czyby nie zawiesić jej udzielania.

To pryncypialne, lecz poniekąd zupełnie zrozumiałe stanowisko zaniepokoiło nieco Edwarda. Na szczęście telefonistka Truda – choć bardzo przerażona tym, że zastrzeżony numer, pod który dzwoniono ze Wzgórza Liebicha, mógł należeć do Gestapo – wciąż jednak była skłonna kontrolować rozmowy z aparatu swojego przyszłego teścia, którego numer był zresztą zarejestrowany na zupełnie inne nazwisko. Kontrola Trudy polegała na tym, iż tych rozmów słuchała, będąc wyczuloną na różne odgłosy i trzaski, które mogłyby świadczyć o podsłuchu. Jak na razie, nic takiego się nie zdarzyło.

Popielski szybko nawiązał kontakt z Żychoniem. Najpierw – zawieziony i ochraniający przez ludzi Ireneusza, którzy po spotkaniu ze „złym policjantem” byli jeszcze bardziej czujni – udał się do czytelnicy gazet w Bibliotece Miejskiej przy Rossmarkt[57] i długo coś notował. Potem zatelefonował od Ireneusza pod bydgoski numer kontaktowy i po trzech godzinach uzyskał połączenie. Podyktował swej rozmówczyni wczorajszą

datę i ciąg liczb, którego elementy składały się z dwóch cyfr rozdzielonych myślnikiem. Oznaczało to, iż Żychoń ma wziąć wczorajszy numer gazety „Berliner Tageblatt”, prenumerowanej przez wszystkich niemieckich restauratorów w Bydgoszczy, i dzięki owemu ciągowi liczb, którego elementy odpowiadają numerom szpalt i wierszy, odczytać komunikat. Brzmiał on: „Willy Grundmann Breslau Sachsenweg[58] 2”.

Żychoń zareagował po kilku dniach. Popielski otrzymał od Ireneusza liścik z datą oraz podobnymi rzędami cyfr. Poszedł do czytelnicy, wypożyczył „Berliner Tageblatt” z dnia wskazywanego przez datę i wynotował szesnaście liter. Ułożyły się one w rozkaz: „Zduny natychmiast”.

I Edward wykonał go natychmiast.

Funkcjonariusz Grenzschtzu na przejściu kolejowym w Zdunach nie był specjalnie zdziwiony częstym przekraczaniem granicy przez „pana Reiterera”. Jak wielu Niemców miał wbity do głowy obraz „niesprawiedliwego traktatu wersalskiego”, który „jednym cięciem rozdzielił niemieckie ziemie i niemieckie rodziny”. Widok zatem zamożnego mężczyzny, który podróżuje – jak się wyraził – „w celach rodzinnych”, nie wzbudził jego podejrzeń, choć ten miał nietypowy jak na Śląsk akcent.

W Zdunach polscy pogranicznicy, pamiętający charakterystyczną aparycję rzekomego szpiega, byli mniej ufni, ale żadnych przeszkód mu nie stawiali, a jeden z nich wskazał palcem na stojącego pod dworcem wiśniowego fiata i szofera palącego papierosa.

Ten przywitał się z Edwardem skinieniem głowy i powiedział lakonicznie:

– Pozdrowienia od pana kapitana. Jedziemy do Bydgoszczy.

Niewiele więcej mówił w czasie dziesięciogodzinnej podróży, która zakończyła się późną nocą w mieście nad Brdą pod hotelem Metropol przy

ulicy Dworcowej.

Młoda recepcjonistka obdarzyła Edwarda uroczym uśmiechem i wręczyła mu klucz do *suite présidentielle* oraz liścik w zamkniętej kopercie.

Otworzył go nożykiem do rozcinania gazet, który należał do wyposażenia reprezentacyjnego dwupokojowego hotelowego mieszkania, zwanego, jak się przed chwilą dowiedział, „apartamentem prezydenckim”.

Liścik był krótki: „Jutro wieczorem o 8-mej kasyno oficerskie na rogu Gdańskiej i Bema”.

Popielski rozebrał się do bielizny i położył na łóżku. Hotelowy pokój zawsze kojarzył mu się z rozpustą. Patrzył w sufit i snuł erotyczne wizje.

I nagle ogarnęło go uczucie niesmaku, gorzka niechęć do samego siebie. Leżał w tym hotelu i nie skupiał się na najbliższych wypadkach, tak ważnych dla jego przyszłości i kariery, które być może doprowadzą do rehabilitacji i obalenia fałszywych oskarżeń! Nie rozmyślał wcale o Aurelii, nie zadawał sobie nawet dręczącego pytania, czy ona wciąż żyje. Nie zaprzętały jego myśli nawet dwie ukochane kobiety, które były teraz w pięknym mieście wschodniej Polski, oddalone od niego o siedemset kilometrów, i siedziały w dużym mieszkaniu – jedna przy pianinie, druga nad kajetami – stęsknione za nim boleśnie.

O tym wszystkim nie myślał. Roił sobie przed chwilą o erotycznych figlach z młodą, uśmiechniętą zachęcająco recepcjonistką, która w jego wizji miała na sobie tylko halkę i pończochy z podwiązkami.

– Jakiż ten męski ród jest wiarołomny – szepnął i odwrócił się na bok.

Zasnął snem sprawiedliwego i nie śniło mu się nic.

Nawet recepcjonistka.

* * *

KASYNO OFICERSKIE W BYDGOSZCZY ŁATWO ZLOKALIZOWAŁ na mapie, w którą – oprócz nożyka i innych utensyliów – był wyposażony apartament prezydencki. Obliczył, że nie będzie tam szedł dłużej niż dwa kwadransy.

Cały dzień spędził na czynnościach higienicznych i na zakupach. Targany wyrzutami sumienia, kupił Leokadii w niemieckim antykwariacie pięknie wydany zbiór nut do utworów fortepianowych Beethovena, a Ricie – płytę gramofonową z nagraniami piosenek z amerykańskiego filmu *Śpiewak jazzbandu*. O sobie samym też nie zapomniał. W eleganckim sklepie na ulicy Marszałka Focha nabył małą metalową szachownicę z figurami podbitymi magnesem oraz szelki i krawat tworzące komplet – bo uszyte z tego samego materiału o ulubionej przez niego mieszaniu barw: czarnej, szarej i białej.

Te elementy garderoby włożył zresztą na siebie, gdy szykował się przed wyjściem do kasyna oficerskiego.

Do gmachu znajdującego się naprzeciwko koszar XV Pułku Artylerii Lekkiej dotarł, tak jak to sobie wyliczył, w ciągu dwóch kwadransów.

Gdy tam wchodził, na dużym zegarze w hallu wybijała godzina ósma. Umundurowany szatniarz w stopniu sierżanta, usłyszawszy, iż przybysz jest umówiony z panem kapitanem Żychoniem, pominął milczeniem jego sprzeczny z regulaminem cywilny strój, skłonił mu się z wielką atencją, odebrał parasol, kalosze i odzienie wierzchnie, po czym dał znak młodszemu kelnerowi. Ten wprowadził Popielskiego na dużą oświetloną rześnię salę. Od stolika stojącego na środku podniósł się Żychoń i wyciągnął rękę do swego gościa.

Edward przywitał się z nim i usiadł. Na stoliku stały kryształowa karafka z wódką, dwa kieliszki i liczne salaterki z marynowanymi

grzybkami, ogórkami, a nawet – zwyczajem wschodnim – z marynowanymi pomidorami, papryką i kawałkami bakłażanu.

Dwie rzeczy zdziwiły mocno Edwarda. Po pierwsze, Żychoń ubrany był w mundur, po drugie – wybrał stolik na środku kasyna. Dystynkcje kapitana przyciągały ku centralnie ustawionemu stolikowi spojrzenia wielu oficerów i towarzyszących dam. Rzęsiste światła nie mogły ukryć żadnego grymasu, żadnego ruchu, a zatem agent obcego wywiadu – gdyby takowy był wśród oficerów – miałby idealne pole do obserwacji. Ta iluminacja była epileptykowi bardzo nie w smak.

Kelner odebrał od nich dodatkowe zamówienia i odszedł.

– Dobra robota, panie kapitanie – szepnął Żychoń. – Naprawdę dobra. Esesman i fałszywy Ireneusz nazywa się Alois Grundmann. Młody, ledwo po trzydziestce. To szef wrocławskiego, a ściśle mówiąc, południowo-zachodniego, odcinka SD. Były szef, dodajmy...

Orkiestra zaczęła grać tango.

„W końcu jest karnawał – pomyślał Edward – ludzie chcą się bawić. Nie wszyscy muszą stąpać po linie nad przepaścią”.

– Grundmann zniknął. – Żychoń wobec panującego gwaru już nie szeptał, lecz mówił półgłosem. – Ale nie umarł. Willy Grundmann, jego ojciec, na którego zarejestrowano numer telefonu, nie nosi śladu żałoby podobnie jak matka. Mam pewną hipotezę, panie kapitanie...

Urwał, bo właśnie nadszedł kelner, który przed Żychoniem postawił miseczkę z ostrygami, a przed Popielskim – z sałatką jarzynową, serwolatką na ciepło i z czarką ostrej musztardy. Kapitan nalał wódki. Wypili, zakąsili, zapalili.

Orkiestra przestała grać. Rozległy się brawa, potem stukot obcasów po parkiecie, na koniec – szuranie krzeseł, które panowie oficerowie podsuwali swoim damom. Mocne światło było bezlitosne dla niektórych kobiet.

Ukazywało różne mankamenty, wynikające z sytuacji: nadmierne rumieńce, plamy potu pod pachami, rozmazy tuszu na powiekach.

Popielski znów pomyślał o swojej chorobie i o mocnym świetle żyrandoli, które odbijało się w lustrach i w kandelabrach wiszących u pełnego stiuków sufitu.

– To kasyno oficerskie. – Żychoń, jakby zrozumiał jego zaniepokojone spojrzenie. – Tu musi być jasno. Żadnych dziewczynek i żadnych macanek po kątach. To nie warszawska Oaza, pełna przyćmionych kolorowych lampek, ani znany panu dobrze lwowski Luwr.

– Jaka to hipoteza? – Popielski zaciągnął się papierosem.

– SD chciała mieć te dokumenty, to oczywiste – odparł Żychoń. – Wydelegowano do ich zdobycia Grundmanna. To też oczywiste. Jeśliby je zdobył, to czy słuch by o nim zaginął? Oczywiście dostałby awans, fetowano by go w Berlinie, a tu co? Cisza...

– Z całym szacunkiem, panie kapitanie, ale może w ciągu tak krótkiego czasu nie udało się panu ustalić na sto procent, czy Grundmann na pewno zniknął... A nawet jeśli go nie ma w mieście, to są jeszcze różne możliwości. Być może wyjechał na narty w Alpy, a potem wróci do Berlina i wtedy będą strzelały korki szampana?

– Może i ma pan rację. – Żychoń pokiwał głową. – Może już pod pałacem księcia Albrechta szykują bramy tryumfalne. Ale mnie i pana to w tej chwili tak naprawdę nie powinno obchodzić. Dla nas jest ważne coś innego. Pan chce odnaleźć Aurelię Teichert, a ja wpadłem na trop Chevroleta. I obaj już wiemy, dzięki pańskiej akcji w tym burdelu, że w obie sprawy zamieszane było SD. A jeśli Zwolicki jest człowiekiem Grundmanna, bo to mały przecież pana z nim umówił, i jest jednocześnie człowiekiem Chevroleta, co nie ulega wątpliwości, to mamy prosty wniosek: Chevrolet jest agentem SD.

Żychoń, widząc zdziwione spojrzenie Popielskiego, opowiedział o swoim bydgoskim śledztwie, które – choć nie zakończyło się błyskotliwym sukcesem – to potwierdziło, iż Chevrolet oraz mężczyzna zamieszany w śmierć hrabiego Lamberta to jedna i tak sama osoba.

Na wątpliwość zgłoszoną przez rozmówcę, iż bydgoskie rzezimieszki, które rozpoznały Chevroleta na portrecie pamięciowym, mogą kłamać, choćby po to, aby wprowadzić w błąd władzę, kapitan odparł zdecydowanie:

– Oni podejrzewają, że człowiek, który ich wynajął do transportu do Samsieczna, jest zamieszany w zabicie Tatusia. Mordercę swego znajomego z półświatka chcą zniszczyć dla zasady.

Popielski umilkł. To brzmiało przekonująco.

– Jesteśmy obaj na tropie, panie kapitanie. Pan na tropie swej ukochanej, ja na tropie Chevroleta. Przed nami wyboista droga. Pan musi się zrehabilitować, a depcze panu po piętach ta kanalia prokurator Sokólski. Ja chcę mieć w kajdanach Chevroleta, a moi koledzy z kontrwywiadu sarkają, że to ich zadanie, i pchają mi kij w szprychy. Jedziemy na jednym wózku.

Spojrzał bystro na Edwarda.

– Nie sądzi pan, że to dobry powód, aby wypić bruderszaft? Nie jesteśmy wszak braćmi w niedoli?

Popielski wstał, Żychoń również. Kapitan uniósł kieliszek do ust, a w przestrzeń pomiędzy jego brodą a przedramieniem kapitan włożył swoją dłoń z kieliszkiem. Wypili, przechylając gwałtownie głowy.

– Jestem Edward – rzekł starszy z nich. – Najbardziej lubię moje imię w pełnym brzmieniu.

– A ja nie – zawołał młodszy – mów mi Janio.

Na sali rozległy się brawa. Tak oficerska brać skwitowała ten bruderszaft, wypity na środku rozświetlonego kasyna.

Panowie usiedli, chuchnęli i zabrali się do przekąsek. Orkiestra zagrała walca i pary ruszyły do tańca.

– Nie chce ci się, Edwardzie, odcedzić kartofelków? – zapytał nagle Żychoń.

– Nie bardzo.

– Jak już będziemy w miejscu ustronnym, to ci się zachce. – Kapitan mrugnął okiem. – No chodź!

Kiedy poszli do hallu kasyna, gdzie były wejścia do toalet, Żychoń kiwnął palcem na szatniarza.

– Jest tam kto, Stasiu? – Wskazał brodą na drzwi ozdobione trójkątem.

– Melduję, że nie ma nikogo, panie kapitanie! – Szatniarz stuknął obcasami.

– Dobrze – mruknął Żychoń. – I ma tam nie być nikogo, dopóki się nie skończy ten taniec i dopóki nie wyjdziemy stamtąd z panem kapitanem, rozumiesz, Stasiu?

– Tak jest, panie kapitanie!

Weszli do toalety i sprawdzili wszystkie pięć kabin. Rzeczywiście były puste.

– Jest cień nadziei – rzekł Żychoń bez zbędnych wstępów. – Na początku lat dwudziestych na krążowniku „Berlin” kontradmirał Wilhelm Canaris, szef Abwehry, był dowódcą Reinharda Heydricha, szefa SD. Panowie nie przepadali za sobą, mówiąc oględnie. Niechęć szefów rzutuje na niechęć służb. Wiem coś o tym, Edziu.

Sapnął z niechęcią. Edward nie zwrócił mu uwagi na to zdrobnienie, za którym nie przepadał.

– Wykorzystamy niesnaski pomiędzy SD a Abwehrą – ciągnął kapitan. – Mam plan. Śmiertelnie niebezpieczny gambit. Jedyne możliwe. Damy Niemcom fałszywe płotki po to, by złapać prawdziwego rekina. Zostaniesz, Edziu, fałszywym zdrajcą.

Popielski sapnął. Naprawdę nie lubił tego zdrobnienia.

– A teraz pierwszy punkt naszego planu... Wprowadzamy go w życie za chwilę. Tutaj. Na środku rozświetlonego kasyna...

* * *

– TEGO, CO SIĘ U NAS WYDARZYŁO wczorajszego wieczoru, nie pamiętali najstarsi oficerowie – meldował następnego dnia kierownikowi kasyna porucznikowi Walerianowi Szostkowi szatniarz sierżant Stanisław Graf. – Najpierw dwaj panowie... Znany nam wszystkim kapitan Żychoń i jego gość, niewidziany tu wcześniej elegancki pan pod pięćdziesiątkę, po cywilnemu, ale kapitan. Oni wypili bruderszaft przy aplauzie całej sali, potem jeszcze biesiadowali długo i gawędzili. Aż w końcu... Aż w końcu... Nie, to niebywałe!

– Aż w końcu się pobili, wyduś to z siebie, Stasiu – uzupełnił zniecierpliwiony Szostek. – Który z nich zaczął? Jakie są straty? Skończy się to pojedynkiem?

* * *

– PIERWSZY ZACZAŁ SIĘ AWANTUROWAĆ KAPITAN ŻYCHOŃ – powiedział dwa dni później kapitan Mieczysław Lepecki, adiutant marszałka Piłsudskiego.

Uniósł raport sierżanta Stanisława Grafa do swych oczu krótkowidza i czytał dalej:

– Zwyczywał kapitana Edwarda Popielskiego obelżywymi słowy, chwycił za obrus, ściągnął go ze stołu wraz z zastawą. Popielski rzucił się do bicia, ale powstrzymali go licznie zgromadzeni tam na balu karnawałowym oficerowie. Obu panów wyprowadzono z kasyna przy użyciu przymusu. Następnego dnia kapitan Popielski otrzymał oficjalne zapytanie, czy żąda satysfakcji. Odparł, że nie żąda niczego, czym ściągnął na siebie niesławę wśród bydgoskich oficerów. To tyle, panie marszałku!

Piłsudski oparł ręce na biurku. Mimo dotkliwego bólu, który mu szarpał i palił wnętrzności, lekko się uśmiechnął.

– Gorąca krew w tych panach oficerach... I zapominają, szelmy, że pojedynki są zakazane.

[51] Obecnie ul. Katowicka.

[52] Obecnie Wzgórze Partyzantów.

[53] W latach młodości autora znana kawiarnia Reduta.

[54] Dosł. ten, co obsrywa góry (pogardliwe określenie Austriaka).

[55] Obecnie pl. Teatralny.

[56] Obecnie ul. Dobrzańska.

[57] Obecnie ul. Szajnochy.

[58] Obecnie ul. Dobrzańska.

EDWARD POPIELSKI WSIADŁ W BYDGOSZCZY do wagonu sypialnego pociągu relacji Gdańsk–Wrocław. Do przygranicznego Rawicza jechał dwanaście godzin, z czego połowę przespał – niespokojnie i z koszmarami.

Połączenie to było ze wszech miar wygodne – bo bezprzesiadkowe – a poza tym nie narażało go na natychmiastowe podejrzenia funkcjonariuszy niemieckiego Grenzschtzu. Gdyby wracał do śląskiej metropolii przez Zduny, na pewno wzbudziłyby zainteresowanie pograniczników. Zdziwiliby się na widok dobrze sobie znanego pasażera, który w ciągu ostatnich kilkudziesięciu dni po raz piąty już przekracza granicę.

W tej sytuacji na szybkie działania podejrzliwych stróżów granicy nie trzeba by długo czekać. Na pewno z ich posterunku wyszedłby drogą telefoniczną lub telegraficzną pilny meldunek do Wrocławia i tam na Dworcu Głównym czekałaby na Popielskiego delegacja powitalna w postaci funkcjonariuszy kontrwywiadu.

Przejęcie granicy w Rawiczu, gdzie Edwarda nie znano, było zatem bezpieczniejsze, choć tylko do pewnego stopnia, ponieważ i tak każdy urzędnik konsulatu polskiego wchodził niejako automatycznie na celownik niemieckich służb specjalnych. Kwestią czasu było tylko, kiedy to nastąpi: czy już po przybyciu na dworzec, czy po zgłoszeniu nowo zatrudnionego pracownika w stosownych urzędach, czy też w momencie gdy ten swoim zachowaniem zacznie budzić podejrzenia. Popielski chciał, aby to nieuniknione zainteresowanie dotknęło go jak najpóźniej – stąd wybór Rawicza jako punktu pośredniego podróży.

Tam polscy strażnicy graniczni zwrócili mu paszport, wystawiony na jego prawdziwe nazwisko, z uprzejmymi słowami podwyższającymi jego status o kilka stopni:

– Szczęśliwej podróży, panie konsulu!

Ich niemieccy koledzy nie byli natomiast tak grzeczni i dość opryskliwym tonem zadali mu pytanie na temat jego przyszłej pracy w konsulacie. Edward odpowiedział zgodnie z prawdą, że jedzie, aby objąć obowiązki konsularnego referenta do spraw emigracji polskiej w Niemczech. Będzie się zajmował sprawami polskich robotników sezonowych oraz obywateli Rzeczypospolitej żyjących od lat na Śląsku, lecz nieposiadających niemieckiego obywatelstwa. Objęcie stanowiska zaginionego Henryka Zwolickiego było oczywiście z formalnego punktu widzenia całkowitą prawdą.

W intonacji pytań, które mu zadano, oraz w grymasach twarzy pytających nie było ewidentnej podejrzliwości. Niemcy wysłuchali go i oddali mu paszport. Najwyraźniej ważna funkcja urzędowa, jaką miał pełnić, zrobiła na nich w końcu wrażenie, bo jeden z nich zasalutował i krzyknął:

– *Gute Reise, Herr Abteilungsleiter!*[59]

Pociąg ruszył, a Popielski zagłębił się w rozmyślaniach nad materiałami, które dostał od Żychonia.

Dwa dni po szarpaninie w bydgoskim kasynie oficerskim fałszywi przeciwnicy, których bójka po wypiciu bruderszaftu wywołała falę plotek w całym mieście, spotkali się w pewnym tajnym bydgoskim mieszkaniu przy ulicy Nakielskiej będącym lokalem operacyjnym Dwójki. Tam przez całą noc ustalali plan akcji „Gambit” – szczegół po szczególe. Następnego dnia po południu Edward, wyuczywszy się na pamięć wszystkiego, powtórzył Janowi kolejność działań we Wrocławiu.

Otrzymaawszy *dossier* pracowników konsulatu, do których on sam miał dołączyć jako następcą Zwolickiego, przyjął życzenia, by powrócić do Polski z wymiernymi rezultatami akcji „Gambit”, a potem został przez Jania serdecznie uściskany. Zdawać by się mogło, że owa pozorowana bójka jeszcze mocniej zacieśniła więź pomiędzy mężczyznami.

Popielski z lekkim uśmiechem wspominał teraz zamieszanie w kasynie i czekał, aż pociąg wjedzie na stację Żmigród, gdzie miał wsiąść Helmut Zeisberger.

To spotkanie zaaranżował Żychoń, zaniepokojony nieco wiadomością, iż agenci Götz i Ireneusz natknęli się w czasie akcji „Wzgórze” na jakiegoś wysokiego rangą policjanta. Kapitan postanowił ograniczyć do minimum ich kontakty w mieście i podjął decyzję, że spotkają się w pociągowej restauracji pomiędzy Żmigrodem a Wrocławiem. Mieli tutaj porozmawiać na temat początkowej, lecz kluczowej dla całej akcji decyzji – na temat właściwego gambitu.

Im bliżej Wrocławia był Popielski, z tym większą mocą ogarniał go moralny niepokój, który raz na jakiś czas wracał od czasu pamiętnej rozmowy w ubikacji kasyna. Kiedy wjechali na stację kolejową o nazwie Trachenberg^[60], przygnębienie zmieniło się w smutną refleksję natury etycznej.

Popielski musiał w czasie swojego trzeciego już pobytu we Wrocławiu postąpić z całą bezwzględnością – punktem wyjściowym akcji było bowiem wyszukanie wśród pracowników konsulatu piona, którego należałoby poświęcić w szpiegowskim gambicie. Znalezienie pierwszej, jak się wyraził kapitan, z owych „fałszywych płotek”, potrzebnych do złapania „prawdziwego rekina”.

Idealną sytuacją byłoby podrzucenie Niemcom na pożarcie ich własnego człowieka – agenta Abwehry lub kontrwywiadu SD, gdyby

takowy działał wśród pracowników konsulatu. Niestety, o istnieniu takiego osobnika ani Żychoń, ani Popielski nie mieli bladego pojęcia i nic nie wskazywało na podobną działalność po zniknięciu Zwolickiego, który – przy wszystkich wątpliwościach – prawdopodobnie był wrogim agentem. Pozostawała zatem najbardziej dramatyczna i dwuznaczna moralnie decyzja wyznaczenia kogoś do tej roli. Niosła ona ze sobą smutne konsekwencje dla wyznaczonego, a jej nieodwołalność wciąż dręczyła Edwarda. Oto skaże na infamię, a może i złamie życie niewinnemu człowiekowi!

Przestudiowawszy jeszcze w Bydgoszczy akta osobowe pracowników konsulatu, do roli płotki wytypował jednego z czterech urzędników.

Zastosował tutaj metodę eliminacji. Wszystkich pracowników konsulatu było siedemnaścioro, wśród nich cztery kobiety, które Edward od razu wyłączył z akcji „Gambit”. Nie miał też sumienia brać na cel swych działań siedemnastoletniego gońca Tadeusza Grajkowskiego. O ile w wypadku niewiast oraz chłopaka zadziaływały względy kurtuazyjno-obyczajowe, o tyle w wypadku pięciu kolejnych mężczyzn powody okazały się najzupełniej praktyczne. Trudno było pozbawić konsulat znakomitego radcy prawnego Sylwestra Karalusa; konsul Stefan Bratkowski i referent wydziału paszportowo-wizowego Szczęsny Choynacki byli zaś *de facto* funkcjonariuszami Dwójki podlegającymi Ekspozyturze nr 4 w Katowicach. Czynienie z nich kozłów ofiarnych stałoby się zatem przejawem skrajnej głupoty i, co więcej, wywołałoby dezorganizację i straszliwe animozje w szeregach polskiego wywiadu. W agenturalną działalność dwóch pozostałych, czyli kierowcy Wilhelma Sarapaty oraz woźnego Ludwika Kyci, Niemcy raczej by nie uwierzyli, a od ich oszukania wszystko przecież zależało.

Niegodne też było rzucanie Niemcom na pożarcie trzech pracowników bardzo zasłużonych na niwie patriotycznej – *attaché* kulturalnego konsulatu

Alfonsa Brunona Wajdemajera, Jana Matuszczaka, zajmującego się dodatkowo buchalterią, oraz Feliksa Stachelskiego, dyrygenta chóru polskiego Harmonia. Wszyscy oni bronili jak lwy obywateli Rzeczypospolitej i sprawowali troskliwy nadzór nad polskim życiem kulturalnym w mieście. Oczernianie ich to po prostu świństwo.

Popielski musiał wytypować płótkę spośród czterech urzędników pozostałych po owej eliminacji.

Zebraniem informacji na ich temat zajął się nieoceniony Helmut Zeisberger. Miał je ustnie przekazać Popielskiemu w czasie wspólnej podróży ze Żmigrodu do Wrocławia, a agent Götz miał podjąć trudną i ostateczną decyzję, którego z tych czterech wyznaczyć do odstrzału.

Peronowy w Żmigrodzie gwizdnął ostro i pociąg powoli ruszył ze stacji. Popielski udał się do wagonu restauracyjnego i tam zaraz ujrzał Zeisbergera, jak – w swym nieodłącznym śląskim stroju ludowym – gawędzi o czymś z kelnerem stawiającym przed nim spieniony kielich piwa.

Edward rozejrzał się po wagonie, uchwycił wzrok Zeisbergera i kelnera, po czym pokręcił głową, jakby się rozmyślił, i wrócił w tę stronę, skąd przyszedł. Dwa wagony dalej, już w klasie drugiej, stanął na pustym korytarzu i zapalił papierosa.

Na Zeisbergera czekał ponad kwadrans. Ślązak przyszedł tam, lekko sapiąc i zionąc piwnym oddechem. Zapalił również i wdał się z Edwardem w pogawędkę typu „ciężkie jest życie” albo „w naszych czasach to dopiero były pociągi, żaden się nie spóźniał!”.

Po chwili, gdy nie zauważyli żadnych ciekawskich, którzy by się im przysłuchiwali czy przyglądali, Zeisberger przeszedł do rzeczy.

– Czasu miałem mało. Kilka dni śledzenia. Ale coś wiem o tych czterech. Edmund Ender, lat trzydzieści dwa, żonaty ze spolszczoną

Niemką, jest referentem w dziale wizowym. Bardzo wspiera polskie rzemiosło, chodzi tylko do polskich krawców i szewców. Niezwykle zaangażowany w życie polskie. Jan Ganske i Roman Makarewicz z kancelarii ogólnej są kawalerami. Obaj zajmują się kontaktami z Żydami obywatelami polskimi. Są skuteczni. Chronią polskich Żydów przed wpisaniem ich do ewidencji obywateli drugiej kategorii. Ganske zbyt dużo pije, Makarewicz gra w karty, po cichu i w prywatnych domach. Pozostaje Piotr Kozubski, lat czterdzieści dwa. Z działu socjalnego, oddelegowany do obserwacji handlowej oraz do kontaktów ze studentami polskimi z korporacji Silesia Superior. Jest żonaty i dzieciaty. Chyba ma kochankę. Tyle.

Popielski natychmiast wyeliminował w myślach Edmunda Endera, dopisując go do listy zasłużonych dla spraw polskich. Pozostało mu trzech pracowników. Na każdego z nich miał haczyk. Każdy z nich miał jakąś słabość. Dobrym prognostykiem dla dalszych działań była szybkość, z jaką Ireneuszowi zaledwie w ciągu kilku dni udało się aż tyle ustalić o tych urzędnikach. Założywszy, że Zeisberger nie jest podwójnym agentem i nie dezinformuje ich na polecenie kontrwywiadu niemieckiego, można by śmiało założyć, iż te informacje ulegną wzmocnieniu: Ganske okaże się notorycznym alkoholikiem, Makarewicz takimż hazardzistą, a ze zdania „Kozubski ma chyba kochankę” zniknie partykuła „chyba”.

Teraz musiał wskazać Zeisbergerowi, kogo mają wziąć pod lupę jego ludzie, by potem na tacy podsunąć go wrogowi. Kogo z tych czterech oblepić błotem, z którego może się już nigdy nie otrząśnie?

Nie miał czasu na analizę moralnych strat. Czas go gonił. Każdy mijający dzień zbliżał Aurelię do śmierci.

– Świetna robota! – mruknął. – Bardzo dużo pan o nich wie. Ile czasu mamy do Wrocławia?

Zeisberger spojrział na zegarek.

– Prawie półtorej godziny.

Edward zaciągnął się papierosem po raz ostatni i zaczął gasić go w popielniczce. Miał przed sobą dziewięćdziesiąt minut, aby – dla zaspokojenia swojej dzikiej tęsknoty za Aurelią – z premedytacją uczynić komuś krzywdę.

– Dobrze – szepnął. – Piotr Kozubski?

– Kto? Nie dosłyszałem... Kozubski?

Popielski pokiwał ze smutkiem głową.

W sprawie złamania życia i kariery niewinnego człowieka podjął decyzję w ciągu pięciu minut.

* * *

EDWARD ZAMIESZKAŁ W WYNAJĘTYM POKOJU w pensjonacie pani Elfriede Kuschmider, zajmującym cały parter kamienicy przy Hedwigstrasse[61] 36. To tymczasowe lokum, opłacane przez polski konsulat, wybrał sam jego szef konsul Stefan Bratkowski, tajny współpracownik Dwójki.

Został on powiadomiony przez macierzystą Ekspozyturę nr 4 w Katowicach, iż jego nowy pracownik Edward Popielski będzie przebywał we Wrocławiu krótko – najwyżej miesiąc – a po wykonaniu tajnej misji wróci do Polski. Potrzebuje zatem mieszkania dyskretnego i umożliwiającego w razie wpadki ewakuację szybką, skuteczną i ukrytą przed oczami ścigających. Mówiąc krótko – najlepiej by było, aby ze swojego mieszkania mógł zniknąć i jakimiś połączonymi piwnicami przedostać się do kolejnego domu lub do pobliskiego kwartału mieszkalnego.

Ścisła zabudowa czterech ulic, której częścią była kamienica z numerem 36 przy Hedwigstrasse, aż takich udogodnień nie zawierała, ale i tak – na pierwszy rzut oka – miała bardzo wiele zalet. Był tu bowiem istny labirynt podwórek, bram przelotowych, oficyn, zakładów rzemieślniczych oraz wyższych i niższych murów, wyposażonych w bramki i drzwi – na ogół otwarte.

Popielski zamieszkał zatem u mrukliwej starszej wdowy, pani Elfriede Kuschmider, która całą uwagę poświęcała trzem wykastrowanym kocurom oraz pamiątkom po mężu, podoficerze Grenzschutzu, zabitemu, jak mawiała, przez „Wasserślązaków w ostatnim z ich wstrętnych buntów”. Popielski – w odróżnieniu od swojej gospodyni – miał do powstań śląskich stosunek entuzjastyczny, nie zamierzał się jednak z nim ujawniać.

Już pierwszego dnia zlustrował dokładnie ów labirynt i przygotował sobie plan ucieczki – przez piwnicę na sąsiednie podwórko, gdzie dwie piękne półokrągłe kamienice tworzyły jakby swe lustrzane odbicia. Stamtąd – po przejściu trzech oddzielonych murami podwórek i dwu bram przelotowych – wydostałby się na ulicę Brigittental^[62], skąd byłby już żabi skok do dużego parku^[63], a tam łatwo mógł zniknąć wśród drzew. Okolicę przecinały liczne linie tramwajowe, którymi po jednej czy po dwóch przesiadkach – co sprawdził był nader dokładnie – mógł się dostać na Freiburgerstrasse^[64], na eksterytorialny teren konsulatu, gdzie byłby już bezpieczny.

Dotychczas jego noga nie postąpiła w tym miejscu. Jak długo tylko mógł, unikał kontaktu z pracownikami konsulatu polskiego. Po pierwsze, nie mógłby spojrzeć w twarz Piotrowi Kozubskiemu, po drugie – tak było bezpieczniej, bo schodził w ten sposób z oczu funkcjonariuszom niemieckiego kontrwywiadu, którzy zapewne nieustannie obserwowali polską placówkę. Jej szef konsul Bratkowski poinformował wszystkich

swych podwładnych o przybyciu nowego referenta, który – jak się wyraził – „wykonuje na razie w terenie swe co pilniejsze zadania”.

Tymczasem Edward, opracowawszy już plan ewentualnej ucieczki ze swego mieszkania, przystąpił do działań właściwych, czyli do realizacji drugiego punktu akcji „Gambit”. Punkt pierwszy, czyli śledzenie i przygotowanie kompromitacji Piotra Kozubskiego, oddał już w pociągu w ręce Zeisbergera.

Tego samego dnia, kiedy zapoznał się z możliwościami ewakuacyjnymi swej nowej kwatery, udał się piechotą do warsztatów kolejowych przy dworcu Wrocław-Odra[65]. Przeszedłszy ulice Reichthaler Strasse[66] i Niedergasse[67], wszedł na ubity żwirowy trakt, wiodący tuż obok torów kolejowych pośród hałd węgla i gryzącego dymu pełzającego między brudnymi budami i warsztatami. Zakład[68], nad którego bramą wisiał stary, nieaktualny pod nazewniczym względem szyld z napisem „Główne Królewskie Warsztaty Kolejowe”, nie był – ku radości Popielskiego – zbyt pilnie strzeżony.

Strażnik ledwo co spojrzał na ubranego w drelichowe robocze ubranie mężczyznę, jakich tu kręciło się wielu. Podejrzliwości cerbera nie wzbudził nawet nienaturalnie schludny wygląd wchodzącego i stan jego nowiutkiego drelichu bez śladu najmniejszych przybrudzeń.

Popielski znalazł się zatem na terenie zakładu bez żadnych problemów i udał się do stolarni w poszukiwaniu pracującego tam rzemieślnika o nazwisku Hans Büttner. Idąc alejkami oddzielającymi budynki warsztatów – wzniesione z czerwonej cegły, kryte papą, nad którą wznosiły się dymiące kominy – przypominał sobie wyuczoną na pamięć historię człowieka, którego zaraz tutaj spotka, taką przynajmniej miał nadzieję.

Ten był niemiecki kolejarz, pracujący niegdyś na trasie Szczecin–Stargard–Recz–Kalisz Pomorski–Wałcz–Piła został wraz ze swoimi dwoma

kolegami, Eginhardem Winklerem oraz Albertem Kotziniakiem, zwerbowany onegdaj przez Gestapo. Wszyscy trzej mieli za zadanie trzymać oczy szeroko otwarte i relacjonować swoim mocodawcom zdarzenia, które uznaliby na tej przygranicznej trasie za podejrzane.

I owszem, donosili, inkasując niewielkie kwoty, aż pewnego dnia wszystko się zmieniło. Kiedyś poinformowali o dwóch polskich młodzieńcach, którzy – zamknąwszy się w przedziale – ukradkiem analizowali dokładne szczegółowe mapy wyglądające na wojskowe. Zostali oni aresztowani na dworcu w Pile, po czym Büttnera za kilka dni powiadomiono, iż byli to niegroźni miłośnicy ornitologii. Za swoje doniesienie kolejarze ani nie dostali zapłaty, ani też nie usłyszeli słowa podziękowań.

Przełknęliby pewnie to lekceważenie, gdyby nie artykuł o polskich szpiegach udających ornitologów, jaki ukazał się wkrótce w pilskiej gazecie „Der Gesellige. Schneidemühler Zeitung”. Ujęcie ich roztrąbiono jako wielki sukces pilskiego Gestapo.

Büttner czuł się oszukany. Nie dość, że kto inny przypisał sobie jego zasługę, to jeszcze nie dał mu ani feniga! Kolejarz był wściekły i nie omieszkał swojej furii wykrzyczeć w piwiarni Paula Dreiera przy pilskim Neuer Markt[69].

Tam wielu słyszało jego złorzeczenia, wśród nich pewien agent Gestapo. Wkrótce zaproszono go na rozmowę do monumentalnego gmachu przy Danziger Platz[70], gdzie chłopcy z Gestapo złamali mu żebro i wybili dwa zęby.

Büttner, wypuszczony stamtąd z bolesnymi brakami na zdrowiu, znów się udał do piwiarni Dreiera i – pokazując swe rany – przechwalał się, że nie odwołał swych złorzeczeń wobec Gestapo, bo nic i nikt nie jest w stanie go złamać. Dawne kalumnie oraz obecne przechwałki wpadły w ucho

pewnemu agentowi Żychonia nazwiskiem Walenty Franka. Doniósł on o wszystkim ekspozyturze Dwójki w Bydgoszczy i od kapitana dostał odpowiedzialne zadanie. Miał wykorzystać odpowiednio rozgoryczenie kolejarza.

Franka, widząc, iż Büttner, wyznający skrajnie antypolskie stereotypy, na pewno się nie zgodzi na szpiegowanie dla znenawidzonego sąsiedniego kraju, postanowił – za sugestią Żychonia – udawać agenta Abwehry. Szybko wmówił Büttnerowi, iż jego agencja i Gestapo prowadzą skrytą wojnę i że wszelkie informacje, które Abwehra będzie mogła szybciej wykorzystać niż jej znenawidzony, choć rodzimy konkurent, są mile widziane i będą hojnie opłacane.

I tak przez dwa lata Büttner *et consortes* dostarczali Dwójce różnych informacji – o przeciętnej zresztą wartości – z dnia codziennego trasy Szczecin–Piła. Czuli się przy tym jak mściciele, bo byli w pełni przekonani, iż wspierają w ten sposób Abwehrę, konkurenta Gestapo.

Trwało to do momentu, gdy wszyscy trzej zostali przyłapani na sprzedaży biletów bez pokwitowań. Po przyznaniu się do winy wymierzono im karę dyscyplinarną, czyli przeniesiono ich do Wrocławia, gdzie zostali zdegradowani i przydzieleni do pracy w stolarni kolejowych zakładów naprawczych. Żychoń doszedł wtedy do wniosku, iż grupa Büttnera jest teraz znacznie mniej przydatna, a w dużym mieście może być skuteczniej inwigilowana. Na jego polecenie Franka „uśpił” swych podopiecznych.

Teraz nadszedł czas, aby ich „obudzić”.

Popielski wszystko to sobie przypominał, snując się po zabłoconych alejkach „królewskich zakładów”. Rozglądał się dokoła i szukał oczami szyldu albo wskazówki, która doprowadziłaby go do stolarni. W końcu ujrzął ją samą.

Wszedł tam i z przyjemnością wciągnął w nozdrza woń rżniętych desek. Ze znacznie mniejszym upodobaniem wyczuł też smród kleju stolarskiego, a w zalewie światła ze świetlików spostrzegł wszechobecną w powietrzu zawiesinę drzewnego pyłu.

Pracowało tu dziesięciu robotników. Produktem ich rąk były głównie drewniane kozły i podpory, na których następnie opierano elementy wyposażenia wagonów, a może i same wagony, aby je naprawiać od podwozia.

Jeden spośród mężczyzn, zaciekle teraz heblujących wielki drewniany słup, pasował do rysopisu Büttnera, przedstawionego Edwardowi przez Żychonia. Miał obrzękłą nieco twarz, a spod czapki wymykały się kosmyki czarnych włosów. Büttner miał być brunetem i mieć „mordę gorzelaną”, jak to subtelnie ujął Janio.

Popielski podszedł do niego.

– Przepraszam, szukam pana Kunerta.

– Tu taki nie pracuje – odparł mężczyzna.

„Źle trafiłem – pomyślał Edward – odpowiedź miała być całkiem inna”.

Rozejrzał się po pozostałych, którzy nie przerywając roboty, popatrywali na niego spod daszków czapek. Nakrycia głowy znacznie utrudniały mu określenie barwy ich włosów.

Zawrócił ku wyjściu. Kilka metrów dalej stał rząd metalowych szafek, w których robotnicy trzymali rzeczy osobiste. Ustawiono je w porządku alfabetycznym. Na drugiej z nich wypisano kulfonami nazwisko „Büttner”.

Edward zawrócił.

– Cześć pracy! – krzyknął do stolarzy. – Czy któryś z panów zna pana Kunerta?!

Niektórzy robotnicy przerwali swoją robotę, inni przy niej trwali. Wszyscy kręcili przecząco głowami.

– Trudno! – zawołał pytający. – On może w szlifierni siedzi. Tam go poszukam!

Wyszedł ze stolarni i udał się w to miejsce, które przed chwilą ogłosił jako swój cel.

Szlifiernia mieściła się przy równoległej alejce, tuż przy torach. Jeździły tędy teraz drezyny i żelazne wózki wiozące na swych platformach różne części wagonów i lokomotyw. Popielski palił papierosa i udawał, że się im uważnie przygląda.

Nad zakładem rozległ się ryk syreny.

„Dobrze – pomyślał – przerwa obiadowa”.

Za sobą usłyszał szuranie butów, śmiechy, przekleństwa i klaskanie w dłonie, co miało zapewne oznaczać próbę rozgrzania tułowia i górnych kończyn. Rzeczywiście, panował mróz wzmagany silnym wichrem.

Nagle poczuł, iż ktoś się do niego zbliża i staje za plecami.

– Pan Kunert bywa wieczorami u Reinholda Grzbieli –nieoczekiwanie szepnął mu ktoś do ucha. – On cię rozpozna.

Edward spojrział ostrożnie na oddalającego się wysokiego majstra z obrzękłą twarzą, który przed chwilą w stolarni udawał, iż nie zna nazwiska „Kunert”.

Teraz w myślach Popielskiego wskakiwały obok siebie elementy mozaiki.

– Pan Kunert bywa wieczorami...

I tu powinna paść nazwa lokalu.

I właśnie padła.

To był odzew.

* * *

RESTAURACJA REINHOLDA GRZBIELI znajdowała się bardzo blisko kolejowych zakładów naprawczych w kamienicy na rogu Mathiasstrasse[71] i Kospothstrasse[72]. Büttner rozpoznał mężczyznę ubranego w ten sam drelich, w którym przyszedł dzisiaj do stolarni. Długo rozmawiali, po czym Büttner pod stołem przyjął z radością od domniemanego funkcjonariusza Abwehry okazałą paczkę banknotów. Ostatnio marnie mu się wiodło, a życie we Wrocławiu z kilkusobową rodziną było znacznie droższe niż na pomorskiej prowincji.

Za tę sumę miał przygotować się do akcji specjalnej, a potem ją przeprowadzić. Wedle słów zleceniodawcy niedługo do zakładów naprawczych ma trafić prototyp salonki, która została przez Gestapo przystosowana do obserwacji jadących nią pasażerów i do fotografowania ich. Łysy pan chciał znać wszystkie szczegóły techniczne tego prototypu: gdzie będzie umieszczony aparat, czy będzie miał wężyk spustowy *et cetera*.

– O, to dla nas bułka z masłem. – Büttner roześmiał się i poklepał paczkę pieniędzy w kieszeni, po czym dodał z dumą: – Na pociągach się zna też świetnie mój brat, student Wyższej Szkoły Technicznej! On mi podpowie to i owo. Oczywiście słowa nie pisnę, dlaczego go o to pytam.

Za tę kwotę miał też wykonać jeszcze prostsze zadanie: przechować w swej szafce w stolarni zalakowany worek z jakąś korespondencją.

– I niech pan pamięta, panie Büttner, jeśli na pana trop wpadną nasi konkurenci z Gestapo, mogą udawać nas, Abwehrę. I zabiorą panu wszystkie pieniądze – powiedział Edward na koniec spotkania, wręczając mu karteczkę z wrocławskim numerem telefonu. – Jeśli coś pan zacznie podejrzewać, niech pan natychmiast dzwoni pod ten numer.

Büttner długo przyglądał się pięciu cyfrom, które tworzyły numer telefonu pani Kuschmider. Zapamiętawszy je, spalił notatkę.

Popielski był zachwycony. Zwłaszcza wzmianką o bracie.

Tego samego wieczoru w bydgoskim mieszkaniu Żychonia zaterkotał telefon i kapitan usłyszał głos Zeisbergera:

– Przed gambitem.

Był to zakamuflowany meldunek od Popielskiego: „Pozostał mi do zrobienia ostatni krok”.

Żychoń zaczął działać jeszcze tej samej nocy. Zatelefonował do Katowic, do mieszkania kapitana Kazimierza Szpąderskiego, szefa tamtejszej Ekspozytury Dwójki. Umówili się na rozmowę nazajutrz – poprzez bezpieczną, bo kontrolowaną przez zaufane telefonistki, linię.

Reszta spraw zaczęła do rana. Właśnie wtedy w pewnym berlińskim luksusowym mieszkaniu, zajmowanym przez ważnego agenta Żychonia, rozdzwonił się telefon. Mieszkający tu mężczyzna został postawiony na równe nogi. Wysłuchał rozkazu i podrapał się zafrasowany po zarośniętym policzku.

W gruncie rzeczy zadanie miał proste. Musiał – zamazując wszelkie ślady swojej komunikacyjnej aktywności – podrzucić na sam szczyt Abwehry albo blisko niego informację o treści: „Banda Czarnego Barta zamelinowana we Wrocławiu”.

* * *

NA KRYTYM BASENIE PRZY ZWINGERSTRASSE[73] TRENOWALI członkowie wrocławskiego klubu pływackiego. Często zachodzili tutaj studenci i niezrzeszeni miłośnicy sportów wodnych, by popływać i poskakać do wody z górnej platformy. Pojawiali się tutaj zwykle po południu. Natomiast o poranku mało kto tu bywał i trzy baseny na ogół świeciły pustkami.

Na jednego pływaka natomiast zawsze można było liczyć w dni nieparzyste. Był to kulturalny i wyniosły nieco dżentelmen w średnim wieku.

Pływał równo przez godzinę doskonałym technicznie crawllem. Nikt z obsługi nie wiedział dokładnie, kim jest ów pływak. Po jego schludnym ubraniu z wysokogatunkowej wełny oraz kulturalnym obejściu wnioskowano, iż jest jakimś wysokim urzędnikiem, który w poniedziałki, środy i piątki lubi odprężyć się przed pracą w basenie. Monosylaby, którymi odpowiadał na powitania i na próby zagadnięcia go przez ciekawską obsługę kąpielową, oraz monokl, zza którego rzucał chłodne spojrzenia, sprawiały, iż wielu tutaj uważało go za pysznego i niedostępnego.

Edward Popielski doskonale wiedział, kim jest ów pan i gdzie można go najczęściej spotkać. Zwyczaje kapitana Rainera von Hardenburga, szefa wrocławskiego posterunku Abwehry, były doskonale znane kapitanowi Żychoniowi.

Następnego dnia po zleceniu Büttnerowi wywiadowczej misji Edward zjawił się na krytej pływalni o godzinie ósmej rano, tuż po jej otwarciu. Zapłacił i wszedł na basen oznaczony numerem jeden, zwany też „basenem głównym” lub „akwenem Aegira” – od nordyckiego boga morza, którego rzeźba stała za podestem do skoków. Od razu ujrzał dwóch obecnych tu mężczyzn. Jeden z nich, bardzo wysoki i szczupły, przemierzał basen szybkim crawllem. Drugi nie pływał i nosił uniform szofera. Pełnił też z pewnością inne funkcje, bo rozglądał się wokół podejrzliwie, po czym jego wzrok znów wracał do pływaka. Był zapewne jego podwładnym, szoferem i gorylem jednocześnie.

Popielski przebrał się w szatni na dole – jednej z wielu zasłoniętych pofałdowanymi kotarami. Ubranie i cienką skórzaną teczkę zamknął

w drewnianej szafce z ukośnymi deszczułkami, a klucz oddał kąpielowemu. Czując na sobie baczne spojrzenie szofera i ochroniarza, spryskał się wodą pod prysznicem i wszedł po kręconych schodach na podest. Stał tak przez chwilę na tle Aegira oraz trapezów układających się w półkole nad rzeźbą. Lubił wodę i pływanie, ale nie był akrobatą – skok na główkę z wysokości dobrych sześciu metrów to było wielkie ryzyko, grożące poważnymi obrażeniami.

Skoczył zatem na nogi. Woda zamknęła mu się nad głową, a wokół jego ciała pojawiły się bąble powietrza. Ogarnęło go przyjemne uczucie nierzeczywistości, gdy obrazy są nieostre, a dźwięki przytłumione.

Wynurzył się i szybko poruszył głową w prawo i lewo, jakby miał gęstą fryzurę, z której należy strząsnąć wodę. Szybkim ruchem wpłynął na tor, wykorzystywany przez Rainera von Hardenburga.

Ten, widząc przeszkodę, zatrzymał się nagle. Szofer na górnej galerii rzucił się do barierki i włożył rękę za pazuchę.

– Wiem, kim pan jest – powiedział Edward. – A pan wie, kim ja jestem. Przejdźmy zatem do rzeczy.

Mężczyzna machnął uspokajająco ręką do ochroniarza.

– Jest pan „ciepłym bratem”? – zapytał arogancko, używając określenia na homoseksualistę. – Oni się spotykają gdzie indziej.

– Niedługo mnie zidentyfikują pańscy ludzie, obserwujący polski konsulat. – Popielski otarł otwartą dłońią wodę z głowy. – Ale już teraz się panu przedstawię, zanim oni to zrobią. Jestem Edward Popielski, równy panu stopniem agent polskiego wywiadu, człowiek kapitana Żychonia...

– Nie znam – odparł von Hardenburg, kręcąc głową. – Może mnie pan przepuścić? Chciałbym jeszcze popływać...

Edward odpłynął na metr.

– Czekam na pana w przebieralni, kapitanie von Hardeburg. Chciałbym panu pokazać interesujące zdjęcia Aloisa Grundmanna... – zawiesił głos. – Myślę, że nie pożałuje pan, straciwszy kilka minut relaksu przed służbą.

Podpłynął do drabinki i wspiął się na nią. Wiedział, że stanowi teraz dość żałosny widok w opuszczonych, oblepiających mu uda białych gaciach. Był to jednak na pływalni strój obowiązkowy, podyktowany dbałością o higienę. Brud rozmaitego pochodzenia stawał się bowiem dobrze widoczny na białym tle i obsługa, widząc go, miała prawo nie wpuścić brudasa do środka.

Edward z ulgą przyjął od kąpielowego wielki biały ręcznik i owinał nim biodra. Nie patrząc na von Hardenburga i na jego goryla, udał się do swojej kabiny i usiadł tam na ławce, nie zasunąwszy kotary.

Czekał kilka dobrych minut, zanim usłyszał charakterystyczne człapanie. Kapitan von Hardenburg, również owinięty ręcznikiem, wszedł do środka, a ochroniarz zasunął zasłonę, upewniwszy się pierwiej, że okoliczne kabiny do przebierania są puste.

Popielski wyjął z teczki dużą fotograficzną odbitkę, na której siedział wraz z Grundmannem w kącie sali gospody Zirkera, niedaleko rzeźni miejskiej.

– Dałem się wykorzystać tej kanalii – powiedział. – Alois Grundmann udawał agenta naszego wywiadu, tymczasem ten SS-Hauptsturmführer był szefem wrocławskiego SD, o czym nie wiedzieliśmy. Miał mi rzekomo pomóc wydobyć pewne ważne dokumenty od niejakiego Hermanna Laskiera, świętej pamięci Hermanna Laskiera. Jego dokumentami zainteresowana była Dwójka. Zna pan to nazwisko?

– Znam wiele nazwisk – odparł von Hardenburg. – I równie wielu nie znam.

– Mam mówić dalej? – Popielski podniósł głos, udając rozzłoszczonego.

– Jeśli już przerwałem sobie pływanie... – Mężczyzna wcisnął w oko monokl. – To chciałbym wiedzieć, dlaczego zmarnowałem czas.

– Grundmann zabił Laskiera, ale nie to jest dla mnie ważne, jakie dokumenty miał ten stary Żyd...

– Nie jest to dla pana ważne, jakie dokumenty miał ten Laskier? – przerwał mu von Hardenburg. – Czyż nie jest pan funkcjonariuszem Dwójki? Wszak przedstawił się pan jako „człowiek Żychonia”...

– A pan powiedział, że pierwszy raz słyszy to nazwisko. Nie udawajmy, kapitanie von Hardenburg. Ja wiem, kim pan jest, pan wie, kim ja jestem. Przejdźmy zatem do rzeczy! – powtórzył Popielski.

– Czyż nie przeszliśmy? – Uśmiechnął się Niemiec.

Edward zrobił smutną minę.

– Zakochałem się – szepnął.

Szef wrocławskiej Abwehry roześmiał się głośno i wskazał palcem na fotografię.

– No cóż... Nieważna jest płeć, ważne uczucie. Bardzo romantyczne zdjęcie.

Edward nie zamierzał wdawać się w przepychankę słowną z żartownisiem.

– Zakochałem się w Aurelii Teichert, przyjaciółce owego Laskiera, a można by nawet rzec: „kochance”. Z tym, że jego kochanką była w sensie platonicznym, moją zaś w sensie jak najbardziej dosłownym.

Udał, że pociera oczy, do których napływają mu łzy.

– Straciłem ją w wyniku działania tego prymitywa i brutala. – Wskazał brodą na fotografię. – Zniknęła, a Grundmann na pewno coś wie o tym

zaginięciu. Być może wie, gdzie ona jest, jeśli w ogóle żyje...

Urwał, bo głos mu się załamał. Gry aktorskiej było już w tym niewiele.

– To ciekawe, co pan mówi – mruknął von Hardenburg i dodał współczującym tonem: – Rzeczywiście, chyba silne uczucia dochodzą u pana do głosu, bo wszystko to nader chaotyczne. Mógłby pan zacząć *ab ovo*?^[74] Po pierwsze, jak się pan nazywa, bo zapomniałem... I kim pan w ogóle jest i co pan tu robi w moim mieście?

Edward opowiedział mu o dokumentach Laskiera, które przypadkiem znalazły się w biurku antykwariusza i które polska Dwójka chciała wydobyć od niego i od jego przyjaciółki. O tajnej, zakończonej niepowodzeniem misji, o swojej szalonej miłości do Aurelii i o utracie dokumentów Laskiera. O oszustwie, jakiego padł ofiarą, dokonanego przez Aloisa Grundmanna oraz współpracującego z nim Henryka Zwolickiego, urzędnika polskiego konsulatu.

– Oszukali mnie wszyscy – dobitnie podsumował swoją wypowiedź. – Aurelia zniknęła, ale wcześniej ktoś ją zmusił, może Zwolicki, do napisania o mnie oszczerczego dokumentu, jakobym był agentem niemieckiego wywiadu. Owe oskarżenia są niby potwierdzone przez to zdjęcie. Zniknął sam Zwolicki, który mnie wrobił we współpracę z Grundmannem i pewnie jest autorem tej fotografii. Tak się zakończyła moja wrocławska misja...

Zawiesił głos i spojrzał ze złością na swego rozmówcę, jakby się z jego strony spodziewał kolejnego szyderstwa.

– Dostałem od naszych ultimatum. Mam się oczyścić z zarzutów i wrócić do Polski. Gdybym chciał się wykręcić i przejść na waszą stronę, to coś złego spotka moją rodzinę. – Wstał i krzyknął: – Ale ja o to nie dbam! Nie wierzę w ich groźby! Nic złego nie zrobią mojej córce. Ja chcę tylko jednego: odzyskać Aurelię. I pan mi w tym pomoże, von Hardenburg! Powie mi pan, czy ona żyje i gdzie przebywa!

Kapitan wyjął z oka i przetarł ręcznikiem zaparowany monokl.

– Jakby mnie pan do tego zachęcił, Popielski, bo nie powiem „zmusił”?

– Zakochałem się – powtórzył Edward. – I dla Aurelii zrobię wszystko.

Przekażę panu ważne informacje o pewnym pracowniku konsulatu. Dzięki nim zrobi pan z niego swojego agenta. Będzie pan miał u nas wtyczkę ...

Rzadkawe włosy Rainera von Hardenburga całkiem już wyschły. Jego pociągła, gładko ogolona twarz miała w sobie teraz spokój i arystokratyczne dostojeństwo. Jedynie małe odstające uszy mocno się zaczerwieniły, co było niejednoznaczne – mogło świadczyć albo o wzburzeniu, albo o rozbawieniu.

– Już na samym początku stracił pan szansę, Popielski. A wie pan, w którym momencie? Kiedy przyznał się pan, iż jest człowiekiem Żychonia. My z ludźmi Żychonia nie rozmawiamy, nie negocjujemy.

Pochylił się ku Polakowi.

– My ich kładziemy pod topór.

* * *

TEGO DNIA RAINER VON HARDENBURG DŁUGO ROZMAWIAŁ przez telefon z szefem Abwehry kontradmirałem Wilhelmem Canarisem.

W polskiej Dwójce również zostały tego dnia nawiązane różne kontakty i wydane różne rozkazy.

Kapitan Jan Henryk Żychoń dostał z Wrocławia bardzo krótki meldunek: „Gambit zaproponowany”.

Jego kolega z Katowic kapitan Kazimierz Szpąderski wysłał natomiast zaszyfrowaną depeszę do Szczęsnego Choynackiego, referenta wydziału paszportowo-wizowego. Agent Artur, bo pod takim pseudonimem widniał on w ewidencji Dwójki, odszyfrował i przeczytał: „Ściśle tajne. Młodszy brat Czarnego Barta rozpoczął studia we wrocławskiej Wyższej

Szkole Technicznej. Niedługo podamy to nazwisko. Dotrzeć do niego i wydobyć wszelkie informacje o Czarnym Barcie. Kontakt ze studentem powierzyć tylko komuś z konsulatu”.

Pan Szczęsny Choynacki znał sprawę Czarnego Barta. Był to chyba zniemczony Polak z Torunia, agent Dwójki, który dopuścił się zbrodni. Wraz ze swymi dwoma kompanami porzucił pracę wywiadowczą, napadał na pociągi kursujące na Pomorzu i grabił podróźnych. Przyjął swój osobliwy pseudonim od pewnego bandyty z Dzikiego Zachodu, który łupił dyliżanse. W czasie jednego z napadów na pociąg zginęło małe niemieckie dziecko. Czarny Bart zapadł się pod ziemię i stał się wrogiem publicznym numer jeden, poszukiwanym zarówno przez Niemców, jak i przez Polaków. Ci pierwsi chcieli pokazać światu, jakich to bandytów wypuszcza Dwójka spod swoich skrzydeł, ci drudzy – raz na zawsze zatrzeć po nich ślad. Tyle o nim wiedział Choynacki.

„Powierzyć tylko komuś z konsulatu” – brzmiał rozkaz Szpądrońskiego.

Urzędnik długo się nie zastanawiał. Wśród nich był tylko jeden człowiek, który miał dobre i stałe kontakty ze studentami. Nazywał się Piotr Kozubski.

[59] Szczęśliwej podróży, panie kierowniku działu! (niem.).

[60] Żmigród (niem.).

[61] Obecnie ul. Reja.

[62] Obecnie ul. Górnickiego.

[63] Obecnie park Stanisława Tołpy.

[64] Obecnie ul. Świebodzka.

[65] Obecnie stacja Wrocław-Nadodrze.

[66] Obecnie ul. Rychtalska.

[67] Obecnie ul. Dolna.

[68] Dawne Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego.

[69] Obecnie pl. Zyciństwa.

[70] Obecnie pl. Staszica.

[71] Obecnie ul. Jedności Narodowej.

[72] Obecnie ul. Daszyńskiego.

[73] Obecnie ul. Teatralna.

[74] Od początku, dosł.: od jajka (łac.). Rzymianie zaczęli ucztę od jajek.

SŁYNNNE ZAKŁADY WŁÓKIENNICZE W ŻYRARDOWIE bankrutowały od lat i od lat ich właściciel hrabia Adam Branicki tonął w długach. Od końca lat dwudziestych prowadził tajne negocjacje z czynnikami rządowymi na temat sprzedaży Skarbowi Państwa tej rodzinnej firmy, niegdysiejszej perły w koronie. Niestety wówczas ani Branicki, ani negocjatorzy państwowi nie chcieli się „spotkać w połowie drogi” i gotowi byli pójść na niewielkie tylko ustępstwa. Rozmowy się ślimaczyły, a wytwarzanie pościeli, bielizny, serwetek, pończoch oraz tak zwanych ubrań gotowych mocno się opóźniało. Chłopi przywożący słomę lnianą wściekali się, czekając tygodniami na swoją należność, a kontrahenci szukali bardziej terminowych producentów. Dopiero w roku trzydziestym czwartym hrabia Branicki, przyciśnięty do muru strajkami w fabryce, zaakceptował proponowane mu warunki i sprzedał zakłady państwu polskiemu.

Przez jakiś jeszcze czas zarządzał nimi dyrektor z dawnego zarządu pan André Boussac, przedstawiciel udziałowca, francuskiego potentata przemysłu włókienniczego Comptoir de l’Industrie Cotonnière.

Francuz był melomanem, bywalcem Filharmonii Warszawskiej i dobrym znajomym kapitana Edmunda Pilichowskiego. Bez najmniejszych oporów i za niewielką opłatą zgodził się wynająć mu jedno z podziemnych pomieszczeń magazynowych. Dobroduszny Francuz ani przez chwilę się nie zainteresował, dlaczego jego *cher ami Edmond* płaci mu w gotówce i dlaczego prosi, aby dochód za wynajem zaksięgować tak, by w dokumentach nie było wzmianki ani o Pilichowskim, ani o żadnej agencji

rządowej. W głębi ducha Boussac przypuszczał, iż kapitan kompozytor używa tego miejsca do wyszukanych erotycznych rozrywek wśród łańcuchów i ceglanych ścian.

Gdyby Francuz wszedł teraz do pomieszczenia magazynowego, to zrozumiałby, iż jego erotyczne podejrzania wobec Pilichowskiego są nietrafne.

Ten bowiem nie tylko nie korzystał z wdzięków Aurelii Teichert, ale to, co teraz robił, było zupełnie niezgodne ze zwierzęcą naturą człowieka. Obydwoje rozmawiali bowiem o arcyłudzkiej działalności – o muzyce.

– Tak, ma pani rację – mówił w zamyśleniu kapitan. – Dobrze to pani ujęła. Tematy kompozycji to jakby osoby dramatu. Walczą ze sobą, kochają się, łączą, nienawidzą...

Urwał i czekał. Był ciekaw, jakie wrażenie robią na kobiecie jego wywody muzykologiczne. Interesowało go to z dwóch powodów. Chciał być przez nią uznany za subtelного intelektualistę, ale było coś ważniejszego – on chciał wreszcie poczuć jej podziw dla swojej osoby. I to nie za kompozycje, które i tak uważał za genialne, lecz za osiągnięcie ważnego celu delikatnymi na pozór działaniami, jakimi były rozmowy z panią Aurelią o sztuce. Niczego bardziej teraz nie pragnął, niż poczuć w końcu dumę z samego siebie z powodu zakończenia tej symfonii negocjacji mocnym, właściwym akordem; za zamknięcie raz na zawsze kompozycji zwanej „nieszczęsną akcją wrocławską”. Chciał poczuć samozachwyty, że w końcu zmiękczył opór tej kobiety i dowiedział się, czy szwajcarski notariusz istnieje i czy w dokumentach Laskiera był jego, Pilichowskiego, rytmiczny podpis.

Stan zawieszenia, w którym oboje tkwili, stawał się powoli nie do zniesienia. Trzymał jednak nerwy na wodzy. Nie chciał jej bić

ani torturować. To byłoby niegodne mężczyzny, stanowiłoby przyznanie się do słabości.

Wciąż wypróbowywał zatem inny sposób – poprzez rozmowy o muzyce chciał przypomnieć Aurelii o jej dawnym życiu i sprawić, by poczuła wstręt do obecnego.

Dzisiaj do celi kobiety przyniósł mały walizkowy patefon. Postawił go na ziemi i pokręcił korbką. Obok położył kilka szelakowych płyt. Żadnej z nich jednak nie puścił. Żadna muzyka się w celi nie rozległa. Za to zaczął pięknie i górnolotnie mówić o muzycznych kompozycjach.

Ona z radosnym udręczeniem dała się porwać rozmowie i porównywała symfonie i koncerty do poematów. Trwało to dobre dwa kwadransy.

Aurelia przez ten czas nie spuszczała płyt z oczu. Czuła się jak wygłodniały człowiek, któremu pokazują przez szybę ulubioną potrawę.

W ciągu wielu następujących po sobie dni i nocy, które tu spędziła – już straciła zresztą ich rachubę – ulegała powolnemu odczłowieczeniu, nieubłaganej redukcji do zwykłej przedstawicielki fauny. Jadła nędzne potrawy, wciąż ten sam biały gęsty barszcz, zwany zalewajką, i ziemniaki – na śniadanie, obiad i kolację. Spała bardzo dużo otulona łachmanami udającymi pościel i korzystała z wiadra, którego smród przypominał jej z daleka o jej zwierzęcej konstytucji. Jeszcze na początku próbowała odtwarzać sobie w głowie kompozycje fortepianowe, jednak po jakimś czasie – gdy popadła w stan szczególnego przygnębienia – porzuciła nawet i te muzyczne fantazje. Przestała wygrywać na cegłach sonaty oraz etiudy i pogrążyła się w odrętwieniu i w beznadziei. Całymi godzinami siedziała na pryczy i powtarzała w myślach każdą frazę polsko-francuskiej umowy o podziale zysków na Górnym Śląsku oraz zobowiązanie hrabiego Lamberta do współpracy z Sicherheitsdienst.

Czuła się tak, jakby siedziała pod jakimś kloszem, który ją jednocześnie chroni i dławi dusznym, nieruchomym powietrzem.

To uczucie nazywa się apatią. Pokarm przełykała nieśpiesznie, poruszała się jak mucha w smole. Cedziła słowa powoli, gdy przychodził jej dręczyciel, by rozmawiać o muzyce, albo Zwolicki. Ten ostatni czasami, aby się obnażyć.

Zachowanie to uzasadniałoby podejrzenia Francuza co do erotycznego przeznaczenia piwnicy.

– Schowaj ten patyczek – sylabizowała drwiąco, gdy jej strażnik po opróżnieniu wiadra stawał przed nią co jakiś czas ze spuszczonej spodniami. – Schowaj tę śmiesznośćkę.

Henryk, smagany pogardliwymi słowy, uciekał w kąt celi i wołał dziecięcym głosem:

– Mamo, mammo! Ja już nie będę tego robił! Nie będę bawił się ptaszkiem!

Nic szczególnego się później nie działo. Zwolicki nie zaspokajał swej żądzy, wciągał wstydlawie spodnie i uśmiechał się do niej nieśmiało. Tę dziwną grę zawsze kończył tak samo.

– Jestem dżentelmenem, droga pani – mówił. – Będę do pani dyspozycji, ale tylko wtedy, gdy sama pani o to poprosi.

Jak dotąd o nic nie prosiła cerbera i nawet te głupie ekscesy całkiem jest spowszedniały. Wiedziała, że po apatii i po odrętwieniu nadejdzie coś, czego się bała najbardziej – śmierć nadziei. A zaraz po niej sinusoida, góry i doliny ciężkiej rozpacz i niszczycielskiej furii.

Ale to jeszcze nie teraz. Dzisiaj patefon, który przyniósł potężny posturą mężczyzna w garniturze, uświadomił jej, że wciąż jest człowiekiem, artystką, pianistką. Ta mała walizka firmy Monochord oderwała jej myśli od bieżących potrzeb – ciepłych, śmierdzących

i wilgotnych – oraz przeniosła w spokój lodowych gór, gdzie rozbrzmiewają chóry Wagnera i mieszka Nietzscheński nadczłowiek.

Za wysłuchanie płyty, a nawet kilku akordów była gotowa zrobić wszystko oprócz jednego – nie chciała umrzeć, a to na pewno by się stało, gdyby wyrecytowała tych dziesięć zapamiętanych przez siebie stronic.

Pilichowski wstał, ukucnął przy patefonie i położył płytę pod igłą, a potem się wyprostował. Wskazywał palcem ku sufitowi, jakby mówił: „Z nieba zaraz popłynie boska muzyka!”.

I popłynęła. O ceglane mury celi uderzyły chór i ostre cięcia smyczków. „*Kyrie elejson*” – powtarzał w żarliwej nadziei chór w drugiej części *Requiem* Mozarta.

Agent Cyceron ukłęknął. W jej imaginacji jego zwykle czerwona twarz nabrała teraz szlachetnej bladości, nos się zwęził, a kwadratowy podbródek stał się łagodnie owalny. Oczy błyszczały ciepło i kusząco.

– Pojutrze możesz siedzieć w La Scali i słuchać najwybitniejszych chórów świata – szepnął. – Tylko mi powiedz wszystko, wyrecytuj, moja piękna!

Pokręciła przecząco głową i zaczęła płakać. Pilichowski wyłączył patefon.

Wstał i schował go do walizki. Wziął w dłoń uchwyt i poszedł ku drzwiom. Tam się odwrócił i rzucił jakby od niechcenia:

– Śmierdzisz. – Jego twarz znów stała się czerwona i ordynarna. – Jak zwierzę, siedzące we własnym gnoju. A wiadra z wodą nie dostaniesz, trzeba oszczędzać życiodajny płyn.

Wyszedł. Trzasnęła zasuwa z zewnątrz.

Kiedy zapadła cisza, Aurelia zaczęła recytować. Potem jeszcze raz. I dwa. Nie pomyliła się. Wszystko dobrze pamiętała.

Uklękła przy pryczy, wyjęła ołówek i kilka cienkich jednostronnie zapisanych kartek maszynowych, które służyły jej za papier toaletowy. Przebijając tu i ówdzie kartkę, uwieczniła swoją recytację.

A potem napisała jeszcze list. Jego adresatem był Herbert Reiterer. Pierwsze słowa na kartce były wyznaniem, a następne prośbą: „Kocham Pana! Zakładam, że jest Pan po stronie Polaków. Wiem, że jest Pan jedynym, do którego w mojej niedoli mogę rozpaczliwie zawołać: Pomóż mi!”.

* * *

TAJEMNICĄ PAŃSTWOWĄ, ZA KTÓREJ UJAWNIENIE groziły surowe konsekwencje, było objęcie przez kontradmirała Wilhelma Canarisa stanowiska szefa Abwehry. Stało się to krótko przed rozpoczęciem przez Popielskiego „akcji wrocławskiej”, czyli drugiego dnia stycznia trzydziestego piątego roku. Wtedy to niewysoki, szczupły czterdziestoosmioletni pan, siwy jak gołąb i wyglądający znacznie starzej, niż wskazywałaby jego metryka, wszedł po raz pierwszy jako szef wywiadu do masywnego gmachu przy berlińskim Tirpitzufer 76/78.

To właśnie tutaj, nad kanałem Szprewy i nieopodal parku Tiergarten, mieściła się najpierw siedziba admiralicji Cesarskiej Marynarki Wojennej, potem dowództwa okrojonej armii i marynarki Republiki Weimarskiej, a w końcu została tu po cichu ulokowana centrala wywiadu wojskowego.

Stanowisko, które przypadło Canarisowi, było spełnieniem jego marzeń. Codziennie, gdy wchodził do tego potężnego pięciopiętrowego i zbudowanego z granitu w stylu neoklasycznym budynku, nie mógł się nacieszyć, że już nie zjawia się tutaj jako oficer marynarki, w której służył trzydzieści lat – licząc od wstąpienia do Cesarskiej Szkoły Kadetów

w Kilonii. Że nie musi już pokornie pukać do pokoju swych kolejnych dowódców, którzy go wzywali i wydawali rozkazy.

Teraz już wstępował tutaj dumnym krokiem jako szef tajnej służby wywiadowczej jednego z najpotężniejszych państw Europy. Wreszcie nie musiał się wspinać – wobec dużej zwykle grupy chętnych do jazdy windą – po monumentalnych schodach na ostatnie piętro, do gabinetu komandora Conrada Patziga, poprzedniego szefa Abwehry.

Na ostatnie piętro wjeżdżał tym razem już od wejścia poprzedzany przez portiera, który przepychał się przez grupkę oczekujących na obie windy i otwierał mu drzwi którejs z nich. Dawny gabinet Patziga stał się jego własnym.

Canarisowi podobało się skromne umeblowanie. Nic tu zmieniał. Siedział teraz za wielkim biurkiem na środku i patrzył z lekkim uśmiechem na szefa wrocławskiej Abwehry Rainera von Hardenburga.

– Ciekawe – rzekł, lekko sepleniąc. – Ciekawe, co pan mówi, kapitanie. Tak, tak... Zreferowano mi dokładnie sprawę tego Popielskiego. Wydaje się, że Polak nie kłamie. Przecież wiemy obaj, że Grundmann zniknął z pola widzenia. Gdyby nasze działania były jawne, powiedzielibyśmy, że wyleciał z hukiem ze stanowiska. Ale my, ludzie tajnych służb, nie lubimy huku, my działamy w ciszy i w cieniu.

Von Hardenburg w tonie głosu Canarisa, gdy ten mówił o dymisji szefa Odcinka Południowo-Wschodniego Sicherheitsdienst, usłyszał nutę radości.

Kontradmirał rzeczywiście nie mógł jej pohamować. Choć oficjalnie głosił wolę ścisłej współpracy z Gestapo i z SD oraz wielki podziw i szacunek do tych agencji, to wielu wiedziało – a zaliczał się do nich von Hardenburg – iż kontradmirał nie znosi gwałtownego i okrutnego postępowania, a nade wszystko tortur, jakie były w stałym repertuarze zbirów z tychże tajnych służb. Ów delikatny w obejściu człowiek, którego

pewien złośliwy portier nazwał „sepleniącym pedałem”, nie przepadał osobiście za szefem SD Reinhardem Heydrichem. Wielu wiedziało, iż ta obustronna niechęć bierze się jeszcze z początków lat dwudziestych, gdy ten służył pod Canarisem na krążowniku „Berlin”.

– Grundmann zniknął, ale my, w odróżnieniu od Polaków, wiemy, że teraz nosi sombrero – ciągnął szef. – Popielski tego nie wie i sądzi, że on przetrzymuje gdzieś jego ukochaną. I chce go dopaść za wszelką cenę. Co ważniejsze, Polakowi grunt się pali pod nogami. Dwójka podejrzewa, iż jest naszym agentem, bo Grundmann zrobił sobie z nim zdjęcie. Człowiek Grundmanna, ten Zwolicki, który zorganizował sesję fotograficzną w knajpie, rozpląnął się jak para wodna. A Popielski – choć o tym marzy – nie może go wziąć za twarz i zmusić, by odwołał oczerniające zeznania. Co? Dziwi się pan, że tak dokładnie opisuję stan ducha Popielskiego? Że tak dobrze go znam?

Poklepał cienką teczkę, leżącą na biurku.

– Sprawdziliśmy go tak dokładnie, jak się dało w ciągu tych kilku dni. To policjant ze Lwowa. Znany tam szeroko ze swojej skuteczności i zdecydowanych metod prowadzenia śledztwa. Wynajmowany raz na jakiś czas przez polskie tajne służby do zadań specjalnych. Przydałby się nam taki człowiek w mieście, gdzie działają nasi ukraińscy sprzymierzeńcy i wielu z nich Dwójka czyni podwójnymi agentami.

Wrocławianin nie mógł się nadziwić energii, jaką tryskał jego szef. Widział go raz pierwszy, ale słyszał, że Canaris jest niemrawy, ospały, zdaniem wielu źle zorganizowany, czym kontrastuje ze swoim poprzednikiem komandorem Patzigiem, który był precyzyjny jak linijka i wybuchowy jak wulkan.

– Tak, von Hardenburg, wokół tego Polaka zaciska się sieć. Rzeczywiście, ma piętnastoletnią córkę, którą wychowuje wraz ze swoją

przyjaciółką, niby-kuzynką. Jest teraz w kropce. Dwójka, a zwłaszcza ten wściekły pies Żychoń, może się mścić na Popielskim, może uwięzić jego kobiety, choćby jako zakładniczki w areszcie domowym. Tym bardziej że jak donoszą nasi ludzie z Bydgoszczy, obaj panowie nie przepadają za sobą. Niedawno się pobili w kasynie oficerskim.

Umilkł. Von Hardenburg nie mógł pohamować zdumienia. Rozmyślał, przenosząc wzrok z wysokiego sufitu na solidne podwójne drzwi.

– Niezwykłe jest to – powiedział w końcu – że ci Polacy, funkcjonariusze tajnych służb rządowych, tyle piją. Że dwaj oficerowie biorą się za łby na oczach miasta. To może być jakaś inscenizacja, panie kontradmirał. Może oni chcą nas wprowadzić w błąd...

Canaris ściszył głos – jak zawsze, gdy mówił nieoficjalnie i w zaufaniu.

– Pan ich nie zna, kapitanie. Nadmiar alkoholu nie przeszkadza im w pracy. Ci ludzie potrafią wypić wiadro wódki i nie zdradzić żadnej istotnej informacji. Choć pijani, to pary z ust nie puszcza. Żychoń słynie z mocnej głowy i ten swój talent często wykorzystywał, upijając i „odwracając” naszych agentów. Ale bywa też awanturnikiem, nielubianym przez swoich kolegów. Wróble na warszawskim placu Saskim ćwierkają, że przy wódce szybko przechodzi na ty i równie szybko zamienia się w boksera. Od ściany do ściany, od emocji pięknej do gwałtu i zniszczenia. Tacy są ci Polacy i tak najpewniej było i w tym kasynie, bo tam z owym łysem panem wypił bruderszaft. Dziękuję za czujność, ale nie podejrzewałbym ich o udawanie, o taką subtelną rozgrywkę, rozumiemy się, von Hardenburg?

– Tak jest, panie kontradmirał!

– Daję panu wolną rękę. – Canaris wstał, pokazując, iż audiencja jest zakończona. – Przystępuje pan do ważnej rozgrywki. Nasz agent we Lwowie to gra warta świeczki. Ale musi on drogo zapłacić za swoje

bezpieczeństwo. Zwerbowanie tego człowieka z konsulatu to bardzo niewygórowana cena. Chyba że ów człowiek ma jakieś naprawdę ciekawe wiadomości. Jakiegoś asa w rękawie

– Tu nie chodzi przecież tylko o jego bezpieczeństwo, panie kontradmirał! – Von Hardenburg nie zamierzał się jeszcze żegnać. – A ta jego miłość? Czy jesteśmy w stanie znaleźć tę kobietę? Przecież on przede wszystkim jej pragnie! Bez gwarancji w sprawie pani Aurelii Teichert to nawet palcem nie kiwnie!

Canaris podał rękę podwładnemu.

– Nie wierzę w tę jego miłość – powiedział. – Z tego, co o nim wiemy, jest nader kochliwy. Zwłaszcza często miłuje prostytutki, które bierze po dwie i udaje się z nimi w erotyczne eskapady luksusową salonką. – Uśmiechnął się. – Najpierw mi pan powie, kapitanie, co on właściwie ma nam do zaoferowania. Jeśli to coś będzie cenne, osobiście dopilnuję, by nasi ludzie wyciągnęli z mysiej dziury tę jego piękną Ormiankę. No, żegnam już pana, kapitanie!

* * *

ZWOLICKI WSZEDŁ DO CELI AURELII i stanął na jej środku. Powoli rozpiął pasek spodni.

– Niech pan poczeka – powiedziała szybko Aurelia. – Mam panu coś ważnego do powiedzenia!

Henryk patrzył na nią nieufnie. Wyglądał groteskowo w spodniach pumpach i w kraciastych podkolanówkach wychodzących z zamykanych na klamerki półbutów. Okrągły duży kołnierz był rozpięty i wyłożony na marynarkę. Gdyby nie szpakowate włosy i zmarszczki wokół oczu, to ten szczupły i niewysoki mężczyzna wyglądałby jak gimnazjalista lub student na pikniku.

Wiedziała, bo sam się jej zwierzył, iż w tym stroju odgrywa dawną sytuację – gdy wiele lat temu na wycieczce w Górach Kocich oddawał się w zaroślach grzechowi Onana i został na nim przyłapany przez matkę. Zapłacił zań dotkliwą chłostą.

– Uratowałeś mnie, Heniu, przed hitlerowskimi siepaczami – powiedziała Aurelia łagodnie – i choć oddałeś w ręce dręczyciela, to jednak dzięki tobie żyję. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Oparła się na łokciach na pryczy i odrzuciła włosy do tyłu. Wiedziała, że jest żalosna – z brudnymi, sklejonymi strąkami, których kontakt z wiadrem, wypełnionym zimną wodą, jej kat uczynił jak najrzadszym, by ją odczłowieczyć.

Zwolicki zareagował jednak na ten śmieszny uwodzicielski gest. Dotknął swego przyrodzenia i oblizał wargi.

– Być może niedługo umrę, Heniu. Możesz mnie uratować, wypuszczając stąd!

Umilkła. Z twarzy Zwolickiego zniknęło pożądanie. Zastąpiły je strach, niepewność, a nawet złość.

– Tak tylko próbowałam – dodała szybko. – Jesteś wierny swojemu pryncypałowi i nie wypuścisz mnie stąd, wiem. Ale wszystko może się zmienić. On mnie w końcu zabije, a wtedy ty już nie będziesz mu potrzebny. I znikniesz. I już nigdy nie zobaczysz swojej mamy.

Henryk przestępował z nogi na nogę. Aurelia sięgnęła pod siennik i wyciągnęła stamtąd zapisane przez siebie kartki.

– Jeśli oddasz swojemu szefowi ten list, który jest wiernym odbiciem autentycznych dokumentów... wtedy umrę – szeptała. – To jest mój wyrok śmierci. Masz mój los w swoich rękach. Widzisz, jak ci ufam? – Uśmiechnęła się. – Ale po mnie, od razu po mnie, umrzesz ty! I już nigdy,

powtarzam, nigdy nie zobaczysz się z mamą. Jeśli zaś nie oddasz mu tego listu i schowasz go gdzieś głęboko...

Potrząsnęła głową, jakby się zastanawiając, czy dalej ma mówić. Jej czarne oczy płonęły. Po policzkach toczyły się wolno łzy.

– Będziesz miał nad nim władzę, Heniu, rozumiesz? Będziesz panem sytuacji.

Zaczęła drżeć i szlochać.

– Tam jest też list do tego pana... – załkała. – Do Herberta Reiterera. List miłosny. Ostatnie pożegnanie. Oddaj mu go, proszę.

Opanowała się. Teraz jej słowa brzmiały rzeczowo i sucho.

– To wszystko jest dla ciebie polisą ubezpieczeniową. Jeśli twój pryncypał przegra i zostanie aresztowany przez polski wywiad, to natychmiast oddaj ten list panu Reitererowi albo jego szefom. W ten sposób częściowo odkupisz winy, dostaniesz może kilka lat więzienia, lecz nie staniesz przed plutonem egzekucyjnym. Twoje dobrowolne oddanie listu będzie gestem przeprosin, pokajania się przed nimi, przyznaniem się do błędu i jednocześnie wykazaniem winy tego upiornego muzyka sadysty, rozumiesz, Heniu?

Zwolicki wziął od niej kilka cienkich kartek maszynowych z kiepskiego papieru, podziurawionych czubkiem ołówka. Złożył je i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Jesteś dżentelmenem, Heniu – powiedziała i zaczęła podciągać sukienkę. – Nawet nie spojrzaleś do listu... Potrafisz uszanować tajemnicę korespondencji. No to teraz cię zapraszam. Nie zwlekaj! Chodź!

Zwolicki pokręcił głową.

– Nie o to mi chodzi – mruknął. – Ty wiesz, czego pragnę.

Spuścił spodnie.

Kiedy już zaczął się masturbować, Aurelia trzasnęła go pasem i krzyknęła zmienionym, grubym głosem:

– Co za wstrętny chłopak! Wciąż się bawi ptaszkiem!

– Mamo, mamo! – Zwolicki kulił się i piszczął. – Ja już więcej nie będę tego robił! Obiecuję!

Aurelia wciąż okładała go pasem – po głowie, po ramionach, po nagich, chudych, trzęsących się pośladkach.

I tak osiągnął rozkosz. Niemal wył.

O tym właśnie marzył od dawna. Aby wszystko było tak jak wtedy w Kocich Górach.

* * *

WYBIJAŁA SIÓDMA RANO, kiedy Popielski wszedł na basen numer jeden krytej pływalni przy Zwingerstrasse[75]. Przytrzymał się barierki, za którą rozpościerała się powierzchnia wody, gładka jak lustro. Kręciło mu się w głowie. Czuł się tak, jakby miał kaca – bezsenna noc, poranne rozdrażnienie.

Nie wypił wczoraj nawet kropli. Jego organizm był srogo doświadczany nie wódką, lecz wyrzutami sumienia. To nie alkohol żarł mu wnętrzości, tylko konieczność podjęcia wyboru skutkującego brudem, z którego do końca życia się nie oczyści.

„Poświęcić niewinnego człowieka dla kobiety, o której nic właściwie nie wiem – myślał – oprócz tego, że nie mogę bez niej żyć...”

Ta ostatnia konstatacja wydała mu się tak nieznośnie sentymentalna, że aż chciał splunąć do basenu, aby wraz ze śliną pozbyć się tego niesmaku, którym go napełniła myśl o sobie samym jako o bohaterze romansów dla kucharek. Powstrzymał się jednak przed tym ordynarnym zachowaniem. Z pewnością nie zyskałby wiele w oczach wytwornego von Hardenburga.

Kapitan Abwehry wyznaczył mu miejsce i czas spotkania w sposób bardzo prosty. Pewnego dnia człowiek, który go śledził, podbiegł do niego i poinformował, że „jutro na basenie o siódmej rano ktoś na pana będzie czekał”.

Ów sposób komunikacji wzbudził u Edwarda wściekłość. Oczywiście wiedział już po pierwszej rozmowie z von Hardenburgiem, że ten weźmie go pod lupę i że niedługo już będzie miał „aniołów stróżów”. W duchu jednak liczył na to, iż Niemiec pozostawi mu choć niewielki margines wolności, że dopóki nie zawrą umowy, to on, Popielski, zachowa choćby pozory swobody i niezawisłości. Tymczasem od początku ludzie z Abwehry usiedli mu na karku i nie spuszczali go z oka. Jej wrocławski szef takim zachowaniem oświadczał mu bez słów: „Jesteś już mój i nie masz wyboru. Człowiek od mnie cię śledzi, zupełnie tego nie kryjąc, a potem podchodzi i wprost oznajmia moją wolę, wolę twojego pana!”.

Złość na samego siebie za mające nastąpić oczernienie Piotra Kozubskiego dusiła go mocniej niż wyziewy chloru unoszące się z ciepłej wody basenu.

Do Polaka stojącego przy barierce podszedł ten sam mężczyzna, który chronił von Hardenburga przy pierwszym spotkaniu. Bez żadnych ceregieli obmacał go dokładnie i nie stwierdziwszy żadnej broni, wskazał mu palcem jedną z kabin do przebierania. Jedyną z zasłoniętą kotarą.

Kapitan Abwehry z zaparowanym monoklem w oku wyglądał osobliwie, ponieważ oprócz niego miał na sobie jedynie biały włochaty ręcznik, którym był owinięty w pasie.

Niedbale kiwnął głową Popielskiemu i wskazał mu miejsce na ławce obok siebie. Przybysz zdjął płaszcz i melonik. Usiadł. Głowę miał zroszoną potem, co nie uszło uwadze Niemca.

– Dowiemy się, Popielski, gdzie jest pańska ukochana – powiedział lekkim, jakby żartobliwym tonem. – Lecz jej poszukiwania będą bardzo trudne. Być może będziemy musieli uruchomić wielu naszych agentów w Polsce... To niebezpieczne i grozi dekonspiracją.

– Licytuje pan, kapitanie? – sapnął ze złością Popielski. – Chce pan wytargować jak najwyższą cenę?

Von Hardenburg przyjrzał mu się uważnie dwukrotnie. Najpierw przez zaparowane szkło, a potem – wytarłszy je rogiem ręcznika – przez czyste.

– Jakiś marny urzędnik z konsulatu, który ma kochankę – zignorował tę uwagę. – To zbyt mało. My potrzebujemy znacznie więcej.

– A skąd mam wiedzieć, że pan w ogóle kiwnie palcem w sprawie Aurelii Teichert? – Edward podskoczył nerwowo na ławce. – Być może wysłucha pan moich informacji, powie mi: „dziękuję”, i odejdzie w swoją dal, a pańscy goryle dopilnują, abym się zbyt nie rzucał, kiedy mnie pan oszuka. Nie, mój panie! Nasza przyszła umowa nie pozostawi panu możliwości oszustwa. Wymienimy między sobą wiadomości, tak jak wymieniamy szpiegów na dworcu w Zbąszyniu. Powiem panu, jak to będzie. Spotykamy się, patrzymy sobie w oczy, ja mówię: pracownik X jest podatny na szantaż, ponieważ... I tu podaję powód. A pan wtedy mówi: Aurelia jest tu i tu...

Popielski wstał.

– Jeśli pan zaakceptuje taki tryb współpracy, to proszę to wyraźnie zadeklarować! – rzekł ostro. – Wychodzę stąd. Jest tu dla mnie stanowczo zbyt gorąco...

– Znajdziemy ją, wydostaniemy nawet spod ziemi i damy ją panu w rozkosznym prezencie, ale pod warunkiem, że będzie pan dla nas pracował we Lwowie – rzekł szybko von Hardenburg. – Taki jest nasz warunek. To będzie dla nas prawdziwa uczta. Przystawką do potrawy

główniej jest ten urzędnik z konsulatu. Musimy uwierzyć w pańską dobrą wolę. Albo się pan na to zgadza... – Von Hardenburg wstał i ryknął: – Albo się na to, zgadzasz, Popielski, czyli teraz dajesz nam przystawkę, a potem dla nas pracujesz we Lwowie... Albo nigdy nie ujrzysz swojej ukochanej! Nie masz żadnego ciekawego towaru na sprzedaż, nie masz armat, Popielski! Dajesz nam jakąś być może nic nieznaczącą figurę, a sam żądasz wielkiego szczęścia przy boku pięknej kobiety... Nie ma tu symetrii, Popielski, oj, nie ma! – Otarł pot z czoła. – Strasznie tu gorąco, rzeczywiście. – Znów wytarł monokl. – No to powiem krótko. Nazwisko tego urzędnika i jego ciemne sprawy albo won mi stąd, podstarzały lowelasie! – znów podniósł głos.

Edward został podeptany, wytarto nim wilgotną podłogę. Nie miał wyjścia. Musiał powiedzieć „b”, kiedy już padło „a”.

– Piotr Kozubski ma kochankę – zasyczał. – Jest żonaty. Znajdźcie kochankę, a będzie wasz.

W swojej imaginacji wydawało mu się, że oto wydał z siebie syk węża. Stworzenia demonicznego utożsamianego z Szatanem.

I wtedy przekroczył właśnie granicę zła.

* * *

ZASPOKOJONY ZWOLICKI WYSZEDŁ z podziemnych magazynów Towarzystwa Zakładów Żyrardowskich. Znalazł się na głównej arterii miasta – ulicy Wiskickiej[76].

Był to nędzny, pozbawiony bruku trakt pełen brył błota i śniegu. Po obu jego stronach biegły rowy, przez które poprzierzucano kładki prowadzące do parterowych domów, niekiedy murowanych, lecz częściej drewnianych i krytych strzechą. Zaraz za tymi chałupami rozciągała się jednak wzorowa dzielnica mieszkaniowa z czerwonych cegieł.

Henryk zmierzał do zbudowanego z takiegoż właśnie materiału dwupiętrowego gmachu. Stał on na rogu placu Wolności[77] i ulicy Wiskickiej[78]. Cieszył się swym zwieńczeniem – jakby potrójną koroną. Był to żyrdowski urząd pocztowy.

Zwolicki wszedł do środka i poprosił urzędniczkę o sprawdzenie, czy przysłała jakaś przesyłka do skrzynki pocztowej numer 453. Otrzymał odpowiedź twierdzącą oraz list z urzędową pieczętą.

Otworzył kopertę i wyjął z niej druczek przekazu pocztowego. Nadejście listu oznaczało, iż właśnie minęło kolejne pół roku i nadchodzi czas wniesienia następnej opłaty. Adresat już był wypisany w odpowiedniej rubryce. Jego nazwa brzmiała: „Dom Prowincjalny Sióstr św. Jadwigi, Katowice, Leopolda 1”.

„Jeśli jadvizanki wciąż chcą zapłaty – myślał – to znaczy, że mamusia żyje”.

Serce rozpierała mu radość.

* * *

URZĘDNIK KONSULATU POLSKIEGO PAN PIOTR KOZUBSKI wszedł nagi do pięknej łazienki ogromnego mieszkania przy Klosterstrasse[79] 128. Przesunął obojętnym wzrokiem po muszli i bidecie, po czym spojrzął w lustro. W odbiciu z zadowoleniem ujrzął szczupłego, wysokiego, czterdziestoletniego szatyna o włosach malowniczo poprzetykanych siwizną. Miał wielkie niebieskie oczy, a jego mocny podbródek podkreślały sine cienie po goleniu. Był umięśniony i proporcjonalnie zbudowany.

Pięknu swego ciała zawdzięczał to, że zainteresowała się nim siedemnastoletnia Fanny von Matthes-Pöllnitz, córka zamożnego właściciela olbrzymich dóbr ziemskich pomiędzy Miliczem a Trzebnicą.

Latyfundysta Felix von Matthes-Pöllnitz rzadko przebywał we Wrocławiu, wolał rozległe lasy i ciche stawy. Z jego czteropokojowego mieszkania z widokiem na malownicze zarośla rzeki Oławy korzystała jedynie Louise, druga żona, oraz Fanny, jej pasierbica, a jego córka z pierwszego małżeństwa.

Piotr Kozubski poznał obie damy na jednym z wernisaży, które organizowali studenci Akademii Sztuk Pięknych. Ponieważ wśród nich było dwóch Polaków, urzędnik został tam niejako zaproszony z racji swych konsularnych obowiązków.

We wchodzącego w smugę cienia referenta jakby uderzył piorun, gdy ujrzał młodziutką dziewczynę, której przodkami byli i Niemcy, i Polacy, a nawet rosyjscy Żydzi. Ta narodowościowa mieszanka dała wynik znakomity. Fanny miała wielkie czarne oczy Izraelitek, bladą cerę Niemek, okraszaną niekiedy intensywnym rumieńcem, i słowiańskie, lekko wystające kości policzkowe.

Kiedy ujrzała tego przystojnego czterdziestolatka, nie mogła ukryć swego nim zainteresowania. Kozubski, wytrawny uwodziciel, natychmiast je zauważył i nie zamierzał wypuścić z rąk okazji. Podszedł do dziewczyny, przedstawił się, wypowiedział jakiś błyskotliwy komplement i zniknął poganiany podejrzliwym spojrzeniem jej macochy.

Ta szybko zapomniała o zdarzeniu. Myślała o niewielu sprawach poza grą w skata. Była członkinią Wrocławskiego Towarzystwa Skatowego, jedną z najlepszych zawodniczek i każdą wolną chwilę spędzała przy karcianym stoliku. To oznaczało, że rzadko bywała w domu.

Piotr Kozubski nie omieszkał tego wykorzystać. Od przekupionej służącej wiele się dowiedział o rodzinie dziewczyny. Uwodził ją metodycznie i bez pośpiechu. A to niby przypadkiem ją spotkał na ulicy, a to podrzucił pod drzwi bukiet kwiatów z miłosnymi wyznaniem,

wierna służąca dostarczała je zaś do buduaru coraz bardziej zakochanej dziewczyny, to znów wysyłał swoje zdjęcia z wierszami romantyków. Pewnego dnia, gdy zobaczyła go w samochodzie pod swoją szkołą, Żeńskim Gimnazjum imienia Królowej Augusty przy Schwerinstrasse[80], nie mogła mu się oprzeć i wsiadła do auta.

„I tak się wszystko zaczęło” – myślał teraz Kozubski, kiedy stał nagi przed wanną, w której młodzianka kochanka beztrudno pluskała się wśród piany.

Zbliżył się do niej, spojrzął z miłością i poprosił:

– Posuń się trochę, kochana. Dołączę do ciebie.

Uśmiechnął się, lekko ujął zasłonę, która w malowniczych fałdach spływała po obu stronach wanny. Fanny podsunęła się ku wezgielowi, wychlapując sporo wody.

Kochanek postawił nogę na wannie. Wtedy usłyszał jakieś hałasy, stukot butów w przedpokoju. Drzwi do łazienki gwałtownie się otworzyły. Stanął w nich wysoki, szczupły pan w monoklu. Uśmiechnął się i pogroził Kozubskiemu palcem.

Ani jemu, ani jego kochance nie było bynajmniej do śmiechu.

* * *

KIEDY KONTRADMIRAŁ WILHELM CANARIS już wychodził ze swojego gabinetu na piątym piętrze gmachu przy Tirpitzufer, przybiegł jego młody adiutant nazwiskiem Heinz Kahn.

– Pilny meldunek z Wrocławia! – zawołał zaaferowany. – Kapitan von Hardenburg do rąk własnych pana kontradmirała!

Canaris usiadł i przeczytał meldunek.

Lysy popada w desperację. Nie będzie chciał współpracować we Lwowie, jeśli nie znajdziemy mu poszukiwanej. Ujęty przez nas figurant ma ważne informacje.

Doprowadzą nas do bandy Czarnego Barta. Proszę o zgodę na niewywieranie nacisku na łysęgo w sprawie działań we Lwowie. Na to jeszcze przyjdzie czas. Ujęcie Czarnego Barta jest teraz ważniejsze niż sprawy ukraińskie.

Canaris pokiwał głową, lecz po chwili się skrzywił. Von Hardenburg, owszem, miał rację, jednak pozwalał sobie za szybko na władczy ton i na decydowanie o tym, co jest ważne.

„Trzeba będzie trochę przytemperować tego monokla” – pomyślał.

– Zgadzam się, znajdę tę kobietę – powiedział to na głos, a potem napisał coś na karteczce, którą następnie dał adiutantowi, by ten zaniósł ją do szyfrantów.

Kilka dni później kapitan Jan Henryk Żychoń otrzymał od Popielskiego krótki meldunek: „Okularnik przyjął moją propozycję. Oddadzą mi A. w zamian za wiadomo co. Lwów ich nie interesuje. Gambit został przyjęty”.

W bydgoskim biurze Dwójki wystrzelił wtedy korek szampana. Żychoń wiedział, że jeśli Canaris dotrzyma słowa i odda Edwardowi Aurelię żywą, to zidentyfikowanie Chevroleta będzie już tylko kwestią czasu.

[75] Obecnie ul. Teatralna.

[76] Obecnie ul. 1 Maja.

[77] Obecnie pl. Jana Pawła II.

[78] Obecnie ul. 1 Maja.

[79] Obecnie ul. Traugutta.

[80] Obecnie ul. Skwierzyńska.

W WIEKU LAT TRZYDZIESTU PIĘCIU PANNA EDITH KIESE była wcieleniem stereotypu starej panny. Kłótniwa, zgorzkniała i wyniosła, zacięta w złości i w urazie, dziwaczna w ubiorze i w obejściu. Swe jasne włosy z kilkoma pasmami siwizny nosiła wbrew modzie upięte w wysoki kok, a jej szare lub granatowe garsonki wraz z węzłem krawata wysoko pod szyję podciągniętym robiły wrażenie wojskowego uniformu. Ta surowa nieprzystępność stanowiła jednak tylko pozór, tylko tarczę ochronną, jaka odbijała zatrute strzały złego świata. W młodości panna Kiese była wesołą dziewczyną lubiącą muzykę, zabawę i taniec. Wydawało jej się wtedy, że cały świat jest dobry i jasny, później życie ją nauczyło, że jest zupełnie inaczej.

Pochodziła z Monachium z porządnej, pracowitej, robotniczej i wielodzietnej rodziny. Jej ojciec za najwyższą wartość uważał pracę, a matka czystość – zarówno mieszkania, jak i obyczajów. Bez wielkiego entuzjazmu przyjęli wiadomość, że ich najstarsza córka nie zamierza zostać przykładną *Hausfrau*, która urodzi gromadkę dzieci na chwałę ojczyzny. Nie byli zachwyceni, gdy Edith postanowiła kształcić się w instytucie dla wychowawczyń przedszkoli i przytułków. Jeszcze bardziej narzekali, gdy w wieku lat dwudziestu odrzuciła proponowanego jej jako kandydata na męża kawalera i zapisała się na wieczorowe kursa dla urzędniczek i sekretarek. Ale najbardziej byli zawiedzeni, gdy lata leciały, a ona – wyprowadziwszy się z domu rodzinnego – wciąż wymigiwała się od odpowiedzi, kiedy w końcu wyjdzie za mąż. Problem tkwił nie w tym, że kandydata na męża nie było – owszem, wesoła i lubiana powszechnie Edith

miała spore powodzenie wśród przedstawicieli płci brzydkiej. On leżał gdzie indziej. Nie mogła rodzicom zaprezentować ukochanego mężczyzny, z którym była związana od kilku lat, z zupełnie innych powodów. Karl Seeliger, skromny urzędnik bankowy, którego poznała w czasie stażu w Deutsche Bank, pochodził z rodziny żydowskiej, a ojciec Edith był członkiem NSDAP.

Spotykała się zatem z Karlem całymi latami w tajemnicy przed rodziną i wciąż odkładała moment, gdy oznajmi rodzicom, iż wychodzi za mąż za mischlinga, czyli „mieszkańca”, jak pogardliwie nazywano ludzi z niemiecko-żydowskich rodzin.

W takim zawieszeniu czuła się jednak dość dobrze. Zażywała szczęścia w ramionach ukochanego Karla, a do rodzenia dzieci – mimo kąśliwych uwag matki – wcale się jej nie śpieszyło. Było jej dobrze, ale do czasu. Nie przewidziała, iż zły świat przypuści na nią atak z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Z inicjatywy narodowosocjalistycznego rządu kanclerza Adolfa Hitlera w kwietniu trzydziestego trzeciego roku został uchwalony tak zwany paragraf aryjski, który uniemożliwiał Niemcom pochodzenia żydowskiego wykonywanie między innymi zawodu urzędnika państwowego. Karl Seeliger, wówczas już kierownik działu kredytów, został zwolniony z banku z dnia na dzień. Utraty posady nie osłodziło mu bynajmniej to, że podzielił los trzech członków zarządu firmy.

Jego ojciec również odczuł dotkliwie nową sytuację w kraju. Ów właściciel świetnie prosperującej mleczarni musiał za bezcen pozbyć się swego rodzinnego interesu na rzecz – a jakże! – ważnego monachijskiego działacza NSDAP.

W tym samym czasie gdy jej narzeczony stracił dobrze płatną posadę, a jego ojciec majątek, Edith Kiese, dyplomowana urzędniczka pracująca

wówczas w sekretariacie dykcji policji w Monachium, została wezwana do szefa, który jej oznajmił, że w ramach redukcji etatów jest zmuszony ją zwolnić lub przenieść do Bawarskiej Policji Politycznej – faktycznym szefem tej formacji był wówczas Reinhard Heydrich. Aby to się jednak stało, musiała – dla zmazania hańby krwi – zerwać wszelkie kontakty z „mieszkańcem” Seeligerem.

Narzeczeni nie zamierzali się poddawać. Kiedy już się dość napłakali nad swym losem, panna Kiese podjęła ważne kroki, by w przyszłości ułożyć sobie jednak życie z owym mischlingiem.

Oświadczyła swemu szefowi, iż zgadza się na jego propozycję, i podjęła pracę w archiwum Bawarskiej Policji Politycznej. Spotkania z Karlem zostały zepchnięte do jeszcze głębszej konspiracji – Edith ryzykowała utratą pracy, wilczym biletem i społecznym ostracyzmem.

Jednocześnie zaczęła szukać kontaktu z ludźmi, którzy pomogliby pogodzić wodę z ogniem, czyli umożliwić zawarcie małżeństwa i kontynuowanie pracy urzędniczej przez obojga przyszłych małżonków.

Było tajemnicą poliszywnela, iż wpływowi działacze partii hitlerowskiej oraz wysocy państwowi urzędnicy za duże sumy mogą unieważnić wyrok paragrafu aryjskiego. Edith poszukała takiej osoby.

Niejaka Hannelore Popp, dawna koleżanka z archiwum monachijskiej dykcji policji, była kuzynką komandora Wilhelma Canarisa, wówczas dowódcy pancernika „Schlesien”. Obiecała się zwrócić do niego z prośbą o pomoc.

Canaris bardzo lubił swoją kuzynkę Hanni i obiecał – zupełnie za darmo – pomóc jej przyjaciółce.

Ponieważ Karl Seeliger opanował jako samouk język hiszpański i władał nim całkiem przyzwoicie, Canaris postanowił uruchomić swoje chilijskie znajomości. Nawiązał je przed laty w Ameryce Południowej

podczas Wielkiej Wojny, gdy przeżywał na tym kontynencie niezwykle przygody, ukrywał się w przebraniu Metysa i dokonywał brawurowych ucieczek.

Jego przyjaciel z tamtych lat Alberto Hoffmann, obecnie attaché ambasady chilijskiej, zaoferował Seeligerowi objęcie dobrze płatnego stanowiska w Banco de Chile w Santiago. Narzeczony panny Kiese, tak twierdził komandor, musi zniknąć na kilka lat z oczu tropicieli czystości rasy, a po jakimś czasie wróci do Niemiec „oczyszczony z żydostwa”, czyli z certyfikatem „krwi niemieckiej”, i zawrze najzupełniej legalne małżeństwo z Niemką. Zdobycie takiego dokumentu było w samych Niemczech dla obywatela, którego już raz uznano za mischlinga, prawie niemożliwe; natomiast na obczyźnie wszystko było do załatwienia – zmiana tożsamości i powrót z fałszywymi dokumentami również.

Edith Kiese nie była w pierwszej chwili zachwycona przysługą, jaką zaproponował jej Canaris. Nie sądziła, że zawarcie przez nią małżeństwa tak bardzo się opóźni. Kochała jednak Karla i była gotowa na rozłąkę, znosząc docinki matki i koleżanek, które wszystkie na potęgę chciały ją wyswatać. Pożegnała swojego ukochanego w Hamburgu na początku roku trzydziestego czwartego i wiernie na niego czekała.

Tymczasem w kwietniu tegoż właśnie roku jej szef Reinhard Heydrich otrzymał spektakularny awans. Porzucił stanowisko dyrektora Bawarskiej Policji Politycznej i został szefem zjednoczonych unią personalną, czyli jego osobą, tajnych służb: Gestapo i Sicherheitsdienst.

Pod koniec kwietnia przeniósł się do Berlina. Nie omieszkał zabrać ze sobą Edith Kiese, którą – w uznaniu za podjęcie dramatycznej decyzji życiowej – mianował kierowniczką archiwum SD.

I tak zaczęło się jej samotne życie w stolicy. Wprowadziła się do małego mieszkania służbowego koło lotniska Tempelhof wraz ze

szczeniakiem pudlem. Tęskniła za Karlem, marniała w oczach, stawała się nieprzystępna i nietowarzyska. Aby uniknąć męskich spojrzeń i ochoczych swatek, unikała makijażu i nosiła się po męsku, podkreślając przede wszystkim swój sztywny, urzędniczy wizerunek.

Pomiędzy jej biurem a archiwum, mieszczącymi się w pałacu księcia Albrechta przy Wilhelmstrasse 102, i siedzibą Abwehry przy Tirpitzufer 76/78 był Dworzec Poczdamski, a przy nim mnóstwo knajpek z pokojami do śniadań oraz automatyczne restauracje bez kelnerów, gdzie przez całą dobę można było zjeść kanapkę lub ciastko i wypić kawę lub piwo.

W jednej z nich Edith Kiese spotykała się czasami ze swoją dawną koleżanką Hannelore Popp, która dzięki protekcji swojego kuzyna podjęła w Berlinie podobne obowiązki jak Edith – tyle że w Abwehrze.

Pewnego lutowego dnia trzydziestego piątego roku Hanni zatelefonowała do Edith i zaprosiła ją na przekąskę do restauracji automatycznej Pod Dworcem Poczdamskim. Kiedy już zjadły, Hanni rzuciła:

– Mój kuzyn, znany ci, już teraz kontradmirał Canaris pyta najuprzejmiej, czy jutro o siódmej wieczór mógłby ci przez chwilę towarzyszyć w czasie spaceru z twoim pudlem. Będzie na ciebie czekał koło kościoła garnizonowego przy Lilienthal Strasse. Powiedziałam mu, że chodzisz na spacer z ukochanym pieskiem na Zajęcie Pastwisko. Chyba się nie gniewasz, że mu to zdradziłam?

Edith Kiese się nie gniewała. I nie odmówiła. Trudno odrzucić zaproszenie kogoś, kto uratował jej przyszłe małżeństwo i jest jedną z najważniejszych osób w państwie.

Następnego dnia szef Abwehry niezwykle uprzejmie przywitał pannę Kiese pod katolickim kościołem garnizonowym. Za to, że znalazła dla niego czas, podarował jej wielki bukiet róż.

Udali się na spacer po pięknym parku Ludowym, zwanym też Parkiem na Zajęczym Pastwisku. Szli wolnym krokiem. Po wysłuchaniu jej podziękowań za możliwość „odzydzenia”, jaką dzięki jego wspaniałomyślności otrzymał Karl Seeliger, Canaris przystąpił do rzeczy. Mówił ściszym głosem:

– Bardzo się cieszę, panno Kiese, że docenia pani skromną pomoc, jakiej udzieliłem jej narzeczonemu. Zresztą ja niewiele zrobiłem, gros spraw załatwił mój przyjaciel, attaché ambasady chilijskiej, pan Alberto Hoffmann.

Obserwował przez chwilę kobietę, która była teraz uosobieniem spokoju. Jedynie małe czerwone plamki na szyi, nad węzłem krawata, świadczyły, iż nie jest to dla niej najmilsza rozmowa na świecie.

– Otóż, proszę sobie wyobrazić, że miałaby pani okazję odwdzięczenia się jego ekscelencji Hoffmannowi. Pewien pracownik naszej ambasady w Meksyku, nazwiskiem Alois Grundmann, ma być przeniesiony do Chile. Pan Hoffmann został poproszony o to, aby dostarczyć ludziom bliskim rządowi w Santiago wszelkich informacji o panu Grundmannie. Chilijczycy chcą go godnie powitać. Aby to zrobić, chcą go dobrze poznać.

Panna Kiese była teraz jednym wielkim znakiem zapytania.

– Otóż pan kapitan Alois Grundmann jest funkcjonariuszem Sicherheitsdienst. Wszystkie akta i raporty tego pana są w zarządzanym przez panią archiwum. Oczywiście mógłbym się zwrócić w tej sprawie do mojego przyjaciela SS-Gruppenführera Reinharda Heydricha... poprosić go o wypożyczenie akt, ale nie chcę tego robić. Grundmann jest jego przyjacielem, a Heydrich nic nie wie o tym przeniesieniu do Chile. Bo to wielki awans dla Grundmanna. Chcę tą wiadomością zrobić niespodziankę mojemu drogiemu Reihnardowi.

Panna Kiese zrozumiała w lot.

– Mam panu kontradmirałowi dostarczyć kopie akt osobowych kapitana Aloisa Grundmanna, czy dobrze pojmuję?

Canaris wyjął z kieszeni mały aparat fotograficzny jenajskiej firmy Zeiss.

– Tak, świetnie pani pojęła moją prośbę. – Uśmiechnął się promiennie. – Kopie akt oraz wszystkich jego raportów. I spis współpracowników. Nazwiska, pseudonimy...

Panna Kiese skinęła głową.

Następnego dnia Canaris otrzymał kliszę fotograficzną. Technicy wywołali ją i po obiedzie pojawiła się na jego wielkim, czystym biurku duża, gruba koperta z błyszczącymi odbitkami.

Teczkę Grundmanna analizował przez trzy godziny. Potem podniósł słuchawkę i poprosił o pilne połączenie z Warszawą. Specjalną linią rządową. Rozmówcą miał być jego polski odpowiednik – pułkownik Jerzy Englisch, szef II Oddziału Sztabu Głównego.

* * *

KAPITAN EDMUND PILICHOWSKI W KOŃCU STRACIŁ cierpliwość do Aurelii. Stało się to, gdy uświadomił sobie, że wyczerpał cały swój arsenał elokwencji i ma już niewiele do powiedzenia o muzyce. Co więcej, zauważył, jak marne skutki dawały jego gawędy. Jedyne brutalne zakończenia owych sesji – nagłe wyłączenie muzyki i ubliżanie jej od brudnych zwierząt – zdawały się przynosić jakiś efekt. Ale tylko chwilowy: był to żałosny błysk w oku, otwarcie ust, niosące nadzieję, że zaraz wszystko powie, wyrecytuje to, czego pragnął. A potem znów spuszczała oczy i zaciskała wargi w ślepym uporze.

Gdy pewnego dnia przyszedł do jej celi, ciężko usiadł na stołku i otworzył usta, by omówić monumentalny polonez fis-moll Chopina, nagle

zabrakło mu słów. Nie wiedział, o czym i jak ma mówić.

I wtedy poczuł palącą złość na samego siebie za swoje zaniemówienie, za zastygnięcie w słownej niemocy. Ponieważ odkrycie własnego błędu było dla tej egoistycznej natury nie do zniesienia, przyczyn tego stanu rzeczy poszukał gdzie indziej.

– Ty dziwko! – wrzasnął, patrząc na Aurelię wytrzeszczonymi ze wściekłości oczami. – Tobie się zdaje, że wytrzymasz? Że jeszcze długo będziesz mnie wodzić za nos? Tak ci się zdaje, dziwko?

Kapitan był potężnym mężczyzną, a jego białe dłonie pianisty, gdy zwinęły się w kulaki, przestały być miękkie i delikatne, stały się twarde i szorstkie. Jego równo i starannie przycięte paznokcie zamieniły się w szpony, a krzywe ullańskie nogi w młoty pneumatyczne.

Najpierw chwycił ją za włosy i wywłókł na środek pomieszczenia. Pociągnął po podłożu tak szybko, że nie zdążyła się o nic zaprzeć stopami, a jej odsłonięte nogi wierzgały tylko bezradnie. Jej ręce, choć zataczały wokół tułowia koliste ruchy, nie zdołały się niczego chwycić, a paznokcie, wbijane w twardą glinę klepiska, wyginały się i łamały.

Pilichowski puścił jej włosy i zaczął kopać drobne kobiece ciało. Czuł, że oto nadchodzi chwila tryumfu, że wszystkie subtelne metody skruszenia jej oporu są niczym wobec brutalnej siły, którą zaraz wydobędzie z niej wszystko.

Sapał i machał rękami jak piłkarz, by wziąć lepszy zamach nogą. Grzywa siwych włosów spadła mu z czoła i kleiła się do skóry. Czuł, jak rozpiera go pierwotna, zwierzęca racja, jaką jest dzika wola przetrwania. Wiedział, że żaden argument nie jest w porównaniu z tym instynktem przekonujący, że każda perswazja przegrywa z nim marnie.

W końcu Aurelia przestała krzyczeć i płakać, rzeziła tylko w gwałtownych paroksyzmach, jakie nią szarpały. Kiedy rozbolały go już

nogi, opadł na nią ciężko. Kolanami przycisnął do klepiska jej wątłe ramiona, na prawą dłoń włożył kastet i uniósł wysoko pięść.

Uderzył, lecz trafił w gliniaste podłogę. Aurelia – wiedzona instynktem przetrwania – przekręciła się na bok ostatkiem sił.

Wstał i zaszedł ją od strony głowy. Opadł znów na kolana, jednym ruchem chwycił ją za włosy. Unieruchomił jej twarz pomiędzy swymi udami jak pomiędzy zaciskiem imadła. Uniósł pięść z kastetem.

– Teraz dobrze przymierzę – syczał, a krople śliny pryskały mu z ust.

Jego ramię nagle znalazło się w żelaznym uchwycie.

Nigdy by nie sądził, że ten mały ma w sobie tyle siły, by powstrzymać jego herkulesowy zamach.

– Zostaw ją, skurwysynu! – wrzasnął Zwolicki. – Bo ją zabijesz i gównu ci powie!

Pilichowski puścił Aurelię i wstał. Przesunął dłonią po czole, odrzucając do tyłu gęstą falę włosów. Uśmiechał się lekko i kołysał na obcasach lśniących trzewików. Krawat wyszedł mu zza marynarki, a miękkie rogi kołnierzyka groteskowo sterczały na boki.

– Tak brzydko mówisz do mnie, mój mały? – Ukazał w uśmiechu równe zęby. – Dlaczego tak nieładnie się odzywasz? Nauczyć cię dobrych manier, chłopczyku?

– Cicho! – krzyknął Zwolicki. – Ona coś mówi. Coś szeptce.

Aurelia rzeczywiście wydawała jakieś dźwięki. Leżała zwinięta w kłębek, rękami oplatała swój tułów pod piersiami, jakby przytrzymywała żebra odpadające od ciała. Z każdym jej słowem na jej ustach pękała krwawa bańka.

– Niniejszym postanawia się – szeptała – iż rząd Rzeczypospolitej Polskiej i rząd Republiki Francuskiej...

Pilichowski pochylił się nad nią i pogłaskał ją po włosach.

– Recytujesz w końcu, moja piękna? Recytujesz. Wreszcie zrozumiałaś, że nie masz innego wyjścia.

Usiadł na pryczy i wyciągnął przed siebie nogi.

– Ale zacznij od początku – polecił. – Od samego początku. Najpierw cyrograf hrabiego Lamberta.

Aurelia podkuliła nogi i zaczęła wysapywać z siebie okrągłe zdania raportu.

– Ja niżej podpisany Heliodor hrabia Lambert herbu właściwego...

Pilichowski drgnął. Pamiętał, że jego agent mówił „herbu własnego”, dodanie jednej sylaby – tak by cała fraza była akcentowana na sylabie pierwszej i piątej, czyli „herbu właściwego” – było już jego, Pilichowskiego, inwencją, naśladownictwem wielkiego Cyncerona.

– Zobowiązuję się do współpracy – nieżyjący hrabia Lambert mówił jej głosem – kierowany przez powód ideowy.

Kapitan drgnął. Znów to samo. Tym razem nie dodatkowe sylaby, ale niezgrabna gramatycznie fraza – powinno być „powody ideowe”. Ale tamta była właściwa rytmicznie. W zestroju „pówód ideowy” znów jest sześć sylab, z których akcentowana jest pierwsza i piąta.

Aurelia mówiła i mówiła, a on słuchał chciwie i z potoku wypowiedzi wyławiał każdy sześciosylabowy zestrój.

– Zapewniam o całej poufności...

Podskoczył, jakby ukłuty ostrogą.

– ... i wszystko to przyrzekam.

Schował twarz w dłonie.

„Tak – pomyślał – wszędzie jest rytmiczne Cyncerońskie *esse videatur*”.

Zerwał się na równe nogi i spojrzał na swego wierne go psa.

– No, mój Zwolisiu! – Znów odsłonił równe zęby. – Weź mojego chevroleta i jedź do lasu, tam, gdzie byliśmy ostatnio...

Spojrzał na jęczącą i zwiniętą jak embrion Aurelię.

– I wykop jej grób!

– A Szwajcar? A notariusz szwajcarski?! – zawołał rozpaczliwie Henryk. – Nie poznał pan jeszcze jego nazwiska.

Pilichowski podszedł do swego człowieka i oparł mu na ramieniu ciężką dłoń.

– Nie mogę już dłużej czekać – rzekł cicho. – Gdyby notariusz istniał, to dawno byłoby po wszystkim. *Iacta alea est* mój Zwolisiu!

Wskazał brodą na drżącą z bólu kobietę.

– Grób dla niej ma być głęboki! – powiedział z naciskiem. – I kamieniem jakimś przywał, żeby borsuki mi ścięwa po całym lesie nie rozniosły! – Wzniósł palec ku górze. – ... lesie nie rozniosły – powtórzył z satysfakcją.

Był to niewymuszony i gramatycznie poprawny zestrój sześciu sylab z odpowiednią akcentuacją.

Pilichowski cycerońską frazę miał we krwi.

* * *

EDWARD POPIELSKI STARAŁ SIĘ, jak tylko mógł, wytłumić dręczące go wyrzuty sumienia. Tłumaczył sobie, iż Kozubski to wiarołomny małżonek, uwodziciel naiwnych dziewcząt, człowiek zły i zepsuty do szpiku kości.

„Takiś piękny, donzuanie? – zwracał się do niego w myślach z dziwaczną mściwą satysfakcją. – No toś dostał to, na co w gruncie rzeczy zasłużyłeś. Uwodzisz dziewczątka? Pocierp teraz trochę. Nie tylko rozkosz jest treścią życia, ha, ha!”.

Te myśli polepszyły mu nastrój tylko chwilowo, bo zaraz zdał sobie sprawę z wywołujących je niskich pobudek.

Nikczemność owej zazdrosnej reakcji uświadomił mu mimowolnie kapitan Rainer von Hardenburg.

Po zwerbowaniu Kozubskiego, na co ów casanova zgodził się bez szemrania, kapitan wyznaczył Popielskiemu spotkanie na lodowisku urządzonym na zamarznętym stawie w Waschteichpark[82]. Wtedy to przedstawiciel instytucji, która się wzbogaciła o kolejnego agenta, powiedział z przewrotnym uśmiechem:

– No, no, no! Mówię to panu jako mężczyzna. Niejeden chciałby się znaleźć w kąpielni z taką panną.

Popielski poczuł wtedy podłe ukłucie zazdrości i swoistą *Schadenfreude*[83], którą sobie zaraz zracjonalizował myślą, że oto słusznie ukarał wiarołomcę.

Po uczuciu chwilowej satysfakcji nadeszła gorycz. Znikła ona – niestety, znów tylko na chwilę – kiedy von Hardenburg przyznał, że dzięki Kozubskiemu wpadli na trop Czarnego Barta.

„Gambit działa bezbłędnie” – pomyślał wtedy z radością.

– To będzie pańska zapłata, Popielski, niczego na razie więcej od pana nie chcemy. – Tymi słowy Niemiec zakończył spotkanie na ślizgawce. – My łapiemy Czarnego Barta, a tego dnia, kiedy potwierdzimy jego tożsamość na sto procent, tego samego dnia, powtarzam, pan również uzyska sprawdzoną i potwierdzoną przez najwyższe czynniki wiadomość o swej kochance. Wszystko zatem teraz w rękach Kozubskiego. To on ma nas doprowadzić do tego bandyty. I właśnie dzięki niemu odzyska pan ukochaną.

* * *

URZĘDNIK KONSULATU, POZNAWSZY SWOJE ZADANIE, popadł w przygnębienie, ponieważ jedynym śladem Czarnego Barta, jakim dysponował, była lakoniczna notka przedstawiona mu przez kolegę z pracy pana Szczęsnego Choynackiego, o treści „Ściśle tajne. Młodszy brat Czarnego Barta rozpoczął studia we wrocławskiej Wyższej Szkole Technicznej. Niedługo podamy jego nazwisko. Dotrzeć do niego i wydobyć wszelkie informacje o Czarnym Barcie. Kontakt ze studentem powierzyć tylko komuś z konsulatu”.

Kiedy Kozubski to czytał, wzdychał ciężko. Jediną jego nadzieją były słowa: „Niedługo podamy jego nazwisko”.

I tak się też stało. Choynacki, agent Dwójki o pseudonimie „Artur”, otrzymał kilka dni później od kapitana Szpąrowskiego z Katowic krótki meldunek: „Student politechniki Erwin Büttner”.

Von Hardenburg, powiadomiony o tym przez agenta „Hydraulika”, bo takie właśnie Kozubski dostał pseudo, udał się osobiście do swojego dobrego znajomego profesora Maxa von Bahrseidta, kuratora rządowego obu wrocławskich uczelni. Po półgodzinnej przyjaznej pogawędce uzyskał wrocławski adres Erwina Büttnera, pochodzącego ze Świdnicy studenta pierwszego roku Wydziału Maszynoznawstwa Wyższej Szkoły Technicznej. Mieszkał on przy Grosse Groschengasse[84] 5. Von Hardenburg założył, iż ów adept nauk technicznych przebywa w mieszkaniu swego brata.

Dalsze działania to już była zupełna błahostka i rutyna. Kwadrans po wizycie u kuratora kapitan podjechał do urzędu pocztowego przy Adalbertstrasse[85] i po upływie kilkunastu zaledwie sekund znalazł w księdze adresowej tylko jednego Büttnera, mieszkającego przy Grosse Groschengasse 5. Przy jego nazwisku było imię „Hans” i adnotacja „stolarz”.

Hans Büttner był bardzo zaskoczony, kiedy ludzie von Hardenburga pewnej niedzieli zapukali w porze śniadaniowej do jego drzwi, a potem go zabrali do jakiegoś potężnego gmachu, gdzieś na krańcach miasta[86].

Oprócz zaskoczenia rozsadzała go złość i niepokoiło niedowierzenie. Oba te uczucia spotęgowały się następnego dnia po aresztowaniu. Złość, bo nie zdążył zatelefonować pod numer, który dostał od swego zleceniodawcy w knajpie Reinholda Grzbieli, a niedowierzenie – ponieważ przesłuchująca go wyniosła „gadziną w monoklu”, jak nazywał von Hardenburga, uparcie twierdziła, iż reprezentuje Abwehrę.

Büttner mu nie wierzył, był na sto procent przekonany, że wpadł w łapy Gestapo. Nie bez znaczenia okazała się też obawa, że jeśli wyda łysego i do wszystkiego się przyzna, straci pokaźną sumę pieniędzy, którą wtedy u Grzbieli otrzymał był pod stołem.

Pary z ust zatem nie puścił na temat zlecenia, które wtedy otrzymał od oficera prowadzącego. Mimo milczenia Büttnera, którego nawet nie skruszyły całodobowe przesłuchania, bardzo szybko zgromadziły się nad jego głową czarne chmury. Powodem było odnalezienie przez ludzi von Hardenburga w szafce w stolarni przesyłki, która jednoznacznie potwierdzała, iż Büttner i Czarny Bart jest jedną i tą samą osobą.

Przesyłką tą był zalakowany worek z impregnowanej materii, a w nim kilka listów. Wszystkie one dotyczyły działań kontrwywiadowczych SD w Prusach Wschodnich, a zwłaszcza w Królewcu, i wszystkie były podpisane osobiście przez SS-Gruppenführera Reinharda Heydricha. Autentyczność podpisu natychmiast potwierdził grafolog pracujący dla von Hardenburga.

Ten doskonale znał historię owych listów, uważanych dotąd za zaginione. Szóstego sierpnia trzydziestego czwartego jechały one w zaplombowanym wagonie pociągu relacji Szczecin–Piła. Agenci Dwójki,

Czarny Bart i dwaj jego kompani, ukradli ten worek i uciekli z nim. Niestety, w strzelaninie, jaka się wtedy wywiązała pomiędzy złodziejami a funkcjonariuszami Bahnpolizei, kula przebiła ścianę przedziału i zginęło od niej dwuletnie niemieckie dziecko. Medyk sądowy wyjął z brzuszka maleństwa pocisk i okazało się, iż nie pochodzi on z broni strażników kolei. O zbrodni słusznie oskarżono zatem Czarnego Barta *et consortes*. Za głowę bandytów wyznaczono astronomiczną sumę pięćdziesięciu tysięcy marek.

I oto niespełna pół roku później dobry los uśmiechnął się do Rainera von Hardenburga. Zidentyfikował i złapał jednego z najbardziej poszukiwanych zbrodniarzy.

„Niezależnie od tego, czy przypadnie mi w udziale ta nagroda czy też nie – myślał – moje nazwisko zapisze się złotymi literami w historii Niemiec. Zapłata za taki zaszczyt, czyli oddanie Polakowi jakiejś dziwki z tingel-tangla, jest doprawdy niewielką ceną”.

Szef wrocławskiej Abwehry byłby daleki od tryumfalizmu, gdyby znał prawdę. Gdyby wiedział, że Czarny Bart naprawdę nazywał się Helmut Barylski i pochodził z Torunia i wraz ze swoimi kompanami Robertem Kunzem i Ryszardem Madejem zostali uznani przez Polaków za okrutnych bandytów, po czym z zimną krwią zlikwidował ich w Zdunach sam kapitan Jan Henryk Żychoń. Gdyby wiedział, że to właśnie on, zabiwszy ich, stał się posiadaczem owego worka i przekazał go później Popielskiemu; gdyby tego wszystkiego von Hardenburg był świadom, to nie otwierałby jeszcze szampana.

Tymczasem szef wrocławskiej Abwehry działał energicznie. Łatwo dotarł do kompanów Hansa Büttnera – Eginharda Winklera i Alberta Kotziniaka, pracujących podobnie jak on w Głównych Królewskich

Warsztatach Kolejowych. Trzyosobowa banda Czarnego Barta została aresztowana. W głowie von Hardenburga rozbrzmiały fanfary.

Osobiście udał się na Hedwigstrasse[87] 36 do kwatery Popielskiego i podziękował mu za owocną współpracę. Na pytanie Edwarda, czy ma jakieś informacje o Aurelii Teichert, szef wrocławskiej Abwehry odrzekł, że powinien dzisiaj je otrzymać od samego kontradmirała Wilhelma Canarisa. Von Hardenburg, jako człowiek honoru, uznawał zasadę *pacta sunt servanda*[88] za świętą.

Jego szef nie podzielał jednak tego przekonania. Wzniosłe zasady są nie do pogodzenia z wywiadowczą robotą.

Po południu usłyszał w słuchawce manieryczny nieco ton kapitana, stawiającego mu pytanie:

– Kiedy mogę się odwdzińczyć Popielskiemu informacją o pani Teichert?

Canaris odparł krótko:

– Nigdy.

– Nie rozumiem, panie kontradmirałe. – Wrocławianin podniósł głos o ćwierćnutę. – Mam nie dotrzymać umowy?

– Tak – Canaris odparł równie krótko jak przed chwilą.

Gdy w słuchawce zapadło pełne niepokoju milczenie, wydał polecenie *expressis verbis*:

– Właśnie tak. Ma pan nie dotrzymać umowy, kapitanie.

– Roo... Rozumiem – zająkał się von Hardenburg. – To co mam mu właściwie powiedzieć, panie kontradmirałe?

Canaris sapnął gniewnie.

– Spieprzaj z Wrocławia. To ma pan powiedzieć. A kiedy się będzie rzucał, może pan dodać: ważniejszy jest dla nas Cyceron niż podstarzały

Romeo. Będzie miał o czym myśleć. – Szef Abwehry chciał odłożyć słuchawkę, ale się zawahał. – Albo nie. Niech mu pan tego nie mówi. On jest filologiem i może próbować dociec prawdy...

Wtedy dopiero się rozłączył.

* * *

ZANIM AURELIA TEICHERT ZOSTAŁA WYWIEZIONA DO LASU, minęło osiem godzin. Tyle czasu bowiem zajęło Zwolickiemu wykonanie poleceń swego szefa oraz podróż w obie strony do podwarszawskiego Lasu Młochowskiego z jednym przystankiem – w Milanówku.

Kiedy Henryk wrócił do Żyrardowa, ciężko pobita Ormianka leżała w letargu, z którego wybudzały ją na kilka sekund krótkie, lecz intensywne paroksyzmy.

– Spała i drżała – tak skomentował tę sytuację kapitan Pilichowski. – No, dawaj, Heniu, usypiacz i wieziemy ją na Pola Elizejskie.

Zwolicki przyłożył do jej nosa chusteczkę nasączoną chloroformem. Kończyny kobiety przestały drgać. Mięśnie się rozluźniły.

Wieczorem, gdy wynosili ją zawiniętą w dywan, robotnicy drugiej zmiany w przędzalni Towarzystwa Zakładów Żyrardowskich skończyli już swoją pracę. Fabryka była pusta i cicha.

Żaden z konserwatorów maszyn krzątających się wtedy z oliwiarkami nie zwrócił uwagi na dwóch różnych wzrostem i posturą mężczyzn, którzy wnieśli dywan do chevroleta stojącego na fabrycznym podwórzu. Strażnik przy bramie nawet nie widział dobrze w ciemności, czy jest to dywan czy może jakaś bela materiału. Poza tym dostał polecenie od dyrektora Boussaka, aby nie zabawiać się w śledczego i nie wnikać, co też robi ów wysoki szpakowaty pan, o którym dyrektor mawiał *mon cher ami*.

Dochodziła ósma wieczór, kiedy Zwolicki zapuścił silnik. Czuł się znacznie spokojniejszy niż kilka godzin wcześniej, gdy jechał wykonać rozkazy kapitana. Wtedy nie miał pewności, czy trasa będzie przejezdna, teraz już uzyskał odpowiedź twierdzącą na to pytanie. Warunki drogowe okazały się dalekie od wymarzonych – w końcu była połowa lutego – ale nie groziło im największe utrapienie zimowych kierowców, a mianowicie zasy i zwały śniegu, w które zapadały się automobilowe koła. Za to na trasie czaiło się sporo niebezpiecznych miejsc, zwłaszcza zakrętów grożących poślizgiem i wypadnięciem w szczerę pole.

Po godzinie jazdy, gdzieś pomiędzy Milanówkiem a Podkową Leśną, Pilichowski wspaniałomyślnie zmienił za kierownicą zmęczonego nieludzko Zwolickiego. Kapitan, widząc, że warunki jazdy są trudne, kierował ostrożnie i słuchał ostrzeżeń swego „Zwolisia”.

Po dwóch godzinach jazdy w ciemności szosami i drogami o śliskiej nawierzchni mięśnie Pilichowskiego były już mocno napięte. Kiedy minęli w końcu wieś Żółwin i wjechali w gęsty Las Młochowski, kierowca zwolnił, a Zwolicki przykleił twarz do szyby. Liczył boczne dukty i w świetle reflektorów wypatrywał starej, poszarpanej białej koszuli, którą żyłką wędkarską przywiązał dzisiaj do pnia sosny.

– O, jest! – zawołał. – Niech pan kapitan skręci w lewo, za tym drzewem z białą szmatą! Tylko powoli, ostrzegam. Tam dziury!

Kapitan poszedł za tą wskazówką i po sekundzie poczuł, jak podwozie szoruje po nierówności terenu.

– Tu! – Zwolicki wskazał przerwę pomiędzy dwoma dębami. – To tutaj! To dwa kroki stąd!

Chevrolet zahamował gwałtownie, szarpnięcie obudziło Aurelię. Otworzyła oczy. Wrażenia zmysłowe, które odczuła, były nader

nieprzyjemne – szorstka powierzchnia dywanu pocierała boleśnie zraniony kastetem policzek, a srogie zimno przenikało ją do kości.

Poruszyła rękami i nogami. Bolały, ale nie była to boleść przetrąconej kończyny. Zaczerpnęła tchu ze świstem i wtedy dopiero poczuła kłujący potworny ból pod prawą pierśią.

– Pomocy. – Wypowiedziała to słowo spierzchniętymi ustami i zduszonym głosem. – Błagam. Żebro mam złamane.

Usłyszała trzask otwieranych drzwi, mroźny powiew powietrza i szum drzew nad sobą. To wszystko – w połączeniu ze słodką wonią chloroformu – mówiło jej: „Uśpili mnie i wywieźli gdzieś do lasu”.

– Po co? Po co? – szeptała.

Po chwili poznała odpowiedź na to pytanie.

– Nie wyciągaj jej z dywanu, mój mały – doszedł do niej głęboki, niski głos kompozytora sadysty. – Wymacamy, gdzie ma głowę, i tam strzelisz. Nie lubię, gdy mózg wokół się rozpryska!

Usłyszała to – ten sześćoakcentowiec z pierwszą i piątą sylabą akcentowaną. „... wokół się rozpryska”.

Poczuła, jak się wzmaga silny mroźny podmuch. Zawyla z bólu, gdy ktoś szarpnął i wysunął wraz z nią z auta ten owijający ją, wstrętny śmierdzący czymś dywan, który drapał jej delikatną skórę.

– Proszę, nie! – krzyknęła.

Nie potrafiłaby odpowiedzieć, czy owo „nie” to była prośba o darowanie życia czy też protest przeciwko bezceremonialnemu, brutalnemu potraktowaniu jej jak worka ziemniaków, którym można miotać na wszystkie strony.

– Ratunku! – Z jej ust wydobył się jęk bólu, a oczy zasnuł na chwilę mrok, gdy mocno uderzyła o ziemię.

Ocknęła się po sekundzie, gdy czyjaś wielka łapa zaczęła macać dywan w poszukiwaniu jej głowy.

– Wal tutaj, Zwolisiu – padło polecenie, a potem rozległo się pogardliwe prychnięcie. – Tutaj ma łeb ta mistrzyni klawiatury.

Usłyszała szcęk zamka. Poczuła, jak jakiś twardy przedmiot przez warstwę dywanu naciska na jej skroń.

– Nie możesz? – roześmiał się wesoło rozkazodawca. – Sumienie ci nie pozwala? No cóż... W takim razie podzielisz jej los. Już dawno zresztą straciłem do ciebie zaufanie.

Usłyszała szcęk drugiego pistoletu. A potem przeraźliwy krzyk.

– Daruj, kapitanie!

Zwolicki wołał żałośnie i powtarzał tę frazę. W ucho kompozytora wpadł znany zestrój akcentuacyjny: daruj, kapitanie.

„Czyżby Henio nagle zaczął rytmicznie mówić – pomyślał. – A może to było... Hasło?”

W tej chwili nagłego zastanowienia, w momencie bezruchu Pilichowskiego analizującego w ułamkach sekund nietypowy rytm, wdarł się potężny wrzask i oślepiające światło reflektorów.

– Stój, bo strzelam! – darło się kilku mężczyzn z kilku różnych stron.

Pilichowski, oślepiony światłem dwóch samochodów, opuścił dłoń z pistoletem i rozglądał się bezradnie. Nad rozjarzonymi ślepiami aut widział tylko szumiące ponuro korony drzew. Szarpał nimi silny wiatr, strzepując śnieżny pył.

Wtedy w krąg światła wszedł szczupły mężczyzna średniego wzrostu i uchylił kapelusza.

– Dobry wieczór, panie kapitanie! – rzucił. – A może, agencie Cynceron?

– Pan pułkownik Englisch... – szepnął Pilichowski.

Szef polskiego wywiadu skinął na swych ludzi.

– Zabrać tę panią do auta! – zawołał. – A ty rzuć broń! Natychmiast!

Browning wysunął się z dłoni Pilichowskiego. Przez zasy przepchnęli się do niego dwaj potężni mężczyźni. Chwycili go za przeguby. Szczęknęły kajdanki.

Czterej ich koledzy zaczęli delikatnie rozwijać na śniegu dywan. Spojrzeli ze współczuciem na kobietę, która – sina z zimna i jęcząca z bólu – podciągnęła kolana pod brodę, jak dziecko, z którego nagle zdarto kołdrę. Na komendę szarpnęli dywanem do góry i ponieśli zmaltretowaną Aurelię w stronę światła.

Jeden z tych, którzy zakuli Pilichowskiego w kajdanki, pchnął go mocno w ramię.

– No! Idziemy, ptaszku! Do drugiego auta! Ale już!

Pułkownik położył dłoń na ramieniu Henryka.

– Dobrze się pan spisał, Zwolicki. Pańska droga matka, pani Gertruda, będzie miała opłacony pobyt u jadwiżanek w Katowicach przez ten rok, góra dwa, kiedy pan trafi do lekkiego więzienia...

Zwolicki spojrzał w oczy Englischowi.

– Do więzienia? – zapytał przerażony. – Nie tak miało być, panie pułkowniku. Inaczej mi pan mówił w swoim domu... No dziś! W Milanówku...

– A woli pan przed pluton egzekucyjny jak ten zdrajca? – Pułkownik wskazał głową Pilichowskiego, którego dwaj krzepcy ludzie wpychali do samochodu.

– To będzie tylko lekki klaps, musimy dać panu lekkiego klapsa – usprawiedliwił się szef Dwójki. – To raczej będzie rok, nie dwa, zapewniam. I ani Święty Krzyż, ani Bereza.

Zwolicki pokornie spuścił głowę, jakby dziękował za ten niewielki wymiar kary.

– Nie chcę przed pluton – odparł i sięgnął za pazuchę płaszcza. – To jest list od pani Aurelii Teichert do pana Herberta Reiterera...

Englisch uniósł brwi w zdumieniu.

– Do kogo niby?

– No, do tego pańskiego człowieka, panie pułkowniku, co działał u mnie we Wrocławiu – wyjaśnił Zwolicki. – Przekazuję gorącą prośbę w imieniu Aurelii. Ja go raczej za kratkami nie spotkam, a pan pułkownik... Na pewno wie, kto zacz i gdzie on teraz. Przepraszam, że robię z pana pułkownika posłańca, ale bardzo lubię i szanuję tę nieszczęsną kobietę. To ona sprawiła, że zatelefonowałem do pana pułkownika z żyrdowskiej poczty. Błagam w jej imieniu.

Jerzy Englisch wziął od niego kopertę.

– No dobrze, chociaż tak się jej odwdzięczę za zbawienny wpływ, jaki miała na pana. – Spojrzał na Aurelię, gdy czterej ludzie wciągali ją z dywanem do ambulansu ozdobionego czerwonym krzyżem.

Porywisty wiatr sypnął śniegiem. Englisch podniósł kołnierz płaszcza.

– Gruba ta koperta... – Włożył ją za pazuchę.

Wtedy przyszła mu do głowy myśl natury ogólnej.

– Cóż to za ród, te niewiasty – mruknął do siebie. – Omal ducha nie wyzionęła, była katowana, ale pamiętała, by ukochanemu list miłosny napisać. Twarda sztuka i w dodatku poliglotka. Przydałaby się nam taka w Dwójce.

[81] Kości zostały rzucone (łac.). Zdanie to wypowiedział Cezar, przekraczając Rubikon.

[82] Obecnie park Stanisława Tołpy.

[83] Radość z cudzej szkody (niem.).

[84] Obecnie ul. Widok.

[85] Obecnie ul. Wyszyńskiego.

[86] Siedziba Abwehry wedle wrocławskiej miejskiej legendy mieściła się przy ul. Leona Popielskiego na Księżu Małym. Autorowi nie udało się jej zlokalizować.

[87] Obecnie ul. Reja.

[88] Umów należy dotrzymywać (łac.).

EDWARD POPIELSKI SIEDZIAŁ W SWOIM POKOJU w pensjonacie pani Kuschmider przy Hedwigstrasse^[89] 36, wypalał papierosa za papierosem i usiłował zająć myśli szachami, co zawsze, nawet w najcięższych chwilach, odrywało go od zgryzot.

Choćby to była tylko namiastka prawdziwej gry – bo rozgrywana bez przeciwnika, z samym sobą – choćby dawała krótkie jedynie wytchnienie, choćby powrót do czarnych myśli następował później ze zdwojoną mocą, to i tak Popielski kochał te krótkie chwile, gdy mógł przebywać w jasnym, krystalicznym świecie logiki, zamiast nurzać się we własnych ciemnych emocjach. Gdy mógł trenować cnotę cierpliwości, zamiast pogrążyć się w niepokojach zmieszanych z głupawą nadzieją. A teraz cierpliwość szczególnie była mu potrzebna, gdy czekał na wiadomość o Aurelii, czyli na spłatę zobowiązań Niemców za wydanie im bandy rzekomego Czarnego Barta.

Rozłożył metalowe szachy magnetyczne, jakie był kupił niedawno w Bydgoszczy, i rozstawił pionki oraz figury. Odtwarzając z pamięci słynną partię wrocławianina Adolfa Andersseną rozgrywaną przeciw Wilhelmowi Steinitzowi, zwaną też „wiecznozieloną”, wypędził ze swego umysłu wszelkie udręczenia. Pozostały w nim tylko szachowe posunięcia arcymistrzów, ich ofiarne gambity i podstępne ataki.

Nagle ciszę mieszkania rozciął trzykrotny dzwonek u drzwi. Edward wstał gwałtownie, ale nie wyszedł z pokoju. Wiedział, że dla uniknięcia ciekawskich sąsiadów i podejrzliwych dozorców otwieranie drzwi musi pozostawić pani Kuschmider.

Po kilku sekundach usłyszał pieszczotliwe uspokajanie kocurów i szuranie kapci swej gospodyni po płytkach przedpokoju. Edward uchylił lekko drzwi i usłyszał szcęk zamka, a potem wysoki głos von Hardenburga.

„Niemiec dotrzymał słowa – pomyślał z ulgą – zaraz się dowiem wszystkiego. Zaraz zaświecą dla mnie złote słońca”.

Po tym jak przysłała mu do głowy ta Katullusowa fraza, przypomniał sobie, iż cały wiersz, którego była częścią, nie był bynajmniej optymistyczny, lecz raczej pełen spokojnej rezygnacji.

Potrząsnął głową i odpędził tę myśl. Nie chciał teraz pamiętać gorzkiego kontekstu utworu i przedstawionego tam stanu umysłu jego autora, który – porzucony przez kochankę – na przemian pocieszał się i ubolewał nad swą podeptaną miłością słowami: „nieszczęsny Katullu, świeciły dla ciebie niegdyś złote słońca”.

W przedpokoju rozległy się kroki. Nie było to jednak szuranie kapciami przez panią Kuschmider, nie były to też uderzenia obcasami przez pojedynczego człowieka. Był to łoskot buciorów. Ludzi, idących w stronę jego pokoju, było więcej.

Otworzył drzwi na oścież. W słabym świetle wiszących w przedpokoju kinkietów ujrzał von Hardenburga. Był on ubrany w futro i w melonik. Dwaj ludzie obok niego mieli na sobie zwykłe płaszcze, mocno napięte na ramionach. Jeden z nich, którego Edward już widział był na basenie, trzymał w ręku coś, co raczej nie przypominało powitalnego bukietu kwiatów – podłużny przedmiot, zapewne drewniana pałka. Cała ta scena nie kojarzyła się z blaskiem złotych słońc.

– Oznajmiam panu, Popielski, iż jest pan *persona non grata* na terenie Niemiec – rzekł von Hardenburg.

Jeden z towarzyszących mu ludzi z drwiącym uśmiechem uniósł kajdanki. Zabrzęczały ponuro.

– Schowaj to! – ofuknął go von Hardenburg. – Ten pan jest dżentelmenem i dyplomatą z tytułem naukowym doktora. Waszym zadaniem jest odwieźć pana doktora Popielskiego na dworzec i asystować mu, gdy będzie wsiadał do pociągu. Zrozumiano?

– Tak jest! – krzyknęli równocześnie obaj jego ludzie.

„Büttner mnie wydał – pomyślał Popielski – przycisnęli go i pękł”.

Wyprostował się i spiorunował wzrokiem funkcjonariusza Abwehry.

– Tak mi się odwdzięczasz? – zapytał ostro. – Dałem ci na tacy jednego z najbardziej poszukiwanych bandytów, a ty po prostu każesz mi się stąd wynosić? To właśnie tak, w ten sposób ty, człowiek honoru, dotrzymujesz umów? Uwierz mi, że porzuciłbym bez żalu to brudne, zadymione miasto! Zrobiłbym to ulgą, bo smrodu nie znoszę! Ale nie dostałem tego, po co tu przyjechałem, bo ty nie dotrzymałeś słowa! Pytam więc: gdzie Aurelia? Gdzie ona?! No! Słucham! Jaką wiadomość przynosisz mi o tej pani? Żadną? A co na to twój oficerski honor? Nie buntuje się? Ten twój monokl nie paruje ci teraz ze wstydu, ty Prusaku?

Te słowa musiały dotknąć von Hardenburga. Otarł z potu czoło, a potem rzeczony monokl z pary. Spojrzał na jednego ze swoich pretorianów.

– Zakuć go! Już nie jest dżentelmen!

– No! Rączki! Rączki! – Ten z kajdankami zadzwonił nimi Popielskiemu przed nosem.

Von Hardenburg nieoczekiwanie zmienił decyzję. Powstrzymał go.

– Albo nie! Niech się najpierw spakuje. No! Pakujesz się, Popielski, czy chcesz jechać do Polski w tej nędznej bonzurce?

– A co pan chce od tej bonzurki?! – krzyknęła nagle pani Kuschmider, przysłuchująca się tej wymianie zdań i tuląca do serca kocura. – To

porządna bonzurka! Po moim świętej pamięci Reinholdzie!

Von Hardenburg rozejrzał się wokół bezradnie. Wszyscy patrzyli na niego z niechęcią. Sprzeczne polecenia nie zyskały mu szacunku u podwładnych, skrytykowanie męzowskiego szlafroka – u gospodyni tego lokum.

Popielski nie dbał o uczucia Niemca. Wszedł do pokoju. Jego twarz płonęła, w głowie waliły młoty.

„Zostałem zdradzony przez Żychonia – myślał. – Wykonałem tajną robotę, podrzuciłem Niemcom na pożarcie jakichś jego wrogów. I na tym moja misja, kolejna nieudana, już się wyczerpała. Wracam do Polski, a tam będzie czekał na mnie prokurator wojskowy Longin Sokólski, który na powitanie zapyta mnie: no i co, Popielski? Oczyścił się pan z zarzutów o współpracę z Niemcami? Bo jeśli nie, to witamy w Berezie Kartuskiej”.

Zaczął zestawiać figury z magnetycznej szachownicy.

Wtedy usłyszał za sobą kroki von Hardenburga. Odwrócił się. Kapitanowi przez twarz przebiegały nerwowe tiki.

– Ma pan rację – szepnął, nie patrząc Popielskiemu w oczy. – Nie dotrzymałem słowa. Mój honor został podeptany przez kontradmirała Canarisa. Kazał mi pana wyrzucić z Niemiec. Wykonuję jego rozkaz! A może uważa pan, że powinienem był odmówić szefowi niemieckiego wywiadu i podać się do dymisji? Mogę powiedzieć panu tylko jedno słowo: przepraszam.

Edward uśmiechnął się szyderczo.

– Mam panu pomóc w tym hamletyzowaniu? Zostać duchowym powiernikiem? Rozwiązywać moralne dylematy? Zapewniam, że pańskie wyrzuty sumienia się ulotnią, gdy będzie pan wypinał pierś po medal za złapanie Czarnego Barta! Co pana będzie wówczas obchodziło, że jakiś Polak, który go panu dał w prezencie, gnije w więzieniu?

Von Hardenburg wcisnął monokl w oczodół. Jego oblicze było teraz nieporuszone – jakby skute lodem. Zamknął drzwi od wewnątrz i stanął bardzo blisko Edwarda. Twarzą w twarz.

– To świat kłamstwa, panie kapitanie Popielski – rzekł powoli. – To świat bez otwartych przyłbic. A moi przodkowie od czasów krzyżackich walczyli zawsze z otwartą przyłbicą! Powiem coś panu. Coś, co pozwoli i mnie częściowo ją otworzyć.

Pochylił się ku Edwardowi tak blisko, że ten poczuł jego nikotynowy oddech i odsunął się z niechęcią.

– Tu gra się toczy o coś więcej, panie kapitanie, niż o Czarnego Barta! – powiedział Niemiec. – Nie wiem o co, ale powiem panu coś, co mi choć na chwilę pozwoli zachować resztki honoru w tym świecie kłamstwa. Bo czymś jednak się panu odwdzięczę... – Zawahał się. – Canaris nie udzielił mi żadnej informacji o pani Aurelii Teichert. Kiedy się dopytywałem uparcie o to, co mam panu powiedzieć... Kiedy oponowałem, że to nie *fair* wobec pana tak po prostu wyrzucić go bez dotrzymania umowy, mój szef odrzekł mianowicie, że mogę pana poinformować... To są jego słowa: „Ważniejszy jest dla nas Cynceron niż podstarzały Romeo”. Po kilku sekundach się rozmyślił i zakazał mi podawania panu tego dziwnego uzasadnienia. Uznał, że pan jako filolog może dowiedzieć się z tych słów zbyt wiele. – Otarł pot z czoła. – A ja ten zakaz Canarisa teraz łamię! – krzyknął. – Bo jeśli bym tego nie zrobił, to musiałbym wrócić dzisiaj do domu i rzucić ze ścian w salonie wszystkie te wizerunki moich przodków! Bo nie mógłbym w oczy im spojrzeć!

– Kim jest Cynceron? – warknął Popielski. – Jeśli mi pan to powie, von Hardenburg, to choć częściowo pan zmaże swoje wiarołomstwo.

– Nie mam pojęcia! – krzyknął Niemiec.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł do przedpokoju. Kazał swym ludziom zakończyć na dzisiaj służbę.

Popielski po dwóch kwadransach był gotów. Pożegnał panią Kuschmider, jej kocury i pamiątki po Reinholdzie, który bił Polaków w czasie trzeciego powstania śląskiego. Mimo protestów von Hardenburg stał się przez chwilę osobistym tragarzem Popielskiego. Wziął jego podróżny sakwojaż i własnoręcznie zaniósł do swego samochodu marki Horch. To była kolejna, druga, próba walki z wyrzutami sumienia.

Następnej już nie było. Von Hardenburg odwiózł niemile widzianą osobę na Dworzec Główny i czekał do północy, aż Polak wsiądzie do nocnego pociągu do Gdańska. Przez Zduny i Krotoszyn.

Nie podał mu ręki. Wiedział, że i tak byłaby odtrącona.

Przez te kilka godzin obaj mężczyźni nie zamienili ze sobą ani słowa.

* * *

POPIELSKI WRACAŁ DO POLSKI na koszt niemieckiego podatnika. Łaskawość finansowa tegoż ograniczała się jednak do wagonu klasy trzeciej oraz do krótkiego odcinka trasy – jedynie do granicznej stacji Zduny.

I pierwszy, i drugi warunek Edward przyjął ze stoickim spokojem. Miał pieniądze i mógł zapłacić i za lepszą klasę kolejową, i za dłuższą trasę – na przykład do Bydgoszczy. Musiałby jednak wtedy porozmawiać z von Hardenburgiem, na co nie miał najmniejszej ochoty. Choć Niemiec pokajał się i przeprosił za niedotrzymanie umowy, to i tak każda chwila rozmowy z nim, a nawet sam jego widok były dla Edwarda zbyt irytujące.

Klasa trzecia pociągu do Zdun też nie budziła protestów Popielskiego, ponieważ był pewien, że nigdzie dalej już nie pojedzie. O jego statusie określonym jako *persona non grata* zostały już z pewnością powiadomione

władze polskie – co do tego był głęboko przekonany – i zaraz nastąpi powtórka ciągu niedawnych zdarzeń: aresztowanie w Zdunach, przewiezienie do Krotoszyna, a potem do Poznania przed oblicze prokuratora wojskowego Sokólskiego albo szefa Samodzielnego Referatu Informacyjnego przy Dowództwie Okręgu Korpusu nr VII w Poznaniu kapitana Lewcia, który na prośbę o skontaktowanie więźnia z kapitanem Żychoniem znów pokręci głową i powie: „Żychoń? Nie znam. Zupełnie nie znam”.

Popielski zdawał sobie sprawę, że do ojczyzny wraca na tarczy i że tam czekają nań funkcjonariusze Służby Więziennej, a może – już niedługo – nawet pluton egzekucyjny. Pocieszał się, że ta druga straszliwa ewentualność mogłaby zajść tylko wtedy, gdyby von Hardenburg „życzliwie” poinformował Dwójkę o tym, że Popielski działał w interesie Abwehry i że pomógł niemieckiemu wywiadowi pozyskać agenta w polskim konsulacie. Owszem, Niemiec mógłby o tym powiadomić swych polskich odpowiedników, ale chyba tylko wtedy, gdyby chciał się zemścić na Popielskim albo zniszczyć go z jakichś innych powodów. Byłby to jednak niepotrzebny akt destrukcji dokonany na kimś, kto i tak przegrał – okrutne kopanie leżącego. O takie zachowania von Hardenburga mimo wszystko Edward nie posądzał, choć zdawał sobie sprawę, że kiedyś Abwehra może go zacząć szantażować i zmusić do współpracy na „lwowskim froncie ukraińskim”.

Trzeba jednak przyznać, że nie znał wszystkich okoliczności tej tajemniczej gry, która się toczy o „wyższą stawkę niż Czarny Bart” i gdzie za sznurki pociąga ponura postać Canarisa, który jak się okazało, starorzymskiej zasady *pacta sunt servanda* wcale nie uważa za nienaruszalną.

„Mogę ufać Monoklowi i mogę wierzyć w jego opowiadania o rycerskich przodkach i ich otwartych przyłbicach, ale moje zaufanie i wiara mają swoje granice – myślał. – Wystarczy bowiem jedno słowo Canarisa i von Hardenburg schowa do kieszeni wszystkie swoje skrupuły. A kiedy informacja o mojej usłudze wobec Abwehry dojdzie do Sokólskiego, ten na pewno nie spocznie, dopóki mnie nie zobaczy przed lufami plutonu egzekucyjnego”.

Te niewesołe refleksje snuł teraz, tłukąc się wagonem klasy trzeciej pociągu międzynarodowego. Wytarłszy dokładnie chusteczką twardą drewnianą ławkę, zapadał co chwila w męczący sen, w którym nieustannie pojawiały się Leokadia i Rita.

Niewiasty jego życia, jak je zawsze w duchu określał, kiwały się w tym śnie na boki, dłońmi zakrywały oczy i zawodziły żałośnie. Choć Edward nie wierzył w sny prorocze, przygnębiał go jednak widok płaczącej Leokadii, w której oczach łzy widział zaledwie raz czy dwa przez całe ich wspólne życie. Boleść wypisana na twarzy córki, którą – siedząc w więzieniu – pozbawi środków do życia i skaze na nędzne bytowanie, wzmacniała jeszcze owo udrczenie.

I w takiej malignie dojechał do granicznej stacji Zduny. Tam pociąg zatrzymał się na dłużej, a polska i niemiecka straż graniczna legitymowała podróżnych i sprawdzała ich ewentualne przemytnicze zamiary.

I jedni, i drudzy pogranicznicy wylegitymowali Edwarda, zgodnie okazując zdziwienie, iż tak dobrze ubrany pan zajmuje miejsce w trzeciej klasie, pomiędzy jakąś babą wiozącą żywą gęś a pijanym jegomościem, z którym trudno się było porozumieć, wobec czego został bezceremonialnie usunięty z pociągu.

Jeden z Polaków przedstawił Edwardowi alternatywę:

– Albo szanowny pan wysiada tutaj, w Zdunach, albo jedzie do Krotoszyna czy gdzie pan tam chce. Tyle że bilet na dalszą podróż trzeba kupić, bo ten tylko do Zdun! I klasę radzę zmienić, bo we Wolenicach i w Koźminie to dopiero tu hołoty nawali, co to na targ do Jarocina.

I wtedy w głowie Edwarda rozbłysła radosna myśl i nagła nadzieja.

„Nikt tu na mnie nie czeka, nikt nie chce mnie zaaresztować”.

Uniesiony tą konstatacją, poszedł za radą pogranicznika i szybko odnalazł kierownika pociągu. Kiedy stanął przed umundurowanym funkcjonariuszem, który swą tuszą zajmował pół przedziału służbowego, został zapytany, do „jakiej to mianowicie stacji szanowny pan pojechać sobie winszuje”.

– Do Warszawy! – odparł.

– Dobrze – sapnął otyły kolejarz, po czym wyjął wieczne pióro i stosowne urzędowe bloczki. – Z jedną przesiadką to będzie... We Wrześni. Ale ja już tutaj wszystkie bilety wypiszę.

Cel swojej dalszej podróży Popielski ustalił był wtedy, gdy przeciskał się korytarzami w poszukiwaniu przedziału służbowego.

„Jeśli jeszcze Sokólski i inni równie przyjemni panowie mnie nie poszukują – myślał wtedy gorączkowo – to znaczy, że Niemcy nie powiadomili naszych służb, iż mnie od siebie wyrzucają. Wkrótce zapewne to uczynią i moje mieszkanie we Lwowie będzie pierwszym miejscem, gdzie mnie powitają żandarmi albo policjanci. Lwów jest zatem wykluczony”.

Wyeliminował zatem ze swych najbliższych planów „wrota Wschodu” – mimo że ukochane miasto, a zwłaszcza dwie ukochane jego mieszkanki wzywały go z utęsknieniem.

Drugi wybór – Bydgoszcz – był również niezbyt bezpiecznym celem jego podróży. Edward nie ufał Żychoniowi i w duchu oskarżał o zdradzenie

agenta Götza. Był święcie przekonany, iż Janio go bezczelnie wykorzystał przy załatwianiu jakichś swoich tajemniczych, ciemnych sprawek i porzucił na pastwę Niemców.

„Jeśli nie Lwów – myślał Edward – i nie Bydgoszcz, to pozostaje mi tylko jedno miasto i jeden tylko człowiek, który jest dla mnie ratunkiem”.

Tym miastem była stolica, a nazwisko ewentualnego zbawiciela znało każde dziecko w Rzeczypospolitej.

* * *

ADIUTANT MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO kapitan Mieczysław Lepecki jak zawsze z wielką atencją przyjął Popielskiego w swym gabinecie w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych przy Alejach Ujazdowskich 3. Widząc, jak człowiekowi, który niegdyś ocalił ukochanemu Marszałkowi życie^[90], zamykają się ze zmęczenia powieki, nakazał natychmiast jednemu ze swoich podoficerów przynieść z kantyny kawy oraz kanapek.

Kiedy już Edward pokrzepił swoje ciało pajdą chleba z szynką i sałatką warzywną z majonezem, a umysł kawą i papierosem, opowiedział Lepeckiemu wszystko *ab ovo* – od momentu pierwszego spotkania z Żychoniem oraz z Aurelią Teichert aż do prowokacji, jakiej się dopuścił wobec Abwehry. Nie przemilczał ani swego romansu z pianistką, ani taktycznego oczernienia Kozubskiego, ani mizernych skutków swego działania. Wyznał wszystko jak na spowiedzi. Nieustannie wracał przy tym do „nikczemnych oskarżeń” o współpracę z niemieckim wywiadem oraz bił się w pierś, zapewniając o swej niewinności.

Lepecki nie podawał w wątpliwość słów człowieka, którego Marszałek dobrze pamiętał i pieszczotliwie nazywał „moim łyskiem”. Był jednak doświadczonym oficerem sztabowym i wiedział, że ludzie się zmieniają,

a nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Sam nie mógł oczywiście w sprawie Popielskiego podjąć żadnej decyzji, a opowiadanie ciężko choremu Piłsudskiemu tej całej skomplikowanej historii wymagało czasu.

Wysłuchawszy długiego raportu, kapitan milczał przez dobrą minutę, pocierając swój podbródek z wyraźnym dołkiem. Jego szczerą chłopską szeroką twarz uwieńczoną nad czołem falą gęstej fryzury, już to tchnęła ufnością wobec Popielskiego, już to kurczyła się w grymasie wyraźnego zakłopotania. Zabębnił w końcu palcami po blacie i rzekł:

– Proszę mi to wszystko napisać, panie kapitanie, w formie raportu. Krótko i treściwie. Nie mogę oczywiście pana zapewnić, że Marszałek to przeczyta szybko, sam pan rozumie... Jego stan jest ciężki. Ale jedno obiecuję. Położę mu pański raport na biurku w gabinecie domowym, nie w służbowym. I dopilnuję, aby przeczytał. Tylko tyle mogę obiecać.

Urwał. Jego twarz wyrażała teraz znacznie większe zakłopotanie.

– Jest jeszcze coś. Do czasu decyzji Marszałka będzie pan kapitan mieszkał w pokoju gościnnym na terenie inspektoratu. Ufam, że jest pan niewinny, ale moje doświadczenie nie pozwala mi niczego przyjmować na wiarę. Dlatego proszę pana o oficerskie słowo honoru, że nie opuści pan swojej kwatery dopóty, dopóki Marszałek panu na to nie pozwoli, przekazując swą wolę moimi ustami. Niech pan przysięgnie, że nie będzie pan przyjmował odwiedzin ani nigdzie telefonował, nawet do swoich najbliższych. Proszę o powtórzenie tych zobowiązań!

Popielski uczynił to, co mu Lepecki polecił, po czym swoje obietnice zakończył gromkim:

– Słowo oficera Wojska Polskiego i komisarza Policji Państwowej! Tak mi dopomóż Bóg!

Adiutant Marszałka wstał i zaprowadził Edwarda do pokoju gościnnego, przypominającego celę klasztorną – ze względu na swoją

wąskość oraz na potężny krucyfiks nad drzwiami.

Urządzenie tego miejsca było nader ascetycznie. Stały tu najpotrzebniejsze tylko sprzęty: żelazne łóżko, krzesło i mały stolik. Za szafę służył żelazny, poobijany nieco szpitalny wieszak w rogu, a jedynym tutaj luksusem przypominającym, iż człowiek poza obowiązkami służbowymi i potrzebami religijnymi ma jakieś jeszcze doczesne, było niewielkie lustro z żelazną półką.

Lepecki przed pożegnaniem Edwarda przypomniał mu raz jeszcze jego zobowiązania, dodając, iż gość może opuścić pokój w dwóch tylko wypadkach: aby przybyć do gabinetu adiutanta albo aby spełnić naturalną potrzebę – i tu wskazał na właściwe miejsce na końcu korytarza.

Rozstali się, Popielski został sam. I tak w samotności minęły mu dwie doby, które właściwie przespał i przeleżał. Choć sny były pełne koszmarów i wybudzeń, to mimo wszystko ten odpoczynek przyniósł jego organizmowi potrzebne wytchnienie i psychiczną regenerację.

W wolnych od snu chwilach rozgrywał różne, znane na pamięć partie szachowe albo też leżał na wznak, wpatrywał się w sufit i oddawał się niewesołym rozmyśleniom.

Wciąż uparcie wracał do wyjaśnienia, jakie Canaris przedstawił von Hardenburgowi: „Ważniejszy jest dla nas Cycleron niż podstarzały Romeo”.

Analizowanie słów szefa niemieckiego wywiadu było czynnością frustrującą i bezowocną, bo do żadnych ustaleń nie prowadziło. O ile było całkiem jasne, iż określenie „podstarzały Romeo” odnosi się do niego samego, o tyle wciąż nieodgadnioną pozostawała zagadka, kim jest wspomniany Cycleron. Aby sprawdzić, jakiego agenta określa imię wielkiego rzymskiego mówcy – bo że jakiegoś agenta, w to Popielski nie wątpił – trzeba by było mieć dostęp do archiwum niemieckich służb

wywiadowczych i tam przeglądać je długo i żmudnie w poszukiwaniu tego pseudonimu.

Nie pozostało mu zatem nic innego, jak porzucić te rozważania, które wobec braku jakichkolwiek danych i jakichkolwiek narzędzi przypominały równie jałowe czynności poznawcze jak na przykład dociekanie, ile kraterów jest po ciemnej stronie Księżyca.

Nastrój poprawił mu się znacznie, kiedy dwa dni później kapitan Lepecki przyszedł do jego kwatery.

– Ma pan szczęście – powiedział. – Marszałek przeczytał pański raport i bardzo się nim przejął. Mówiąc krótko, wściekł się. Wysłał mnie do biura pułkownika Englischa z ustnym poleceniem. Brzmiało ono tak: „Daję panu tydzień, panie pułkowniku, na wyjaśnienie tej godnej ubolewania sprawy. Albo ją pan zamyka w ciągu tygodnia, albo dostarcza mi pan dowody na działalność agenturalną kapitana Popielskiego. Chcę je poznać osobiście i z pierwszej ręki”. Marszałek kazał mi kilkakrotnie powtórzyć Englichowi słowo „osobiście”. Jeśli jest pan niewinny, w co ja nie wątpię, to wśród podwładnych Englischa spadnie kilka głów, a i jego awans do Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych może stać pod dużym znakiem zapytania. Wydaje się, że ciemne chmury nad pańską głową już się powoli rozwiewają. To wszystko, panie kapitanie, proszę jeszcze ten tydzień wytrzymać.

Wypowiedziawszy te słowa, Lepecki rozejrzał się po kwaterze Popielskiego, zatrzymując wzrok na szachownicy. W jego głosie zabrzmiało współczucie.

– Może przynieść panu coś do czytania? Jakies gazety? Musi się pan strasznie nudzić w tej celi. Szachy wystarczają?

Nagle uderzył się w czoło otwartą dłonią.

– Naturalnie! – zawołał. – Zapomniałbym! Całkiem bym zapomniał!

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni munduru.

– Oczywiście! Mam coś dla pana. Englisch po wysłuchaniu polecenia Marszałka kazał panu oddać ten oto list. Uprzejmie prosił, abym powiadomił o tym mojego szefa jako o jego goście dobrej woli wobec pana.

Popielski nie słyszał ostatnich słów. Chwycił nerwowo wręczaną mu grubą kopertę. Była otwarta, lecz nie rozdarta. Nie zaglądając do zawartości, spojrzął na Lepeckiego. Ten zrozumiał w mig to nieme zapytanie.

– Pułkownik zapewniał mnie, że w takiej formie ów list dostał od pewnej damy. Jako człowiek honoru, szanujący prywatność korespondencji, nawet do niej nie zajrzał.

– Sami ludzie honoru w tych służbach wywiadowczych – szepnął Popielski.

– Słucham? Co pan mówił? Nie dosłyszałem...

– Tylko tyle, że bardzo dziękuję, panie kapitanie!

Zaczął czytać list zaczynający się od słów: „Kocham Pana!”. Usiadł ciężko na łóżku. Jego twarz oblała się purpurą.

– Jest pan bardzo uprzejmy, panie kapitanie – słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. – Ale nie potrzebuję już żadnej innej lektury.

* * *

Kocham Pana! Zakładam, że jest Pan po stronie Polaków. Wiem, że jest Pan jedynym, do którego w mojej niedoli mogę rozpaczliwie zawołać: „Pomóż mi!”. Nie wiem nawet, jak się naprawdę nazywasz, ale serce mi mówi, że jakieś uczucia w Tobie wzbudziłam. A możesz mi pomóc tylko w jeden sposób: zidentyfikować mojego dręczyciela, zaarrestować go, ująć, złapać, trzymać z daleka ode mnie, błagam! Jeśli się okaże, iż jest on po tej samej stronie, to stanie Pan przed moralnym wyborem: czy pomóc mi, pograżając mojego oprawcę, czy też nie interweniować wcale i skazać mnie na śmierć, bo on mi wciąż śmiercią grozi. Jeśli Pan i on stoicie po przeciwnych stronach barykady, to ujęcie go będzie dla Pana zasługą i chwałą. A oto, co o nim wiem, co

może Panu pomóc go zidentyfikować: jest wysoki, dobrze zbudowany, około pięćdziesiątki, z wydatnym brzuchem, siwe gęste włosy, rozplaszczony nos, ładne dłonie. Zna się doskonale na muzyce, wydaje się nawet, że miał z nią czynny kontakt – jako muzyk? Jako dyrygent? Może kompozytor? Mówi piękną poetycką polszczyzną, melodyjnym barytonem z lekkim wschodnim zaśpiewem. Nic więcej o nim nie wiem. Oprócz tego jest brutalnym, mentalnym sadystą. Trzyma mnie w jakiejś piwnicy, chyba w przemysłowych magazynach, bo dochodzi mnie często dźwięk syreny fabrycznej. Męczy i torturuje psychicznie. Dłużej nie wytrzymam, błagam, uratuj mnie! Cała ta sprawa ma związek z wiadomymi dokumentami, których treść znam na pamięć i którą wypisałam na kartkach dołączonych do tegoż listu. Musi Pan jeszcze coś wiedzieć. Mój ukochany i nieszczęśliwie zmarły przyjaciel Hermann Laskier zapewnił mi polisę na życie. Laskier skłamał, co zresztą zaczyna podejrzewać mój oprawca, iż oryginały tych dokumentów spoczywają w jakimś szwajcarskim notariacie. Mój dręczyciel ma jakiś związek z tymi dokumentami, szczególnie mu na nich zależy, wciąż pyta o nazwisko tego notariusza i jawnie mówi, że kiedy mu je zdradzę, nie będę już mu potrzebna i mnie zabije. To straszna udreka, gdy to ciągle powtarza. Już dłużej nie wytrzymam, ratuj! Pomaga mi Henryk Zwolicki, to dobry człowiek, on mnie wywiózł z Wrocławia i uratował przed lotrami, którzy zabili Laskiera. Pan Zwolicki jest jednakże poddany przez mojego kata jakiejś nieznośnej presji. To dzięki Zwolickiemu dostałeś ten list, pamiętaj o tym, gdy będą go sądzić. A teraz działaj, błagam Cię w rozpacz! Czyż nie jesteś mocnym i stanowczym mężczyzną? Człowiekiem czynu? – bo za takiego Cię mam, takiego pokochałam i takiemu się oddałam i duszą, i ciałem!

Edward, czytając ostatnie słowa, czuł gorycz wzbierającą w gardle. Musiał ją teraz odpędzić, musiał stłamsić niepokoje i emocje. Czekало go zadanie: uratować kobietę z rąk sadysty. Nieważne już było to, czy ta kobieta go kocha, czy też nie; nieważne, czy ich krótki, lecz bardzo intensywny romans był tylko dzikim, cudownym seksualnym wybrykiem, połączonym ze ślepym zauroczeniem. Istotne teraz było tylko tyle, że bezbronna istota jest w łapach oprawcy, kata, który chce od niej torturami psychicznymi, a może i wkrótce fizycznymi, wydobyć zeznania, a potem bezlitośnie zabić.

Edward zapalił papierosa i patrzył na smugi dymu snujące się po pokoju. Myślał intensywnie. Logika powoli wypierała emocje, zaczynała się rozlewać w jego umyśle chłodną falą, myśli układały się w ciągi, ręce przestały drżeć, a zęby szczekać. Gorycz odpłynęła z gardła.

„Jak nazywał Żychoń tego podejrzanego przez siebie agenta? – zadał sobie w myślach pytanie – Chevrolet czy Mercedes? Nie... Ależ oczywiście, że Chevrolet. Otóż jedno jest pewne: jeśli Chevrolet jest owym katem Aurelii, to zgodnie z podejrzeniem Żychonia jest zdrajcą i agentem SD! A zatem owego muzyka należy szukać wśród Polaków. To pewne! Ale gdzie dokładnie trzeba go szukać?”

I nagle stało się to, na co czekał. Nastąpiła iluminacja. W jednej chwili skojarzył trzy wypowiedzi.

„Mówi piękną poetycką polszczyzną, melodyjnym barytonem, z lekkim wschodnim zaśpiewem” – pisała Aurelia.

„Ważniejszy jest dla nas Cynceron niż podstarzały Romeo” – powiedział Canaris z rozmowie z von Hardenburgiem.

„To jakiś bardzo dobrze ustosunkowany osobnik... Jeśli wie o tych tajnych rozmowach polsko-francuskich, to może być usadowiony na samych szczytach władzy. Może jest nawet moim kolegą z Dwójki...” – mówił w Poznaniu Żychoń, rozparty na szezlongu w mieszkaniu swej przyjaciółki pani Eufrozyny Paterakowej.

Popielski, aby nadać swym myślom logiczną strukturę, zaczął mówić sam do siebie, pełnymi zdaniami.

– Kim był Marek Tulliusz Cynceron? Mistrzem słowa, wirtuozem łacińskiej frazy, miłośnikiem klauzul, czyli końcowych rytmów w zdaniu. A kim jest kat Aurelii? Człowiekiem pięknego wysłowienia, melodyjnej elokwencji. Czyżby agent Cynceron, jakiś ważny informator wywiadu

niemieckiego, był dręczycielem Aurelii i jednocześnie oficerem Dwójki, którego Żychoń nazwał Chevroletem? Jeśli tak, to już go mam!

Zerwał się gwałtownie z wąskiego żelaznego łóżka. Wypadł na korytarz i popędził do gabinetu adiutanta Piłsudskiego.

Lepecki miał jakiegoś interesanta i kazał Popielskiemu czekać dobry kwadrans. Kiedy z pokoju wyszedł już był niewysoki elegancki pan z lekarską torbą, kapitan szerokim gestem zaprosił Edwarda do środka. Minę miał smutną, zapewne wieści o zdrowiu Marszałka były coraz bardziej przygnębiające.

– Kto z wyższych oficerów ze Sztabu Głównego albo z Dwójki zna się bardzo dobrze na muzyce? – zapytał Popielski bez zbędnych wstępów.

– Wielu – odparł Lepecki. – W dobrych domach nauka gry na pianinie zawsze była czymś powszechnym i zwykłym. I dla dziewcząt, i dla chłopców.

Kapitan nie okazał najmniejszego zdziwienia, był bowiem przyzwyczajony do nieoczekiwanych i dziwnych pytań ze strony Marszałka, który czasami rozważał w swym umyśle kilka kwestii naraz, pozornie ze sobą niezwiązanych, i rzucał nagle ludziom wokół siebie zgromadzonym osobliwe zapytania, sprawiające wrażenie, jakby były od rzeczy.

– Chodzi mi o takiego, co zna się bardzo dobrze. Może próbuje komponować, dyrygować orkiestrą. Zna pan kogoś takiego, panie kapitanie, w Sztabie Głównym?

– Tak – odpowiedział adiutant. – Znam. Jest to wręcz uznany kompozytor.

Lepecki umilkł, bo Popielski uniósł dłoń, nakazując mu tym gestem milczenie. Owszem, powinien był teraz zapytać o nazwisko owego kompozytora. Powstrzymał się jednak. Czuł się jak smakosz, który ma na

talerzu kawałki ulubionej potrawy. Jeden z nich jest najtłustszy lub też z jakichś innych względów najsmaczniejszy. I taki kulinarny koneser zostawia sobie ostatni kęs na sam koniec – tak i on zwlekał teraz z ostatecznym pytaniem.

Lepecki nic nie mówił, będąc przyzwyczajonym przez swego mentora do tego, by nie odzywać się bez pytania.

– Jak wygląda ten kompozytor? – zapytał w końcu Edward.

– Wysoki, postawny, z brzuchem – odparł Lepecki.

– Siwy, łyсы?

– Siwy, ale nie jakiś łysol, raczej gęsta fryzura... O, przepraszam, panie kapitanie, nie chciałbym urazić.

Edward spokojnie spojrzał na rozmówcę.

– Nie uraził pan. Jeździ chevroletem ten oficer i kompozytor w jednej osobie?

– Są trzy służbowe chevrolety w Sztabie Głównym, a on właśnie stamtąd...

– Nazwisko! – Edward wziął w myślach do ust ów ostatni kęs. – Jak brzmi jego nazwisko?

– Kapitan Edmund Pilichowski. Szef Referatu Radiowywiadowczego i Biura Szyfrów Wydziału Wywiadu. Jeden z najbliższych współpracowników szefa Dwójki.

[89] Obecnie ul. Reja.

[90] Zob. M. Krajewski, *Dziewczyna o czterech palcach*.

PO ZIDENTYFIKOWANIU AGENTA CYCERONA jako kapitana Edmunda Pilichowskiego Edward popadł w desperację tak straszną, że zbladły przy niej wszelkie jego dotychczasowe utrapienia i niepokoje. Znalazł się bowiem w kleszczach. Poznał nazwisko kata Aurelii i rwał się do tego, aby do niego dotrzeć i uwolnić torturowaną przez niego ukochaną. Przysiągł jednak uroczyście – na Boga! – że nie opuści miejsca odosobnienia, dopóki nie usłyszy decyzji Marszałka co do swych dalszych losów. Z jednej strony wyobrażał sobie straszne cierpienia Aurelii, z drugiej – wiedział, jak wyglądałyby jego przyszłe losy w razie niesubordynacji, gdyby samowolnie opuścił potężny gmach przy Alejach Ujazdowskich. Szarpał się zatem jak dziki zwierz w klaustrofobicznym wnętrzu celi i walił łbem o jej ściany.

Na szczęście po bezsennej nocy czekała go niespodzianka, która nie była ani przyjemna, ani bolesna, lecz po prostu – zgodnie ze swoją etymologią – niespodziewana. Oto tuż po śniadaniu, które ledwo tknął, do jego pokoiku wypełnionego gęstym papierosowym dymem wszedł kapitan Lepecki i już od drzwi zawołał:

– Mam dobre wieści, panie kapitanie! Pułkownik Englisch poprosił wczoraj wieczorem o audiencję w prywatnych apartamentach Marszałka. Został przyjęty. Rozmawiali. Niezbyt długo. Oto decyzja.

Nie uśmiechał się. Milczał przez chwilę.

„Chyba ani dobra, ani zła ta decyzja – pomyślał Popielski – ale wszystko jest lepsze niż ten stan zawieszenia, to liczenie sekund, ile Aurelii pozostało do śmierci”.

– Będzie pan wolny i oczyszczony z wszelkich zarzutów, jeśli przyjmie pan warunek pana pułkownika Englischa – rzekł Lepecki.

– Jakież to warunek?! – Twarz Popielskiego napęczniała ze złości.

Lepeckiemu najwyraźniej nie spodobał się ten zaczepny ton.

– Otwórz pan to okno! – warknął. – Bo zakopcił pan cały pokój! Oddychać nie można! Drapie mnie w gardle i mówić nie mogę!

Popielski ani drgnął, Lepecki również. Następnie kapitan odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, demonstracyjnie kaszląc.

Edward wciąż stał jak skamieniały. Oto usłyszał o jakimś warunku, ale ten pozostał tajemnicą, bo przedstawiający go człowiek był delikatny jak mimoza.

Jednak to nie Lepecki miał być tutaj pośrednikiem. Po kilku sekundach otworzyły się drzwi i pojawił się w nich mężczyzna w mundurze. Na jego pagonach widniały dwa paski i trzy gwiazdki.

– Nie próbuj jej szukać, Popielski – powiedział wolno przybyły pułkownik. – Jest żywa i zdrowa, ale daruj sobie poszukiwania. Ona dla ciebie już nie istnieje i nigdy nie istniała, rozumiesz? To ten mój warunek. Stawiam ci go za wiedzą Marszałka. Zapamiętaj dobrze tę rozmowę, bo następnej już nigdy nie będzie!

Oficer był szczupły i średniego wzrostu. Idealnie wyprasowany mundur leżał na nim znakomicie. Szpakowate wąsy miał starannie przystrzyżone, a przedziałek rozdzielający z boku fryzurę takiejże barwy był poprowadzony tak dokładnie, iż ani jeden włos nie odstawał.

– Dodam coś jeszcze, czego marszałek Piłsudski nie słyszał i pewnie by nigdy nie zaaprobował – szepnął przybyły. – Słuchaj uważnie: albo łykniesz trochę wody z podziemnej rzeki Lete, albo będziesz przez całe życie łykał łzy. Bo jeśli będziesz szukał Aurelii Teichert, to obie twoje panie ze Lwowa rozplyną się, pozostaną przy starożytnych obrazach, jak opary nad

Styksem. Marszałek już ci nie pomoże, bo jego dni są policzone. – Sapnął. – A tak dla pełnej prezentacji: nazywam się Jerzy Englisch, pułkownik Jerzy Englisch, szef polskiego wywiadu.

– A agent Cyceron, czyli kapitan Edmund Pilichowski, też już się rozplynął jak opary nad Styksem? – zapytał Edward zduszonym głosem.

Englich ze złością otworzył okno, zaczerpnął tchu i usiadł na jedynym krześle. Kiedy Edward chciał spocząć na łóżku, pułkownik – jako wyższy rangą – wydał mu rozkaz pozostania na miejscu.

Przez kilka dobrych minut obaj oficerowie milczeli i mierzyli się wzrokiem.

– Co pan wie o Pilichowskim? – przerwał w końcu tę ciężką ciszę pułkownik.

Edward wskazał na list od Aurelii leżący na stole.

– Pani Teichert jest obdarzona licznymi talentami – odpowiedział. – Umiejętnością trafnego i precyzyjnego opisu również. Tak dokładnie mi przedstawiła swojego oprawcę, że z pomocą kapitana Lepeckiego łatwo go zidentyfikowałem.

Englich dopiero teraz wskazał Popielskiemu łóżko.

– Niech pan siada, kapitanie – westchnął. – Ogłaszam koniec zbrojnej konfrontacji.

– Tak jest! – odpowiedział Popielski i usiadł na posłaniu.

– Byłem dżentelmenem – rzekł pułkownik. – Uznałem, że to list miłosny do pana. Nie czytałem go, bo nie był adresowany do mnie. Gdybym go przeczytał, dalej tkwiłby pan w niewiedzy.

– Mam teraz odśpiewać serenadę na pańską cześć? – Edward nie mógł się pohamować, rzykując gniew Englicha.

Ten jakby nie usłyszał. Znów westchnął.

– W gruncie rzeczy to niewiele by zmieniło. Moja groźba o oparach nad Styksem już padła i jej nie wycofam. A pan będzie milczał jak grób.

I wtedy pułkownik wylał z siebie całą złość. Jego głos zdawał się być chwilami napastliwy, pełen wściekłości, chwilami – łagodny i pełen rezygnacji. Opowiadał o swoim najbliższym niegdyś współpracowniku, którego porównał do żmii wyhodowanej na własnej piersi. Porównywał jego miłość własną do złośliwego raka, który się rozrastał wraz z jego kompozytorskimi sukcesami i który był bacznie obserwowany w Berlinie. Drżącym ze wściekłości głosem mówił, jak chętnie ujrzałby tego podłego zdrajcę na mękach, a potem przed plutonem egzekucyjnym.

I nagle w jego oczach pojawił się niepokój.

– Pan też by go najchętniej zamęczył za to, co uczynił Aurelii. Ale pan nawet go palcem nie tknie, panie kapitanie. To jest drugi warunek, który stawiam panu teraz.

Englisch wyjął papierośnicę i postukał o nią papierosem z obu stron, tym gestem ugniatając jakby tytoń w bibułce. Poczęstował Edwarda. Ten przyjął papierosa z wdzięcznością, gdyż poprzedniej nocy wypalił wszystko, co miał.

Popielski zaciągnął się głęboko, Englisch wstał.

– Dwa warunki, panie kapitanie – podsumował. – Milczeć o Pilichowskim, Aurelii nie szukać. W pierwszej chwili, kiedy się dowiem, że nie dotrzymał pan tych warunków, ludzie z Dwójki zapukają do pańskiego lwowskiego mieszkania przy ulicy Kraszewskiego. I wywiozą pannę Leokadię Tchorznicką i pannę Ritę Popielską gdzieś pod wschodnią granicę Rzeczypospolitej, do jakiejś stancyi Korpusu Ochrony Pogranicza, a dowódca tej placówki, mój człowiek, dopilnuje, aby się żadna z owych pań zbyt nie oddaliła. I tam dokonają swego żywota i młoda pani, i starsza, oczywiście po latach, w stosownym dla siebie czasie, kiedy je Bóg

wezwie do siebie. My nie jesteśmy mordercami kobiet i dzieci, panie kapitanie, czasami pozwalamy tylko losowi działać.

Zdusił papierosa w popielniczce, wysypując przy tym na stolik trochę popiołu.

Edward wstał.

– Grozi pan mojej rodzinie?! Co?! – krzyknął. – A tego zdrajcy nie spotka sprawiedliwość?!

Englisch pokiwał w zadumie głową. Zbliżył się do Edwarda. Był dużo niższy, ale górował teraz nad nim spokojem i pewnością siebie.

– Sprawiedliwe jest to, co dobre dla ojczyzny, niech sobie pan to zapamięta na całe życie, kapitanie. A Pilichowski, choć zdrajca, któremu łeb bym najchętniej osobiście odrąbał... Ten Pilichowski żywy jest dla naszego kraju bardziej przydatny niż Pilichowski martwy, Aurelia zaś z dala od pana jest dla ojczyzny lepsza niż Aurelia przy pańskim boku. Myśli pan, że nasz kraj może sobie pozwolić na to, aby taka inteligentna poliglotka, druga Mata Hari, oficjalnie obywatelka Niemiec, zamiast przebywać na przykład w Paryżu albo w Meksyku, dokąd ją, nawiasem mówiąc, wysłałem... Zamiast prowadzić skomplikowane gry wywiadowcze, miałyby patrzeć panu słodko w oczy i prasować pańskie wykwintne krawaty? Na Boga, kapitanie! Nasz kraj nie może sobie pozwolić na taką rozrzutność!

Każde słowo szefa Dwójki było dla Edwarda jak pchnięcie nożem. Złośliwy grymas, którego na końcu rozmowy Englisch nie mógł sobie odmówić, był jak ugryzienie gada, jak satysfakcja podleca, który się cieszy z cudzej krzywdy.

Huk, z jakim szef Dwójki zamknął drzwi, był jako salwa na pogrzebie marzeń Edwarda o Aurelii.

* * *

TYMCZASEM PUŁKOWNIK W GŁĘBI SERCA wcale się nie cieszył, a grymasem, który wyglądał na złośliwy, w rzeczywistości pokrywał zmieszanie.

Jerzy Englisch czuł głęboki niesmak, a nawet wstyd za swój cynizm. Mógł sobie do znudzenia powtarzać, że robota wywiadowcza to domena prawdziwych, silnych mężczyzn, których skłonność do hamletyzowania musi być zerowa, mógł to sobie powtarzać *ad nauseam*[92], a i tak odzywały się w nim jakieś wątpliwości, jakieś wyrzuty sumienia, że oto brutalnie podeptał ludzkie uczucia, choćby tymi sponiewieranymi ludźmi była rozwiązała niewiasta i śmieszny „podstarzały Romeo”. Co było jednak najgorsze, to świadomość, że poprzez swoje niegodne działanie tak naprawdę niewiele zyskał.

„Bo jaki ja mam z tego zysk? – zapytał sam siebie, idąc korytarzem gmachu Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych. – Nie rozumiem, jaką będę miał z tego korzyść” – usłyszał teraz we wspomnieniach własny głos.

Tak właśnie formułował swoją wątpliwość, gdy już wysłuchał oferty kontradmirała Wilhelma Canarisa.

Spotkał się z nim niedawno na neutralnym gruncie, na molo w Sopotach. Owa tajna rozmowa na najwyższym szczeblu nastąpiła z inicjatywy szefa niemieckiego wywiadu. Przez telefon Canaris zapewnił Englischa, że nie pożałuje tych dwóch godzin, bo tyle mniej więcej trwa podróż lotnicza z Warszawy do Wolnego Miasta Gdańska. Pułkownik rzeczywiście nie żałował.

Od morza wiał wtedy przenikliwie zimny porywisty wiatr. Choć przenikał do szpiku kości obu mężczyzn stojących obok siebie przy barierce, to na fale nie miał nadmiernego wpływu. Były one, owszem, niemałe, ale nie na tyle duże, by bryzgać po deskach mola i przemoczyć

ubrania rozmówców. Rozbijały się w górnych częściach pali podtrzymujących całą konstrukcję.

Canaris milczał, a Englisch jeszcze raz odtwarzał sobie w myślach to wszystko, co usłyszał na początku rozmowy i co wprawiło go w najwyższe zdumienie.

– Jaką korzyść, pyta pan, *Herr Oberst...* – Canaris się zamyślił. – Osiągniemy obaj z umowy, którą panu proponuję? No cóż, rozkładam przed panem karty i powiem najpierw o moim zysku.

Poprawił szalik i podniósł kołnierz płaszcza. Obaj byli w ubraniach cywilnych. Rozmowa toczyła się po niemiecku, choć Englisch, pochodzący ze Lwowa absolwent gimnazjum realnego i Politechniki Lwowskiej, nie władał tym językiem tak dobrze jak absolwenci cesarsko-królewskich gimnazjów klasycznych. Rozumiał go jednak dobrze, a swoje myśli potrafił komunikować jasno i prosto, choć nie zawsze gramatycznie poprawnie.

– Agent Iks, tak go na razie nazwijmy – kontynuował Canaris – stracił swojego oficera prowadzącego, niejakiego Aloisa Grundmanna, który został przez Heydricha zdymisjonowany. Agent Iks jest bardzo cenny, bo jest wysoko umocowany w gnieździe waszych polskich służb. Heydrich mianował jego nowym oficerem prowadzącym swojego zastępcę, młodego, zaledwie dwudziestoczteroletniego bezwzględniego Waltera Schellenberga, który wprawdzie na razie jest w randze SS-Rottenführera, ale zapewniam pana, że niedługo wiele usłyszemy o jego błyskotliwej karierze. Otóż chcę, aby agent Iks pracował dla mnie i donosił mi o posunięciach Schellenberga i Heydricha. To jest mój zysk. Czy jasno się wyraziłem, *Herr Oberst*?

Englisch nie dziwił się zamiarom swego niemieckiego odpowiednika. Wszyscy wyżsi oficerowie Dwójki wiedzieli doskonale o niesnaskach pomiędzy SD a Abwehżą, tudzież o osobistej niechęci pomiędzy Canarisem

a Heydrichem. Englisch z dumiewało jednak coś innego – iż Canaris tak szczerze o tym mówi.

„Zbyt szczerze” – pomyślał nieufnie.

– Jak mógłbym zmusić Iksa do współpracy, czyli żeby szpiegował SD dla mnie? – ciągnął kontradmirał. – Oczywiście najprościej byłoby zaszantażować go: „Pracuj dla mnie albo o twojej zdradzie i o twojej współpracy z SD powiem Dwójce”. Ale tu pojawia się problem. Żychoń i ten jego emisariusz o fałszywym nazwisku...

Sięgnął po notes do kieszeni. Wiatr rozwiewał kartki, jednak mężczyzna zdołał dojrzeć na jednej z nich szukane przez siebie nazwisko.

– Herbert Reiterer. – Schował notes. – Tak, Herbert Reiterer. Otóż obaj są na tropie Iksa i dopadną go, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, znając Żychonia. Taki szantaż z mojej strony wobec Iksa byłby zatem bardzo krótkowzroczny, bo działałby tylko do momentu zdemaskowania Iksa przez Żychonia. A ja chcę mieć Iksa na dłużej. Nie mówię, że na lata, ale na znacznie dłużej.

Englich stał tyłem do morza. Udawał, że delektuje się pięknym skądinąd widokiem Kasino-Hotelu, którego bryła złociła się teraz w kropelkach bryzy rozświetlanych zachodzącym słońcem.

– Powiedział mi pan szczerze, *Herr Konteradmiral*, o swoich oczekiwaniach wobec Iksa. – Pułkownik uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, iż jego niemczyzna pozostawia wiele do życzenia. – Ale ja wciąż nie wiem, co z tego będzie miała moja ojczyzna. Jaki zysk?

– Naprawdę nie widzi pan korzyści z tego, że Iks, jako nasz wspólny agent, agent Dwójki i Abwehry jednocześnie, działający na froncie przeciwko SD... Otóż, nie dostrzega pan, że pański człowiek będzie miał bezpośredni dostęp do Schellenberga, a pośredni do Heydricha? – zdumiał się Canaris. – Po pierwsze, dzięki niemu będzie pan dezinformował SD

i zdobywał stamtąd informacje. Czyż nie jest to korzyść dla pańskiej ojczyzny? Po drugie, gdy już się uporam z Heydrichem... Jak pan widzi, jestem wobec pana całkowicie szczery, wręcz wylewny... Kiedy zatem już mój drogi Reinhard zostanie wyekspediowany gdzieś daleko, na przykład do Afryki, i zniknie mi z oczu, a ja obejmę cały wywiad i kontrwywiad mojego kraju, wtedy bez żalu oddam panu podwójnego agenta Iksa. A pan go postawi z fanfarami przed plutonem egzekucyjnym. Kara dosięgnie zdrajcę, oto powód drugi.

– Tylko tyle? – zachnął się Englisch. – Powód pierwszy jest dość interesujący, przyznaję, ale powód drugi jest tylko retoryczną sztuczką. Wszak niedługo, po sukcesie działań Żychonia, w co nie wątpię, ów Iks i tak stanie przed sądem. Jego dni są policzone. Oferuje mi pan coś, co i tak będę miał.

– No to teraz ostatni argument. – Canaris się uśmiechnął. – Zgoła nie retoryczny, lecz całkiem realny. Równo rok temu nasze państwa podpisały pakt o nieagresji. Rosjanie są bardzo z niego niezadowoleni. Uważają, że możemy się z wami sprzymierzyć przeciwko nim. Jest to senny koszmar Stalina. A ja chciałbym, by ten koszmar zamienił się w najprawdziwszą rzeczywistość. Polska i Niemcy przeciwko bolszewii! Nie podoba się to panu?

Nacisnął kapelusz na głowę i przytrzymał go. Morski wiatr szarpał szerokim rondem.

– Jestem zwolennikiem polsko-niemieckiego, antysowieckiego sojuszu. Zwolennikiem powołania ściśle tajnej polsko-niemieckiej komórki, która by była załącznikiem przyszłej współpracy wywiadowczej przeciwko Rosji. Składałyby się ona na razie z jednego tylko człowieka, który mówi świetnie po niemiecku i po rosyjsku. Który Rosję zna znakomicie. Ten człowiek to Iks, zarówno lojalny wobec pana, jak i wobec mnie. On wie, że nie może

żadnego z nas zdradzić. Jeśli będzie działał zanadto w naszym, niemieckim, interesie, to wy w jednej chwili wsadzicie go do swojej Berezy. Jeśli będzie się zanadto przechylał na waszą, polską stronę, to wtedy ujrzy nasz ponury gmach Spandau. I wy, i my trzymamy go w szachu. Nie ma lepszego agenta niż podlec, który tkwi w imadle i nie ma swobody ruchu.

– Jak po niemiecku nazwać takiego człowieka, jakim byłby Iks? – zasepił się pułkownik. – Co to działa w obopólnym, nie... W jednym interesie dwóch konkurencyjnych wobec siebie wywiadów i w takim właśnie charakterze przez oba wywiady jest zatrudniany. Czy jest jakaś słowo na takiego człowieka?

– Nieważne są słowa – rzekł cicho Canaris. – Ważna jest istota rzeczy. I ważne jest nazwisko Iksa... Zanim je jednak panu wyjawię w dowód mojej dobrej woli, muszę wiedzieć na pewno, czy powstrzyma pan Żychonia i jego człowieka, bo ten ostatni zakochał się bez pamięci. Działa gwałtownie i nieracjonalnie. A ja mu już obiecałem dostarczyć jego ukochaną, którą przetrzymuje gdzieś Iks, w zamian za bandę Czarnego Barta. Mam zerwać umowę z tym Reitererem czy jak mu tam? Będzie go pan trzymał z daleka od tej sprawy?

Engelisch bardzo szybko analizował informacje i zestawiał je ze swoją obecną pozycją w Warszawie. Ważyły się jego losy, czekała na niego ważna funkcja w Alejach Ujazdowskich 3. Ale objęcie tego stanowiska nie obędzie się bez akceptacji Marszałka.

„Czyż Marszałek nie był gorącym orędownikiem polsko-niemieckiego paktu o nieagresji? – zadał sobie w myślach pytanie. – Czyż nie wzbudzi przychylności w umyśle tego zdeklarowanego rusofoba taka tajna komórka wywiadowcza, która będzie symbolicznym znakiem naszego sojuszu z Berlinem przeciwko azjatyckiemu satrapie? I czyż takie posunięcie

wywiadowcze, które mi proponuje Canaris, nie przyśpieszyłoby decyzji Piłsudskiego w sprawie mojego nowego stanowiska?”

– Nie odpowiedział mi pan na pytanie, *Herr Oberst* – ponaglił go Canaris.

– A jakie to było? – Englisch podrapał się po czole. – Przepraszam, analizowałem różne momenty mojego postępowania...

– Pytanie brzmiało, czy powstrzyma pan Żychonia i jego pretorianina – kontradmirał cierpliwie wrócił do tematu.

Pułkownik uśmiechnął się z lekką wyższością.

– Nie sądzi pan, *Herr Konteradmiral*, że uczucia jakiegoś podstarzałego Romea są blade wobec kwestii wagi państwowej? Odpowiadam: ależ tak! Jutro tę sprawę chwycę od Żychonia i własnoręcznie ją poprowadzę! Dziękuję za spotkanie, przemyślę pańską propozycję.

Canaris wyciągnął do Englisha rękę, Polak mocno ją uściśnął.

W tym momencie dla Popielskiego już ostatecznie przestały świecić złote słońca.

* * *

EDWARD ZOSTAŁ PRZEZ LEPECKIEGO odprowadzony do samych drzwi wojskowej instytucji. Adiutant Marszałka podał mu dłoń i ze zrozumieniem wysłuchał krótkich przeprosin oraz dużo dłuższych podziękowań. Było nie było, kapitan Lepecki uchronił go przed najgorszym.

Na zewnątrz panował bezwietrzny chłód, kilka stopni poniżej zera. Pokryte lodem i szronem gałęzie bezlistnych drzew w parku Łazienkowskim zastygły w bezruchu. Spokój i nieśpieszny rytm natury udzielał się ludziom. W tej dzielnicy dyplomatów i instytucji rządowych ruch był o poranku niewielki. Ulicą jechała ledwo jedna dorożka,

wypełniona wesołym towarzystwem, a we mgle, w oddali, majaczyła sylwetka samochodu skręcającego z ulicy Bagatela w Aleje Ujazdowskie.

Popielski stanął pod słupem ogłoszeniowym i wpatrywał się w afisz informujący o spektaklu teatralnym.

CUDZIK I S-KA STEFANA KIEDRZYŃSKIEGO TO PIĘKNA SZTUKA! CZŁOWIEK ZACNY PRZEZ ŁAJDAKÓW UCIEMIĘŻANY, A POD KONIEC NAD NIEMI TRYUMFUJĄCY – głosił napis.

Odszedł od słupa i stanął przy krawężniku. Patrzył w stronę Belwederu na jadący w jego stronę samochód.

„Może to taksówka, która zabierze mnie do najbliższego urzędu pocztowego, gdzie zamówię rozmowę międzymiastową do Lwowa?” – myślał z nadzieją.

Niestety, nadjeżdżające auto nie miało żadnego numeru na drzwiach ani na prawym reflektorze.

„Życie to nie sztuka teatralna, tutaj nie ma prostych podziałów na zacnych i na łajdaków, na bezwzględnych rzymskich katów i ofiarnych Szymonów Cyrenejczyków – snuł niewesołe rozmyślenia, które nieoczekiwanie ułożyły się w jego głowie w ewangeliczne metafory. – Tutaj każdy jest trochę przekupnym Judaszem, trochę Świętym Piotrem, co się zapiera prawdy, i trochę Piłatem, który wciąż pyta cynicznie: *quid est veritas?*^[93]”

Samochód, który już znalazł się na wysokości słupa ogłoszeniowego, zahamował i zatrzymał się kilka kroków od Edwarda. Ten spojrzał nań, a twarz kierowcy, widoczna za lekko zaparowaną szybą, wydała mu się znajomą.

Nie przyjrzał się jej jednak dobrze, bo nagle widok całkiem mu zasłonił rowerzysta, który wolno prowadził swój pojazd. Na jego siedelku

zamocowana została duża skrzynia z napisem reklamowym: „Salon Villars / Marszałkowska 121 / Wyprzedaż z sezonu zimowego / Suknie-palta”.

Popielski usłyszał trzask zamykanych samochodowych drzwi. Rowerzysta odszedł i teraz przy krawężniku, blisko Edwarda, stał lśniący wiśniowy fiat. Za plecami usłyszał szybkie kroki. Nie zdążył się odwrócić, gdy usłyszał znajomy głos.

– Piotr Kozubski nie żyje. Popełnił samobójstwo.

Kapitan Jan Henryk Żychoń stał oparty ramieniem o kolumnę z naklejonymi afiszami. Miał zaciętą twarz. Strużka dymu z papierosa unosiła się z kącika ust i uderzała od dołu niebieskim słupkiem w rondo kapelusza.

– W liście pożegnalnym napisał: „Nie chciałem być zdrajcą”. – Wypluł papierosa i przydeptał go. – Jego krew spada na moją głowę, nie na twoją, Edwardzie. Tylko moje obciąża sumienie, bo tylko ja jestem jej winny. – Uśmiechnął się lekko i wyciągnął dłoń. – Witaj w Polsce, Edziu! Dobrze, że wróciłeś. Twoje panie we Lwowie o wszystkim wiedzą. Będą na ciebie czekać na waszym pięknym dworcu, a Rita upiekła dla ciebie... Ciasteczka? Wy takie ciasteczka nazywacie chyba „makagigi”, prawda?

Edward nie podał mu ręki.

– Za kogo mam cię uważać? – syknął. – Za przyjaciela, który mnie wita na ojczystej ziemi? Na twój rozkaz zorganizowałem tę podłą intrygę, która zakończyła się szantażem i samobójstwem Bogu ducha winnego, młodego urzędnika, co żonę i dzieci osierocił. Mam się cieszyć, że widzę człowieka, który mi o tym przypomina? Który w pewnym momencie porzucił mnie na pastwę jakichś wyższych sił, jakichś cynicznych graczy, co się z nikim nie liczą? Który mi obiecał, że ujrzę wybranekę mego serca, a ja usłyszałem słowa *persona non grata*? Mam cię uściskać?

Żychoń schował dłoń do kieszeni. Jego twarz pociemniała z gniewu. Mówił jednak spokojnym tonem, tylko czasami zdawało się, że mocniej akcentuje niektóre sylaby.

– Mój plan się nie powiódł, bo pułkownik Englisch i Canaris porozumieli się ponad naszymi głowami. Wiesz, co usłyszałem od Englischa? „Dziękuję, bo dałeś mi dobry punkt wyjścia”, tak mi powiedział. „Dalszy plan nie potoczy się po twojej myśli, Żychoń, ale po myśli Polski. Tu nie ty jesteś ważny, ale Polska. Przejmuję i nadzoruję osobiście całą akcję, rozumiano?” Tak mi powiedział! Ani słowa więcej! Żadnego wyjaśnienia. Nawet się nie zająknął, jaki to mianowicie jest ten wielki, zrodzony w jego genialnej głowie, plan naszej ukochanej Rzeczypospolitej!

Wtedy do Popielskiego dotarło, że oto wszystko się skończyło. Że już teraz wszelkie rozważania, rozpamiętywania, wszelkie gorzkie żale są jałowe tak jak jęki obrażonej na cały świat duszyczki. Świat jest, jaki jest. Katullus, który ostatnio przychodził mu często na myśl, na początku owego wiersza o złotych słońcach śpiewał: „Co widzisz, że przepadło, uważaj za przepadłe”.

„Ale nie przepadł Lwów, a Leokadia i Rita wciąż żyją!” – pomyślał Edward .

Wyciągnął dłoń do Żychonia, a ten ją uściśnął serdecznie.

– Nie oddałem skóry za darmo, Edwardzie. Postawiłem Englischowi warunek i on go przyjął.

– Jakiż warunek?

– Że przymknie oko na twoje dobre kontakty z Ukraińcami i zostaniesz zaangażowany na stałe. Za kilka dni zaczniemy razem pracować. Oficjalnie. Witaj w Dwójce, Edwardzie! Witaj na froncie niemieckim! Przecież tego zawsze chciałeś!

Popielski się zasmucił.

– Niegdyś, ale już nie teraz. Utrata ukochanej kobiety, rozłąka z najbliższymi, pchnięcie na sznur niewinnego człowieka... Nie tego chciałem, Janiu. – Chwycił Żychonia za ramiona. – Nie chcę zamykać serca, bo nadchodzi czas oszustwa, czas zdrajców. Wracam do Lwowa! Tam są ludzie, przed którymi mogę serce mieć otwarte!

Usłyszał to. Cycerońską klauzulę. Z pierwszą i piątą sylabą akcentowaną. Serce mieć otwarte.

Uściskał Żychonia.

Mocno, jakby się widzieli po raz ostatni w życiu.

* * *

LWÓW POWITAŁ POPIELSKIEGO DESZCZEM I ŚNIEGIEM. Kiedy tylko pociąg wjechał na najpiękniejszy – zdaniem wielu – dworzec w Rzeczypospolitej, Edward otworzył okno i wystawił głowę.

Z daleka widział na peronie gromadkę ludzi. Wyraźnie odcinały się od niej dwie szczupłe kobiece sylwetki. Poczul łzy pod powiekami.

Po chwili wyskoczył z pociągu i wpadł w ramiona Leokadii i Rity. Trzymał je przy piersi bez słowa, obie naraz. Rita objęła go w pasie tak gwałtownie, że z jej głowy spadła gimnazjalna czapka z rzymską „piątką” oznaczającą klasę.

Przy swoim policzku czuł ucho Łodzi i szlachetny zapach jej perfum, dłonią dotykał czarnych kręconych włosów córki. Pochylił się i pocałował ją w policzki, a potem tam gdzie najbardziej lubił ją całować w dzieciństwie, gdy leżała rozgrzana od snu – w skronie.

Dziewczyna płakała z radości, a dystygowana dama w średnim wieku mówiła w kółko:

– Dwa miesiące! Dwa miesiące! Dwa miesiące!

Powtarzanie jednej frazy, choć w różnych intonacjach, było zawsze w jej mniemaniu poważnym uchybieniem językowym, świadczyło o pospolitości jak choćby ludowe „oj dana, dana”.

Jeśli już ta kobieta wielkiej kultury słowa, wypowiadająca zdania zawsze we właściwym tempie i używająca adekwatnych wyrazów, pozwalala sobie na jakieś odstępstwa od wyznawanych zasad, to tylko w sytuacjach emocjonalnego rozchwiania. A tak właśnie było teraz, gdy przytulała się do kuzyna, którego kochała – platonicznie – ponad życie, dzieliła z nim troski codzienności i wychowywała wspólnie dość krnąbrną ostatnio pannicę.

Owa buntująca się i wiecznie obrażona – na szczęście zwykle krótko – córka Edwarda nie dbała o słowa ani o formy. Skakała wokół ojca i krzyczała z radości.

Gdy znaleźli się w holu dworca, przyjrzał im się uważnie. Rita wbrew regulaminowi trzymała czapkę w ręku. Nie znosiła jej, twierdziła, że od czapki „strzępią się” jej włosy, a Leokadia poprawiała ją zawsze: „elektryzują się, nie strzępią, Rito. Używaj właściwych słów!”.

Teraz też tak było, po raz kolejny nastąpiło dobrotliwe skarcenie, którego od tak dawna nie słyszał.

I to znów go rozczuliło.

W swym domu – pięknym mieszkaniu, którego okna wychodziły na ogród Jezuicki – wpadł w ramiona kolejnej kobiety. Hanna Półtoranos, ich gosposia, szczerą, dobrą i ogromnej postury kobietą, pochodzącą ze wsi Strzelczyska, omal go nie udusiła w niedźwiedzim uścisku.

Potem Edward, rozluźniony, ubrany po domowemu w długą wiśniową bonzurkę, siedział przy stole, patrzył, jak trzy kobiety cieszą się z jego prezentów, a wszystko w nim krzyczało z radości. Jadł wspaniałe kotlety baranie, a potem leguminę – arcydzieła sztuki kulinarnej – wytworzone

sprawnymi rękami i wielkim sercem Hanny. Wypił dwa kieliszki czerwonego wina, a następnie do upieczonych przez Ritę ciasteczek, zwanych makagigi, kieliszek czekoladowego likieru.

Rita opowiadała o szkole, błaznowała, naśladowała nauczycieli, zwłaszcza panią dyrektor Ludmiłę Madlerową. Leokadia siedziała z uśmiechem Mony Lisy, a potem kiedy dziewczyna umilkła i rzuciła się na jedzenie z wilczym apetytem, zaczęła opowiadać o lwowskich wydarzeniach, o wypadkach w życiu tutejszej socjety, a nawet – i tutaj pozwoliła sobie na chwilę słabości, czyli plotkowania – o najnowszych skandalach.

Po kolacji usiadła do pianina. Kiedy zagrała to samo co niegdyś Aurelia, drugą część Schubertowskiego *Impromptu E-dur* z opusu dziewięćdziesiątego, Edward nieoczekiwanie wyszedł na balkon.

Kiedy wrócił, trząśł się z zimna, a jego twarz była zmieniona.

Leokadia była zbyt doświadczoną kobietą i zbyt dobrze znała Edwarda, aby to umknęło jej bystrości. Rita także wyczuwała jakiś dysonans, a nawet podzieliła się uwagą, że „tatuś wrócił z balkonu jakiś odmieniony”.

Po tym koncercie Leokadia długo siedziała z Edwardem pod ulubionym zegarem, który nieubłaganie wybijał kolejne kwadranse. Hanna, umywszy naczynia, chrapała już w słuźbówce, a Rita powtarzała przed snem matematyczne wzory, bo następnego dnia miała klasówkę z trygonometrii.

Dom się uciszał, a oni palili i milczeli. Wstydzili się opowiedzieć o swoich potrzebach. Każde z nich chciało, aby druga osoba zrozumiała je bez słów.

I tak się też stało.

Edward na początku nie pojmował wyczekującego wzroku Leokadii. Miał niezbyt rozgarnięty wyraz twarzy, gdy spoglądał na jej elegancką białą bluzkę w srebrne grochy, na jej gładką szyję ozdobioną wisiosem

z meandrem, na długie palce, prawie bez biżuterii – oprócz pierścionka, który jej kupił w Warszawie. Patrzył i nie rozumiał, o co jej chodzi, co chce mu powiedzieć bez słów.

Kiedy zgasła w pewnym momencie papierosa, a przy tym poruszyły się jej włosy, zrozumiał.

– Masz piękną nową fryzurę, Leokadio – powiedział i zawstydził się, że zauważył tę zmianę po kilku godzinach wspólnego przebywania.

Włosy miała obcięte do połowy szyi, podkręcone na końcach i pofarbowane na rudo, a kolor ten wybrała – Edward nie był pewien – chyba po raz pierwszy w życiu. O farbowaniu jednak milczał, bo wiedział, iż tego kosmetycznego zabiegu kuzynka dokonuje w najgłębszej tajemnicy.

– Dziękuję – odrzekła z uśmiechem.

W jej dużych zielonych oczach dostrzegł to, co najbardziej w nich lubił. Zrozumienie i łagodną ironię.

Ale teraz było w nich jeszcze coś.

Leokadia widziała, że Edward wrócił w jakiejś uczuciowej rozsypce, której powodem mogła być inna kobieta.

On wiedział, że ona wie, i chciał, żeby wiedziała, lecz nie potrafił jej tego powiedzieć.

Zrozumiała bez słów.

Mimo tego telepatycznego i pełnego miłości porozumienia czuł się jak zdrajca.

Pocałował ją w czoło i poszedł spać.

[91] W mitologii greckiej rzeka zapomnienia.

[92] Do zwymiotowania (łac.).

[93] Czym jest prawda? (łac.).

EPILOG



BERLIN, 2 LIPCA 1940 ROKU

OKNA GABINETU NA OSTATNIEJ, piątej kondygnacji granitowego monumentalnego gmachu przy Tirpitzufer 76/78 w Berlinie wychodziły na kanał Szprewy. Admirał Wilhelm Canaris wychylał się z okna i patrzył w lewo, w stronę ogrodu zoologicznego, w miejsce, gdzie dwadzieścia jeden lat wcześniej wyłowiono zwłoki komunistki Róży Luksemburg.

Szef Abwehry nie myślał jednak teraz o smutnym końcu Żydówki z Zamościa, ale zastanawiał nad najtrafniejszymi sformułowaniami kolejnych zdań raportu, który miał dostarczyć najpóźniej dzisiaj wieczorem do rąk własnych adiutanta Führera pułkownika Nicolausa barona von Belowa.

Tego samego dnia miał się tam znaleźć też inny raport, podpisany przez Reinharda Heydricha, a Führer miał porównać ze sobą oba. Być może Canarisa czekała konfrontacja z dawnym podwładnym. Nie obawiał się jej. W umowie, jaką z Englischem przygotował na sopockim moło w lutym, a ustnie zawarł w marcu trzydziestego piątego, znajdował się wyraźny warunek, że w polskich aktach nie może być nawet wzmianki o osobliwym sojuszu Abwehry z Dwójką.

Canaris pracował od wczesnego poranka, gdy jeszcze lipcowy upał za bardzo miastu nie doskwierał. Zdążył już był podyktować swej nowej sekretarce pannie Edith Kiese prawie wszystko, co dotyczyło agenta Cyclerona. Pozostał mu jeszcze tylko jeden, jakże istotny wątek – odkrycie w Warszawie archiwum Dwójki, dokonane zupełnym przypadkiem przez SS-Sturmbannführera Waltera Roniggera.

Odwrócił się od okna i rzekł ni to do siebie, ni to do sekretarki, która siedziała na krześle przed maszyną do pisania.

– Tak to jest, panno Kiese... Życie stawia niekiedy człowieka przed wyborami godnymi Antygony. Ronigger znalazł w Warszawie akta, które go kompromitowały. Mógł je schować, zniszczyć i liczyć na przychylny los, iż jego nazwisko już nigdy w tej sprawie nie wypłynie... Albo oddać swojemu szefowi Heydrichowi i mieć nadzieję na jego łaskawość. Mamy zatem pytanie: co jest bardziej prawdopodobne? Przychylny los czy Heydricha, który sam jest kapryśny i nieprzewidywalny jak los?

Panna Kiese słuchała uważnie wywodów szefa. Wiedziała, że lubi z nią dyskutować i docenia jej inteligencję.

– Ja tu czegoś nie rozumiem, panie admirale – rzekła. – Czego w ogóle ten Ronigger miałby się bać? Przecież powinien liczyć na wielką chwałę! Odnalazł w końcu archiwum polskiego wywiadu. Dzięki temu dokonaliśmy potężnych aresztowań wśród wrogów!

Canaris usiadł za wielkim biurkiem i uderzył się dłonią w czoło.

– Oczywiście ma pani rację, panno Kiese! Nie uzasadniłem tego jeszcze w raporcie! Teraz to nadrobimy!

Zaczął dyktować. O puste ściany jego ogromnego, wysokiego na cztery metry gabinetu zaczęły się odbijać suche dźwięki uderzanych o wałek czcionek.

W Sicherheitsdienst oficerem prowadzącym agenta Cycerona był do roku 1936 Walter Schellenberg, później Walter Ronigger. Ronigger po odkryciu w Warszawie w październiku 1939 roku, iż Pilichowski-Cyceron zwodził wywiad SD przez cztery lata, szpiegując na rzecz Polaków, wpadł w popłoch. Wszak on sam był jego oficerem prowadzącym, który powinien wyczuć jakieś nieprawidłowości, powziąć jakieś podejrzenia. Jeśli tego nie uczynił, to pojawia się podejrzenie, iż sam Ronigger może szpiegować na rzecz Dwójki. W najlepszym razie Ronigger może być oskarżony o opieszałość i zaniedbywanie obowiązków. Ronigger, prawdopodobnie świadom tego zagrożenia, oddał się wraz z kompromitującymi go aktami do dyspozycji Heydricha.

Canaris westchnął i odchylił się na oparciu fotela.

– Nie spodziewałem się, wie pani, że spotka go tak surowa kara, ale mój drogi Reinhard rzeczywiście się wściekł. Ronigger trafił z Pilichowskim do „więziennego domu” Gestapo przy Prinz-Albrecht-Strasse. Nie sądzę, by był tam jakoś mocno torturowany. Natomiast Cyceron stał się bladym cieniem dawnego potężnego chłopca. Wiem, bo byłem u niego, rozmawiałem z nim. – Westchnął. – Heydrich nie przywrócił Roniggera do dawnych łask i kiepski zgotował mu los. Wróble ćwierkają, że Schellenberg chciał zatuszować sprawę i usunąć raz na zawsze niezbyt bystrego funkcjonariusza, którego uważał za winnego, iż nie wyczuł zdrajcy w Pilichowskim. No i mu się to udało! Usunął, rzeczywiście, raz na zawsze. No dobrze, proszę pisać dalej, droga panno Kiese!

Ronigger został oczyszczony z zarzutów i wypuszczony na wolność w maju br. Ponieważ miał za sobą przeszkolenie w wojskach pancernych, mianowano go dowódcą czołgu w 39. Korpusie Pancernym z Grupy „Guderian”. Dnia 10 czerwca br. oddelegowano go na front kampanii francuskiej. Dnia 18 czerwca zginął pod Maîche. Następnego dnia, czyli 19 czerwca br., na kapitanie Edmundzie Pilichowskim vel agencie Cyceronie został wykonany wyrok śmierci poprzez ścięcie toporem. Oddaję się do Pańskiej dyspozycji, mein Führer. Canaris.

* * *

PANNA EDITH KIESE PRZEPISAŁA RAPORT na czysto i spojrzała na zegarek. Dochodziło południe. Nie chciało się jej wychodzić w taki skwar, ale jednak głód domagał się zaspokojenia. Chciała zjeść drugie śniadanie i spotkać się ze swoją długoletnią przyjaciółką Hannelore Popp, pracującą również w Abwehrze, lecz w dziale gospodarczym.

Edith nie tęskniła za Hanni jakoś nadmiernie, zwłaszcza że widziała się z nią dwa dni wcześniej. Powód, dla którego chciała się pilnie zobaczyć z przyjaciółką, był zupełnie inny. Panna Kiese dostała dziś rano straszną

wiadomość i chciała komuś wykrzyczeć swój gniew i swoją tłumioną rozpacz.

Spotkały się o umówionej telefonicznie godzinie w pół do pierwszej w restauracji automatycznej nieopodal Dworca Poczdamskiego. Zapłaciły w kasie, a do automatu wrzuciły otrzymane żetony. Spoza szklanych drzwiczek zamykających półki z jedzeniem wyjęły opłacone przekąski. Zamówiły to samo, czyli kawę oraz kanapki z darłowską metką i ze świeżym ogórkiem.

Panna Kiese nie wiedziała, jak przejść do właściwego tematu, jak rozpocząć swe zwierzenia, jakie słowa dobrać, by opowiedzieć o swej goryczy.

Zaczęła zatem od spraw obojętnych – pogody, drożyzny i swojej pracy. Ten ostatni wątek żywo zainteresował Hanni Popp. Zadała kilka pytań i Edith Kiese – w gruncie rzeczy bardzo zadowolona, że każde słowo oddala ją od bolesnych wyznań – opowiedziała przyjaciółce szczegółowo wydarzenia dzisiejszego poranka.

– Ty wiesz, Hanni, że twój kuzyn został wezwany do samego Führera! – zaczęła, rozglądając się wokół podejrzliwie. – Chodzi o raport na temat pewnego podwójnego agenta, którego niedawno ścięto...

– Naprawdę? – Oczy panny Popp zrobiły się okrągłe z ciekawości. – Coś poważnego grozi Willemu?

Sekretarka Canarisa opowiedziała jej wszystko, czego się dzisiaj dowiedziała o agencji Cyceronie.

Minęły ponad dwa kwadransy i już Edith chciała wyznać Hanni swój sekret, ale panna Popp wstała.

– Przepraszam cię, moja kochana, ale już muszę pędzić. Muszę nadzorować i zaksięgować jakieś dostawy ręczników i pościeli do naszego hoteliku służbowego.

Edith ucałowała przyjaciółkę.

„To dobrze – pomyślała z nieoczekiwanym optymizmem. – Może lepiej o tym nie mówić? Może samo przejdzie?”

Siedziała przez chwilę nieruchomo przy stoliku. Patrzyła na ludzi, którzy płacili w kasie, słuchała szczękania otwieranych drzwiczek, obserwowała te zwykłe codzienne czynności i starała się przekonać samą siebie, że życie płynie dalej, że jeszcze się znajdzie mężczyzna, który ją pokocha, że nie będzie musiała wracać do wypucowanego mieszkania, gdzie powita ją jedynie ulubiony pudel Karl.

Tak, dała mu imię swojego ukochanego Karla Seeligera, który wedle zapewnień Canarisa sprzed pięciu lat miał szybko uzyskać „certyfikat niemieckiej krwi” i powrócić z Chile do ojczyzny, w ramiona stęsknionej narzeczonej.

Seeliger nie wracał, pisywał coraz rzadziej, aż w końcu przed rokiem oznajmił jej, że Banco de Chile otwiera swoją agencję w stolicy Meksyku i tam właśnie on, Seeliger, obejmie stanowisko dyrektora tejże instytucji. Od tego czasu dostała od Karla dwa listy i jedną widokówkę z wizerunkiem azteckich piramid w starożytnym mieście Teotihuacán.

Dzisiaj rano wyjęła ze skrzynki list trzeci. Jej narzeczony oznajmił, iż poznał w Meksyku fascynującą kobietę imieniem Aurelia i musi z żalem uznać ich narzeczeństwo za niebyłe.

Panna Kiese odepchnęła od siebie talerzyk i wyszła. W kanale Szprewy, niedaleko miejsca, gdzie wyłowiono Różę Luksemburg, plusnęła woda. Na dnie osiadł pierścionek zaręczynowy.

* * *

HANNELORE POPP BYŁA DRUGĄ – obok Haliny Szymańskiej – łączniczką pomiędzy antyhitlerowską organizacją Czarna Kapela, której

jednym z najbardziej prominentnych członków był jej kuzyn, a kierowanym przez Allena Dullesa europejskim oddziałem amerykańskiego Biura Służb Strategicznych. Zwykle meldunki wysyłała na wyraźne polecenie kuzyna, teraz jednak nie chciała tego robić. Obawiała się bowiem, iż Willy wściekłby się na gadatliwą sekretarkę i zwolniłby z pracy jej najlepszą przyjaciółkę. Wysłała zatem zaszyfrowany meldunek, nie zasięgnąwszy wcześniej żadnej konsultacji.

Dwa tygodnie później wiadomość o śmierci agenta Cyclerona znalazła się na biurku generała kapitana Fredericka Beaumont-Nesbitta, dyrektora wywiadu wojskowego Brytyjskiego Ministerstwa Wojny.

Adresat nie bardzo wiedział, co ma zrobić z tym meldunkiem, który po prostu rutynowo wysłali mu amerykańscy koledzy. Ponieważ wymieniony tam kapitan Edmund Pilichowski był Polakiem, a wszystko dotyczyło polskiego wywiadu, Beaumont-Nesbitt kazał meldunek zarchiwizować, a jego kopię wysłać ludziom generała Władysława Sikorskiego. I tak oto dokument ten trafił do Referatu Zachód Wydziału Wywiadu Sztabu Naczelnego Wodza.

Szef owego referatu kapitan Jan Henryk Żychoń, kiedy przeczytał wiadomość o śmierci Edmunda Pilichowskiego, przerwał pracę i wszystkich swoich najbliższych współpracowników zaprosił do kantyny dowództwa na dużą wódkę.

* * *

W SIERPNIU ROKU CZTERDZIESTEGO EDWARD POPIELSKI w końcu doszedł do siebie po kilku atakach czerwonki i malarii, które to choroby mało kogo oszczędzały pośród oficerów sztabowych polskiej byłej Policji Państwowej przebywających w rumuńskim Călimănești.

Przypadłości te nie pozwoliły mu na działanie. Nie przekupił zatem strażników i nie porzucił – tak jak inni, młodszy – Rumunii dla Francji. Poza tym Edward miał już lat pięćdziesiąt cztery i mimo swego stopnia oficerskiego oraz doświadczenia nabytego w wojnie z bolszewikami w roku dwudziestym nie był idealnym materiałem na żołnierza. Siedział zatem w malowniczym miejscu swego internowania, sławnym skądinąd rumuńskim uzdrowisku, pił wodę z tutejszych mineralnych źródeł, mieszkał w wilgotnym, zapluskwionym hoteliku, a na życie usiłował zarabiać – jak w swych studenckich czasach w Wiedniu – grą w szachy i w karty na pieniądze.

Losami swoich ukochanych pań zamartwiał się bardzo, ale przynajmniej wiedział, że obie żyją, że omija je potworna łapa sowieckiego terroru i nie są bezpośrednio narażone na śmierć. Rita po smutnych zdarzeniach, które ją spotkały^[94], przebywała w szpitalu we Lwowie, gdzie jej życiu nic nie zagrażało, Leokadia zaś mieszkała pod fałszywym nazwiskiem u zacnej i kochanej byłej gosposi Hanny Półtoranos w jej rodzinnej wsi Strzelczyska, oddalonej od Lwowa o pięćdziesiąt kilometrów na zachód.

Tam Lodzia na życie zarabiała i jawnie, i tajnie. Oficjalnie była księgową w pobliskim przejętym przez Niemców majątku hrabiów Stadnickich, nieoficjalnie na tajnych kompletach uczyła wiejskie dzieci języków obcych.

Edward tęsknił za obiema kobietami i głęboko się zastanawiał, co dalej począć. Postanowił do końca roku czekać na rozwój wypadków, a potem podjąć decyzję – o ile ktoś nie podejmie jej za niego – czy wrócić do kraju, a ściśle mówiąc, do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie polska tak zwana granatowa policja przyjęłaby go z otwartymi rękami, czy też oddać się robocie konspiracyjnej w niebezpiecznym, bo najeżonym szpiclami,

Lwowie, gdzie, jak się dowiedział, od dawna o niego rozpytuje tajna sowiecka policja NKWD.

Tego sierpniowego dnia wrócił do swej kwatery zmęczony i zdyszany po intensywnym spacerze, jaki sobie urządził w gęstym lesie, porastającym brzegi wartkiej rzeki Aluta.

Pan Liviu Paulescu, zarośnięty niechlujny recepcjonista i właściciel hoteliku w jednej osobie, wręczył mu klucz oraz jakiś list. Powiedział coś przy tym po francusku.

Popielski nieczęsto dostawał listy. Otworzył. Na liniowanym papierze z nadrukiem londyńskiej papeterii widniały dwa zdania i podpis, wypisane dość niedbałym pismem.

Dnia 19 czerwca br. Cyceron złożył głowę pod topór. Czas zdrajców się kończy. Janio.

Pan Liviu Paulescu nie mógł teraz uwierzyć własnym oczom. Ten łyсы, dobrze zbudowany starszy mężczyzna podskakiwał i krzyczał z radości.

– Nie do wiary! Nie do wiary!

Paulescu śmiał się do rozpuku, kiedy Edward powtórzył to kilkakrotnie, ale włączając między frazy jeden wyraz, skądinąd hotelarzowi bardzo dobrze znany.

– Oj, coś czuję, że dzisiaj będzie noc rozkoszy! – skomentował zachowanie swojego gościa. – Jutro będę musiał pościel zmieniać, ha, ha!

Wniosek, do którego doszedł, brał się stąd, że z ust, zza zaciśniętych zębów polskiego oficera wydobywało się słowo, które świadczyło, zdaniem Paulescu o tym, iż jego gość spędzi dzisiaj noc w damskich ramionach.

Hotelarz, mający z Polakami do czynienia prawie od roku, wiedział doskonale, co znaczy polskie „kurwa”, a właśnie ten wyraz co chwila się pojawiał na ustach rozradowanego mężczyzny.

Powieść ukończyłem dnia 27 stycznia 2022 roku, o godzinie 12.21.

[94] Zob. M. Krajewski, *Erynie*.

DRAMATIS PERSONAE



ANDERSCH – niewymieniony z imienia właściciel „burdelu na wzgórzu”, luksusowego domu publicznego na Wzgórzu Liebicha we Wrocławiu.

HELMUT BARYLSKI – były agent Dwójki, później przestępca.

ANDRÉ BOUSSAC – zarządca zakładów włókienniczych w Żyrardowie, przedstawiciel udziałowca, francuskiego potentata przemysłu włókienniczego Comptoir de l'Industrie Cotonnière.

STEFAN BRATKOWSKI – konsul, urzędnik polskiego konsulatu we Wrocławiu.

HANS BÜTTNER – pracownik stolarni kolejowych zakładów naprawczych we Wrocławiu.

WILHELM CANARIS – szef Abwehry.

SZCZĘSNY CHOYNACKI – referent wydziału paszportowo-wizowego, urzędnik polskiego konsulatu we Wrocławiu.

JERZY ENGLISCH – szef Dwójki, czyli II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego, wywiadu i kontrwywiadu wojskowego.

ANDRZEJ FAFEREK – podkomisarz, szef Komisariatu II przy Wileńskiej 5 na Londynku, owianej złą sławą dzielnicy Bydgoszczy.

JAN FILIPIAK – starszy strażnik Komisariatu i Placówki Straży Granicznej II Linji, Krotoszyn.

ERWIN FISCHER – zaufany człowiek Zeisbergera, uczestnik akcji „Wzgórze”.

ALOIS GRUNDMANN – SS-Hauptsturmführer, szef SD we Wrocławiu.

WILLY GRUNDMANN – ojciec Aloisa Grundmanna.

RAINER VON HARDENBURG – szef Urzędu Abwehry we Wrocławiu.

REINHARD HEYDRICH – szef Gestapo i Sicherheitsdienst (SD).

ESTERA HIRSZ – szesnastoletnia dziewczyna ze Stanisławowa, obiekt westchnień piętnastoletniego Edwarda Popielskiego.

ALBERTO HOFFMANN – attaché ambasady chilijskiej, przyjaciel Canarisa z czasów pobytu tegoż w Ameryce Południowej podczas pierwszej wojny światowej.

EDITH KIESE – kierowniczka archiwum SD.

ALBERT – kolega z pracy Büttnera.

ANTONI ANDRZEJ KOWALSKI – komisarz, komendant powiatowy policji w Bydgoszczy.

PIOTR KOZUBSKI – urzędnik polskiego konsulatu we Wrocławiu, odpowiedzialny m.in. za kontakty ze studentami.

ROBERT KUNZE – członek bandy Czarnego Barta.

ELFRIEDE KUSCHMIDER – właścicielka wrocławskiego pensjonatu przy Hedwigstrasse 36.

HELIODOR LAMBERT – hrabia, arystokrata polski, pochodzący z wielkiego arystokratycznego rodu Butlerów, pseudonim „Łotysz”, niemiecki agent.

HERMANN LASKIER – wrocławski marszand.

MIECZYŚLAW LEPECKI – adiutant marszałka Józefa Piłsudskiego.

FRANCISZEK LEWCIO – kapitan, szef Samodzielnego Referatu Informacyjnego przy Dowództwie Okręgu Korpusu nr VII w Poznaniu.

RYSZARD MADEJ – członek bandy Czarnego Barta.

FANNY VON MATTHES-PÖLLNITZ – kochanka Kozubskiego.

JERZY NIEZBRZYCKI – kapitan, szef Referatu Wschód.

DOUGLAS ORMONDE – cieszący się wielkim autorytetem w wyższych klasach członek Izby Lordów.

EUFROZYNA PATERAKOWA – wdowa po Wawrzyńcu Pateraku, właścicielu zakładu „Wypożyczalnia i naprawa rowerów” w Poznaniu.

LIVIU PAULESCU – recepcjonista i właściciel hoteliku w Căllimănești w Rumunii.

ALBERT PAWŁOWSKI – chorąży, deszyfrant Wydziału Wywiadu Dwójki.

EDMUND PILICHOWSKI – kapitan, funkcjonariusz II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego, pracujący w Wydziale Wywiadu, szef Referatu Radiowywiadowczego (Biura Szyfrów).

JOSÉ FRANCISCO DE BARROS PIMENTEL ambasador Brazylii w Warszawie.

HANNA PÓŁTORANOS – pochodząca ze wsi Strzelczyska gospoia w domu Popielskiego we Lwowie.

MAŁGORZATA *alias* MARGARITA, *alias* RITA POPIELSKA – córka Edwarda i Stefanii Popielskich.

EDWARD POPIELSKI *vel* HERBERT REITERER – kapitan, policjant ze Lwowa, oddelegowany do zadań specjalnych polskiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego (Dwójki).

HANNELORE POPP – koleżanka Edith Kiese, kuzynka Canarisa.

ALFONS RAPP (zwany Tatusiem) – król bydgoskich przemytników.

WALTER RONIGGER – SS-Sturmbannführer, członek SD, jeden z organizatorów niemieckiego aparatu policyjnego w okupowanej Polsce.

WALTER SCHELLENBERG – SS-Rottenführer, zastępca Reinharda Heydricha, oficer prowadzący agenta Cycerona po Aloisie Grundmannie.

HERMINA SCHÜTZ – prostytutka, operująca na osiedlu Księżę Małe.

KARL SEELIGER – narzeczony panny Edith Kiese.

JERZY *vel* GEORG SMOLLA – notariusz, właściciel kancelarii „G. Smolla. Kancelaria notarialna bez uprawnień adwokackich” we Wrocławiu.

LONGIN SOKÓLSKI – kapitan, Szef Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Poznaniu.

KAZIMIERZ SZPAĐROWSKI – kapitan, funkcjonariusz Dwójki, szef Ekspozytury nr 4 w Katowicach.

AURELIA TEICHERT – Ormianka pochodząca ze Lwowa, obywatelka niemiecka mieszkająca we Wrocławiu, *de domo* Oskiada (Aurelia) Inglisjan *vel* Inglisowicz, *primo voto* Teichert.

PAUL VERNOW – Niemiec, muzyk, kompozytor, pianista, nauczyciel Edmunda Pilichowskiego.

MARTIN WAAG – subiekt we wrocławskiej firmie „Nicolai & Schweitzer” handlującej linoleum i tapetami.

EGINHARD WINKLER – kompan i kolega z pracy Büttnera.

HELMUT ZEISBERGER – wrocławski przestępca, pracujący dla Dwójki agent Ireneusz.

ZIRKER – niewymieniony z imienia właściciel gospody przy Frankfurter Strasse we Wrocławiu.

HENRYK ZWOLICKI – referent w polskim konsulacie we Wrocławiu.

JAN HENRYK ŻYCHOŃ – szef Referatu Zachód Dwójki, odpowiedzialny za działania wywiadowcze przeciwko Niemcom, kapitan, potem major.

POSŁOWIE



KAPITANA (OD 1936 ROKU – MAJORA) Jana Henryka Żychonia można by zaliczyć w niniejszej powieści do bohaterów pierwszoplanowych i choć jego wrocławska akcja jest wytworem mojej wyobraźni, to on sam oczywiście nie. Usposobienie asa polskiego wywiadu starałem się zaprezentować zgodnie z rzeczywistością. Poznałem je lepiej dzięki świetnej, niedawno wydanej monografii autorstwa Andrzeja Brzezieckiego, zatytułowanej *Wielka gra majora Żychonia* (Kraków 2021). Ta książka była dla mnie ważną inspiracją nie tylko do opisywania porywczego i bezwzględnego Jania, ale również do wymyślania fabularnych wątków.

Jan Henryk Żychoń występuje na kartach *Czasu zdrajców* bardzo często i umieszczony został również w spisie bohaterów powieści. Ktoś mógłby powiedzieć, że włączenie tam jednej z głównych postaci jest przesadne i niepotrzebne i że spis powinien zawierać jedynie tych, którzy w powieści pojawiają się rzadziej. Taki wykaz miałby ułatwić czytelnikowi poruszanie się w meandrach akcji, wśród mnogości nazwisk.

Pojawia się jednak wątpliwość: które postaci zamieścić, a które odrzucić (spis wszystkich, który sporządził redaktor Zbigniew Kowerczyk, zajął siedem stron)? Uznałem arbitralnie, że każda osoba z listy musi spełniać koniunkcję dwóch warunków: (1) co najmniej dwukrotnie jest o niej mowa w powieści; (2) występuje w dwóch różnych scenach.

Wyjątkiem od tej zasady jest tajemniczy policjant wrocławski o inicjałach „E.M.” – spełnia on owe warunki, lecz nie dostał swego miejsca w *Dramatis personae*. Gdybym go tam zaprezentował, musiałbym napisać „radca kryminalny Eberhard Mock”. Pozbawiłbym tym samym domyślnych Czytelników przyjemności zidentyfikowania owego bohatera.

Niniejszym sam go identyfikuję, będąc jednak przekonany, że Czytelnik, znający tę postać z innych moich powieści, już dawno tego dokonał.

Spis osób został umieszczony dopiero na końcu książki, między tekstem głównym powieści a *Posłowiem*. Gdyby lista znalazła się, jak to często bywa, już na początku, to Czytelnik, przestudiowawszy ją przed lekturą powieści, wiedziałby, że – dla przykładu – Alois Grundmann nie jest wcale agentem Ireneuszem, co zniwelowałoby zaskoczenie, na jakie akurat w tym wypadku liczyłem.

Zaskoczony natomiast byłem ja sam, kiedy się dowiedziałem, że końcowy fragment aktu V dramatu Johanna Wolfganga Goethego *Götz Żelaznoręki z Berlichingen* zawiera oboczność tekstologiczną „*Tore*” / „*Türe*”. Cały ten *passus*, w moim własnym przekładzie, wykorzystałem jako motto do *Czasu zdrajców*, a przytaczając oryginalną niemiecką wersję, którą akurat dysponowałem, przyjąłem formę *Tore*[95]. Dwie różne odmiany tego tekstu wytropiła moja redaktorka Ida Świerkocka.

Oprócz pani Świerkockiej skutecznymi tropicielami błędów, potknięć, uproszczeń i sprzeczności w *Czasie zdrajców* byli również inni redaktorzy: Dorota Gruszka, Zbigniew Kowerczyk oraz Katarzyna Mach. Ich sugestie w ogromnej większości były nie do odparcia. Znamca literatury sensacyjnej i szpiegowskiej Maciej Lamparski przeczytał tę powieść dwukrotnie w ciągu trzech dni i zgłosił uwagi tak trafne, że musiałem się mocno nabiedzić, aby ocalić pewne wątki fabularne (niektórych nie ocaliłem). Mikołaj Kołyszko, jak zawsze, wspierał mnie swoimi ekspertyzami, bez których świat powieściowy byłby ubogi, a akcja musiałaby być mocno okrojona. Wszystkim wymienionym Osobom bardzo dziękuję, a Łaskawego Czytelnika proszę o zgłaszanie błędów – o ile by takowe znalazł – pod adres: mrkkrjwsk@gmail.com. Oświadczam, że tylko ja ponoszę za nie odpowiedzialność.

[95]

Za:

<http://www.zeno.org/Literatur/M/Goethe,+Johann+Wolfgang/Dramen/Götz+von+Berlichingen+mit+der+eisernen+Hand/5.+Akt.>

Książki Marka Krajewskiego o Edwardzie Popielskim (według chronologii
wydarzeń)

Dziewczyna o czterech palcach

Pomocnik kata

Liczby Charona

Miasto szpiegów

Rzeki Hadesu

Głowa minotaura

Erynie

W otchłani mroku

Arena szczerów

Władca liczb

Książki Marka Krajewskiego o Eberhardzie Mocku (według chronologii
wydarzeń)

Mock. Pojedynek

Mock

Mock. Ludzkie zoo

Widma w mieście Breslau

Mock. Golem

Dżuma w Breslau

Koniec świata w Breslau

Moloch

Diabeł Stróż

Śmierć w Breslau

Głowa Minotaura

Festung Breslau

Okładka

Karta tytułowa

Prolog

Część I . Styczeń 1935 Prawdziwy zdrajca

Rozdział I. Stary, łysy i zmęczony.

Rozdział II. Mieszanina wybuchowa

Rozdział III. Agent Cynceron

Rozdział IV. Podstępny i naciski

Rozdział V. Res ad triarios venit[30]

Rozdział VI. Każdemu kiedyś kres

Rozdział VII. Zdrajca

Część II. Luty 1935 Fałszywy zdrajca

Rozdział VIII. Odwilż

Rozdział IX. Początek gry.

Rozdział X. Gambit

Rozdział XI. Gambit przyjęty.

Rozdział XII. Iacta alea est[81]

Rozdział XIII. Ostatni kęs

Rozdział XIV. Woda z rzeki Lete[91]

Epilog

Dramatis personae

Posłowie

Karta redakcyjna

Projekt okładki i mapy
Michał Pawłowski
www.kreskaikropka.pl

Opieka redakcyjna
Dorota Gruszka

Redakcja
Zbigniew Kowerczyk
Karolina Macios
Ida Świerkocka

Adiustacja
Katarzyna Mach

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Anna Rudnicka

Copyright © by Marek Krajewski
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-240-6548-6

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek